

Historie prawdziwe

Marguerite

van Geldermalsen

ŻONA BEDUINA

Przenieś się do mojej jaskini – poprosił.
Przeniostałam się. Na 25 lat

imprint

ŽONA BEDUINA

Marguerite

van Geldermalsen

ŻONA BEDUINA

przetłumaczyła Teresa Tomczyńska

imprint

Tytuł oryginału: *Married to a Bedouin*

Wydawca: Małgorzata Maruszkin

Redakcja: Elżbieta Łanik, Kaja Murawska

Konsultacja arabistyczna: Elżbieta Krawczyk

Projekt graficzny okładki: Agata Jaworska

Zdjęcia na okładce: z archiwum autorki Moreno Soppelsa/Shutterstock

Korekta: Ewa Garbowska

Skład i łamanie: Pracownia DTP Aneta Osipiak-Wypiór

Produkcja: Ewa Oszwałdowska, Sławomir Drachal

Współpraca: Zofia Tomczyńska

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca

Copyright © for the Polish edition

Spółka Imprint Sp. z o.o.

Copyright © Marguerite van Geldermalsen 2006

ISBN 978-83-61171-39-3

Plik ePUB opracowany przez iFormat sp. z o.o. 2011

www.iformat.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

*Dla Salwy, Raamiego i Marwana Ku pamięci
Muhammada*





Podziękowania

Pragnę podziękować przede wszystkim: mojej Mamie, mojemu Tacie, Tedowi, Johnowi i Annie, za to, że byliście dla mnie wspianą rodziną (dziękuję także za niektóre zdjęcia); Lennie Goodings i Elise Dillsworth z Virago Press; Mary S. Lovell, która mnie im przedstawiła; Jane Taylor (janetaylorphotos.com) za fakty i przyjaźń; Jan Cornall za „Effortless Memoir Writing”. Dziękuję także wszystkim, którzy po usłyszeniu mojej historii powiedzieli mi: „Musisz napisać książkę”.

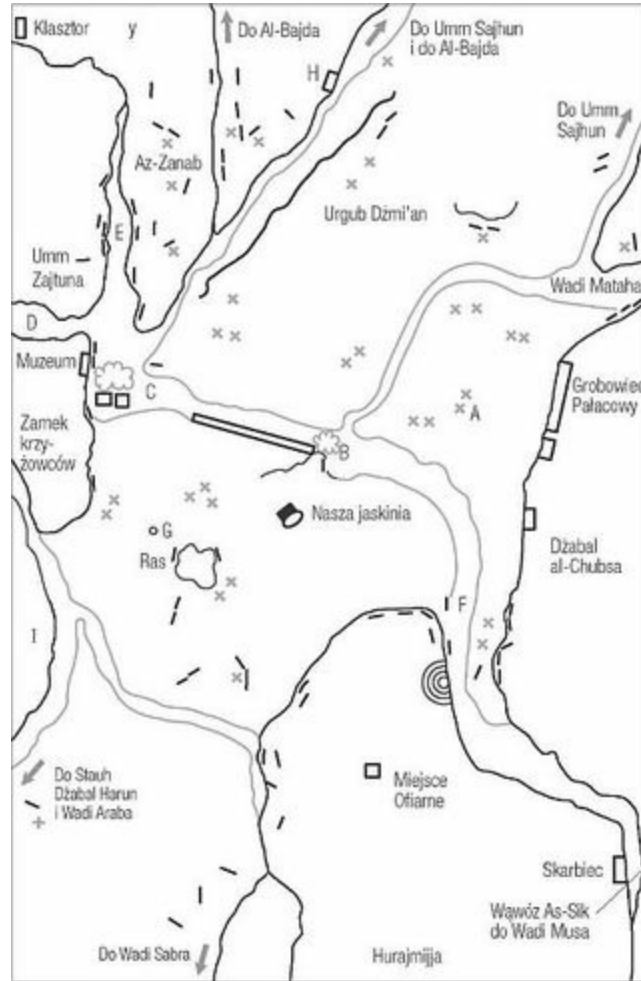
Dziękuję również osobom, które wspierały mnie podczas pisania — słowa otuchy były mi szczególnie potrzebne — a także tym, których tu nie wymieniłam, a przyczynili się do „uczynienia naszego życia niezapomnianym”. I przede wszystkim Muhammadowi (niech spoczywa w pokoju). Gdyby nie On, nie miałabym o czym opowiadać.

Przy szkicowaniu mapy nie stosowałam żadnej skali, przedstawia ona powierzchnię o wymiarach około 1 km ze wschodu na zachód i 1,5 km z północy na południe.

Znaki:

-  Góry albo usypiska skalne
-  Piaszczyste pagórki
-  Mieszkania lub sklepy w jaskiniach
-  Obozowiska
- A Nasz ślubny namiot
- B Rozłożyste drzewo i brukowana droga
- C Obozowisko Nazaala, Gasr al-Bint i *kiny*
(drzewa eukaliptusowe)
- D Wadi Sijagha
- E Ambulatorium w Dolinie Klasztornej
- F Fam al-Wadi
- G Kolumna Faraona
- H Grobowiec Turkmanijja
- I Umm al-Bijara

Moja Petra



1978

Początek

— Gdzie wy mieszkać? — spytał Beduin. — Może dzisiejsza noc spędzić ze mną, w mojej jaskini?

Muhammada Abdallaha poznałam w Petrze. Siedziałyśmy razem z moją przyjaciółką Elizabeth na wyciosanych w kamieniu schodkach prowadzących do Skarbca, wygodnie oparte o monumentalne kolumny, gdy młody mężczyzna przysiadł na stopniach i nas zagadnął. Ubrany był w dość szkaradny garnitur w kolorze butelkowej zieleni, z jakiegoś sztucznego materiału, z niemodnymi szerokimi klapami; głowę miał omotaną białoczerwonym turbanem, hojnie wykończonym frędzlami.

Zjechałyśmy już razem całą Grecję i Egipt, w Jordanii byłyśmy jakiś tydzień. Świetnie sobie radziłyśmy. W Ammanie poznałyśmy parę z Nowej Zelandii i wraz z nimi zwiedziłyśmy wszystkie miejscowe zabytki: muzeum, cytadelę, teatr rzymski. Zrobiłyśmy także dwa jednodniowe wypadki: do Madaby, aby zobaczyć słynną mozaikową mapę[1], oraz do położonego na północy i dobrze zachowanego miasteczka Dżarasz, założonego jeszcze przez Rzymian. Właśnie tam, kiedy parę godzin wcześniej uciekł nam ostatni lokalny autobus, uratowali nas amerykańscy turyści podróżujący komfortowym klimatyzowanym autokarem z jordańskim przewodnikiem o mało arabskim imieniu Joe, który mówił po angielsku z przesadnym jankeskim akcentem. Amerykanie nie tylko odwieźli nas z powrotem do Ammanu, ale następnego dnia

zabrali ze sobą do Petry.

Z powodu klimatyzacji, włączonej w autobusie na maksa, miałyśmy wrażenie, że przedpołudniowy skwar na parkingu przed bramą do starożytnego miasta jest jeszcze większy. Amerykanie mieli już zorganizowane zwiedzanie, a my, zanim zdążyłyśmy poczynić własne plany, zostałyśmy przedstawione przyjacielowi Joego — Raszidowi, który przywitał nas bardzo formalnie słowami: „Witajcie. Mam na imię Raszid. Pochodzę z miejscowości Dolina Mojżesza. Pokażę wam Petrę”.

Dolina Mojżesza to wioska położona wśród skał i drzew owocowych, przez którą niedawno przejeżdżałyśmy. Nasz kierowca, zjeżdżając z góry, nie spuszczał nogi z hamulca. Joe pokazał nam źródło znajdujące się w miejscu, w którym ponoć Mojżesz „uderzył w skałę i wytrysnęła z niej woda” oraz objaśnił przez mikrofon, że nazwa wioski i doliny brzmi tak samo: Wadi Musa, czyli Dolina Mojżesza.

Raszid wyglądał na jakieś dwadzieścia parę lat, był pewnie moim rówieśnikiem. Szczupły, ciemnowłosy, o jasnooliwkowej cerze, miał bystre, świdrujące oczy i nieśmiały uśmiech. Ubrany był w zwykłe płócienne spodnie oraz rozpiętą pod szyją koszulę z kołnierzykiem. Przedstawiłyśmy się i uścisnęłyśmy mu rękę.

— Elizabeth — powtórzył — królowa Elizabeth.

Opalona na brąz Elizabeth pochodziła z Australii i chociaż była ode mnie kilka lat starsza — a przy tym dużo mądrzejsza — nie miała jeszcze ani jednej zmarszczki. Uśmiechnęła się pobłaźliwie, słysząc te słowa, ale nie zareagowała. Tyle razy już to słyszała.

Przy wejściu nie było kas biletowych, nie pobierano też żadnych opłat; Raszid zapewnił, że jemu też nie musimy płacić, więc wzięłyśmy plecaki i pomaszerowałyśmy drogą do Petry. Prawdę mówiąc, miałyśmy dosyć oglądania ruin. W ciągu ostatnich paru miesięcy byłyśmy już w tylu muzeach ze sztuką antyczną, w tylu miejscach pełnych

poprzewracanych starożytnych kolumn, że nie miałyśmy zbytnej ochoty na zwiedzanie jeszcze jednego historycznego rumowiska. Nawet nie chciało mi się słuchać słów Raszida, który z zapalem tokował o Nabatejczykach — plemienu, które zamieszkiwało te tereny przez setki lat. Wcale mnie to nie interesowało, znużona człapałam krok za krokiem w zakurzonych sandałach. I ani trochę cienia. Może ze dwa konie przegalopowały obok, wznosząc tumany kurzu i rozkopując cuchnące wilgotną słomą odchody. Dróżka przez chwilę wiodła między skalistymi wzgórzami z piaskowca, które stawały się coraz wyższe. Skały stopniowo się zacieśniały, przechodząc w cienisty skalny kanion, aż wreszcie wkroczyliśmy do wąwozu As-Sik.

— To jedyne wejście do Petry — wyjaśnił nasz przewodnik. — Dlatego tak łatwo było jej bronić.

Od razu zrozumialiśmy, o co chodzi. Przesmyk między skałami miał zaledwie kilka metrów szerokości, a wysokie czerwone ściany, gdzieniegdzie w kolorze ochry, nie wpuszczały słońca z wyjątkiem nielicznych miejsc, w których promieniom udało się przebić i dotrzeć do liści, zielonych plam w koronach wysokich figowców.

Znajoma amerykańska grupa z autokaru minęła nas, jadąc stępa na koniach. Śmiali się i machali do nas. Mężczyźni, którzy ich prowadzili, szli w podkasanych szatach, a frędzle obwiązanych na głowie chust kołysały się przy każdym co gwałtowniejszym okrzyku lub machnięciu długim kijem, którym popędzali dychawiczne „rumaki”. Przyodziani byli w powłóczyste stroje, zwane *saubami*, zwykle białe, choć zdarzały się także szare, brązowe lub w ciemne prążki. Za nakrycie głowy służył im metr kwadratowy czerwono-białego, czarno-białego albo zwykłego białego bawełnianego materiału złożony w trójkąt, tak zwany *mindil*. *Mirrir* — podwójny pierścień przypominający gruby, czarny, pleciony sznur — przytrzymywał *mindil* na głowie. Mijająca nas kawalkada

wzbiła jeszcze większy tuman kurzu, droga stawała się coraz bardziej kamienista, nasze plecaki zaś coraz cięższe i nawet w zacienionym kanionie pot spływał po nas ciurkiem.

Po półgodzinnej forsownej wędrówce ujrzałam widok, który po raz pierwszy zobaczyłam na plakacie w jordańskiej ambasadzie w Kairze. Nieoczekiwanie, spomiędzy czerwonych skalnych ścian wąwozu As-Sik, ponad kwitnącymi krzakami oleandrów wyłoniły się zarysy przepięknej budowli w promieniach słońca. Nagle skończyły się ciasne ściany wąwozu As-Sik, a przed nami otworzył się wąski kanion, na którego końcu wznosiły się pozostałości wykutej w skale bramy. Cisnęliśmy plecaki na ziemię i w poszukiwaniu cienia oparliśmy się o skałę wznoszącą się na wprost niezwyklej budowli przypominającej fasadę wyniosłej, greckiej świątyni. Kilkoro turystów, wspiawszy się po schodach, zniknęło w jej wrotach. Delikatny i kojący zapach palącego się drewna dochodził z miejsca, w którym kilku tubylców ukryło się w cieniu. Dwóch mężczyzn w podartych *saubach* i wyświechtanych marynarkach zbliżyło się do nas, aby coś nam pokazać, ale odgoniliśmy ich i zawrócili bez słowa. Ewidentnie nie wyglądałyśmy na zamożne Amerykanki, tylko na zwykłe turystki podróżujące z plecakiem, a na dodatek bez grosza. Z zachwytem wpatrywałyśmy się w wyciętą w kamieniu fasadę, sięgającą niemal samego szczytu skały.

Raszid z miejsca zaczął nawijać jak rasowy przewodnik:

— To jest Al-Chazna, po arabsku Skarbiec. Nabatejczycy wyłobili go w skale dwa tysiące lat temu. Nie wiadomo, czy to świątynia czy grobowiec. Miejscowi Beduini uważają, że tamta urna na samym szczycie mieści w sobie legendarny Skarb Faraona.

Urna stanowiła część skały, ale strona widoczna naszym oczom nosiła jakby ślady kilofa.

— Nie patrzcie na skarbiec, tylko na skałę. Widać ślady

kul wystrzelonych przez Beduinów.

Beduini! To słowo niosło w sobie tajemnicę, powiew romantyzmu. Kojarzy się z wolnością, otwartą przestrzenią, swobodą — pomyślałam. To nas zaintrygowało.

— Kim oni są? Czym się wyróżniają? Gdzie można ich spotkać? — dopytywałam się.

Od innych turystów, także od poznanych w Ammanie Nowozelandczyków, słyszałyśmy, że w Petrze można przenocować u Beduinów.

— Beduini — wyjaśniał Raszid z wyraźną pogardą w głosie — to koczownicy, nomadzi.

— Mieszkają w namiotach lub jaskiniach, brak tam jakichkolwiek urządzeń higienicznych, to prymitywni ludzie, niewykształceni — tłumaczył. W nas jednak jego słowa wzbudziły niezrozumiałą fascynację.

— Nie jestem Beduinem — pośpiesznie zapewniał Raszid. Beduini nie mieszkają tak, jak cywilizowani członkowie jego plemienia. W Wadi Musa ludność mieszka w domach z oknami i bieżącą wodą, niektóre budynki wzniesiono z żelaznych prętów i cementu, a kilka rodzin miało nawet generatory elektryczne.

— Trochę dalej, w Petrze, jest hotel z prysznicami i generatorem prądu — powiedział. Ale rozbudził już naszą ciekawość i nic nie mogło nas odwieść od tego pomysłu. Chciałyśmy spędzić noc u Beduinów.

— Znam kilka rodzin — Raszid w końcu dał za wygraną. — Jeśli jesteście pewne, mogę was do nich zaprowadzić, spytacie, czy można u nich przenocować.

Byłyśmy pewne. Złapałyśmy plecaki i wyszłyśmy z cienia. Nieopodal rozpościerała się dolina. Minęłyśmy wykuty w kamieniu teatr oraz zabytki znajdujące się po naszej prawej stronie, na zboczu góry. W pobliżu kręciło się niewiele osób: paru turystów powracających na koniach ze zwiedzania, kilku mężczyzn w długich *saubach* wylegiwało

się w skąpym cieniu oleandrów, jakieś dzieciaki prowadziły osły z przytroczonymi, pobrzękującymi kanistrami. W powietrzu unosił się rozgrzany pył oraz smród wysuszonego końskiego łajna. Wyblakłe, pokryte ziemią zbocza oraz rozpadające się mury powoli rosły po obu stronach ścieżki. Nie miałam pojęcia, że Petra jest taka duża. Zazdrościłam Elizabeth, która zwiedziwszy już parę lat wcześniej całą Amerykę Południową, przewidziała wszelkie propozycje pomocy, jakie mogły jej się trafić, i teraz zamiast plecaka miała worek z dwoma uchwytami, który zazwyczaj przerzucała sobie przez jedno ramię. W takiej sytuacji mężczyźni oferowali pomoc i właśnie teraz Raszid dźwigał połowę jej bagażu, podczas gdy mój plecak spoczywał tylko i wyłącznie na moich własnych barkach. Wlokąc się mozolnie naprzód, gdzieś w oddali dostrzegłyśmy dwa czarne namioty. Upalne powietrze niemal stało. Ścieżka przeszła w kamienistą drogę. Była biała, wyslizgana, nagrzane kamienie odbijały palące promienie słońca prosto na nas. Było skwarne czerwcowe popołudnie, a ja myślałam o piosence „Mad Dogs and Englishmen”, w której tylko psy i Anglicy odważają się wędrować w południowym słońcu. Słysząc było człapanie naszych sandałów. Nawet nie chciało się nam gadać. Po obu stronach drogi, tam, gdzie kiedyś stały kramy i warsztaty, krzewiły się teraz zakurzone chaszczki i kwitnące na różowo oleandry. Nie chciałyśmy już słuchać o stojącej na krańcu brukowanej drogi świątyni pozbawionej dachu i nie zwracałyśmy uwagi na rosnące nieopodal imponujące drzewa eukaliptusowe, w których cieniu mogłyśmy się schronić: chciałyśmy tylko jak najszybciej dojść do celu.

Podążałyśmy za Raszidem wzdłuż buchającej żarem skalistej grani aż do miejsca, w którym w obozowisku rozłożonym w jaskini mieszkała rodzina Beduinów. Niewielkie zamiecione podwórze otaczały skały z wykutymi kilkoma ciemnymi wejściami. Poczułam zapach smażonych

pomidorów — zbyt banalny dla tej nietypowej scenerii. Grupka uśmiechniętych i zasmarkanych urwisów zebrała się przy nas, a ubrana w sute, powłóczyste suknie kobieta stojąca za jakimś wyrostkiem coś do niego mamrotała, przyglądając się nam podejrzliwie. Elizabeth — jak zawsze przezorna — ubrana była w spodnie i bluzkę z długimi rękawami, ja natomiast miałam szorty, podkoszulek, a do tego grube nogi i nawet nie przyszło mi na myśl, że swoim wyglądem mogę kogoś obrazić. Elizabeth uważała, że przebywając w muzułmańskim kraju, powinniśmy przyzwoicie zakrywać ciało, ale ja się tym wcale nie przejmowałam. Jeśli chcieli się zakrywać, ich sprawa. Ja prawie nigdy tego nie robiłam i nie rozumiałam, dlaczego miałabym dla innych zmienić swoje zwyczaje.

Na podwórzu pojawiła się kolejna kobieta z tak samo dumnie wyprostowanymi plecami i jasną karnacją jak poprzednia, ale ton jej głosu był znacznie ostrzejszy.

— Mężów nie ma w domu — oznajmiła Raszidowi, i nie możemy u nich zostać. Zawiedzione, z wyrytym w pamięci obrazem jaskiń i Beduinów, zeszliśmy na dół i musieliśmy szarpnąć się na hotel z prysznicem i generatorem prądu.

Hotel o szumnej nazwie „Nazzal’s Camp”, czyli „Obozowisko Nazzala” krył się wśród wysokich murów zrujnowanej świątyni, w cieniu wyniosłych drzew eukaliptusowych. Było to ongiś prawdziwe obozowisko prowadzone przez towarzystwo turystyczne „Thomas Cook & Son”, w którym Agatha Christie w 1938 roku osadziła akcję powieści *Rendez-vous ze śmiercią*. Teraz był to zwykły budynek wzniesiony z kamienia i cementu, z podwójnymi schodami prowadzącymi do drzwi wejściowych. Na parterze mieściła się jadalnia i dobrze zaopatrzone bar, na pierwszym piętrze zaś całe mnóstwo pokoi; zaprowadzono nas do jednego z nich, urządzonego w liczącej bez mała dwa tysiące lat jaskini wykutej w zboczu góry. Wylane pod drzewami kwadratowe poletka z

cementu, na których ongiś rozstawiano namioty, aby pomieścić tłumnie przybywających gości, były jedynymi widocznymi śladami minionej świetności, zaledwie wspomnieniem odległej przeszłości. Hotel miał zostać zamknięty pod koniec roku, nowy już działał, a my byliśmy jedynymi gośćmi sławnego „Obozowiska Nazzala”.

Rano spytałyśmy młodych mężczyzn prowadzących hotel, co jeszcze można robić w Petrze. Nie było broszur, prospektów turystycznych ani przewodników. Poradzili nam, żebyśmy poszły do Miejsca Ofiarnego albo do Klasztoru, ale słońce nieźle już przygrzewało i żadne z tych miejsc nie wzbudziło w nas tak dużego zainteresowania, żebyśmy zmusiły się do ponownej wspinaczki. Powlekłyśmy się więc z powrotem tą samą drogą, którą poprzedniego dnia przyszłyśmy.

Zwiedzając Skarbiec po raz drugi, byliśmy niemal zupełnie same. Mogłam spokojnie zrobić zdjęcie bez żadnej przypadkowej osoby w kadrze. Niestety, mój aparat był dość prymitywny i obiektyw nie objął nawet połowy fasady. Natomiast Elizabeth nigdy nie nosiła ze sobą aparatu fotograficznego. Po obu stronach wejścia widniały zniszczone upływem czasu postaci bezgłowych jeźdźców na bezgłowych koniach. Niezwykle fryzy kwiatowe nad nami wyglądały tak świeżo i wyraziście, jak w dniu, w którym zostały wyrzeźbione. Później dowiedziałam się, że Nabatejczycy początkowo byli plemieniem koczowniczym. Stali się ważnym ogniwem w handlu kadzidłem z Jemenu na obszarze Arabii; początkowo napadali karawany, a w późniejszych latach zapewniali im bezpieczny przejazd. Już od trzeciego wieku przed Chrystusem koczowali w Petrze, naturalnej twierdzy z dostępem do kilku źródeł wody oraz skalnymi „bramami”, których łatwo było strzec. W ciągu kolejnych stuleci zbudowali kwitnące królestwo ze stolicą w Petrze, obejmujące do końca pierwszego wieku naszej ery obszar od Syrii przez pustynię Negew w Palestynie aż do

Arabii. Kupcy i rzemieślnicy nabatejscy podróżowali po całym znanym wówczas świecie i wracali zainspirowani nowymi pomysłami. Ich stolica leżała na kilku pobliskich wzgórzach i słynęła z rzemiosł, przede wszystkim z ceramiki ozdobnej. Nabatejczycy mieli nawet własną mennicę, w której wybijano monety, niektóre z nich z podobizną króla i królowej. W otaczających dolinę skałach artyści rzeźbili niezwykle budowle pełne majestatycznego piękna, ludność zaś skrzętnie zbierała każdą najdrobniejszą kroplę deszczu zesłaną z nieba. Aż do szóstego wieku Petra była świetnie prosperującym miastem, niestety — zmieniające się szlaki handlowe, powtarzające się trzęsienia ziemi oraz prawdopodobnie coraz częstsze susze doprowadziły do opuszczenia i zniszczenia nabatejskiej metropolii.

Weszliśmy po schodach i zajrzałyśmy do środka. Wciąż było widać ślady dłuta, pozostawione wiele wieków temu przez dłoń nieznanego rzeźbiarza. Kąty między ścianami były wyraźnie zaznaczone, lecz posadzka i stopnie już mocno wydeptane. Właśnie wtedy, kiedy siedziałyśmy na wysłużonych stopniach na wprost wejścia do wąwozu As-Sik, oparte o monumentalne kolumny, podszedł do nas Muhammad Abdallah i zaprosił do siebie. Skierowane do mnie ostrożne pytanie Elizabeth: „Co o tym myślisz?” pozostało bez odpowiedzi, bo ja już przyjąłem jego zaproszenie. Wydawał się pełen zapału, a my szukałyśmy przygód.

Do jaskini

Po południu wyniosłyśmy się z hotelu i dźwigałyśmy bagaże, wlokąc się starą wyłożoną kamieniami drogą do rozłożystego drzewa, pod którym umówiłyśmy się z naszym przyszłym gospodarzem. Na miejscu jednak nic nie

wskazywało na to, że ktoś na nas czeka. Gdy zaczęliśmy zastanawiać się, co zrobimy, jeśli nikt się nie pojawi, niespodziewanie dobiegł nas młody głos:

— Wy czekać Muhammad Abdallah? On prosił ja pokazać drogę.

Przyjrząwszy się uważnie, dostrzegliśmy jakiegoś wyrostka, machającego do nas ze szczytu stromego wzgórza po prawej stronie. Kierowane jego wypowiedzianymi po angielsku wskazówkami i coraz bardziej zaskoczone, zaczęliśmy się wspinać. Chłopak wiódł nas między skałami to w lewo, to znów w prawo; w końcu znalazłyśmy się obok niego zadyszane i zasapane i spojrzaliśmy w dół na drogę, na której jeszcze przed chwilą bezradnie sterczałyśmy.

— Wiedziałem, że to wy... po waszych torbach — powiedział mały bosonogi chłopak i uśmiechnął się od ucha do ucha, najwidoczniej dumny ze swojego sprytu. Ruszyliśmy za nim pod górę. Gruba warstwa potłuczonej ceramiki chrzęściła pod stopami. Dotarliśmy za nim do miejsca, w którym na głęboko wyżłobionej, piaszczystej, rozświetlonej promieniami słońca półce skalnej z widocznym, ostro wyciętym wejściem do jaskini znajdującej się we wnętrzu wzgórza, czekał już nasz beduiński gospodarz. Ściągnął *mindil*, odsłaniając całą twarz i niesforne kędziory gęstych ciemnych włosów, nie przebrał się jednak — a może po prostu zapomniał o swoim zaproszeniu.

— *Ahlan wa-sahlan* — to znaczy witajcie — powiedział Muhammad, wyciągając rękę, aby pomóc nam zeskoczyć na skalną półkę. Nie przyszło mi nawet na myśl, że to był pretekst, aby dotknąć naszych dłoni: tuż obok usypanego z ziemi stopnia był dziesięciometrowy spadek. Po kolei weszliśmy na coś w rodzaju korytarza, prowadzącego aż do skały, w której wykute były drzwi oraz dwa zasłonięte drucianą siatką okna. Okno z lewej strony drzwi znajdowało

się dość wysoko, drugie — po prawej stronie — wykuto niemal na wysokości podłogi. Ponad kamieniami i cementem widniały powycinane w esy-floresy resztki czerwonego piaskowca, żywo kontrastującego z kolorem nieba. Muhammad wprowadził się do jaskini dopiero kilka miesięcy wcześniej. Dostrzegł potencjał tego miejsca, chociaż piasek zbierający się tu od wieków zaścielał skalną półkę i zasłaniał wejście. Historia odkrycia jaskini była dość banalna. Kozy szukały cienia w gorące popołudnie. Przeganiając je, Muhammad zobaczył sporej wielkości otwór wydrążony w skale, z widokiem na połowę Petry i bez żadnych sąsiadów w pobliżu. Oczyszczenie korytarza i budowa muru podtrzymującego nadkruszące skały i zwiertzałą fasadę zajęło mu kilka tygodni. Niewątpliwie pragnął pochwalić się przed nami „swoją rezydencją”. Od razu wprowadził nas do środka. W niczym nie przypominało to Skarbca, czy naszego poprzedniego miejsca noclegu — odrzwia były na tyle wysokie, że nie musiałyśmy się schylać, a gdy oczy przywykły do ciemności, zobaczyłyśmy, że znajdujemy się w prawie kwadratowej pieczarze, mierzącej mniej więcej pięć na sześć metrów, z niskim sklepieniem łukowym oraz o nierówno wylanej cementowej podłodze. Właściwe dno, w którym prawdopodobnie znajdowały się grobowce i skarby, było położone kilka metrów niżej, ale Muhammad przestał kopać i wylał cement, kiedy tylko stwierdził, że sufit jest już wystarczająco wysoko. Sam pomalował ściany jaskini. Ślady kilofa, żłobienia rylca i naturalne pęknięcia były jak surowe płótno pod jego malarską twórczością. Tylną ścianę i boczne pomalował aż do wysokości ramion na kolor jadowitej zieleni. Ze ścian kielkowało i pięło się w poprzek białego skalnego sufitu sześć słoneczników w tym samym jaskrawym zielonym kolorze, każdy z nich z dwoma liśćmi, podobne były do tych, jakie malowałam farbami plakatowymi w świetlicy w szkole, tylko dużo większe.

— Jak tu pięęęknie! — jęknęła Elizabeth; zawsze miała talent do wychwalania nowych znajomych i podnoszenia im samooceny. Jakoś nie mogłam się z nią zgodzić, ale na szczęście udało mi się powstrzymać od komentarza. Na podłodze za drewnianymi drzwiami stał prymus, obok niego niklowana taca z dzbankiem do herbaty i szklankami, nad nią, na drewnianej półeczce — nie wiadomo jakim cudem przymocowanej do skały — kilka talerzy i garnek. W przeciwległym rogu stał składany, metalowy, zielony stolik na cienkich nogach, a na nim leżała czerwona walizka. W pomieszczeniu znajdowało się także łóżko z materacem z gąbki i narzuconym na niego kocem, a szaro-czerwona bawełniana mata przykrywała połowę podłogi. Na głęboko osadzonym parapecie gołębie uwiły sobie gniazdo. Postawiłyśmy bagaże i natychmiast pojawił się przy nich rudowłosy kociak i zaczął się bawić troczkami. Nasz przewodnik pomagał nalewać herbatę. Miał głęboko osadzone oczy i duże zęby, a kiedy Muhammad poczęstował nas papierosami, też wziął jednego. Nie mogłyśmy w to uwierzyć. Z dumą w głosie oświadczył, że ma już jedenaście lat, ale dla nas był dzieckiem. Muhammad podał nam śmierdzącą naftą zapalniczkę. Elizabeth i ja zaczęłyśmy się krztusić od kaszlu, chłopiec natomiast zaciągnął się głęboko i z taką wprawą, iż doszłam do wniosku, że pewnie pali od urodzenia. Pomachał nam na pożegnanie dłonią, w której trzymał papierosa i zabrał się ze swoimi kozami do domu.

— Idziemy do Klasztoru obejrzyć zachód słońca — oznajmił Muhammad, gdy aż do przesytu opiliśmy się herbatą. Była bardzo słodka, bardzo czarna i bez mleka. — Jeśli się pośpieszymy, to dotrzemy tam tuż przed zachodem. *Jalla!* Idziemy!

Wydawało nam się, że już za późno na podziwianie uroków kryjącego się za górami słońca, jednak ochłodziło się i pomysł wyprawy do klasztoru był znacznie bardziej

kuszający niż rano. Pomaszerowaliśmy zatem znowu na dół, minęliśmy hotel, potem zeszliśmy do doliny, a następnie niesamowitą, wykutą w skale drogą wspięliśmy się w górę; zatrzymaliśmy się tylko raz, kiedy Muhammad zerwał dla nas kwiaty kaparów ciernistych — miękkie, różowawe pąki z białymi płatkami o słodkawym zapachu. Ale nawet dotarwszy do najcudowniejszego z zabytków Petry, skąpanego w złotych promieniach zachodzącego słońca, nie mogliśmy odpocząć... Miejsce, z którego należało podziwiać zachód słońca znajdowało się kilka metrów dalej, na skraju głębokiej przepaści nad Wielkimi Rowami Afrykańskimi. Zaśmiewając się do rozpuku, padliśmy na skalnej półce, zanim słońce ukryło się za górami, daleko na zachodzie.

Byliśmy na szczycie świata. Cóż za widok! Na zawsze wyryty w mojej pamięci oraz utrwalony na zdjęciu, dołączył do nas bowiem uczący i mieszkający w pobliskiej szkole Palestyńczyk, który dogonił nas, kiedy dostrzegł szansę na podszkolenie angielszczyzny. Muhammad natomiast stwierdził, że to okazja na sfotografowanie całej naszej trójki na tle zachodzącego słońca. Po powrocie do jaskini Muhammad zapalił lampę, napompował prymus i zabrał się za przygotowanie kolacji. Elizabeth zaoferowała pomoc przy krojeniu ziemniaków, ale Muhammad miał tylko jeden nóż, składany kozik; korzystał z niego zarówno przy obieraniu i krojeniu kartofli wprost do garnka, jak i do otwierania puszek. Gospodarz przyrządzał posiłek, a ja przysiadłam na macie na podłodze, oparłam się o skalną ścianę i zabrałam się za pisanie pocztówki do siostry w Nowej Zelandii. Widokówka przedstawiała teatr z rzędami siedzeń wykutych z piaskowca, który zwiedziłyśmy poprzedniego wieczoru. Na połyskliwym papierze fotograficznym wszystko wyglądało na gładkie i lśniące i w niczym nie przypominało chropowatej, kamiennej powierzchni, na której musiałyśmy siedzieć. Zamiast daty

napisałam po prostu „czerwiec 1978 roku”. W czasie naszej wyprawy straciłam poczucie czasu, a zresztą nie było to ważne, przecież mogło się zdarzyć, że nie wyślę pocztówki przez kilka kolejnych dni. Opisałam siostrze urokliwe światło lampy naftowej, podziwiany przez nas przed chwilą zachód słońca oraz Muhammada, Beduina, który gotował dla nas kolację.

W swojej kulturowej niewiedzy nie widziałam nic dziwnego w tym, że mieszka sam, nie zastanawiałam się, dlaczego nie żyje otoczony liczną rodziną i okazałą liczbą dzieci.

— Przedtem pracowałem w Akabie — zaczął opowiadać o sobie. — W porcie i w hotelu Akaba. Pracowałem też w „Obozowisku Nazzala”, zmywaliśmy naczynia, a potem wykonywaliśmy przed gośćmi pokazy beduińskich tańców.

Wszystkie jego opowieści dotyczyły życia w kawalerskim stanie i nie wyłowiałam w nich żadnej, najmniejszej nawet, wzmianki o rodzinie. Rosły nastolatek z nieśmiałym młodzieńczym zarostem nad górną wargą wszedł do środka, postawił obok prymusa szmaciany tobołek i tam też przycupnął, bacznie nas obserwując. Miał sandały z popękanej gumy, a zapięty wokół talii pasek ginął w fałdach starych, za obszernych, spodni. Muhammad kiwnął w jego stronę głową i przedstawił go w swoisty sposób:

— On nie mówi po angielsku.

Chłopak poderwał się i podszedł do nas, więc i my wstałyśmy, żeby uścisnąć mu rękę.

— *Izzajjak?*[2] — spytałyśmy, tak jak uczono nas w Egipcie.

Chłopak spojrzał na Muhammada.

— Tutaj mówimy *kajf halak*[3] albo *masa al-chajr*[4] albo *marhaba*[5]. Poczuliśmy się zagubione. Żadne ze słów, których nauczyłyśmy się w Egipcie, nie okazało się przydatne w Petrze.

Spróbowałyśmy powiedzieć „*marhaba*”, a oni wybuchnęli śmiechem.

— Powiedzcie *szughilisztajan* — namawiał nas Muhammad.

— A co to znaczy? — spytałam naiwnie.

— *Szughilisztajan*? To nic nie znaczy, po prostu powtórz — znowu wybuchnął śmiechem. Nie dałyśmy się podpuścić; w Grecji nauczyłyśmy się w ten sposób steku przekleństw i miałyśmy dosyć robienia z siebie pośmiewiska.

W okrągłym, płaskim naczyniu Muhammad podał przygotowaną potrawę. Zaserwował nam gęsty gulasz z ziemniaków, cebuli, zielonego groszku z puszki, przecieru pomidorowego i konserwy wołowej. Rozsupławszy tobolek chłopaka, wyjął z niego chleb, wielkie, okrągłe i wciąż jeszcze ciepłe placki grubości naleśników, zwane przez tubylców *szrakami*. Obaj próbowali nas nauczyć, jak je zwinąć tak, aby służyły jako łyżka do nagarniania gulaszu. Łatwo nie było. Za to smakowało wybornie. Ewidentnie nasz gospodarz potrafił zadbać o siebie i o swoich gości. Zeszliśmy ze wzgórza, żeby zrobić siusiu w krzakach i przed pójściem spać przynajmniej wyszorować zęby, używając do tego szklanki wody ze stojącego na zewnątrz kanistra. Nasze zakwaterowanie nie gwarantowało prysznicza, za to miałyśmy

prawo do własnego pokoju, ponieważ Muhammad wziął swój materac i wyszedł na zewnątrz. Spałyśmy w śpiworach rozłożonych na bawełnianej macie, a za poduszki posłużyły nam nasze ręczniki. Od czasu do czasu idealną ciszę nocy mącił daleki ryk osła albo ujadanie psa, przez chwilę na parapecie gruchały gołębie. Przez otwarte drzwi widać było piaszczyste podwórze i dalej za doliną skąpane w białej poświacie księżycy skaliste góry.

Miałam rację: przyjęcie zaproszenia Muhammada było naprawdę znakomitym pomysłem. Nocleg u niego był nie tylko dużo tańszy niż w hotelu, ale też nieskończenie

bardziej ekscytujący. Warto podejmować ryzyko. Ja zwykle byłam dosyć odważna i rzadko uważałam za brawurę to, co innych ludzi przyprawiało o dreszcze. W Nowej Zelandii, odkąd skończyłam piętnaście lat, jeździłam stopem do miasta i na plażę, a Anglię wielokrotnie przemierzyłam okazją wzdłuż i wszerz. Elizabeth szukała kumpelki na wyprawę na Bliski Wschód tylko po to, żeby móc korzystać z takich ofert, nie narażając się na niebezpieczeństwo. Nawet nie wpadło mi do głowy, żeby się denerwować w tej konkretnej sytuacji. W końcu byłyśmy we dwie, a on był niewysoki, więc szczerze mówiąc, nawet nie pomyślałam o żadnym zagrożeniu. Szukałyśmy przygody i proszę: oto ona.

Na śniadanie gospodarz podał nam resztkę płaskiego chleba, kawałki sera i gorącą słodką herbatę w małych szklaneczkach. Stwierdziłyśmy, że miałyśmy farta i udało nam się „poznać prawdziwą Petrę”. Spotkałyśmy Beduinów, podziwialiśmy zachód słońca i spędziłyśmy noc w jaskini. Nie musiałyśmy już zwiedzać kolejnych ruin uwiecznionych na rozmazanych, czarno-białych fotografiach z turystycznego prospektu, który Muhammad wyciągnął z walizki. Napisany w kiepskiej angielszczyźnie tekst także nas jakoś nie zachęcił. Spakowałyśmy plecaki i byłyśmy gotowe ruszać w drogę. Nie chciał swojego folderu z powrotem.

— To dla was — zatrzymajcie na pamiątkę po mnie.

W Skarbcu Muhammad rozłożył na składanym stoliku stragan z pamiątkami. Żwirową drogą podjechała ciężarówka, zamachałyśmy, aby ją zatrzymać. Muhammad pomógł nam wdrapać się z plecakami na pakę.

— Macie szczęście — stwierdził — to jedyny samochód w Petrze i zawiezie was do samej Akaby!

— Do widzenia i wielkie dzięki. — Uścisnęliśmy sobie

dłonie i siarczyście ucałowaliśmy w policzki. — Napiszemy do ciebie, mamy nadzieję, że jeszcze kiedyś tu wrócimy — rzuciłyśmy beztrąsko, tak jak zazwyczaj mówiłyśmy każdej przygodnie poznanej osobie. Rozsiadłyśmy się wygodnie. Na wyboistej drodze przez wąwóz As-Sik porządnie nas wytrzęsło. Nad naszymi głowami, pomiędzy wznoszącymi się z obu stron kamiennymi ścianami kanionu, rozciągała się wstęga błękitnego nieba. Przy wyjeździe kierowca kazał nam wysiąść, widocznie nie podzielał zapału Muhammada do pomagania młodym podróżniczkom. Cóż, takie właśnie bywają uroki podróży. Udało nam się złapać inny samochód i jeszcze zanim zapadł zmrok, Petra pozostała daleko za nami, a my gościłyśmy w hotelu i restauracji „Samaka” na brzegu Morza Czerwonego.

Szczypta historii

„Samaka” była cudowna. Na tarasie pod bambusowym dachem pałaszowałyśmy przyprawione czosnkiem grillowane ryby z *tahiną*[6], które popijałyśmy piwem warzonym na licencji Amstela, a potem z kamienistej, granitowej plaży wchodziłyśmy wprost do Morza Czerwonego. Właśnie zaczęłyśmy planować kolejne etapy podróży — czekała nas jeszcze Syria i Liban — gdy nagle stanął przed nami wychudzony chłopak o rysach Petera O’Toole’a i oczach Omara Sharifa. Przedstawił się jako „kierowca taksówki: Ali”. Oświadczył, że wysłał go Muhammad Abdallah, żeby zabrał nas z powrotem do Petry na beduińskie wesele. Mówiąc to, żywo gestykulował. Jeden z jego kciuków pozbawiony był kości — dziwny ślad po tym, jak go sobie odstrzelił, próbując wymigać się z wojska — i majtał się w trakcie rozmowy. Rozumiałyśmy większość z jego słów, choć nie wiedziałyśmy, czy we wszystko wierzyć.

— Ja, Beduin z Petry, matka, ojciec umrzeć, bracia mieszkać w Ammanie, ja chodzić do szkoły w Al-Kuds, w Jerozolimie. W 1967 wojna. Wrócić do Petry. Być w Anglii. W Virginia Water — opowiadał kiepskim angielskim. Nigdy o czymś podobnym nie słyszałam, ale trudno też było coś takiego wymyślić. Wyciągnął przed siebie dłonie i potarł o siebie czubkami palców, co miało oznaczać, jak blisko jest związany z Muhammadem.

— Muhammad jak mój brat, mieszkam z jego rodziną, razem rośliśmy. To moja taksówka, tam, na zewnątrz.

Następnego ranka uroczy właściciel restauracji, łysiejący Abu Madzid, załadował do bagażnika skrzynkę świeżych ryb oraz nasze plecaki i wyruszyliśmy z powrotem do Petry.

Beduini nazywają to „*gisma wa-nasib*”, co znaczy szczęście i przeznaczenie. Gdyby Muhammad nie przysłał po nas taksówki, włóczyłabym się bez celu, a Petra byłaby tylko antraktem w podróży ze wspaniałym zachodem słońca w tle.

Gdybym nie poznała Elizabeth, pewnie bym tam nie pojechała. Bliski Wschód nigdy nie był moim wymarzonym celem wędrowki i niewiele słyszałam o Beduinach, ale ostatni rok spędziłam w szarej i nudnej Wielkiej Brytanii i pomimo możliwości jedzenia kiełbasek Cumberland i słuchania muzyki Supertrampa nie chciałambym przeżywać tego ponownie. Elizabeth szukała kogoś, kto wybrałby się z nią na Bliski Wschód i ta propozycja wydała mi się atrakcyjna. Prawdopodobnie sama mam w sobie coś z nomady. Jeszcze przed moim urodzeniem rodzice wyemigrowali z Holandii do Nowej Zelandii. Pożegnali się z rodziną i wyruszyli w świat, mama statkiem, tata zaś jednym z pierwszych samolotów rejsowych. Z powodu ulg podatkowych korzystniej było wtedy być singlem, więc nie

wzięli ślubu aż do przyjazdu na miejsce. Wujek taty miał w Auckland znajomego, z którym wymieniał się znaczkami i właśnie u niego zatrzymali się moi rodzice i tam się pobrali. Państwo Combes zostali naszymi nowozelandzkimi „dziadkami”, ale nie widywaliśmy się z nimi częściej niż z tymi prawdziwymi, bo tata dostał pracę technika w DSIR (Departamencie Rozwoju Naukowego i Przemysłowego) w sadzie na szczycie South Island. Tam dorastałam, na wzgórzach Moutere, w połowie drogi między miastem Nelson a Motueką, bez żadnych krewnych w pobliżu. Miałam starszego brata Teda i młodszego Johna oraz młodszą siostrę Annę. Moi bracia i ja jeździliśmy razem na rowerach do szkoły w Appleby i w zimowe dni zatrzymywaliśmy się w połowie drogi, nad stawem w Fraser’s Hill, żeby kruszyć lód, a wiosną — żeby łapać kijanki i żaby na szkolne prezentacje. Dyktanda były raczej łatwe, klasówki z matematyki zaś trudne. Obok szkoły znajdowało się pełnowymiarowe boisko, w dniach koszenia trawy toczyliśmy tam pachnące świeżym sianem bijatyki. Na coroczny piknik pan O’Connor zabierał wszystkich uczniów swoim zaprzężonym w konia powozem aż na Wyspę Króliczą. Lata były długie i gorące. Po pracy tata woził nas zazwyczaj na kąpiele w rzece Appleby albo na Wyspę Króliczą, po podwieczorku grywaliśmy w uproszczoną wersję krykieta (tak zwany krykiet francuski) i kładliśmy się spać jeszcze przed zachodem słońca. Przez całe lato miałam nos spieczony słońcem i często jeździliśmy pod namiot do otoczonej dziką roślinnością Totaranui, żeby się wylegiwać na złocistych plażach. Moje codzienne obowiązki polegały na karmieniu kurcząt i podbieraniu jajek kurom; na zmianę razem z Tedem albo Johnem wycieraliśmy naczynia, po każdym posiłku prawie 30 sztuk, do taty zaś należało zmywanie.

Nigdy natomiast nie wycierałam naczyń z moją siostrą, młodszą ode mnie o osiem lat, bo zanim do tego dorosła,

rodzice kupili zmywarke. Nigdy też nie jeździłam z Anną do szkoły na rowerze, bo gdy wreszcie się nauczyła, ja byłam już w liceum i dojeżdżałam autobusem, a kiedy ona poszła do szkoły średniej, mnie już nie było w Nowej Zelandii. Kiedy skończyłam jedenaście lat, w szkole zaczęliśmy uczyć się francuskiego. Przyniosłam wtedy z domu pamiątkę z Francji, figurkę przedstawiającą wieżę Eiffla. Dotąd wszystkie niezwykle przedmioty w naszym domu uważałam po prostu za inne, ale wcale nie wyjątkowe i za wszelką cenę starałam się nie wyróżniać, a tym bardziej nie uchodzić za Holenderkę. Oczywiście nosiłam holenderskie nazwisko, ale nie mówiłam w tym języku, bo mama i tata twierdzili, że jesteśmy Nowozelandczykami i rozmawiali tylko po angielsku. W domu mieliśmy sporo ciekawych rzeczy takich, jak lalki z teatru cieni *Wayang*, które tata przywiózł z Indonezji, gdzie służył w armii holenderskiej, albo fikuśny drewniany, rzeźbiony stołeczek, stojący obok telefonu, z poduszczką obleczoną jakimś śliskim materiałem. Przed przyjęciami mama wyciągała holendersko-indonezyjską książkę kucharską i gotowała „rijsttafel” z ryżu zdjętego z ognia przed ugotowaniem; garnek wkładała potem pod kołdrę, żeby ryż doszedł, i podawała z aromatycznym sosem z orzeszków ziemnych i czipsami krewetkowymi.

Domy w Nowej Zelandii były w owym czasie pełne wujków i kuzynów, kuchnie pachniały jagnięciną, sypialnie lawendą, a w salonach królowały komplety trzech ceramicznych kaczek zawieszonych na ścianie.

Mama miała nowatorską metodę wychowywania dzieci — po prostu nie wtrącała się. Był to przejaw buntu wobec własnej matki, która zdaniem mojej mieszała się za bardzo do jej życia, nawet w listach z drugiego krańca świata. Zwykle karał nas ojciec, ale nie pamiętam żadnej innej kary oprócz odsyłania nas do pokoju z talerzem podczas obiadu, a nawet i to przestało działać wtedy, kiedy — jak

opowiadała mama — stwierdziliśmy, że wolimy siedzieć sami we własnych pokojach. Kiedy miałam siedemnaście lat, skończyłam szkołę, wyjechałam z domu i rozpoczęłam trzyletni kurs pielęgniarski w szpitalu Braemar, na oddziale dla opóźnionych umysłowo dzieci. Byłam bardzo zadowolona, nie dlatego że właśnie to pragnęłam w życiu robić, ale przede wszystkim dlatego że zarabiałam własne pieniądze. Nosiłam dzinsy firmy AMCO, t-shirty Hang Ten i szylałam sobie odlotowe marynarki. W moich hipisowskich czasach sama zszywałam długie spódnice w drobne kwiatki, dziergałam kamizelki, robiłam na drutach inkaskie czapeczki i nosiłam długie aż do kolan buty z grubego kordonku wykonane szydełkiem. W pracy poznałam Maureen, postanowiłyśmy razem zamieszkać, my dwie oraz tłum innych ludzi, zależnie od liczby sypialni w wynajmowanym przez nas starym domu. Puszczałyśmy na pełen regulator płyty: *Tapestry*, *Dark Side of the Moon*, *Tupelo Honey* i *Goats Head Soup*, a w weekendy chodziliśmy do klubu Rutherford albo do Metropolitanu, gdzie szaleliśmy w rytm muzyki na żywo. W ciągu tygodnia nie grali muzyki, bo przychodziło za mało młodzieży. Większość młodych ludzi wyjeżdżała na studia albo do miasteczka uniwersyteckiego (to znaczy zwykle do Christchurch, odległego o 6 godzin samochodem od miasta Nelson lub do Wellington, od którego dzielił nas lot nad Cieśniną Cooka albo podróż promem), a z siedemdziesięciu tysięcy pozostałych ludzi niewielu miało ochotę się bawić. Reszta była za młoda albo za stara, a niektórzy po prostu spłacali kredyt hipoteczny. Im więcej zdobywałam wiedzy o porażeniu mózgowym i rozszczepie kręgosłupa oraz o metodach terapii, tym bardziej nudziłam się w Nelson. Nie mogłam doczekać się końca trzyletniego kursu i upragnionej wolności, ale nie wpadło mi do głowy, żeby rzucić studia — to oznaczałoby, że zmarnowałam czas. Zawsze lubiłam doprowadzać sprawy do końca.

Kupiłam motor Suzuki z dwusuwowym silnikiem i obie z Maureen wyruszyłyśmy w wakacyjną podróż po kraju. Podziwiałymy pejzaże jak z kalendarza, spotykałyśmy poszukiwaczy przygód z Kanady, Szwajcarii oraz z innych odległych krajów, których nazw nawet nie zapamiętałam. Żartowałyśmy podczas jednej z naszych wypraw do pubu, że wrócić do Nelson to jak wrócić do wymarłego środka Nowej Zelandii. Faktyczny, geograficzny środek znajduje się na szczycie wzgórza za ulicą Brook. Pamiętam, że jako dziecko wspinałam się tam z zapalem, a teraz pragnęłam stamtąd uciec jak najdalej. Nawet statki handlowe P&O, które niosły ze sobą nadzieje na poznanie młodych mężczyzn o obcych, romantycznie brzmiących akcentach, zawijały do miejscowego portu coraz rzadziej, odkąd pojawiły się kontenerowce. Jak dla mnie Nowa Zelandia leżała zbyt daleko od reszty świata.

Marzyłyśmy, ale nie robiłyśmy konkretnych planów. W dzieciństwie uwielbiałam opowieści o prerii, Halloween i Dzikim Zachodzie, byłam gotowa wyjechać w każdej chwili do Ameryki, ale Maureen miała znajomych, którzy polecili do Londynu. Uznałam, że to całkiem niezłe miejsce jak na początek. Kiedy dowiedziałam się, że zdałam egzaminy końcowe, kupiłyśmy bilety w jedną stronę. Od rodziców dostałam kilka sztuk biżuterii Greenstone'a, które miałam wręczyć moim holenderskim *Oma* i *Tantes* oraz listę z adresami. I tak w zimowy, słoneczny, czerwcowy dzień 1976 roku opuściłam Nelson.

Trochę powłóczyłyśmy się po Europie. Odwiedziłyśmy krewnych Maureen — państwa McHughes w Donegal na wybrzeżu Irlandii — oraz moich krewnych van Geldermalsenów i Camffermanów w Amersfoort, Hoek van Holland i s'-Gravenzande. Wpadałyśmy do ludzi, którzy kiedyś dali nam swój adres, mówiąc przy tym: „Wpadnijcie, jak będziecie w Anglii” i większość z nich przytuliła nas na jedną lub dwie noce. Pracowałyśmy jako barmanki,

pokojówki i kelnerki w Nottingham, Carlisle, Bournemouth i Windermere, a w wolnym czasie jeździłyśmy stopem po całym kraju.

Maureen przestała się włóczyć, kiedy poznała mężczyznę, za którego później wyszła za mąż, a ja miałam szczęście, bo spotkałam Elizabeth. Była doświadczoną turystką z planem, mapą i biletem powrotnym do domu. Wiedziała wszystko o różnicach kulturowych oraz o sytuacji politycznej, ale moja totalna niewiedza o świecie nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. Oczywiście słyszałam o zabytkach starożytnej Grecji i Egiptu, ale prawdę mówiąc, gdy Elizabeth opowiedziała mi o swoich planach i pokazała mapę, nie miałam pojęcia, że jest taki kraj jak Jordania. A z całą pewnością nic nie słyszałam o Petrze.

— Jesteś pewna, że chcesz ze mną jechać? Zobaczysz, będzie super — mówiąc to, aż promieniała radością. A więc zabrałam się razem z nią, żeby na własne oczy przekonać się, jak tam jest, a potem opowiadać na prawo i lewo, że byłam w tamtych stronach. Wiedziałam, że będziemy się świetnie bawić.

Poznajmy pannę młodą

Tego wieczoru gdy wróciłyśmy z Akaby, nasz kierowca Ali zawiózł Elizabeth do hotelu, a mnie Muhammad zabrał na spotkanie z beduińską panną młodą. Niski czarny namiot, w którym mieszkała, wciśnięto między ruiny antycznych budowli. Niewysoka, z twarzą pokrytą zmarszczkami, matka panny młodej Fraidża oraz jej dwie córki Hajjaja i Rachijja zostały moimi przyjaciółkami jeszcze tego samego dnia.

Jedyne światło padało z małej lampki naftowej, wiszącej na haku wbitym w drewniany słup namiotu. Unosił się tam dziwny zapach, jakby dymu. Trudno było go określić.

Hajjaja, starsza z sióstr, już zamężna, rozłożyła na podłodze przy ognisku płócienną matę czyli *dżannabiję*; rozsiedliśmy się na niej ze skrzyżowanymi nogami. Rachijja, panna młoda, dmuchnęła w żar i rozstawiła nad nim trójnog z wiszącym czajniczkiem, a w odpowiedzi na komentarze Muhammada rzucała mu groźne spojrzenia. Ich język był dla mnie tak niezrozumiały, że nawet go nie słuchałam, natomiast spojrzenia były bardzo wymowne. Myślałam, że to z mojego powodu, ale Muhammad domyślił się, co mnie trapi i zapewnił, że to nie o mnie chodzi.

— Jej przyszły mąż jest od niej dużo starszy, ale bardzo bogaty i zapłacił jej ojcu dobrą cenę za pannę młodą. Pierwszy raz wychodzi za mąż, więc nikt jej nie spytał, czy chce go za męża... a ona nie chce — wyjaśnił. Może rozumiała jego słowa albo po prostu wiedziała o czym mówił, bo roześmiała się jak pensjonarka. Miała najwyżej trzynaście lat. Pomyślałam, że nawet gdyby ktoś ją spytał o zdanie, nie potrafiłaby sensownie odpowiedzieć.

Ja, szczerze mówiąc, nawet nie myślałam o małżeństwie. Nigdy nie wyobrażałam sobie mojego ślubu, wesela, nie gromadziłam też wiana. Środki antykonceptyjne sprawiły, że instytucja małżeństwa stała się jeśli nie archaiczna, to na pewno staroświecka i zamierzałam jej unikać. Dopiero teraz dotarło do mnie, ile miałam szczęścia, że dorastałam w społeczeństwie, które dało mi wolność wyboru.

Dziewczyny i ich matka nosiły ciemne suknie. W mdłym świetle lampy naftowej widoczny był tylko zarys ich twarzy i rąk. Fraidża miała drobną, ciemną twarz, jej córki zaś — jaśniejsze i pociągłe. Byłam zadowolona, że założyłam wściekle różową bluzkę z długimi rękawami, cały czas obciągałam też spódnicę, żeby zakryć nogi. Przybyliśmy w samą porę na robienie makijażu. Uroczystości weselne trwały już w rozstawionym daleko w górach namiocie pana młodego. Wczesnym rankiem następnego dnia weselnicy mieli zjawić się tutaj, aby zaprowadzić Rachijję do męża.

Zgodnie z tradycją rodzina panny młodej była obowiązana przygotować poranną ucztę dla gości i dziewczyna, chociaż grała główną rolę w tej uroczystości, musiała wstać wcześniej, żeby pomóc matce i siostrze. Umalować się jednak mogła już teraz.

Hajjaja, ukucnąwszy przy palenisku, zeszkrobała sadzę z ogromnej patelni na kawałek plastikowej torby.

— Ta sadza jest z krzaka *mutty*, najlepszego do wyrobu proszku antymonowego[7] — wyjaśnił Muhammad. (W rzeczywistości patelnia była *sadżem*, rodzajem odwróconego pokrywką w dół naczynia do pieczenia chleba nad ogniem, stąd warstwa sadzy w środku). Przeglądając się w kawałku lusterka, dziewczyny nakładały wypolerowanym i poślinionym patyczkiem wyrabiany w domu *kuhl*. Potem starannie rozsmarowywały proszek wokół czarnych oczu.

Mnie także przeobraziły za pomocą arabskiego makijażu. Hajjaja poszła do swojego namiotu (rozstawionego tak blisko namiotu matki, że ich linki się krzyżowały) po czarną szatę dla mnie, którą miałam nałożyć na ubranie. Przy sukni, zamiast rękawów, przyszyto dwa kawałki materiału, zwisające po bokach jak zapomniane skrzydła. Ten swego rodzaju bezrękawnik był gruby, ze złotobrazowym haftem na gorsecie oraz na brzegach. Zarzuciła mi na głowę wzorzysty szal w ostrym różowym kolorze, zawiązany z tyłu na szyi. Nie wiem, czy był to jej jedyny szal czy też dobrała go specjalnie do mojej bluzki. Następnie Rachijja przycupnęła przede mną i spojrzawszy na wszelki wypadek pytającym wzrokiem na Muhammada, nałożyła mi na powieki grubą warstwę *kuhlu*. Biorąc pod uwagę fakt, że rzadko się malowałam, było to z mojej strony duże poświęcenie, a zarazem niewysoka cena za możliwość wglądu w ich świat, toteż pochyliłam się do przodu, żeby mogła mi nałożyć proszek na powieki (tym samym patyczkiem, którego używała wcześniej, śliniąc

szpatułkę, zanurzając ją w *kuhlu* i rozsmarowując). Jej uszczęśliwiony uśmiech był dla mnie wystarczającą nagrodą. Kiedy wypiliśmy herbatę i byliśmy gotowi do drogi, dziewczyny pokryły mi jeszcze dłonie henną. Gęsta maź przypominała błoto i pachniała naftą, która podobno nadawała jej ciemniejszy kolor. Chichocząc, malowały mnie, następnie Rachijja złożyła moje dłonie, a Hajjaja owinęła je kawałkiem gałganka. Pomogły mi wstać i Rachijja powiedziała „Do zobaczenia jutro” i „Dobranoc” dość wyraźnym angielskim, a ja, przy ich pomocy, próbowałam odpowiedzieć im po arabsku. Słyszając moje nieudolne próby, nawet Fraidża wybuchnęła śmiechem.

Muhammad prowadził mnie w ciemnościach rozproszonych jedynie przez rozjarzone gwiazdy z powrotem do „Obozowiska Nazzala”. Musiał trzymać mnie pod rękę, bo miałam związane dłonie, a nogami owiniętymi długą spódnicą też nie mogłam swobodnie poruszać. Tak czy siak, myślę, że sama wyciągnęłabym do niego rękę. Byłam zadowolona, że znalazłam pretekst, dzięki któremu mogłam być blisko niego.

— Uważaj, *deri balki*, ostrożnie — powtarzał bezustannie. Jego niepowstrzymany słowotok zdradzał, że on też czuł się szczęśliwy. Tego się nie spodziewałam. Przyszłam zobaczyć beduiński ślub, a znalazłam wakacyjny romans.

— Zdejmij to — poprosiłam. Wstydziałam się gałganka zamotanego wokół dłoni, a może krępowało mnie także tempo, w jakim się do siebie zbliżaliśmy. Pozwoliłam mu zatem rozsupłać węzeł i dalej, już na terenie rżęsiście oświetlonym przez lampy hotelu, poszłam o własnych siłach. Pobiegłam wprost do łazienki umyć ręce. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jaki kolor zamierzały uzyskać panna młoda z siostrą — same miały pokryć dłonie henną tuż przed snem, żeby farba wniknęła głęboko w skórę i nadała jej trwałą kolor. Pomimo usilnego szorowania moje

dłonie dalej miały barwę ciemnego miodu. Natomiast jeśli chodzi o oczy... Cóż, prawdziwy proszek antymonowy utrzymuje się przez wiele dni. Podałam się zatem i postanowiłam dołączyć do Muhammada, Elizabeth, Alego i kilku znajomych Beduinów, zaproszonych przez Abu Madżida na kolację złożoną z ryb.

Beduińskie wesele

Zanim następnego dnia rano dotarliśmy do namiotu oblubienicy, orszak pana młodego już przybył. Wszystkim gościom podano *mansaf*. *Mansaf* to tradycyjna beduińska potrawa przyrządzona ze świeżo zabitej kozy lub owcy. Mięso gotuje się w owczym lub kozim jogurcie, zwanym *laban* i podaje na beduińskim chlebie *szrak* oraz białym, gotowanym na parze, ryżu.

W promieniach porannego słońca namiot wyglądał na mały, wrażenie to potęgowały dodatkowo otaczające go skaliste wzgórza i pionowe skalne ściany. Na zewnątrz rozłożono maty, na których wśród mężczyzn rozsiadł się Muhammad; mnie i Elizabeth Hajjaja zaprosiła do środka. Kobiety odsunęły bawiące się dzieci, robiąc przejście dla mężczyzn, którzy wnieśli ogromne tace z parującym jedzeniem i postawili je na podłodze. Jakiś chłopiec nalał wody, a my znowu umyłyśmy ręce, tak było prościej, niż wyjaśniać, że właśnie przed chwilą to zrobiłyśmy. Postanowiłyśmy też pamiętać, żeby następnym razem stanąć trochę dalej, aby nikt nas nie ochlapał. Sześć, może siedem kobiet ukucnęło wokół każdej tacy: zachęceno nas, żebyśmy zrobiły to samo i gestami zaproszono do jedzenia. Jedna z kobiet podsunęła nam kawałki mięsa, ale my starałyśmy się jeść jak najmniej. Koźlina czy jagnięcina miała szarawy kolor, ale za to ciekawy, nieznanym zapach. Wtedy jadłyśmy *mansaf* po raz pierwszy w życiu i choć w

potrawie nie zauważyłyśmy żadnych gałek ocznych, języków zwierzęcych czy też całych głów (te specjały znalazły się na półmiskach przeznaczonych dla mężczyzn), trzeba być jednak przyzwyczajonym do jedzenia koziego mięsa, gotowanego w jogurcie. I to w dodatku na śniadanie.

Hajjaja odgrodziła część pomieszczenia pledami zwisającymi z sufitu i posadziła tam pięknie ubraną i umalowaną Rachijję. Ciemne oczy dziewczyny przesadnie podkreślał *kuhl*; śnieżny odcień szyfonowego szalu uwydatniał biel jej zębów, a złote obszycie jej czarnej *aby* uwypuklało kolor jednego złotego zęba.

Niemal czarne dłonie Rachijji spoczywały spokojnie na kolanach. Uprzątnięto jedzenie i kobiety oraz dziewczęta zaczęły głośno śpiewać, a ich ostre, wibrujące głosy odbijały się echem od skał. Jedna z kobiet spryskała pozostałe perfumami, opróżniając przy tym kilka flakoników. Kiedy do „pokoju” wszedł ojciec Rachijji, kobiety rozpięzły się spłoszone i podglądały tylko ciekawie przez szparki w kotarze. Później dowiedziałam się, że chciały zobaczyć, ile pieniędzy wręczył córce.

Wszyscy się krzatali, mężczyźni i chłopcy śpiewali na zewnątrz, kobiety natomiast przykryły twarz panny młodej welonem i założyły jej długą *abę*. Następnie wyprowadziły ją z namiotu w barwnym i rozśpiewanym korowodzie, wśród huków strzałów (Beduini strzelali prawdziwymi kulami z prawdziwych pistoletów i strzelb) okrążyły wzgórze i zeszły do czekających na dole półciężarówek.

Muhammad wcisnął nas wraz z niezliczoną liczbą Beduinów na pakę jednego z pikapów. Na szczęście barierki były na tyle wysokie, że nie mogłyśmy spaść z platformy, choć wówczas bałyśmy się raczej, że zostaniemy zgniecione. Śpiewy i strzelanina nie ustawały. Pojechaliśmy przez As-Sik — znów ta sama wstęga błękitnego nieba, rozciągająca się nad nami — potem przez miejscowość

Wadi Musa, a później przez góry i znowu w dół wijącą się, zwirową drogą aż do doliny Al-Bajda.

Chociaż nie dostrzegłam żadnego namiotu z czarnej tkaniny ani domu wzniesionego z kamienia, niespodziewanie na środku drogi pojawił się starszy mężczyzna, dziko wymachujący w powietrzu pistoletem.

— To mój ojciec — powiedział Muhammad. — Chce zaprosić *gtar* do swojego namiotu. Taka jest tradycja, bo gdybyśmy szli pieszo, bylibyśmy spragnieni.

Ponoć przeżyliśmy epokowe wydarzenie, ponieważ był to jeden z pierwszych *gtarów*, czyli orszaków ślubnych, jadących samochodami. Nie byliśmy spragnieni, więc ojciec Muhammada oddał w górę kilka strzałów na wiwat, schował pistolet do kabury i wdrapał się na zderzak, aby jechać z nami słabo przetartą, piaszczystą drogą do obozowiska rodziny pana młodego.

Cóż to był za widok! Wśród kopulastych, skalistych gór o miodowej barwie, które wyłaniały się znienacka na zupełnie płaskiej równinie, rozbito namioty, a przed nimi łopotały na lekkim wietrze flagi. Ludzie zeskoczyli z półciężarówek. Ciągły huk strzałów, śpiewy oraz ochryple zawodzenie towarzyszyły pannie młodej w uroczystym pochodzie do jednego z namiotów. Mężczyźni zostali na zewnątrz (my stanęłyśmy razem z nimi), ale kobiety wepchnęły Rachijję do środka i stłoczyły się tuż za nią. Chusty pochylonych w niskich namiotach kobiet oraz barwne dziecięce czapki zwały się z kolorowymi wstawkami, zdobiącymi całą frontową część namiotu. Mogłyśmy rozróżnić zaledwie ich szaty, których uczepiły się młodsze dzieci. Dzieciaki popychały się, przeciskały, śpiewały i płakały. Obok stał jeszcze jeden namiot przeznaczony wyłącznie dla mężczyzn. Dostrzegłam jasne maty rozłożone na całej podłodze; powoli zajmowali je goście, którzy przybyli wraz z panną młodą. Z przedniego słupa zwisała flaga Jordanii: czarno-biało-zielona z czerwonym trójkątem i białą

siedmioramienną gwiazdą. Drugą, zupełnie białą flagę zawieszono na innym maszcie. Muhammad oświadczył, że nie wolno mu stać koło namiotu kobiet, ale my powinnyśmy wejść do środka i usiąść. Przedstawił nam dwie dziewczyny, Fatimę i Wadhę, i odszedł.

Wadha i Fatima szlifując z nami swój angielski, powiedziały, że mieszkają i chodzą do szkoły w Petrze, do szóstej klasy. Byłyśmy pod wrażeniem, z pewnością mówiły po angielsku lepiej niż my po arabsku. Obie nosiły suknie do kolan oraz spodnie, głowy miały omotane chustami zakrywającymi ich gęste, ciemne włosy. Wadha nalegała, żeby natychmiast odpowiednio przystroić Elizabeth, która poprzedniego wieczoru nie przeszła stylizacji w namiocie Rachiji i Hajjaji. Szybko znalazły dla mojej koleżanki odpowiednią suknię i chusty. *Kuhlu* miały pod dostatkiem, wszystkie kobiety były nim pomalowane, przede wszystkim młode mężatki i dzieci, nawet te w pieluszkach; zauważyłam również kilku podmalowanych młodych mężczyzn — to nie mogła być naturalna oprawa oczu. Smagłolica i ciemnowłosa Elizabeth przypominała Arabkę. Dziewczęta przekonały nas, że powinnyśmy przybrać arabskie imiona.

Nie znałam zbyt wielu arabskich imion, które byłyby łatwe do wymówienia, a zatem kiedy Fatima zaproponowała mi swoje, zgodziłam się bez wahania, co wyraźnie ją ucieszyło. Gdybym wiedziała, że to imię przylgnie do mnie na długo, a nie tylko na tę jedną noc, być może dłużej bym się zastanawiała. Dopiero później dowiedziałam się, że Fatima była ulubioną córką Proroka Mahometa i w każdej porządnej rodzinie arabskiej jedna z córek powinna nosić to imię; wielokrotnie zdarzało się, że podczas spotkań towarzyskich miałam jedną lub dwie imienniczki.

Elizabeth wybrała imię Basma, które kiedyś usłyszała i kojarzyło jej się z jej własnym (siostra Elizabeth do tej pory

rozpoczyna listy do niej „Kochana Bessmo”).

W miarę, jak kobiety się sadowiły, namiot wypełniał się po brzegi. Śpiewy nie ustawały. Kobiety siedziały ze skrzyżowanymi nogami w niewielkich grupkach, dobierały się w pary i mocnymi głosami zawodziły w kółko jedna do drugiej. Swoje szczelnie zawinięte w zwoje tkanin dzieci kładły obok i rozkładając szeroko ramiona, ostrzegały nas, abyśmy nad nimi nie przechodziły, gdy próbowałyśmy przemieszczać się w zatłoczonym namiocie. Rachijja miała także i tutaj wydzielone tylko dla siebie i odgródzone kocami duszne miejsce, które nazywała *chala*. Na chwilę przysiadłyśmy się do niej. Co chwila przychodziły do niej inne kobiety z podarunkami, najczęściej pieniędzmi, ale generalnie panna młoda wyglądała na bardzo osamotnioną. Powiedziała nam, że nigdy nie chodziła do szkoły, a angielskiego nauczyła się od turystów. My jednak rozumialiśmy ją bez problemów. Mówiąc „ten mężczyzna ja nie lubić”, miała na myśli oczywiście swojego męża.

Kobiety chętnie przyjmowały papierosy, którymi je częstowałyśmy. Gościom rozdano smaczne lizaki, twarde z wierzchu, z miękkim kokosowym nadzieniem w środku, wytwarzane w Ammanie. „Nashed Sweets” przeczytałyśmy napis na opakowaniu oraz na pustych pudłach rzuconych na kupę; lizaki były klejące, ale bardzo smaczne. Kobiety ssały je spokojnie, natomiast dzieci wyciągały je z buzi, wymieniały między sobą, dotykały lepкими, zapiaszczonymi paluszkami, i domagały się następnych.

Muhammad i Ali dostarczyli nam zapas papierosów. Muhammad miał aparat fotograficzny i zrobił nam zdjęcie z Fatimą i Wadhą, które powiedziały o przybranych przez nas imionach. Inni Beduini zbiegli się, jak gapie do wypadku, wszyscy chcieli mieć z nami wspólną fotografię. I właśnie taką kolorową pamiątkę zachowałam na zawsze: na pierwszym planie, w tumanach kurzu rząd przycupniętych dzieci, zbiorowisko brązowych buzi ze zmrużonymi oczami,

suknie i *sauby*, koszule i spodnie, chusty: białe, zielone, różowe, czerwone i najwięcej czarnych. Na zdjęciu znalazły się Fraidża, matka panny młodej oraz jej siostra Hajjaja i Abu Madżid, Salama al-Muchtar (Salama przywódca), który pojawia się w dalszej części moich wspomnień. Nas przedstawiano już naszymi beduińskimi imionami i — ku naszemu zdziwieniu — wszyscy je zapamiętali. Muhammad zrobił zdjęcie, schował aparat, a potem Ali rzucił krótko:

— *Jalla*. Idziemy.

I zabrali nas z zakurzonego i hałaśliwego namiotu w niewyobrażalnie piękne miejsce. Poszliśmy za nimi do wąwozu oddalonego o jakąś minutę drogi od obozowiska i tam trafiliśmy na ukryte w krzakach oleandrów tajne przejście do innego świata. Ręcznie kuty w skale korytarz zawiódł nas wprost do złotej doliny z piaszczystym podłożem i sterczącymi nad nią skałami. To było jak przejście przez drzwi szafy z dziecięcych baśni. Od czasu do czasu dochodził nas huk weselnych wystrzałów na wiwat, ale na ogół panowała cisza.

Dolina była dość wąska, gęsto porośnięta drzewami i krzewami. Widziałyśmy czarne czeluście pieczar i wyryte w skale głębokie zbiorniki wodne tuż pod otaczającymi nas urwiskami. Nasi beduińscy przewodnicy prowadzili nas w głąb kanionu, odsuwając i rozgarniając utrudniające przejście gałęzie drzew i krzewów. Szliśmy za nimi po wyżłobionych w skale stopniach do wykutej wysoko jaskini; w miejscach, w których schodki były już mocno nadkruszone, nasi towarzysze dziarsko je przeskakiwali, a my stąpałyśmy ostrożnie, trzymając ich mocno za ręce. W jaskini znajdowały się trzy wykute w kamieniu ławy i pobielona nisza z łukowym sklepieniem, na którym dłoń nieznanego artysty namalowała winorośle, egzotyczne ptaki i jakieś postacie, których nawet byśmy nie zauważyły, gdyby Muhammad nam ich nie pokazał. Prawdziwe dzieło sztuki. Naturalne wzory znajdujące się na sklepieniu

głównej jaskini, żółte, brązowe, fiołkoworóżowe, przypominały satelitarne zdjęcie dorzecza Missisipi i jej szeroką deltę. Muhammad przypalił nam papierosy i usiadłyśmy na kamiennej ławie, upajając się cykaniem świerszczy, szelestem przemykających jaszczurek i trelami ptaków. Ali zaproponował nam po łyku ginu, przemyconego w butelce po oranżadzie.

Wróciliśmy na wesele, kiedy rozpoczęto przygotowania do nocnej biesiady. Niektórzy mężczyźni popisywali się swoimi umiejętnościami, strzelając do celu namalowanego węglem na odległej skale. Dali mi spróbować i ku memu zaskoczeniu trafiłam w sam środek. To był absolutny przypadek i pewnie zasługa dobrze konserwowanej broni (wcześniej tylko raz polowałam, dawno, w lasach Wairoa Gorge na Nowej Zelandii, strzelałam z paki ciężarówki do skunksów oślepionych światłami samochodu). Tak czy siak, nie opowiedziałam im o tym i cieszył mnie ich podziw.

Po uczcie zaczęły się tańce, jakich nigdy wcześniej nie widziałam. Nazywali je *samar*. Tańczyli sami mężczyźni. Stanęli w rzędzie przed namiotem, ramię w ramię, kołysząc się lekko od wysokości kolan. Przyświecała im tylko jedna lampa, umieszczona na środkowym słupie namiotu. Rozpoznałam Muhammada po garniturze i charakterystycznym uśmiechu. Stopy mężczyzn tkwiły nieruchomo, *sauby* zaś kołysały się leniwie w rytm śpiewu: cudowny, liryczny dźwięk zupełnie inny od pieśni, jakie znałyśmy do tej pory. Wszyscy obecni wsłuchiwali się z taką uwagą, jakby chcieli zrozumieć tekst. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak można wychwycić słowa z melodyjnego zawodzenia. Dwie kobiety wychyły z ciemności, żeby zatańczyć naprzeciwko rzędu mężczyzn: ich czarne *aby* falowały, unosiły się zwiewnie i łagodnie opadały, w mroku lśniły umalowane oczy, emocje wręcz wibrowały w powietrzu.

Później Muhammad i jego przyjaciele ruszyli w coraz

szybsze tany, wciąż stojąc obok siebie, choć teraz poruszali się jak wąż za prowadzącym, którego frędzlasty *mindil* kołysał się w rytm energicznego przytupywania. Jakiś Beduin grał na flecie, a jeszcze inny walił w bęben wykonany z metalowego kanistra. Muzyka była porywająca, a zatem — choć inne kobiety nie tańczyły — kiedy tylko Muhammad mnie poprosił, zgodziłam się bez wahania i przetańczyłam całą noc w tłumie rozbawionych mężczyzn. Nie przestałam tańczyć nawet wtedy, gdy pan młody poszedł do oblubienicy siedzącej w *chali*.

W końcu wyjełyśmy śpiwory i poszłyśmy spać na wykutą w skale półkę. Półksiężyc wyłonił się zza gór, ale nie przyćmił blasku gwiazd.

Słońce wzeszło bardzo wcześnie i prażyło intensywnie, nie dając nam odespać przetańczonych godzin. Wielu gości zostało na noc, ale Elizabeth i ja dostąpiłyśmy zaszczytu zjedzenia śniadania z ciemnoką Rachiją. Jej mąż jadł śniadanie z mężczyznami. Podarowała nam jasne chusty należące do jej wiana i wyzywającym tonem wyznała, że za parę dni będzie znów z powrotem w Petrze.

— Zobaczycie — powiedziała.

Nadszedł czas rozstania. Furgonetki odjechały poprzedniej nocy, ale Muhammad powiedział:

— Zrobimy sobie miłą przechadzkę po wzgórzach.

Co to znaczy miła przechadzka dla Beduina, zrozumiłyśmy dopiero po powrocie do domu po parogodzinnej marszrucie. Siedmiokilometrowy skrót górami zamiast piętnastokilometrowej drogi dookoła ciężarówką. Abu Madzid i Saudyjczyk Mahadi, przyjaciel Muhammada, szli razem z nami. Mahadi nie znał ani słowa po angielsku, ale to go nie powstrzymało od flirtowania z Elizabeth. Wyglądał zresztą tak szykownie w swojej jedwabnej białej *saubie* i ozdobnym czerwonym *mindilu*, że nie miała nic przeciwko temu.

Oddalaliśmy się od obozowiska, idąc wzdłuż wyschniętego koryta rzeki, wijącego się między popękkanymi skałami. Muhammad wskazał ręką piaskowe wzgórze.

— Tam *Inglizija*, Angielka prowadziła wykopaliska — powiedział. Chodziło mu o Dianę Kirkbride[8], angielską archeolożkę. Nie zatrzymaliśmy się, aby zwiedzać neolityczne ruiny. Żeby zobaczyć wykopy, które pozostawiła, musielibyśmy wspiąć się na pagórek.

— *Jalla* — zawołali nasi przewodnicy w strojnych odświętnych *mindilach* i poprowadzili nas w dół stromym szlakiem dla kóz, wzdłuż doliny aż do ścierniska na rozległym płaskowyżu. Muhammad i Mahadi śpiewali; wydawało się, że nie potrafią powstrzymać płynącej prosto z serca muzyki. Wystraszony biało-czarny ptak wyleciał z krzaków. Nasze sandały dreptały cicho po pokrytej pyłem ścieżce.

Zeszliśmy w dolinę, nad nami wznosiły się góry, zaokrąglone na szczytach, ze stromymi skalistymi zboczami. Wyglądały tak, jakby ktoś przyozdobił je imponującymi wzorami — zawijasy, fale czerwieni i brązu, bieli i różu, cała wariacja odcieni tworzyła jakby galerię obrazów pod gołym niebem.

Zatrzymaliśmy się, żeby zaspokoić pragnienie. Nabatejczycy wykuli w skalistym zboczu basen, do którego skapywała woda z rozpadliny. Łapczywie piliśmy ze starej puszeki znalezionej w pobliżu przez Muhammada. Na szczęście jeden z naszych towarzyszy przez skrawek *mindila* przefiltrował wodę, na powierzchni której unosiły się kępki trawy.

Ruszyliśmy dalej. Dolina zwężała się, a my to wspinaliśmy się, to schodziliśmy piaszczystym korytem potoku. We włosy wplotliśmy kwiaty oleandrów, a nosy miałyśmy spieczone słońcem. Zobaczyliśmy zniszczone stopnie znikające jak sen na skalnym zboczu, z lewej strony

grobowce, a na wprost fasadę z łukiem. Słysząc było dziecięce głosy i porykiwanie osła. Nasi przewodnicy już nie trzymali nas za ręce. (Później dowiedziałam się, że arabski i beduiński sposób bycia to *sutra*: czyli rezerwa i skromność). Minęliśmy ciemną i przesyconą dymem jaskinię, potem drugą, wyglądającą jak pałac, z wstawionymi oknami, drzwiami i wykutym w kamieniu tarasem. Stała tam młoda Fatima. Zawołała mnie, wykrzykując nasze wspólne imię, oraz Muhammada i zaprosiła wszystkich na herbatę, ale nie zatrzymaliśmy się. Przed południem odsypiałyśmy już w domu godziny stracone na taniec.

Właśnie kiedy Muhammad wiódł nas poprzez skaliste, zarośnięte krzewami oleandrów kaniony, zakochałam się w nim na zabój. Nie wiem, dlaczego podczas naszego pierwszego spotkania nie zauważyłam jego delikatnego uśmiechu i zmrużenia oczu, które teraz mnie zachwyciły. Podobała mi się jego pewność siebie i urocze maniery. Przypalał nam papierosy, podawał rękę i miał wszystkie nawyki dżentelmena, które zlekceważyłabym jako kobieta wyzwolona w Nowej Zelandii, ale teraz mnie urzekały.

Zawiązał swój biało-czerwony *mindil* w egzotyczny beduiński turban i uśmiechnął się do mnie. Nie dostrzegałam już jego garnituru ze sztucznego materiału. Byłam nim zafascynowana. Nie miałam jeszcze pojęcia, że to miłość. Choć Muhammad bardzo mi się podobał i lubiliśmy spędzać razem czas, to było jeszcze tyle innych miejsc do zwiedzenia, tyle ludzi do poznania, a powrotny bilet Elizabeth z Bejrutu tracił ważność już za kilka tygodni. Musiałyśmy więc ruszać dalej.

Znowu się pożegnaliśmy.

Los i przeznaczenie

Gdyby w Damaszku była ambasada Libanu albo gdybyśmy mogły otrzymać wizy libańskie na granicy, pewnie nigdy nie zdałabym sobie sprawy, że czuję do Muhammada coś więcej niż sympatię. Jednak niezbadane są ścieżki Pana. Aby dostać się do Libanu, musiałyśmy wrócić do Jordanii, do ambasady libańskiej w Ammanie. Kiedy oficer na granicy jordańskiej wstemplował nam do paszportu kolejną miesięczną wizę, wpadłam na pewien pomysł. Przecież to tylko Elizabeth miała lecieć z Bejrutu, ja wcale nie musiałam jechać do Libanu. Nie miałam żadnych zobowiązań ani planów. Mogłam wrócić do Petry i zatrzymać się u Muhammada, zanim zdecyduję, dokąd się udać. Był taki zabawny, miły, sympatyczny, a pobyt u niego praktycznie nic nie kosztował. Elisabeth natomiast chciała zobaczyć coś więcej, więc pożegnałyśmy się zwykłym „do widzenia”, „powodzenia” oraz obiecałyśmy sobie, że będziemy w kontakcie.

Ponownie zjawiłam się na podwórzu Skarbca i Muhammad natychmiast do mnie podbiegł.

— Właśnie o tobie myślałem — powiedział z takim zachwytem, iż uwierzyłam, że mówi prawdę. Oboje byliśmy bardzo szczęśliwi z ponownego spotkania. Uścisnęliśmy sobie dłonie i ucałowaliśmy w policzki, powstrzymując się jednak od zbyt serdecznego objęcia, ponieważ wszyscy jego przyjaciele na nas patrzyli. Dużo później, kiedy ludzie pytali Muhammada, jak się poznaliśmy, odpowiadał żartem: „Łowiłem ryby i złapałem ją na haczyk”. Myślę, że wtedy już wiedział, że połknęłam przynętę. Nie czekał długo, żeby mnie wciągnąć w swoje sieci.

Po paru dniach wszyscy mówili już o naszym ślubie. W Nelson w latach siedemdziesiątych — w świecie kobiet

wyzwolonych, koedukacyjnych akademików i „życia na kocią łapę” — małżeństwo było pułapką, której chciałam za wszelką cenę uniknąć. Czasem żartowałam, że ewentualnie wyjdę za mąż tylko po to, żeby zmienić moje skomplikowane holenderskie nazwisko, ale prawdę mówiąc, przyjmowanie nazwiska po mężu było już wtedy anachronizmem.

Tutaj ślub był celem samym w sobie.

Dziś wiem, że wszyscy mówili po prostu to, co myślą — dla nich było jasne, że ja szukam męża, Muhammad potrzebuje żony i lubiliśmy być razem — ale wtedy byłam przekonana, że cała wioska z Muhammadem na czele konspiruje. Śmiałam się, gdy późnym popołudniem otuleni *mindilami* starsi mężczyźni ze zmarszczkami wokół oczu pytali mnie, siedzącą w namiocie, czy zamierzam go poślubić.

— *Widki ta'chuzi?*[9] — indagowali i próbowali mnie namawiać. — Muhammad *kuwajjis* — „Muhammad jest dobry” — ale dla mnie brzmiało to znacznie poważniej niż rozmowy, jakie prowadziłam z Alim i Awazem, którzy kulawą angielszczyzną przekonywali mnie, jakim wspaniałym człowiekiem jest Muhammad: „Muhammad być barso dobry, będzie dobra mąż”. Kiedy opowiadali, jak wielkim błogosławieństwem jest małżeństwo, „Mąż *kuwajjis*”, czułam, że mnie naciskają, swatają na siłę i byłam zirytowana. Ripostowałam od razu, żeby pilnowali własnego nosa. Nie miałam jednak zielonego pojęcia o ich beduińskich strategiach.

To nie chodziło o Muhammada. Nigdy w życiu nie miałam tak przystojnego chłopaka. Był niewysoki, silny i zwinny jak kozica. Miał smagłą skórę, czarne wąsy i naprawdę promienny uśmiech. Jego nos był perfekcyjny, zbyt piękny, żeby o nim nie wspomnieć. Rzucił niewymuszone żarty, wspaniale gotował i ja byłam jego głównym obiektem zainteresowania i zabiegów. On sam

potrafił przyciągać uwagę, starsze kobiety całowały go po rękach, młodsze piekły dla niego chleb, a gdy wpadali do niego koledzy, razem śpiewali i żartowali. Pomyślałam, że mam szczęście, że jeszcze się nie ożenił. Nie zniechęcała mnie ani jego jaskinia, ani styl życia. Prawdę mówiąc, pociągała mnie perspektywa życia bez hipoteki, rachunków za prąd i z wyłącznie jednym pomieszczeniem do sprzątanía. Nie uważałam też, że przez ślub z Muhammadem na zawsze ugrzęznę w Petrze. Muhammad miał bowiem paszport, bardzo się nim chwalił i wiedziałam, że chętnie skorzysta z każdej sposobności wyjazdu. Jedyńy kłopot stanowiła dla mnie sama instytucja małżeństwa.

Byłam zadowolona z obecnego stanu rzeczy. Lubiłam spacerować do Skarbca i wspólne picie herbaty przy ognisku wraz z innymi sprzedawcami pamiątek albo wyprawy wśród skał po zachodniej stronie, do źródła, w którym myliśmy się i pływaliśmy. Uwielbiałam wycieczki do jaskini Alego, gdzie siadywaliśmy na łóźku w promieniach zachodzącego słońca, a kiedy mężczyźni rozmawiali, ja przysłuchiwałam się ich potokowi słów i cieszyłam się, że nie muszę brać udziału w konwersacji. Nie wspomnę już o przechadzkach do kolejnego naszego przyjaciela Alego F., który podejmował nas arakiem i kurczakami z różną przy tłącym się ognisku w dolinie porośniętej jałowcem, czy też o powrotach do naszej jaskini ze śpiewem na ustach „Lajla, Lajla, Lajla, Lajla, Lajjjjjlaaaa-a ja Lajla”.

Ale ludzie stali się podejrzliwi. Co robię w Petrze, skoro nie chcę wyjść za Muhammada? Może jestem szpiegiem, ostrzegali go. Wtedy zaczęłam poważnie rozważać ten pomysł. Moi rodzice byli dla mnie wzorem, chciałam żyć tak jak oni. Małżeństwo to zobowiązanie, to wspólne życie do śmierci. Nie byłam pewna, czy Muhammad, taki zawsze skory do żartów i śmiechu (za to go właśnie kochałam), potrafi podejść do tego poważnie.

— Zestarzeję się i będę miała zmarszczki —

powiedziałam, próbując się wykręcić. Miałam blond włosy o złotawym połysku i jasną, delikatnie opaloną cerę, ale wiedziałam, że nie zawsze tak będzie. Nie przejmowałam się kosmetykami i tonikami, na czole miałam już zmarszczki i jak Elizabeth bystro przewidywała, wkrótce miały mi się pojawić kurze łapki wokół oczu, bo nie nosiłam okularów przeciwsłonecznych.

— Ja też będę miał zmarszczki, ale jeśli zostaniesz moją żoną i tak będę cię kochał — przekonywał mnie. Choć Muhammad był typem wiecznego kawalera, naprawdę wierzył w to, że we właściwym czasie, gdy do tego dojrzeje, znajdzie kobietę, z którą będzie chciał się ożenić, ustatkować i założyć rodzinę.

Później dowiedziałam się, że czekał na cudzoziemkę. Jego przyjaciel Karl, Niemiec, który po raz pierwszy odwiedził Petrę jedenaście lat wcześniej, opowiadał mi o młodym Muhammadzie, którego wtedy poznał.

— On nie zadowalał się tylko prowadzeniem osła z turystami; chciał się po drodze uczyć od nich angielskiego — twierdził Karl i mówił dalej, rozbawiony wspomnieniami. — Gdy go spytałem, po co mu angielski, miał gotową odpowiedź: „Bo chcę się ożenić z Urrropejką”. Dlatego cieszę się, że poznał ciebie.

Natomiast inni cudzoziemcy przestrzegali mnie, żebym uważała.

— Czy jesteś pewna, że on nie jest już żonaty? — indagowali jedni.

— Beduini mają dziwne zwyczaje — twierdzili inni. — Jeśli twój mąż umrze, będziesz musiała poślubić jego brata.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że właściwie nic o nim nie wiem prócz tego, że jest kawalerem. Muhammad roześmiał się, gdy powiedziałam mu, co ludzie plotą.

— Nie wiem, skąd oni biorą te historie — wyjaśniał. — Owszem, zdarzają się takie sytuacje, ale tylko wtedy, gdy

wdowa tego chce, bo tak czy inaczej brat zmarłego męża ma obowiązek utrzymywać ją i dzieci. Tak wypada.

I choć nie myślałam nawet o rozwodzie, musiałam się dowiedzieć, czy istnieje taka możliwość, tak jak sprawdzamy, gdzie w samolocie są wyjścia awaryjne, choć mamy nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli z nich korzystać. — Oczywiście, jeśli nam nie wyjdzie, weźmiemy rozwód — odparł, nie wspominając nic o tym, że wystarczy po prostu wypowiedzieć trzy razy zdanie „Rozwodzę się z tobą”.

W ostatnim porywie rozsądku postanowiłam polecieć do Londynu. Po zaledwie trzech tygodniach spędzonych w szeregowych domkach i miejscowych pubach z moimi przyjaciółmi z Doncaster, Edynburga i Carlisle oraz trzech kolejnych, które przesiedziałam w uporządkowanej Holandii wśród zaniepokojonych holenderskich krewniaków, wiedziałam już, że najbardziej na świecie pragnę być z Muhammadem w Petrze. Wróciłam do Jordanii i wyszłam za mąż.

W późniejszych latach, gdy turyści dowiadywali się, że mieszkam w jaskini z mężem Beduinem i twierdzili, że jestem dzielna, odważna czy śmiała, czułam się trochę jak oszustka. Wybrałam najłatwiejsze wyjście. Żadnej polityki czy filozofii: tylko cudowny mężczyzna, który zaczynał dzień od modlitwy, błagając, aby był z niego dumny nie tylko Bóg, ale także rodzice, a potem pełen radości wychodził do pracy lekkim krokiem, potrząsając frędzlami *mindila*. Ja natomiast robiłam to, na co miałam ochotę, niczym się nie przejmując.

Czułam się po prostu szczęśliwa. Nie byłam pewna, czy podjęłam trafną decyzję, ale wiedziałam, że istnieje tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Zaloty

Muhammad roześmiał się, gdy powiedziałam mu, że jego koledzy nie mają prawa wtrącać się w moje życie i prosić mnie, żebym wyszła za niego.

— Oni nie chcieli cię rozzłościć — tłumaczył. — Tak właśnie robią Beduini.

I opowiedział mi historię pewnego znajomego.

Fraidż skończył już trzydzieści pięć lat i wciąż był kawalerem. Szukał żony i usłyszał o pewnej rozwódce, która mieszkała z rodzicami w letnim obozowisku w połowie drogi z doliny do Ma'anu. Wydawała mu się dobrą partią, więc poprosił swojego przyjaciela Slimana, żeby w drodze po zakupy w Ma'anie szepnął o nim dobre słowo i w jego imieniu poprosił ją o rękę.

Parę tygodni później Fraidż spotkał znów Slimana i spytał, jaką odpowiedź dała mu rozwódka.

— Och, wybacz, *ja achuja*, bracie — odpowiedział Sliman. — Nie udało mi się jej przekonać, żeby wyszła za ciebie... Ale wizyta nie poszła na marne, bo nakłoniłem ją, żeby została moją żoną!

Ta opowieść wydawała mi się wtedy zupełnie nieprawdopodobna i mało śmieszna, ale dziś, kiedy dobrze poznałam beduińskie zwyczaje, zastanawiam się, czy nie była przypadkiem prawdziwa. Była to jedna z ulubionych historyjek Muhammada i sądzę, że podobał mu się sposób, w jaki opisywała nieprzewidywalne koleje życia.

Po co świadectwo ślubu?

Dwa i pół miesiąca po naszym poznaniu, wczesnym rankiem podczas ramadanu, wyruszyliśmy z Muhammadem

do Ammanu wziąć ślub.

Zwykły, tradycyjny, beduiński ślub nie wystarczał — potrzebne nam było świadectwo ślubu, żebym otrzymała pozwolenie na pobyt. Tradycyjnie w Petrze, tak jak i w innych beduińskich społecznościach, małżeństwa zawierano bez papierkowej roboty. Później, w połowie lat osiemdziesiątych, wydano dekret, który pozwalał parom na uzyskanie dokumentu potwierdzającego dawno zawarty, tradycyjny ślub. Moi teściowie wybrali się wtedy do tymczasowego urzędu stanu cywilnego, skąd wrócili ze świadectwem zawarcia związku małżeńskiego i pudełkiem czekoladek, które rozdali dzieciom, wnukom i sąsiadom. Przedtem jednak pobierano się w obecności całego plemienia i uświęcano związek przez zarżnięcie kozy lub owcy.

W tamtych czasach, gdy poprzez prywatne śledztwo ustalono, że rodziny dwojga młodych ludzi nie sprzeciwiają się zawarciu małżeństwa i nie ma konkurenta o większych prawach do dziewczyny, uznawano zaręczyny za zawarte i ogłaszano ten fakt wszem i wobec. Krewni i przyjaciele pana młodego przybywali do domu oblubienicy, w którym czekała już cała jej rodzina. Oczywiście kobiety i mężczyźni w osobnych pomieszczeniach. Ojcowie przyszłych nowożeńców czytali wersety z Koranu, uzgadniali cenę za pannę młodą i ustalali datę wesela. Mężczyzna zwykle wręczał pewną kwotę matce i siostrze narzeczonej, aby zapewnić sobie przychylność dziewczyny, i oczywiście żywił nadzieję, że zrobi na nich dobre wrażenie. Narzeczeni czasem spotykali się przy świadkach i na dowód miłości darowali sobie nawzajem symboliczną garść cukru, często jednak byli jeszcze dziećmi i nie brali udziału w uroczystości. Po upływie miesięcy, a nawet lat, gdy mężczyzna był już gotowy, a panna młoda „dojrzała”, odbywał się ślub, i oczywiście zarzynano kozę lub owcę. Nie było jednak ani obrączek, ani też żadnych świadectw.

Muhammad wiedział, że w naszym przypadku to nie wystarczy — my potrzebowaliśmy zaświadczenia, więc musieliśmy pojechać do Ammanu. Trwał ramadan, muzułmański miesiąc postu, podczas którego pobożni muzułmanie nie palą, nie jedzą i nie piją od świtu aż do zmierzchu. Obowiązywał także zakaz jedzenia, picia i palenia w miejscach publicznych. Petra leżała z dala od ludzi, a Muhammad nie przestrzegał postu, więc nie przejmowaliśmy się ograniczeniami. Niemniej teraz, gdy zdecydowaliśmy się pobrać, chcieliśmy, żeby wszystko było tak jak trzeba. Muhammad miał nadzieję, że nam się uda, ale ja nie miałam pojęcia, że będzie to takie trudne.

Wieczorem przed naszą wyprawą szczerze rozbawił mnie fakt, że w ogóle ktoś z mieszkańców doliny ma budzik i zgodził się nam go

pożyczyć, ale teraz, gdy Muhammad świecił mi w oczy pochodnią, nie było mi wcale do śmiechu.

— *Gaumi*, wstawaj. Zaparzyłem herbatę — próbował mnie dobudzić.

Przewróciłam się na drugi bok.

— W busiku będzie tłok — przekonywał mnie dalej.

Teoretycznie chciałam wyjść za mąż, ale o czwartej rano kusiło

mnie, by zmienić zdanie. To naprawdę był środek nocy. Muhammad spróbował jeszcze raz:

— *Jalla, habibti*. Chodźmy, kochanie.

Wyszliśmy więc z jaskini i w zupełnych ciemnościach powędrowaliśmy wężozem As-Sik. Tuż po porannych modłach wyjechaliśmy z Wadi Musa zatłoczonym mercedesem. W Nowej Zelandii rzadko widuje się mercedesy, tutaj dość często nimi podróżowałam, choć nigdy nie były to najnowsze modele. W Jordanii nazywa się

je *serwisami*, ja wolę mówić na to busiki. Są to prywatne samochody z pozwoleniem na kursowanie trasą rejsowych autobusów. Płaciliśmy tylko za nasze miejsca. Nasz kierowca też dziś nie pościł, w trakcie podróży paliliśmy. Dojechaliśmy do autobusowego dworca południowego Karadż al-Dżanub, gdzie złapaliśmy taksówkę, która zawiozła nas przez suk aż do urzędu stanu cywilnego, położonego po stronie Dżabal Amman. Dżabal oznacza górę lub wzgórze, a Amman położony jest na co najmniej siedmiu pagórkach.

Kiedy Muhammad dopytywał się, gdzie i jak załatwić formalności, wiele osób próbowało nam pomóc. Najpierw, powiedzieli, muszę załatwić w ambasadzie brytyjskiej zaświadczenie, że nie jestem mężatką.

Złapaliśmy kolejną taksówkę na Dżabal Amman. Tym razem ja płaciłam. Wręczyłam kierowcy 5 dinarów i tak jak poprzednio Muhammad, powiedziałam, żeby zatrzymał resztę. Dopiero gdy taksówkarz pośpiesznie odjechał, zdałam sobie sprawę, że suma 450 na liczniku oznaczała 450 filsów (to mniej niż funt), a nie 4,5 dinara.

Moje 5 dinarów to było 5000 filsów! Jasna cholera! Dość kosztowna nauczka. Muhammad zauważył grymas na mojej twarzy i spytał, o co chodzi, ale ja za bardzo się wstydziłam, żeby się przyznać. Potrząsnęłam tylko głową i rzuciłam krótko:

— Nic takiego.

Ambasada była otoczona żelaznym płotem oraz tłumem młodych Jordańczyków ubiegających się o wizę. My również chcieliśmy ustawić się w kolejce, ale zostaliśmy przepuszczeni. Myślałam, że to dlatego, że byłam cudzoziemką. W rzeczywistości przepuszczano nas, ponieważ wszyscy zadawali Muhammadowi pytania, jak mu się udało mnie zdobyć i czy przypadkiem nie mam siostry, która chciałaby poślubić któregoś z nich. Załatwienie zaświadczenia nie zajęło nam wiele czasu. Poinstruowano

mnie, że muszę je przetłumaczyć na arabski i przynieść z powrotem do uwierzytelnienia. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie mają odpowiedniego urzędnika na miejscu. Wysłano nas do tłumacza, którego biuro mieściło się w centrum, na samym dole kotliny. Było coraz upalniej, chciało nam się pić, niestety, aż do zachodu słońca nawet woda była zakazana. Znowu taksówka wte i wewte. Byłam wdzięczna, że tłum ludzi stojących przy ambasadzie ponownie nas przepuścił bez kolejki, a urzędnik szybko podstemplował tłumaczenie. Złapaliśmy kolejną taksówkę, tym razem do urzędu stanu cywilnego. Wyglądało na to, że zbliżamy się do celu.

Przed budynkiem urzędu, na chodniku oraz na prowadzących na suk schodach, przy prowizorycznych biurach siedzieli skrybowie. Rozkładane stoliki ustawiono ciasno jeden przy drugim w cieniu parasoli, wokół falowały szaty i ozdobne chusty ludzi machających papierami i czekających na świadectwa urodzenia, śmierci czy ślubu wypisane w klasycznym arabskim.

Wolny skryba, którego Muhammad znalazł na szczycie schodów, miał znoszony garnitur z wyświeconymi klapami. Jego twarz, ledwo widoczna spod biało-czarnego *mindila*, wyglądała na równie zmęczoną jak jego strój. Kiwnął głową i wziął kawałek papieru. W miarę jak Muhammad odpowiadał na jego pytania, notował skrupulatnie najważniejsze informacje, przekształcając prosty i łatwy kwestionariusz w najeżony trudnościami i zabazgrany formularz.

Pierwsze wyzwanie stanowiło dla niego moje nazwisko i to nie tylko dlatego, że było długie i holenderskie. Wraz z Muhammadem przejrzelik dokładnie mój paszport.

— Jak się nazywa twój ojciec? I twój dziadek? — wypytywał mnie Muhammad.

Z niedowierzaniem urągałam im w myśli. Na miłość Boską! Przecież to mój paszport, więc jest w nim tylko moje

nazwisko. Czy to nie było oczywiste? Na co wam ojcowie i dziadkowie?

Muhammad próbował mi wytłumaczyć. Wyjął swój drogocenny paszport i pokazał mi angielskie tłumaczenie: „Muhammad to ja, Abdallah to mój ojciec, Usman to mój dziadek, a Al-Manadża to moje plemię”. Nigdy wcześniej nie słyszałam nazwy jego plemienia. W paszporcie było także miejsce na imię jego matki — Agaili.

Nie pomogły tłumaczenia, że mój ojciec miał na imię Maarten, ponieważ nie umieszczono go w paszporcie. Postanowiłam pozwolić im samym rozwiązać ten problem. Nie interesowało mnie, w jaki sposób to zrobią, byle tylko szybko i skutecznie.

Po dziesięciu minutach mieli już gotowe wyjście z sytuacji: Marguerite to ja, Jane to mój ojciec, van — mój dziadek, a Geldermalsen to było moje plemię. W arabskim nie istnieją litery takie, jak „v” czy „g”, a zatem wyglądało to mniej więcej tak: „Marghrit Dżin Fan Dżildirmalsin”[10]. Gdy Muhammad przeczytał to na głos, trudno mi było rozpoznać moje własne imię. Nie mam pojęcia, co by zrobili, gdybym miała jednoczłonowe nazwisko albo nie miała drugiego imienia. Janny, imię mojej matki, zostało przemycone i zanotowane bez komentarzy po arabsku.

Muhammad wręczył skrybie kilka monet i ten wyjął z małego metalowego pudełeczka znaczki skarbowe z podobizną Jego Wysokości Króla Husajna. Przykleił je na swoim dziele, złożył ozdobny podpis (jedyna czynność, która wywołała w nim jakikolwiek entuzjazm), a następnie wskazał dokumentem na otwarte drzwi urzędu.

W niskim pomieszczeniu wokół boksów z ciemnego drewna tłoczyli się ludzie i panował potworny harmider. Wreszcie nadeszła nasza kolej: Muhammad podał dokument urzędnikowi, który przeczytał go uważnie i wskazał na jedną ze stron. Muhammad wyglądał na zagubionego. Wyszłam za nim na zewnątrz, gdzie mogliśmy

się nawzajem usłyszeć.

— Powiedział mi, że mamy się udać do urzędu w miejscu urodzenia mężczyzny, męża. Jestem z Petry, więc musimy pojechać do Ma'anu.

— Świetnie. Tylko dlaczego skryba nas o tym nie poinformował? — narzekałam.

Muhammad wzruszył ramionami i pokręcił głową. Pompony na jego chuście zakołysały się, a on się uśmiechnął. Dla niego to też była niespodzianka.

Byliśmy głodni i spragnieni, więc daliśmy sobie spokój na resztę dnia i poszliśmy do Kevina i Innes, pary z Nowej Zelandii, u której gościliśmy za każdym razem, gdy przyjeżdżaliśmy z Muhammadem z Petry.

Innes pochodziła z Nelson i znałyśmy się przez naszych braci, mojego starszego i jej młodszego, którzy byli serdecznymi przyjaciółmi. Podczas naszego pobytu w Egipcie moja mama dowiedziała się, że Innes wraz z mężem mieszka w Jordanii i wysłała mi jej adres. Gdy przybyłyśmy z Elizabeth do Ammanu, otrzymałyśmy list na poste restante i niedługo po naszym telefonie, w którym pytałyśmy o Mister Kevina, podjechał po nas z rozmachem motocyklem z przyczepką dla pasażera. Tymczasem, kiedy czekałyśmy przy drodze z bagażami, zdążyłyśmy otrzymać kilka ofert pomocy, a teraz zbiegł się tłum gapiów, ciekawych, gdzie i jak uda nam się wszystko pomieścić. Kevin z entuzjazmem wepchnął plecak Elizabeth do przyczepki i kazał jej się wpasować w pozostawione wolne miejsce. Ja wskoczyłam na tylne siodełko, przytroczyłam mój plecak do oparcia i złapałam się skórzanej kurtki Kevina. Pojechaliśmy przez Dżabal Amman, mijając kilka rond, prosto do ich domu. Przyjęli nas bardzo życzliwie, chociaż byli naprawdę zajęci. Ich synek, Jason, miał dopiero kilka miesięcy, byli u nich z wizytą rodzice Kevina,

a przejazdem bawiła jeszcze jedna pochodząca z Nowej Zelandii para.

Ich dom stał się dla nas drugim domem.

— Czujcie się jak u siebie — powiedziała Innes. Podobała mi się ta bezpośredniość. Zaparzyłam czajnik herbaty oraz przygotowałam grzanki z Vegemite[11] (dla Muhammada po prostu z dżemem), a jednocześnie opowiadałam o naszych perypetiach. Śmiali się do rozpuku i powiedzieli nam, żebyśmy się nie przejmowali: Kevin pracował dla jednej z miejscowych firm i dobrze wiedział, jak frustrująca bywa jordańska biurokracja.

Następnego ranka, po solidnym śniadaniu, pojechaliśmy taksówką z powrotem do Karadž al-Dżanub. Budynki wręcz zwisały nad wąską i zatłoczoną ulicą, odcinając dopływ świeżego powietrza. Stoły i krzesła z pozamykanych barków piętrzyły się na rozgrzanym chodniku. Trąbiące autobusy i taksówki przeciskały się wśród sprzedawców żyletek i używanych butów, gromada Egipcjan rozładowujących dostawę ubrań z drugiej ręki zmusiła nas do zejścia na jezdnię. Bezzębni mężczyźni wykrzykiwali „Ma’an Ma’an, Albatra, Albatra” (Do Ma’anu, do Petry). Jeden z nich machnął na nas i otworzył drzwi starego mercedesa pełnego *mindili* i wąsów, ale Muhammad prowadził mnie dalej. Szłam blisko niego, choć nie trzymaliśmy się za ręce. Miałam na sobie długą bawełnianą suknię, wygodną i skromną — nosiłam ją często, ale po pierwszym praniu rozciągnęła się okropnie i sięgała mi aż do kostek — ale nie zakryłam moich błyszczących blond włosów. Ciemne oczy spoglądały na mnie podejrzliwie, badawczo, ciekawie.

Znaleźliśmy wreszcie busik do Ma’anu z miejscami z przodu dla naszej dwójki. Szybko znalazł się komplet pasażerów, więc od razu wyruszyliśmy w drogę. Kierowca

wcisnął klakson i nie zdejmował z niego ręki, póki nie wydostaliśmy się z miasta. W trzydziestopięciostopniowym upale i o dziewiątej rano jechaliśmy przez pustynię z powrotem na południe w ciasnym samochodzie z oknami otwartymi na oścież. Wypuszczaliśmy kłęby dymu z papierosów, a wciągaliśmy kurz i zapach benzyny. Wyprzedzały nas wyładowane po brzegi ciężarówki i przez pewien czas jechały równolegle z nami, zajmowaliśmy wtedy oba pasy szosy. Lubiłam naszego kierowcę wtedy, gdy pozwalał im jechać obok nas. Natomiast znacznie mniej go lubiłam, kiedy na ostrych zakrętach zabierał się za wyprzedzanie długich ciężarówek z przyczepami. W takich momentach wolałabym nie mieć prawa jazdy i wyobraźni. Dojazd do Ma'anu zajął nam trzy godziny. Od przystanku szliśmy płaskimi, piaszczystymi ulicami w kierunku urzędu stanu cywilnego, który znajdował się na niewielkim wzgórzu wśród drzew eukaliptusowych. Stało tam zaledwie paru mężczyzn, ale wszyscy gapili się na nas tak, jakby nie widzieli cudzoziemca co najmniej od czasów Lawrence'a z Arabii. A już jasnowłosej kobiety to chyba nigdy.

Urządник magistratu z podziwem wpatrywał się w szkarłatne znaczki skarbowe i z mozołem czytał dokument. W pokoju zebrał się tłum ciekawskich.

— Zaświadczenie muszą wam wydać w miejscu zamieszkania panny młodej. Musicie wrócić do Ammanu — obwieścił sucho wszystkim obecnym. Muhammad przetłumaczył mi jego słowa.

— Nie do wiary! Po pierwsze, nie mieszkam w Ammanie, po drugie, z Ammanu nas tu przysłali! — powiedziałam na cały głos. Muhammad, a przynajmniej tak mi się zdawało, mówił dokładnie to samo po arabsku, ale nasz biuralista wskazał na znaczki i odesłał nas z kwitkiem.

— Wróćmy do Petry i spróbujmy znowu po ramadanie — zasugerował pełen nadziei Muhammad.

Powrót do Petry brzmiał zachęcająco, ale nie chciałam

nawet myśleć o ponownej próbie. To zadanie wydawało mi się zbyt trudne.

Świadectwo ślubu — wreszcie sukces

W drodze powrotnej na przystanek w Ma'anie zatrzymał nas znajomy Muhammada. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i ucałowali się kilkakrotnie w oba policzki.

— To jest Abu Ali, ojciec Alego — wyjaśnił Muhammad.
— Jego matka jest siostrą mojego ojca.

Mężczyzna był zupełnym przeciwieństwem Muhammada: wysoki, z okrągłą twarzą i dużymi, pulchnymi dłońmi. Wyprowadził nas z dworca autobusowego szeroką, białą, piaszczystą aleją między wysokimi, niedbale otynkowanymi ścianami domów i tu i ówdzie rosnącymi palmami daktyłowymi. Bez wątpienia zapraszał nas do siebie. Otworzył drewniane drzwiczki w murze i znaleźliśmy się na prostokątnym podwórku z trzema parami drzwi po prawej stronie oraz z murowanym ogrodzeniem po lewej, znad którego widać było dziedziniec sąsiadów.

Wprowadził nas pierwszymi drzwiami do pokoju pomalowanego na nieskazitelną biel. Światło wpadało tylko przez drzwi oraz przez niewielkie okno, znajdujące się tuż obok wejścia. Zdjęliśmy sandały i weszliśmy w cień. Betonowa podłoga była zimna i gładka jak jedwab. Usadowiłam się na wypchanym wełną grubym materacu, *farszy*, i podwinąwszy pod siebie nogi, oparłam się o ułożone jeden na drugim, śnieżnobiałe podgłówki. W tym momencie do pokoju weszła żwawym krokiem Umm Ali (matka Alego) i znów musieliśmy wstać. Kobieta pochyliła się i pocałowała Muhammada w rękę.

— *Hazi mar'ati*, to moja żona — przedstawił nas Muhammad, a ona objęła moją twarz swoimi dużymi, miękkimi dłońmi i przyjrzała się uważnie czarnymi, życzliwymi oczami. Musiałam się pochylić, żeby pocałowała

mnie na powitanie w oba policzki. Młoda dziewczyna podała jej tacę z herbatą, a ja tymczasem znowu umościłam się na poduchach. Przycupnęła naprzeciwko mnie na betonowej podłodze i z błyszczącego niebieskiego czajniczka naląła herbaty do dwóch niewielkich szklaneczek pełnych zielonych liści. W pokoju rozszedł się miły aromat mięty. Postawiła szklanki naprzeciwko mnie i Muhammada, ona i Abu Ali pościli. Upiłam łyk i oparłam się wygodnie. Wyłączyłam się, rozkoszując się momentem spokoju, słodyczą i smakiem mięty. Dźwięki rozmowy moich towarzyszy zlewały się ze sporadycznie dochodzącymi z podwórza odgłosami, odległymi okrzykami oraz jeszcze dalszym echem ruchu ulicznego w miasteczku. Zastanawiałam się, jak udawało im się pościć, w jaki sposób Abu Ali, kiedy wracał zgrzany z zakurzonej ulicy, potrafił powstrzymać się od jedzenia i picia. I jeśli nawet nie byli spragnieni albo nie czuli aromatu mięty, to jednak trudno było się oprzeć tak apetycznemu widokowi — błyszczące szklaneczki, bursztynowa herbata, zieleń liści, nawet intensywny błękit czajniczka i wypolerowana metalowa taca przykuwały uwagę.

— Wszystkie ich dzieci, nawet najmłodsze, poszczą — Muhammad zwrócił się do mnie. Wyczułam w jego głosie podziw, ale też zakłopotanie, bo przecież on sam nie przestrzegał postu, a także wątpliwość: co ja o tym myślę?

Nie rozumiałam tego. Dlaczego mam sobie czegoś zabraniać? Jaki to ma sens? Kogo to obchodzi? Oczywiście, nie powiedziałam tego na głos, byłam zbyt odprężona, aby cokolwiek się wtedy przejmować.

Poczęstowano nas także obiadem. Podano puszyste, świeże chlebki *pita* i cynowy garnuszek ze świeżą jagnięcą wątróbką smażoną na cebuli. Naprawdę pyszne.

— *Kuwajjis* — powiedziała Abu Alemu, który przysunął mi skwapliwie tacę oraz podsunął jeszcze jedną porcję chleba.

— Nie jedz za dużo. To, co po nas zostanie, dostaną dzieci — ostrzegł mnie Muhammad. Zmartwiłam się, że nie uprzedził mnie o tym wcześniej. Niewiele już zostało.

Potem oddaliśmy się sjeście. O tej porze i tak nie mogliśmy już wrócić do Petry, po południu nie jeździły żadne samochody. Abu Ali znał kogoś w urzędzie i obiecał zaprowadzić nas tam wieczorem, abyśmy mogli załatwić zaświadczenie, że mieszkam w Petrze. Trzeba pchnąć sprawę. Do tego czasu nie mieliśmy nic do roboty. Muhammad zasnął. Ja w kuchni zastałam dziewczęta, pewnie córki gospodarzy, patrzyłam, jak przygotowują posiłek. — Na imię mam Basma. Mam dwanaście lat — powiedziała najstarsza z nich. — W szkole uczę się angielskiego. To moja siostra, a to mój brat.

„Ana Fatima.” Nauczyłam się przedstawiać i to był koniec naszej grzecznej wymiany zdań. Pokazali mi, żebym przykucnęła razem z nimi na podłodze w kuchni, na szczęście mogłam oprzeć się o ścianę. Patrzyli na mnie z nieśmiałymi uśmiechami i zachęcali, żebym spróbowała bakłazana i białej cukinii, faszerowanych mielonym mięsem i ostro przyprawionym ryżem.

Późnym wieczorem poszliśmy spotkać się z przyjacielem Abu Alego, który pracował w urzędzie. Usiedliśmy na *farszach* z gąbki, ułożonych na ganku dużego, kwadratowego domu, otoczonego murem z pustaków. Na nagim, białawym gruncie rosło kilka drzewek oliwnych.

Matka i żona przyjaciela przyniosły półmiski pełne pysznych, smażonych w głębokim tłuszczu pierożków faszerowanych orzeszkami ziemnymi i razem z nami zasiadły do kolacji. Przy pierwszym kęsie z pierożka wytrysnął syrop słodowy.

— Ramadanowe słodczyce — powiedziały — *Gataif*.

Niestety, nie można było zmienić naszego zaświadczenia. Byliśmy, jak widać, sensacją w całym rejonie i wszyscy wiedzieli, że mieszkałam w Ammanie, a

zresztą zaświadczenie było uwierzytelnione pieczęcią.

Powrót do Petry nie wchodził już w rachubę, może dlatego, że oboje baliśmy się, że możemy zmienić zdanie. Tak czy owak, następnego dnia, czule obcałowani przez domową dzieciarnię, powtórzyliśmy naszą trasę: pustynna szosa, mercedes z otwartymi na oścież oknami, miejscowa taksówka do urzędu w Ammanie. Trzymałam się Muhammada. Odsyłano nas z naszymi dokumentami od okienka do okienka, a ja już traciłam cierpliwość, bo spodziewałam się, że po naszej daremnej wyprawie do Ma'anu, możemy liczyć na fory i pewne przyspieszenie sprawy. Chciałam porozmawiać z kimś wpływowym.

— Nie — odpowiedział mi, rozglądając się nerwowo, aby sprawdzić, czy nikt nie dostrzegł mojego zniecierpliwienia. — Musimy uważać. Nie możemy ściągnąć na siebie kłopotów. Już niedługo wszystko się wyjaśni, *in sza'a Allah*[12].

I rzeczywiście miał rację. Kolejny urzędnik wyciągnął kolejny formularz i wypełniał go, w miarę jak Muhammad udzielał mu odpowiedzi na pytania, a później przetłumaczył również i te przeznaczone dla mnie. A oto i one:

— Jesteś dziewczicą czy rozwódką? — i kolejne — Dlaczego chcesz wyjść za mąż? Podpowiadał mi możliwe odpowiedzi i tłumaczył na arabski. Podpisaliśmy wypełnione druki, a mężczyzna podczepił je pod zaświadczenie, które przebyło z nami kawał drogi w tę i z powrotem.

Muhammad ruszył w stronę kolejnych drzwi.

— Co teraz? — chciałam koniecznie się dowiedzieć.

— Musimy tylko uiścić opłatę i udać się do *szajcha*.

Hurra! zbliżamy się do celu, pomyślałam. Nie byliśmy jednak aż tak wielkimi farciarzami. Minęło już południe i kasę zamknięto, bo kasjer musiał zdeponować opłaty przed zamknięciem banku o wpół do drugiej. To czas pracy

obowiązujący w ramadanie.

Kevin i Innes wychodzili wieczorem, więc mogliśmy poczuć się pożyteczni, zajmując się Jasonem. Dwudziestego szóstego sierpnia rano, kiedy kasjer punktualnie o dziewiątej otworzył okienko, byliśmy pierwszymi klientami. Wnieśliśmy stosowne opłaty i otrzymaliśmy wytyczne, jak dotrzeć do meczetu, aby znaleźć *szajcha*, który ostatecznie, oficjalną pieczęcią, miał usankcjonować nasz związek. Potrzebowaliśmy dwóch świadków, więc następnego dnia udaliśmy się do hotelu Philadelphia, ponieważ Muhammad był przekonany, że tam znajdzie kogoś odpowiedniego.

Philadelphia, w owym czasie najświetniejszy hotel w Ammanie, został rozebrany pod koniec lat osiemdziesiątych. Budynek wzniesiono kiedyś na ruinach starożytnego teatru rzymskiego, w kapiącym od przepychu stylu kolonialnym, nie czułam się jednak w nim komfortowo (choć często z zadowoleniem korzystałam z hotelowej toalety). Do właściciela należało również „Obozowisko Nazzala” i większość pracowników hotelu przez pewien czas pracowała w Petrze, więc znali wielu członków plemienia Bdul. (Z wyjątkiem Muhammada i jego rodziny, większość Beduinów mieszkających w Petrze należało do tego plemienia). Wielu krajanów mojego narzeczonego odwiedzało ten hotel podczas pobytu w Ammanie.

Spotkaliśmy Awaza, któremu — jak podejrzewałam — polecono kręcić się gdzieś w pobliżu na wszelki wypadek. Odwiedził golibrodę, a jego włosy zostały okiełznane za pomocą nożyc, *sziszwara*. Zwykle nosił biało-czarny *mindil*, który wydawał mi się dużo bardziej męski niż ten wymuskany i strojny, który miał teraz na głowie. Był w modnej, obcisłej koszuli oraz w rozkloszowanych spodniach, podobnie zresztą jak większość młodych mężczyzn na ulicach. Powiedział nam, że jest do naszych usług.

Kucharz Abu Sliman, który również pracował w

„Obozowisku Nazzala”, zgodził się nam pomóc po lunchu. Nalegał również, żebyśmy coś zjedli, a my zgodziliśmy się ze względu na obowiązujące na ulicy zasady ramadanu. Wieczorem ludzie mogli biesiadować między kamiennymi kolumnami i fryzami, pojawiającymi się tu i ówdzie wśród jaśminów kwitnących na dziedzińcu, ale w tej chwili mieliśmy do dyspozycji jedynie jadalnię o wysokim suficie.

Zaraz po lunchu, kiedy nasz kucharz skończył pracę, pojechaliśmy taksówką do meczetu. Wyobrażałam sobie złoconą kopułę z półksiężycem, albo przynajmniej samą kopułę, ale „nasz” meczet mieścił się na trzecim piętrze zwykłego betonowego budynku położonego w centrum miasta, tuż obok poczty.

Gdy weszliśmy do wyściełanej dywanami sali modlitw, nie było tam nikogo: ani żadnych wiernych, ani tym bardziej *szajcha*. Czekaliśmy. Weszliśmy po schodach na dach, żeby zapalić papierosa. Tam na zewnętrznej ścianie klatki schodowej wisiał głośnik, jedyny dowód tego, że znajdujemy się w meczecie.

Kolejny zmarnowany dzień, pomyślałam sobie. Może po prostu nie jest nam to pisane.

Usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi. To przyszedł *szajch*. Stał przed nami, kręcąc głową i wskazując na zegarek. Tymczasem Abu Sliman złapał już taksówkę, a Muhammad miał zrozpaczoną minę.

— *Jalla, ja nas!* Chodźcie, przyjaciele.

Okazało się, że nie był to nasz długo wyczekiwany *szajch*. Nasz wypoczywał w domu, korzystając z wolnego dnia. Mieszkał na jednym ze wzgórz, Dżabal al-Luwajbda, a ponieważ w mieście nie było tabliczek z nazwami ulic ani z numerami domów, bez przewodnika nigdy byśmy go nie znaleźli. Jednak *szajch*, który się pojawił, nie chciał nas do niego zaprowadzić, ponieważ za dwadzieścia minut miał wezwać wiernych do modlitwy.

Tym bardziej musieliśmy się spieszyć! Pomyślałam nawet, że powinniśmy go porwać. Może dostrzegł w naszych oczach desperację. W każdym razie poddał się i w rozwianej szacie wskoczył do taksówki. Ścieśniliśmy się na tylnym siedzeniu i kiedy taksówka przemykała się wąskimi zaułkami, dziękowaliśmy mu wylewnie „*Szukran, szukran*”.

— To tu! — zawołał. Muhammad zapłacił taksówkarzowi za odwiezienie szajcha z powrotem do meczetu, żeby zdążył na czas wezwać wiernych do modlitwy. Ja nawet o tym nie pomyślałam. Właśnie miałam wyjść za mąż. Miałam głowę zaprzątniętą zupełnie czymś innym.

— *Ahlan wa-sahlan* — powitała nas kobieta i zaprosiła do środka. Pomieszczenie było czymś pośrednim między poczekalnią a biurem. Usiedliśmy naprzeciwko siebie na wyściełanych krzesłach i nad szklanymi stoliczkami do kawy wymienialiśmy tylko spojrzenia. Wreszcie pojawił się nasz szajch. Musieliśmy zrobić mu miejsce, żeby precyzyjnie się do swojego wypolerowanego biurka z ciemnego drewna. Ściana za biurkiem zastawiona była regałami pełnymi książek, na pozostałych ścianach rozwieszono przetykane złotem tkaniny, na których widniały wersety ze Świętego Koranu.

Szajch nie miał do nas pretensji, że obudziliśmy go z drzemki. Wiedząc, że przybyliśmy do niego aż z Petry, poprosił żonę, żeby podała nam herbatę i kawę — podróżujący bowiem są zwolnieni z postu. (To akurat, pomyślałam, niezła koncepcja). Był całkiem zwyczajnym mężczyzną w średnim wieku i chociaż miał na sobie nakrycie głowy oraz ceremonialne szaty, a jego blada cera świadczyła, że większość czasu spędza w domu, czułam się przy nim dość swobodnie.

Szajch szybko zorientował się, że nie musi rozmawiać z reprezentującym mnie mężczyzną. Miałam dwadzieścia dwa lata, więc w świetle prawa mogłam odpowiadać sama za siebie. Ja również chciałam im udowodnić, że jestem

całkowicie zdolna do podejmowania samodzielnych decyzji, zwłaszcza co do mojej przyszłości, i nie musi tego robić za mnie mój ojciec, brat czy wuj. List, w którym zwierzyłam się z moich planów mamie i tacie, jeszcze nie dotarł do Nowej Zelandii. To było moje życie i raczej nie myślałam o rodzicach.

Szajch mówił całkiem poprawnie po angielsku. W trakcie wypełniania świadectwa ślubu, oświadczył:

— Jesteś chrześcijanką i nie musisz przechodzić na islam, żeby wyjść za muzułmanina, ale jeśli chcesz zmienić wiarę, mogę wystawić ci również takie zaświadczenie.

Chrześcijaństwo... Islam... Wiara nie za bardzo mnie obchodziła. Owszem, zmieniałabym ją, gdyby to było konieczne, żeby wyjść za męża lub gdyby Muhammad nalegał (islam był dla niego ważny, choć nie modlił się ani nie pościł). Miałam jednak możliwość wyboru. Islam, mahometanie[13], muzułmanie... nie miałam zielonego pojęcia, co to tak naprawdę znaczy.

— Jeśli nie muszę zmieniać wiary, pozostanę przy swojej — powiedziałam, świadoma, że małżeństwo jest już i tak dostatecznie poważną zmianą jak na jeden dzień. Przynajmniej w żadnej wierze nie będę hipokrytką.

— A teraz proszę wymienić dwie kwoty, które zostaną wpisane w waszym kontrakcie małżeńskim — zwrócił się do nas *szajch*. — Pierwsza z nich to *mahr*, którą zwykle mąż płaci rodzicom wybranki. Zgodnie z prawem suma ta nie może być mniejsza niż ćwierć dinara. (Ja nazywałam ją ceną za pannę młodą, ale w rzeczywistości był to rodzaj posagu pana młodego. Jeśli rodzina panny młodej przystała na taką sumę, zobowiązana była zrewanżować się podobną kwotą: na przykład dostarczyć wyposażenie domu równoważne tej sumie. W przypadku bardzo niskiego *mahru* rodzina panny młodej wręczała zwykle symboliczne ćwierć dinara).

Muhammad nie chciał jednak podać ceny.

Zastanawiałam się, ile mu jeszcze zostało pieniędzy. Po ciągłych podróżach w tę i z powrotem pewnie niewiele.

— Pięć dinarów — zaproponowałam nieśmiało.

Niewielka suma nie zaskoczyła szajcha, który zapisał ją i nawet nie poprosił Muhammada o wręczenie tej kwoty.

— Druga suma, którą zapiszę, dotyczy sytuacji, gdyby doszło do rozwodu — oświadczył. Chciałam mieć pewność, że istnieje możliwość rozwodu, ale nie miałam pojęcia, że będzie on tematem uroczystości ślubnej! Pośpiesznie udzielono mi wyjaśnień:

— Jeśli Muhammad zechce się rozwieść, będzie ci musiał wypłacić konkretną sumę. Jeśli ty zażadasz rozwodu, wtedy ty będziesz musiała mu zapłacić. Musicie uzgodnić sumę, i to koniecznie teraz.

To była poważna kwestia. Znałam Muhammada zaledwie od paru miesięcy, więc pomyślałam, że suma powinna być na tyle wysoka, abym mogła dojechać do Ammanu i przeżyć tam przez pewien czas, gdyby Muhammad postanowił mnie wyrzucić. Z drugiej strony powinna być na tyle niska, żebym była w stanie uzbierać ją, gdyby coś poszło nie tak i sama chciałam od niego odejść.

Nie mogłam uwierzyć, że potrafię tak chłodno kalkulować.

— Pięćdziesiąt dinarów — zdecydowałam, żywiąc nadzieję, że nigdy nie będę musiała sprawdzać, czy to słuszny rachunek.

Szajch zapisał podaną sumę i mówił dalej.

— Wszystkie inne uzgodnienia również powinny być poczynione teraz. Niektóre pary mówią o domu...

Zastanawiałam się, czy to oznacza, iż powinniśmy zapisać, że Muhammad kiedyś wyjedzie ze mną do Nowej Zelandii, ale Muhammad przerwał szajchowi.

— Zaufaj mi, nie musisz nic więcej zapisywać — powiedział do mnie.

Podpisaliśmy świadectwo ślubu. Awaz i Abu Sliman byli naszymi świadkami, a szajch wielką pieczęcią uprawomocnił dokument. A ja pozostałam przy nazwisku van Geldermalsen.

Na ulicy Muhammad powiedział z szerokim uśmiechem na ustach:

— Teraz nie mam pieniędzy. Później dam ci twoje pięć dinarów.

Awaz, nasz świadek, często później żartował, że Muhammad nie wręczył mi nawet *mahru*. I choć Muhammad nigdy nie dał mi *tych* pięciu dinarów, wkrótce wszystkie pieniądze były *naszymi* pieniędzmi. Nigdy nie nauczyłam się wydawać ich tak beztrudnie jak Muhammad i wielokrotnie gderałam, że jest za rozrzutny i wyrzekałam na jego zakupy. W końcu jednak cieszyłam się z jego czasem ekstrawaganckich wydatków, i z równą radością korzystałam z zysków, kiedy odsprzedawał nietrafione rzeczy.

Teściowie

Kiedy następnego dnia około południa wreszcie wróciliśmy do domu, poniżej naszej jaskini stał namiot z czarnej tkaniny.

Wynajęliśmy ciężarówkę, która przywiozła nas z Wadi Musa. Kierowca zgodził się pojechać wąską drogą, wijącą się wokół wzgórza tuż obok naszej jaskini. Była to boczna droga odchodząca od głównej, prowadziła do miejscowości położonych na południu i na zachodzie. Zawsze myślałam, że to ścieżka tylko dla ludzi i osłów, bo nigdy wcześniej nie widziałam na niej samochodów. Muhammad wyjaśnił, że korzystano z tej drogi podczas wykopalisk w Al-Katuta, nabatejskim wysypisku śmieci w południowej części antycznego miasta, więc była na tyle szeroka, że mogły po

niej jeździć auta. Co prawda kilkakrotnie wysiadał podczas podróży, aby usunąć leżące na drodze kamienie.

Widząc, że się zatrzymujemy, siostry Muhammada z rozczochranymi włosami wbiegły z piskiem do namiotu. Kiedy wdrapywaliśmy się na wzgórze, jego ojciec wyszedł nam naprzeciw.

— Możesz mówić do niego Amm, wuju — powiedział Muhammad — i pocałuj go w rękę.

Nawet nie pomyślałam o moich teściach, nie mówiąc już o całowaniu w rękę. Nie mogłam tego zrobić. Wyduśiłam z siebie „*marhaba*” i złapawszy go za rękę, uścisnęłam z całej siły. Chyba patrzyłam mu przy tym w oczy. Nie był wyższy od Muhammada i byli do siebie dość podobni, choć miał trochę węższą twarz, a wąsy dłuższe i szersze. Jego krzaczaste brwi także były inne niż u mojego męża, wydawały się zarastać cały łuk brwiowy, natomiast u Muhammada były zaznaczone delikatną kreską, tuż nad powiekami. Kiedy się do mnie uśmiechnął, chociaż nie złożyłam tradycyjnego pocałunku na jego dłoni, na policzkach pojawił się identyczny jak u syna rumieniec.

Muhammad mieszkał sam i choć poznałam jego rodzinę mieszkającą daleko stąd, w Al-Bajda, nigdy tak naprawdę o nich nie myślałam, nie wspominając już o tym, abym wyobrażała sobie, że zagoszczą w moim życiu. A oto i oni, nasi najbliżsi sąsiedzi, tak bliscy, że bliższych trudno sobie wyobrazić.

Matka Muhammada zmarła przed dwunastoma laty, ale jego ojciec ożenił się ponownie i teraz jego nowa żona, a macocha mojego męża, wyszła nam na spotkanie i powitała nas pocałunkiem w oba policzki. Była wyższa od męża, prawie tak wysoka jak ja. Miała gładkie, smagłe policzki, a na czole i wokół ust wytatuowane jasnoniebieskie kropki oraz półkola. Poczułam bijący od niej zapach kóz, dymu drzewnego i miejscowego tytoniu. Jej imię składało się z serii niewyobrażalnych dźwięków i za wszelką cenę

staralam się go nie wymawiać. Jej drobniutki synek o imieniu Lafi uściskał mi z powagą rękę. Choć nikt nie zwracał się jeszcze do niej Umm Lafi, imieniem, które przybrała później, po śmierci męża Abdallaha w 1987 roku, ja będę tutaj używała tego imienia.

Za każdym razem, gdy pytano mnie, co rodzina Muhammada myślała o jego małżeństwie z cudzoziemką, odpowiadałam lekko: „Chyba byli zadowoleni, że znalazł żonę... i że nie musieli za nią płacić!”, bo z reputacją playboya i bez stada owiec czy kóz nie miał czym zaimponować potencjalnemu teściowi. Natomiast nie zdawałam sobie sprawy z tego, że żona cudzoziemka uznawana jest za całkiem niezłą partię.

Małe dziewczynki pobiegły za nami do jaskini, obserwując każdy nasz ruch szeroko otwartymi oczami. Muhammad powiedział mi, że on sam był dla swoich przyrodniczych sióstr nowością, ponieważ rzadko się widywali, ja natomiast poczułam ulgę, gdy następnego dnia teściowie przenieśli się znowu do Grobowca Pałacowego. Mniej więcej po tygodniu właśnie tam odbyło się nasze wesele. Na szczęście to był ich obowiązek, bo ja nie miałam żadnych oszczędności, odłożonych na uroczystości weselne. Z nami czy bez nas, każdego wieczoru moi teściowie częstowali herbatą i kawą przybyłych gości i zachęcali mężczyzn do tańca. Choć nie wysyłano oficjalnych zaproszeń ani na tańce, ani na ucztę, mającą odbyć się czwartego dnia świąt wypadających na koniec ramadanu, czyli czwartego dnia Id, to wieść musiała się nieść pocztą pantoflową, bo za każdym razem, kiedy przychodziliśmy do teściów, zastawaliśmy pełno gości, a długo po naszym wyjściu niosło się echo tradycyjnego *samaru*, odbijające się wśród skał.

Bardzo szybko przekonałam się, że choć nie mówiłam po arabsku, nie potrafiłam wydoić kozy, upiec chleba czy rozpalić ogniska ani też nie byłam gotowa przeprowadzić

się do teściów, by się nimi opiekować, oni wciąż pragnęli wyprawić wesele, o którym jeszcze przez lata będzie się opowiadało.

Geografia i historia starożytna

Któregoś wieczoru ze szczytu wzgórza nasłuchiwałam odgłosów naszych uroczystości ślubnych.

Gdy Muhammad powiedział: „Idziemy do Miejsca Ofiarnego?“, zabrzmiało to raczej jak rozkaz, a nie propozycja. Wiedziałam, że Miejsce Ofiarne to jedno z ważniejszych w Petrze, tak samo jak Klasztor. Wiedziałam też, że nie leży daleko. Nie miałam jednak ochoty wspinać się pod górę z powodu jakiegoś zakątka o tak enigmatycznej nazwie.

— *Jalla habibti*. Chodźmy, skarbie — powiedział Muhammad. Tymi słowami ostatecznie rozwiał moje wątpliwości i wyruszyliśmy w drogę.

Zwinęliśmy śpiwór, kupiliśmy papierosy Gold Star, topiony ser i puszkę sardynek z otwieraczem, wstąpiliśmy też do namiotu z czarnej tkaniny, prosząc o kawałek świeżo upieczonego *szraka* i zaczęliśmy się wspinać dróżką za naszą jaskinią.

Nie była to trasa turystyczna, choć widoki były wspaniałe. Była to po prostu najkrótsza droga z naszej jaskini na szczyt. Pięliśmy się w górę. Przedzieraliśmy się wśród, ponad i wokół dzieł sztuki rzeźbionych i rytych w czerwonym i brązowym piaskowcu, podziwialiśmy niezwykle, białe i brązowe formy fal i wirów, wchodziliśmy do jaskiń, wspinaliśmy się kominami i wreszcie szliśmy długimi, krętymi korytami potoków. Muhammad ze śpiewem na ustach pomagał mi wchodzić pod górę i wiódł mnie wykutymi korytarzami. Na jedną ze ścian wspiął się, opierając się na moim ramieniu, po czym

podciągnął mnie za sobą bez wysiłku, tak jakbym była lekka jak piórko, co bez wątpienia podniosło moją samoocenę. Piołun, jałowiec oraz rośliny, których nazw nie znałam, wczepione w skalne szczeliny stały się pod naszymi stopami niczym pachnący górami dywan. Spłoszone jaszczurki szeleściły wśród suchej trawy i skrobały cicho, wspinając się po skałach.

Dotarliśmy w końcu na czerwonawy płaskowyż i odpoczęliśmy chwilę, siedząc na grani z nogami zwieszonymi nad przepaścią. W dole rozciągała się niezwykła panorama Petry. Widzieliśmy zwietrzałe skały przy wejściu do naszej jaskini oraz namiot rozstawiony specjalnie na nasze wesele. Patrzyliśmy na dziewczyny, jadące na osłach objuczonych metalowymi kanistrami, na kozy, podążające za stadem, na zbieraczy chrustu, jeźdźców jadących stępa oraz sprzedawców pamiątek — Beduini wracali do domu. Koczownicze plemię Beduinów, do którego wkrótce ja sama miałam należeć.

Ledwie wiedziałam, co to znaczy być Beduinem, a już na pewno nie potrafiłam tego opisać. Wiele rodzin mieszkało w Petrze na stałe i nie tułało się po pustyni ze stadami dojnych kóz w poszukiwaniu wody i pożywienia, ale wciąż uważało się za Beduinów. To była kwestia rasy i rodu, zależała od dziadów i pradziadów, a nie od miejsca zamieszkania. Mieszkańcy Petry, których znałam, czuli się bardziej związani z innymi plemionami Beduinów niż z rolnikami z Wadi Musa (którzy także hodowali kozy, a w lecie mieszkali w wełnianych namiotach) czy Cyganami (oni również przemierzali pustynię, żyjąc z drobnego handlu, ale Beduini patrzyli na nich z góry jak na ludzi pozbawionych korzeni).

Tę kwestię komplikował również fakt, że Muhammad urodził się w jaskini w Dolinie Klasztoru, ale nie pochodził z plemienia Bdul, jak inni mieszkający w Petrze, tylko z Al-Manadża, które koczowało w Ras an-Nakb, dalej na

południe. Ojciec Muhammada przeniósł się do Petry pod wpływem żony, która wychowywała się z plemieniem Bdul, odkąd jej matka po śmierci męża z plemienia Al-Manadza wróciła do Petry. Jeśli chodzi o akceptację społeczną, nie robiło to dużej różnicy, bo wszystkie dzieci Abdallaha uważano za Bdulów, jednak fakt ten miał subtelny wpływ na nasze życie. Muhammad nie miał wokół siebie krewnych. Nie żył więc pod presją wujów, którzy radziliby mu, co trzeba zrobić, czy kuzynów, za których błędy czy występki musiałby finansowo odpowiadać. Co ważniejsze, nikt nie czuł się zobowiązany, aby go swatać. Zostałam przyjęta z otwartymi ramionami i zaakceptowana przez wszystkich, ale długo nie rozumiałam tego, że poślubiając Muhammada, stałam się częścią społeczności i już nigdy nie będziemy sami: tylko on i ja.

Rozbiliśmy obozowisko. Jedzenie powiesiliśmy na gałęzi jałowca, a resztę rzeczy położyliśmy na pobliskim kamieniu. Następnie wspinaliśmy się jeszcze kilka minut wzdłuż grzbietu góry o miodowej barwie, aż dotarliśmy do dawnego miejsca ofiarnego Nabatejczyków, zwanego również Wysokim Miejscem. Nie było tam żywej duszy.

Miejsce Ofiarne w niczym nie przypominało Klasztoru. Była to wykuta w ścianie góry fasada, którą Muhammad nazywał Miejscem Rzezi, czyli Mazbah. Nabatejczycy musieli skuć cały zaokrąglony szczyt góry piaskowej, aby stworzyć to miejsce. Pozostawili ławę, ogradzającą z trzech stron kamienne łoże. Trochę na zachód znajdowało się skalne podwyższenie z wyłobioną misą i małym odpływem oraz ołtarz wyrzeźbiony w sięgającym mi do pasa kamieniu o szerokości moich bioder. Stworzenie takiej konstrukcji wymagało drobiazgowego planowania i niezłej kalkulacji, aby przypadkiem nie skuć zbyt wiele.

Muhammad zajrzał do niewielkiego rowu za ołtarzem w poszukiwaniu butelek pepsi. Wyjaśnił, że zawsze je tam trzymał, a później sprzedawał turystom. To było jedno z

jego dodatkowych źródeł dochodu.

Pewnie robił tak jakieś dziesięć lat temu, kiedy pracował jako kelner w „Obozowisku Nazzala”. Podając gościom śniadanie, dowiadywał się, dokąd zamierzają się wybrać — rano zazwyczaj wybierali Miejsce Ofiarne. Gdy tylko uprzątnął talerze, zarzucał na plecy tobolek wypchany napojami w ilości wystarczającej dla wszystkich i pędził na skróty. Turyści zwykle korzystali ze schodów wykutych specjalnie dla rzeszy odwiedzających wiernych, ale tak czy inaczej, każda droga na szczyt była stroma. Muhammad miał ze sprzedaży całkiem niezły dochód. Nie zabierał na dół otwartych butelek, ale chował je na potem. Po obiedzie grupa zwykle szła do Klasztoru i on również. Gdy udało mu się zgromadzić skrzynkę pustych butelek, pożyczał osła i szedł do sklepu Hadździ Nassira w Wadi Musa, aby wymienić je na pełne, a potem pędem wracał do hotelu, żeby podać obiad.

Chyba dobrze liczył swoje butelki, ponieważ nie znaleźliśmy ani jednej.

Siedzieliśmy przez chwilę na ołtarzu, rozkoszując się rześkim, wieczornym powietrzem. Nad naszymi głowami krążył sokół, a jaskółki czy jerzyki przeczesywały powietrze w poszukiwaniu owadów. Przez kolejne lata stopniowo zapamiętywałam nazwy otaczających nas gór, ale tamtego dnia Muhammad pokazał mi je po raz pierwszy.

Masyw Asz-Szarah, rozciągający się z północy na południe wzdłuż wschodniej części Jordanii, odcinał nas od reszty świata. Ta szarzielona plama gajów oliwnych i budynków w dole to miejscowość Wadi Musa. Trochę bliżej, tak blisko, że zdawać by się mogło na wyciągnięcie ręki, widniały nagie skalne puffy Dżabal al-Chubsa. Rozciągający się na południu, osłonięty od wiatru masywem Asz-Szarah płaskowyż nazywał się Hurajmijja, a ten jaśniejszy, położony jeszcze niżej, ciągnący się dalej na zachód, to Stauh. W oddali góry odciskały wyraźny cień na

zachodzącym słońcu. Trzynastowieczny meczet miał niemal identyczny kształt jak góra Dżabal Harun, na której został wzniesiony. Al-Barra, Umm al-Bijara, Umm Zajtuna i Umm Sajsabana zlewały się na północy z Umm Sajhun, długim, różowawym grzbietem górskim, ciągnącym się na wschód i sięgającym do połowy masywu Asz-Szarah, i tak się zamykał krąg.

Po powrocie do naszego obozowiska wśród krzaków jałowca zebraliśmy chrust. Muhammad, podśpiewując, zrobił nam herbatę. W świetle gwiazd jedliśmy *szrak* oraz sardynki. Tuż nad naszymi głowami znajdowała się Droga Mleczna. A w Wadi Musa zapadły ciemności.

— Wyłączyli generator — wyjaśnił Muhammad.

W promieniu setek kilometrów nie było elektryczności, niebo nad nami rozświetliło się blaskiem tysiąca gwiazd. To jest Wadi al-Halib (mleczna dolina), wyjaśniał Muhammad, tu Gwiazdozbiór Oriona, a tam Gwiazda Północna. Przypomniała mi się piosenka The Eagles „Peaceful, easy Feelin”. „Chcę dzisiejszej nocy spać z Tobą na pustyni z milionem gwiazd wokół nas” — zawodziłam. Słyszał mnie tylko Muhammad. Nie mógł ocenić, czy fałszuję czy nie. Ja miałam wrażenie, że śpiewam perfekcyjnie. Przy dobiegających z oddali dźwiękach pieśni weselnych oraz ujadaniu psów zasnęliśmy na kocu ułożonym na materacu z igieł jałowca oraz piasku.

O poranku obudziły mnie pierwsze promienie słońca. Utonęłam w głębokiej ciszy. Przez chwilę żyliśmy w naszym własnym świecie. Dudek nastroszył piórka, zamachał skrzydłami i odleciał. Z wolna zaczęły do nas dobiegać coraz wyraźniejsze odgłosy dnia: porykiwania osła, monotonne nawoływanie pasterza poganiającego kozy, klekot podków koni stąpających wężozem. Na szczycie Miejsca Ofiarnego świergot ptaków budził świat do życia. Musieliśmy wstawać. Muhammad miał się zająć przygotowaniami do ślubu, więc po śniadaniu składającym

się z dzbanka herbaty, chleba i sera wyruszyliśmy z powrotem do naszej jaskini.

Moje wielkie beduińskie wesele

Czasu było mało. Na szczęście Muhammad nie narzekał na brak chętnych do pomocy w przygotowaniach do naszego ślubu. Okazało się, że oprócz dziewięcioletniego Lafiego byli jeszcze dwaj bracia, Salim i Ibrahim. Obaj byli synami Agaili, przypominali zatem Muhammada, a sami byli do siebie podobni jak dwie krople wody. Przez długie lata nie potrafiłam ich odróżnić, chyba że siedzieli obok siebie. Kiedy przyjaciele Muhammada zajmowali się głównie nakłanianiem mnie do małżeństwa, jego dwaj bracia pracowali dla chińskiej firmy, Szarika Sinijja, budującej drogę wzdłuż Wadi Araba, od wybrzeża Morza Martwego, gdzie wytwarzano potaż, aż do portu w Akabie. Po weselu zabrali manatki i wyruszyli do pracy przy budowie innej drogi, później zdarzało się jednak wielokrotnie, że obaj nie mieli żadnej pracy.

Salim, Ibrahim, Lafi oraz reszta naszej *niszamy*[14] (chłopcy w *saubach* i *mindilach*, z oczami podkreślonymi *kuhlem*) bawili się doskonale, przygotowując wesele. O poranku wychodzili w góry, a wieczorami, gdy pasterki pędziły kozy do domu, przyjeżdżali na osłach objuczonych drzewem na opał.

Siostry Muhammada, Nida i Mariam, były jeszcze małe, ale Tuflih i Inzila zajęły się dostarczeniem wody. Bez przerwy kursowały na osłe do źródła i przywoziły stamtąd pełne kanistry, z których przelewano wodę do czterdziestogalonowego zbiornika.

Pożyczono ogromne gary oraz aluminiowe *sidry* (okrągłe tace o średnicy koła rowerowego) i ułożono je obok namiotu. W okolicznych jaskiniach i namiotach wyproszone

także wypchane wełną kołdry *oraz farsze*. Martwiłam się trochę, bo wyglądały na nowiutkie: pokryte śnieżnobiałą bawełną oraz jasnymi satynowymi poszewkami. Umm Lafi złożyła je wzdłuż na pół tak, że przypominały grube wałki i składowała je jedną na drugiej na niskiej, drewnianej szafce, która zamiast czwartej, wyłamanej nogi, miała podstawiony kamień. Najmniejsze nieumyślne potrącenie sprawiało, że pościel łądowała na podłodze, na której wraz z grupką przyjaciół bawiły się Nida i Mariam. O zapasach cukru, kawy, herbaty, słodyczy, ryżu oraz nabożów, które należało zdobyć, nie wiedziałam nic, póki później nie musiałam spłacić części zaciągniętego kredytu.

Pewnego chłodnego wieczoru, który był miłą odmianą po upalnym dniu, poszłam razem z Muhammadem do Urgub Dźmi'an po namiot. Rodzina obiecała nam pożyczyć go na wesele. Sami przeprowadzili się pod cienisty łuk na półce skalnej, gdzie wiał przyjemny, odświeżający wietrzyk. W pobliżu znajdowały się resztki starej wieży strażniczej, pozostałości po murach dawnego nabatejskiego miasta.

Urgub Dźmi'an to grzbiet w kształcie zakrzywionej goleni. Beduini tworzą wiele nazw, używając określeń związanych z anatomią, zresztą nie tylko ludzką: Ras an-Nakb to głowa skarpy, Fam al-Wadi — usta doliny, Az-Zanab oznacza ogon (góry), Batn al-Wadi to brzuch doliny, Az-Zira — przedramię (jest to grzbiet tak długi jak *urgub*, ale bardziej płaski). Takich nazw jest pewnie znacznie więcej.

Gromada pomocników szybko złożyła namiot oraz zwinęła go wokół drewnianych palików, tworząc ogromny, czarny wałek. Słupki służyły jako uchwyty do podniesienia namiotu i wrzucenia go na osła. Biedne, objuczone zwierzę całkiem zniknęło pod ogromnym tobołkiem. Na drugiego osła załadowano liny, worek z żelaznymi śledziami oraz

mniejszy wałek — tylną ścianę namiotu — i wyruszyliśmy z powrotem do domu. Muhammad i ja maszerowaliśmy, a Salim i Ibrahim pędzili osły. Wyglądali, jakby pchali toczące się taczki. Trzymali się drewnianych drążków i, przeklinając, odpędzali biegnące obok dzieci, które chcąc popędzić osły, krzyczały i machały rękami. Oczywiście naszym obładowanym do granic możliwości zwierzętom, wyglądającym tak, jakby się miały zaraz załamać pod dźwiganym ciężarem, takie wrzaski wcale nie były w smak i szły coraz bardziej rozdrażnione.

Trzy namioty weselne ustawiono obok siebie, frontem do Grobowca Pałacowego, zwanego przez Beduinów Umm Sanadig — Matką Skrzyń, ponieważ mieszczą się w nim wielkie, przypominające skrzynie komnaty. Umm Sanadig to wysoka na pięć czy sześć pięter, niemal kwadratowa budowla. A jednak w porównaniu z Dżabal al-Chubsa, skałą, w której ją wykuto, wygląda niepozornie. Podczas wesela sylwetki mężczyzn tańczących w świetle lamp naftowych rzucały cienie na starożytną fasadę. Między grobowcem a namiotem ciągnął się płaski teren przypominający pole, ale nieporośnięty trawą. Ongiś Bdulowie, oczyściwszy pole z kamieni, siali tu oraz w innych równie płaskich miejscach w dolinie zboże; ostatnio jednak Wydział do spraw Zabytków zabronił orki i uprawy roli w obrębie murów dawnego miasta.

Wszystkie trzy namioty połączono ze sobą. Jeden z nich przeznaczono dla kobiet, na żywność, posłania oraz bębny wodne[15]. Stał z dala od reszty, które wspólnie tworzyły *szig* (pomieszczenie dla mężczyzn). Odgradzony był wspaniałą wełnianą tkaniną w biało-czarne geometryczne wzory, zwisającą od tylnej ściany namiotu aż do przytwierdzonych z przodu lin.

Muhammad zabrał mnie również do Wadi Musa, żebym

kupiła dla siebie *mudragę*, suknię podobną do tej, którą pożyczyła mi Hajjaja na wesele Rachijji. Nie przeszkadzało mu, że normalnie chodzę w džinsach czy spódnicy i bluzce, ale wyglądało na to, że jego macocha, Umm Lafi, ma odmienne zdanie. Choć nie łączyły jej z Muhammadem więzy krwi, starała się go traktować jak własne dziecko. Gdyby jego narzeczona była Beduinką, musieliby uszyć dla niej całą skrzynię nowych ubrań, które panna młoda później pokazywałaby z dumą wszystkim weselnikom. Jeśli przynajmniej miałabym na sobie nową sukienkę, Umm Lafi zachowałaby twarz.

Zwykle suknie należy zamawiać z wyprzedzeniem, ponieważ szyte są na miarę, a przyozdabianie haftami i cekinami trwa przez całe tygodnie, więc mieliśmy dużo szczęścia, że udało nam się załatwić *mudragę* dla mnie w ciągu jednego dnia. Zawdzięczam to zmysłowi handlowemu Jusry: sprzedała mi sukienkę, którą właśnie skończyła szyć dla siebie. Od tamtej pory Jusra była moją ulubioną krawcową. Prosto skrojona *mudraga* uszyta była ze sztucznego materiału w pięknym granatowym kolorze, a złoto-brązowy maszynowy haft wokół dekoltu w kształcie litery V oraz przy rękawach i na dole dodawał jej szyku. Suknia była dla mnie trochę za krótka, ale kiedy młoda dziewczyna częstowała nas herbatą, Jusra odpruła rękawy, dosztukowała trochę materiału na ramionach i przyszyła je z powrotem. *Mudragi* zwykle nie mają rękawów, ale tak czy siak, należało coś pod nią włożyć ze względu na głęboko wycięty dekolt. Na szczęście muślinowa bluzka, którą kupiłam podczas pierwszej wyprawy na londyńską Carnaby Street, pasowała jak ulał. Poczułam się wreszcie jak prawdziwa panna młoda.

Większość czasu spędzaliśmy w namiotach weselnych, chociaż dni były bardzo upalne. Zwykle Muhammad krzątał się i pomagał w przygotowaniach, ja natomiast sadzałam sobie Mariam i Nidę na kolanach i bawiłam się ich

umorusanymi paluszkami w „This little piggy went to market” (Sroczka kaszkę warzyła...). Czasem pogrążałam się w moim własnym świecie.

Zdarzało się też, że sama byłam źródłem rozrywki. Tylną część namiotu podciągnięto do góry i zaczepiono o drążki, przez otwór wpadał ożywczy i świeży podmuch bryzy z *wadi*. Nietrudno było dostrzec, że przywiązany do namiotowego palika osioł dostał wzwołu.

— *Hamar mabsut* (osioł jest szczęśliwy) — powiedział ostrożnie mój przyszły szwagier Ibrahim, a ja zdałam sobie sprawę, że rozumiałam jego słowa. Zakłopotanie rozładowaliśmy wybuchem śmiechu.

Wciąż znałam zaledwie kilka słów po arabsku. Nie umiałam sobie wyobrazić, jak mam się nauczyć tego języka. Brzmiał dokładnie tak, jak wyglądał w zapisie na papierze — muzykalnie i potoczyście, ale zupełnie niezrozumiale, więc byłam zaskoczona, że w końcu udało mi się rozpoznać i zrozumieć jakiś dźwięk. *Mabsut* (szczęśliwy) to jedno ze słów, których nauczyłam się najwcześniej, ponieważ wszyscy w kółko pytali mnie o to. Miałam dużo większy problem ze słowami oznaczającymi „szwagra” i „osła”. Dla mnie brzmiały one identycznie: *hamar*[16], przynajmniej ja je tak zapamiętałam. Próbowałam wychwycić różnicę i wymówić je poprawnie, gdy dowiedziałam się, że literę ‘h’ można wypowiedzieć na trzy różne sposoby. Tymczasem do moich szwagrów wołałam zwracać się per „Bracie Muhammada” lub po prostu Salim i Ibrahim, aby przypadkiem nie nazwać ich osłami. Był to dla mnie duży kłopot, bo gdy kupiliśmy już naszego własnego osła, którego puszczaliśmy luzem na wypas, a ja potem musiałam go szukać po okolicznych wzgórzach, nikt nie wiedział, czy pytam o osła czy o szwagra. Tak było do chwili, kiedy odkryłam, że różnica nie miała nic wspólnego z wymową „h”, ale z „r” — w słowie „szwagier” go nie było. Wymawiało się je po prostu *hama*.

Każdego wieczoru tuż po zachodzie słońca wokół ogniska gromadził się tłum. Goście siedzieli na *dżannabijach*, a potem tańczyli do późnej nocy. Trzeciego dnia Id[17] przyjęcie tak się rozkręciło, że przez następne dwa dni aż do końca wesela prawie nie widywałam Muhammada.

Goście stopniowo przybywali, wszyscy z oczami pomalowanymi *kuhlem*. Matki przychodziły z dziećmi. Niemowlęta grzecznie spały w chustach przywiązanych na matczynych plecach, trochę starsze dzieci sadzano na posłaniach przytroczonych na grzbietach osłów, a mali chłopcy często prowadzili jeszcze na postronku owcę lub kozę, stanowiącą raczej wkład aprowizacyjny niż prezent ślubny. Niektóre z rodzin przynosiły worki z ryżem czy cukrem, a jedna z kobiet mieszkająca blisko wioski przytaszczyła skrzynkę świeżych pomidorów. Worki rozłożono wzdłuż ścian namiotu i wieczorami zasiadano na nich. Posłania i pościel leżały w rogu. Małoletni ochotnicy, chłopcy i dziewczęta, prowadzili osły objuczone kanistrami do źródła, żeby napełnić je wodą i zaspokoić pragnienie biesiadników. Zawsze było jej za mało jak na taką liczbę gości. Dzieciaki wykorzystywały ten pretekst, aby wyrwać się spod opieki dorosłych i trochę odpocząć w chłodnej i cienistej o tej porze dolinie.

Ja włóczyłam się wszędzie jak ciekawska i wszędobylska turystka, ale zwykle spędzałam czas w namiocie kobiet, bacznie obserwując rozwój wydarzeń. Nikt się chyba mną nie przejmował i, prawdę mówiąc, czułam się zupełnie ignorowana.

Natomiast Muhammad był zaaferowany: z rozwianymi frędzlami witał gości rodzaju męskiego: *buzi, buzi, salam, salam* następnie usadzał ich w *szigu*, w którym oprócz materaców i poduch nic nie było. Naprzeciwno, tuż obok otoczonego kamieniami ogniska, Muhammad postawił tacę ze szklankami do herbaty oraz misę z wodą na metalowym

stoliku przyniesionym z naszej jaskini. Ibrahim i Salim podawali herbatę i kawę przy ognisku, ale gdy tylko zjawili się młodsi, żeby ich zastąpić, wymykali się po wodę.

Mężczyźni nie zaglądali do namiotów kobiet, ale wielu z nich przyniosło strzelby, które podawali kobietom ponad zasłoną, żeby ukryły je w pościeli.

Nida i Mariam oraz kilkoro innych dzieci z pobliskich namiotów biegały ze śmiechem i piskiem, ale większość małych gości trzymała się wstydliwie sukni swoich matek. Kobiety od razu zabrały się za przesiewanie mąki na ciasto do ogromnej misy. W miarę ugniatania masy śpiew oraz ożywione rozmowy wypełniały namiot. Zrobiło się ciasno, tłoczno i parno. Wszystkie kobiety miały kilka warstw ubrań. Większość nosiła ciemne, aksamitne *mudragi* z ogromną ilością ozdób, haftów i zakładek, które pewnie kiedyś były ekstrawaganckimi rękawami, a później wywinęto je na lewą stronę i zawiązano z tyłu tak, aby odsłonić jasne, wzorzyste suknie. Kiedy podciągały skraj *mudragi*, aby nie unurzać jej w cieście, bądź nie podpalić od ogniska, na którym mieszały zupę w wielkich garach, można było dostrzec ich luźne, sięgające do kolan, kwieciste sukienki; na dodatek nosiły spodnie, plastikowe buty i czarne, nylonowe skarpetki. Tyle warstw! Ja miałam na nogach lekkie, greckie, skórzane sandały, pod spodem skąpą bieliznę, a i tak było mi gorąco. Wszystkie szczelnie zakrywały głowy. Małe dziewczynki nosiły trójkątne, zawiązane pod brodą kawałki materiału, dziewczyny i młode kobiety miały szyfonowe szale w żółtym i niebieskim kolorze, ściśle opięte wokół twarzy. Jak się później dowiedziałam, mężatki z dziećmi nosiły charakterystyczne *misfah wa-asaba*.

Misfah wykonany jest z kilkumetrowego czarnego muślinu, zszytego na końcach, który trzeba najpierw założyć na głowę, później pod brodę, a potem znów z tyłu głowy. Końce wiszą luźno z przodu i razem z warkoczami są

zatknięte za dekolt sukni. Natomiast *asaba* to udrapowany szal, zakrywający czoło i związany z tyłu. Starsze kobiety o pomarszczonych twarzach nosiły głównie miękkie, czarne *asaby*, ale młodsze wybierały zwykle radosne, kolorowe szale zawinięte tak, aby przypominały korony lub tiary. Muhammad i Awaz nazywali je Sid al-Ali na cześć Wielkiej Asuańskiej Tamy.

Nikt nie dobierał kolorów zgodnie z moim poczuciem estetyki. Noszono ciemnoniebieskie *mudragi* z różowym haftem, a pod spodem fioletowo-pomarańczowe sukienki. Wkładano czarne, elastyczne spodnie w czerwone paski pod czarne *mudragi* ozdobione zielonym i pomarańczowym haftem albo brązowe i kasztanowe szale do różowo-zielonych sukienek. W namiocie panowała istna feeria barw.

Okolo południa atmosfera ożywiła się, kobiety wstały i wyciągnęły z pościeli strzelby, które podały mężczyznom. Zawiązały szale, poprawiły sukienki, zebrały się wokół drążków z przodu namiotu, dobrały się w niewielkie grupki i zaczęły tradycyjne śpiewy, na przemian jedna do drugiej. Tuflih pomogła matce rozsypać sznur kolorowych szmatek i przyozdobiła nimi przednie ściany namiotów. Jedna ze śpiewających kobiet przykryła usta ręką i wydała z siebie przeciągłe zawodzenie. Pozostałe kobiety zaczęły ją naśladować, starając się bardzo, aby to wyszło jak najlepiej, a przynajmniej takie miałam wrażenie. Umm Lafi wciągnęła na środkowy słup namiotu *raję*, białą flagę symbolizującą „wyniesienie w oczach Allaha”, aby w ten sposób publicznie ogłosić błogosławieństwo boskie. Muhammad z przyjaciółmi stanęli na wprost kobiet i wystrzelili w powietrze salwy na wiwat. Matki zakryły uszy płaczącym dzieciom. Niemowlęta, ciasno owinięte chustą, wierciły się niespokojnie, a potem znowu zapadły w sen. Echo odbiło się od skał, a zapach prochu długo jeszcze unosił się w powietrzu.

To właśnie była *ghaza*. Nasze zaślubiny się zaczęły i wszystko było teraz w rękach Allaha.

Na obiad podano *fattę* w ogromnych, aluminiowych miskach wielkości kół samochodowych. To tradycyjne danie składało się ze *sizraka* rozmoczonego w *riszufie* (zupie z soczewicy wymieszanej z jogurtem). Umm Lafi polała to wszystko jasnożółtym, sklarowanym kozim masłem. Robiła to bardzo uważnie, pragnęła pewnie pokazać się jako hojna, lecz nie rozrzutna gospodyni, *samin* był bowiem najcenniejszym produktem z koziego mleka, a przy tym niezwykle drogim. Po obiedzie kilku starszych mężczyzn wypoczywało w *szigu*, ale większość *niszama* zebrali się na południe od namiotów, na niewielkim wzniesieniu usypanym z rzeźbionych skalnych bloków. Kiedy wspierałam się na nie z Muhammadem, zrozumiałam, że oprócz pięknej panoramy Petry oraz ruin starożytnych budowli młodzi mężczyźni mieli stamtąd dyskretny wgląd do namiotu kobiet, z czego obie płcie skwapliwie korzystały. Byłam tam jedyną kobietą, ale nie czułam się skrzepowana. Gdy Muhammad odszedł, zostałam razem z Ismainem i Alim F., jego przyjaciółmi, którzy mówili trochę po angielsku. Za nic w świecie nie chciałam przepuścić przedstawienia zaimprovizowanego przez chłopców od koni.

Nazywam ich chłopcami, choć wielu z nich było już mężczyznami. Na życie zarabiali przywożeniem do Petry turystów, a gdy czekali na ich powrót, mieli sporo czasu na różne popisy. Pędząc galopem z Fam al-Wadi wznosili tumany kurzu. Pole naprzeciwko namiotów, na którym kiedyś uprawiano pszenicę, stało się teraz torem wyścigowym i areną pokazową. Piękne konie krwi arabskiej: gniade, kare, palomino i dereszowate stawały przed nami dęba, skakały. Muszle zdobiące tkane kantary oraz ozdoby podpierśników błyszcząły w słońcu, a kolorowe frędzle zwisające z czapraków wirowały wokół końskich nóg. Jeźdźcy nosili *mindile* oraz *sauby* założone na biało-

niebieskie bawełniane bryczesy. Śpiewali i recytowali w rytm galopu, ale dźwięki zagłuszał tętent końskich kopyt.

Niektórzy podjeżdżali parami do namiotu i z rozwianymi frędzlami chust oraz dyndającymi pomponami stukali bacikami w *raję*.

Grupa turystów ze Sri Lanki, pewnie zamożnych biznesmenów, przyszła obejrzyć przedstawienie. Muhammad poczęstował ich herbatą i posadził w *szigu*. Odańczyli specjalnie dla nas tradycyjny taniec ze Sri Lanki, a w rewanżu część *niszama* ustawiła się w rzędzie na słońcu i zademonstrowała, ku uciechu wszystkich, beduiński *samar*, chociaż tańce tradycyjnie odbywali się tylko wieczorami. Natomiast śpiewy nie były ograniczone porą dnia i w namiocie kobiet rozbrzmiewały przez cały czas. Przysiadłam na stercie worków i patrzyłam. Podchodziły do mnie smagłolice kobiety z pomalowanymi na czarno *kuhlem* oczami, dotykały mojej ślubnej sukni, zachwycały się moim zegarkiem (był to zupełnie zwyczajny zegarek, który dostałam od rodziców na piętnaste urodziny) i wciskały mi w dłoń po 500 filsów. Wszystkie te tajemnicze osoby należały do otaczającej mnie egzotyki. Nie postrzegałam ich jako pojedyncze, odrębne osoby, nie wyobrażałam ich sobie jako części mojego przyszłego życia. Żyłam chwilą i w tym momencie miałam tylko jedno życzenie: aby moja sukienka miała kieszę na monety.

Wszyscy śpiewali, pili herbatę i przygotowywali jeszcze więcej zupy i *szraku* na kolację. Salim i jego przyjaciel z mocno pomalowanymi *kuhlem* oczami stali wśród kobiet i dzieci; grali na blaszanych kobzach przy wtórze śpiewających dziewcząt. Muhammad wysłał ich na zewnątrz. Tak minęło popołudnie.

Ciemności zapadły jakieś pół godziny po zachodzie słońca. Tuż po kolacji kobiety wyciągnęły kołdry i dywany; wtedy namiot wypełniły legowiska dla płaczących dzieci. Opuszczono tylną klapę namiotu, aby uchronić śpiących w

jego wnętrzu od chłodnego o tej porze wiatru. Na zewnątrz mężczyźni rozłożyli maty, rozsiedli się i patrzyli, jak młodzi tańczą przed nimi w rzędzie. Taniec był dość monotony, ale zmysłowy. Śpiewali w parach, kołysząc się to w tył, to w przód, prawie nie podnosząc stóp obutych w sandały, od czasu do czasu rozlegało się jedno lub dwa klaśnięcia. Kobiety zamilkły, wsłuchując się uważnie w słowa pieśni. Dzieci pomimo gwaru powoli uspokajały się i zapadały w sen. Odnosiłam wrażenie, że trwa to godzinami. Nie miałam już ochoty na więcej słodkiej herbaty, choć reszta kobiet przycupnięta wokół ogniska parzyła czajniczek za czajniczkiem. Między jednym a drugim tańcem mężczyźni tłoczyli się wokół ogniska, palili papierosy i rzucali spojrzenia na pogrążony w ciemnościach namiot. Patrzyłam na Muhammada, kiedy przyszła jego kolej na tańce. Wyglądał na zupełnie zatopionego w swoim własnym świecie, śmiał się ze swoim towarzyszem, ale nagle jego wzrok padł na mnie.

To dziwne, ale miałam wrażenie, że powietrze między nami zaiskrzyło — nasz wzrok mógł się zetknąć, ale nie my. Potem wielokrotnie tak się czułam, gdy kobiety siedziały oddzielnie od mężczyzn, a Muhammad podchodził do mnie, aby sprawdzić czy wszystko jest w porządku, albo spytać, czy mam ochotę na papierosa. Tak jakby posiadanie „cudzoziemskiej” żony dawało mu przepustkę, glejt na wejście do żeńskiego świata. Wszystkie kobiety wyglądały na takie szczęśliwe na jego widok, wstawały, aby uścisnąć mu rękę albo ucałować jego *mindil*, a ja spokojnie patrzyłam, jak podchodził do mnie, przykucał obok, a ja powstrzymywałam się, żeby nie pogłaskać go po policzku. Musiało mi wystarczyć muśnięcie palców, kiedy podpalał mi papierosa. Muśnięcie jak obietnica.

Dzieci przespały wszystko, śpiewy, przypadkowe salwy

czy podniesione głosy, ujadanie psów, ryczenie osłów — gdyby zawsze spały tak grzecznie, uprawianie miłości i płodzenie kolejnych dzieci w ciasnych jaskiniach byłoby łatwiejsze.

Najlepsze legowiska rozesłano w *szigu* dla mężczyzn, ale ktoś w końcu przypomniał sobie i o mnie. Przyniesiono wypchaną wełną *farszę*, poduchę i śnieżnobiałą kołdrę, które rozłożono na podłodze między śpiącymi kobietami i dziećmi. Kwadratowy materac był za krótki i stopami dotykałam piasku, poduszka pomyślana jako oparcie okazała się twarda jak kamień, a kołdra za ciężka. Miałam na sobie suknię ślubną, więc było mi bardzo niewygodnie. Prawdę mówiąc, czułam się jak księżniczka na ziarnku grochu. Po pewnym czasie położyła się przy mnie jakaś starsza kobieta z brzęczącymi bransoletkami... Wstrzymałam oddech i udawałam, że śpię. Okazało się, że nie był to kolejny tradycyjny obrzęd, chciała po prostu skorzystać z wygodnego legowiska panny młodej.

A wesele wciąż trwa i trwa...

Następnego ranka po ślubie zgodnie z tradycją organizuje się weselny orszak *gtar*, który odprowadza pannę młodą z rodzinnego namiotu do namiotu męża; a zatem, gdy Muhammad zjawił się w naszym namiocie, kobiety otoczyły go ciasnym kręgiem i najwidoczniej błagały, abyśmy mogły przynajmniej przedefilować po piaszczystym polu. Muhammad zgodnie z tradycją rozdał im kupony materiału — tak musiałby się zachować, gdybym miała zostać odprowadzona do jego domu — nie zgodził się jednak, aby kobiety okryły mnie *abq* i paradowały ze mną w upale. Do tej pory zastanawiam się, skąd tak dobrze wiedział, co w moim imieniu robić.

Potworny ryk silnika samochodowego wyciągnął zaintrygowane kobiety i dzieci z namiotu. Przed nami zatrzymała się półciężarówka. Stojący na bagażniku Beduin pogratulował nam, oddając kilka strzałów na wiwat w górę. To ojciec Muhammada witał gości w tak szczególny sposób.

Właśnie przyjechali najbliżsi krewni Muhammada, pochodzący z plemienia Al-Manadża. Wcześniej wysłano Ibrahima z wiadomością o ślubie brata i teraz wszyscy mężczyźni, odświętnie wystrojeni, przyjechali razem z nim w wypożyczonej furgonetce. Kobiety natomiast zostały w obozowisku rozbitym na płaskowyżu Ras an-Nakb, mniej więcej w połowie drogi do Akaby.

Jedyną przedstawicielką płci pięknej była Ataiga, ciotka ojca Muhammada. Wszyscy mężczyźni udali się do *szigu*, a ona, smagłolica i pokryta tatuażami, weszła do naszego namiotu i kazała mi usiąść przy sobie. Rozsiadła się na nowej, wypełnionej gąbką *farszy*, do tej pory starannie złożonej na stercie kołder. Podarowała mi brązowy szal, który zawiązałam sobie wokół głowy oraz dziesięć dinarów,

które zawinęłam w rozek chusty. Kilka młodych dziewcząt dotknęło mojej zakrytej głowy i kiwnęło z aprobatą głową.

— *Kuwajjis* — mówiły.

Muhammad widział, że już zaczynam się nudzić. Był zbyt zajęty, aby mnie zabawiać i wiedział, że od niego nie ucieknę (to ponoć strapienie wielu mężczyzn, którzy zawierają zaaranżowane przez rodzinę, przymusowe małżeństwa), więc odesłał mnie wraz z kobietą imieniem Mariam, która nie mówiła ani słowa po angielsku. Dziewczyna o jasnej cerze i prostej sylwetce prowadziła mnie w dół wzgórza, między namiotami. Była prawie mojego wzrostu. Trochę dalej, w wąskim kanionie, w którym stało upalne powietrze i panowała głucha cisza, zatrzymałyśmy się, aby skorzystać z zarośli oleandrów jako toalety. Następnie wspięłyśmy się stromym żlebem do jej domostwa, które składało się z kilku połączonych jaskiń wyłobionych w skale. Właśnie to miejsce odwiedziłyśmy z Elizabeth w drodze do Petry. Tym razem w jaskini Mariam był także jej mąż. Mężczyzna o pulchnych pośladkach przycupnął na gładkiej, cementowej podłodze w największej z jaskiń, wśród niewielkich słoiczków z farbą. Jedyne meble, komodę, ustawił na środku jaskini, żeby mieć dostęp do ścian, na których malował teraz pas, mniej więcej o szerokości dłoni, niebieskich, żółtych, czerwonych i zielonych rombów. Miałam wrażenie, potwierdzone w kolejnych latach, że Salama al-Muchtar aspirował do czegoś lepszego.

Tymczasem mimo mojej nieobecności wesele toczyło się dalej. Kiedy wróciłyśmy, odbywały się właśnie wyścigi konne, część mężczyzn ćwiczyła strzelanie do celu, a ja, podśpiewując, zabrałam się za gotowanie. Mięso z kóz, nie tylko ofiarnych, świeżo zarżniętych i poćwiartowanych, gotowało się w zalewie jogurtowej w trzech wielkich, stojących na ognisku garach. Prawdziwa Zupa z Kozich Głów[18]. Pozowałam do fotografii.

Ursula, zamieszkała w Ammanie Niemka, przyjechała razem z Ismainem. — Chodź tu i siadaj obok panny młodej — rozkazała Muhammadowi. Tak samo jak ja uważała, że Muhammad powinien zrezygnować z honorowej roli gospodarza i pozwolić innym zajmować się gośćmi. On jednak odparł: „Jutro z tobą usiądę” i odszedł. Mimo to Ursula zdołała uchwycić właściwy moment i zrobiła niepozowane zdjęcie trochę przypominające ślubną fotografię. Muhammad stoi między mną a Ismainem, z oświetlonym promieniami zachodzącego słońca masywem Asz-Szarah w tle.

Czego właściwie się spodziewałam? W moim domu na kominku nie było fotografii ślubnej rodziców, nie mieliśmy też albumów pełnych zdjęć druhen i dziewczynek sypiących kwiaty, które to albumy na ogół wyjmuję się i ogląda podczas wizyt babci i starych ciotek. Zastanawiałam się, czy powodem, dla którego nigdy nie marzyłam o własnym ślubie, nie było to, że po prostu nie potrafiłam go sobie wyobrazić.

Kobiety zawodziły zgodnym chórem, kiedy młodzi chłopcy nieśli pełne jedzenia *sidry* przeznaczone dla siedzących w *szigu* gości. No cóż, kobiety oraz płaczące dzieci musiały jeszcze poczekać. Wkrótce ci sami młodzi mężczyźni nieśli puste tace z powrotem do ogniska, przy którym kuzyni z Ras an-Nakb przycupnięci obok garnków szykowali kolejny poczęstunek. Nałożyli resztę ryżu oraz *szrak*, wybrali kawałki mięsa z garnka, polali to wszystko obficie gorącym sosem z jogurtu i tak przygotowane danie podali kobietom i dzieciom.

Ursulę i mnie obsługiwał osobiście mój teść, który przyniósł nam w tym samym czasie co mężczyznom niewielką (w porównaniu z ich) tacę z jedzeniem. Pozwolił dwóm kobietom zjeść razem z nami, ale resztę trzymał na

dystans, żebyśmy mogły spokojnie delektować się jedzeniem. Następnie, zaraz po posiłku, nie dając nam nawet nacieszyć się smakiem, zawołał dwóch mężczyzn, którzy przynieśli ze sobą dużą ilość mydła w proszku oraz dzban gorącej wody, abyśmy mogły się umyć. Wszyscy na nas patrzyli, więc myłam się starannie, wcierałam słabo rozpuszczony mydlany proszek, zmywałam pianę, płukałam usta i spluwałam na ziemię.

Wkrótce znowu zaczęły się rozumiały tylko dla wtajemniczonych tańce. Raz jeszcze wyciągnięto maty przed namiot kobiet, a mężczyźni rozpoczęli tańce na świeżym powietrzu. Ponownie obserwowałam swojego męża. Oświetlone płomieniami ogniska oraz mdłym płomykiem lamp naftowych sylwetki tańczących mężczyzn rzucały podłużne cienie na starożytną fasadę Pałacowego Grobowca. Dużo, dużo później, gdy już zabrakło sił do tańców i żartów, grupa przyjaciół Muhammada odprowadziła nas do naszej jaskini. W drodze śpiewali bezustannie, ich głosy niosły się doliną, odbijały echem od otaczających nas skał. To było bardzo długie wesele i według Muhammada również bardzo udane, a ja byłam po prostu szczęśliwa, że wreszcie mam go tylko dla siebie.

A co na to twoja mama?

Przez jakiś czas byliśmy *irsan*, państwem młodymi, ale miesiąc miodowy spędziliśmy dokładnie tak samo, jak poprzedni. Ja przez ostatnie dwa lata żyłam na walizkach, więc byłam szczęśliwa, że wreszcie mam gdzie osiąść. Muhammad był szczęśliwy, że wreszcie mógł „otworzyć drzwi opatrności boskiej” (albo po prostu wrócić do pracy), żeby spłacić nasze weselne długi.

Powoli przyzwyczajałam się do uroków prostego życia w jaskini.

Na początku Muhammad tak jak dawniej wczesnym rankiem parzył herbatę, pompował prymus, podczas gdy ja smacznie spałam. Czasem, kiedy mnie ponaglał: *Iszrabiszaj*[19], budziłam się w porę, aby załapać się na szklanke herbaty, ale zwykle drzemałam jeszcze przez chwilę po jego wyjściu do Skarbca. Ponieważ spaliśmy na dworze, po pewnym czasie słońce pojawiało się nad szczytem jaskini i musiałam wstać albo dałabym się upiec w jego gorących promieniach. *Farszę* oraz koce układałam na stelażu łóżka w jaskini. Zmywałam naczynia, na szczęście nie było ich wiele, więc nie zajmowało mi to dużo czasu i wystawiałam je na słońce do wyschnięcia. Później zanosłam mojemu mężowi chleb i pomidory czy puszkę sardynek na obiad, w odróżnieniu od innych kobiet, które wysyłały dzieci czy rodzeństwo, oczywiście, jeśli je miały. Byłam szczęśliwa, że mam swój mały rozkład dnia, drobne, rutynowe, codzienne obowiązki. Zwykle spotykałam się z Muhammadem w Skarbca. Siadywaliśmy razem, a jeśli akurat nie było turystów, którym zawsze można wcisnąć jakiś drobiazg, włączyliśmy się po okolicy i piliśmy herbatę tam, gdzie nas zaproszono. Proste, nieskomplikowane życie. A na dodatek niesłychanie leniwe.

Muhammad zawsze potrafił mnie rozbawić. Gdy szliśmy w milczeniu, nagle wypowiadał jakieś absurdalne słowo, aby mnie rozśmieszyć. Zwykle te słowa nic nie znaczyły, ale ja uwielbiałam ich brzmienie i próbowałam powtórzyć. Muhammad śmiał się ze mnie i nigdy nie byłam pewna, czy bawił go sposób, w jaki je wymawiałam, czy też słowo to było przekleństwem albo wyzwiskiem. Żałowałam tylko, że się nauczyłam pewnego określenia, bardzo politycznie niepoprawnego, opisującego czarne chmury, które nadciągały zimą zza zachodnich masywów gór.

— *Dżi't min gharib zaj tizi al-abd* — obwieszczałam w poetycki sposób, kiedy dostrzegałam je na niebie, póki pewnego dnia gdy mieliśmy gości, Muhammad nie

powiedział mi, żebym tak nie mówiła.

— Wiesz, co to dokładnie znaczy? Nadchodzą z zachodu jak tyłki czarnych ludzi albo niewolników. Jeśli już chcesz tak powiedzieć, musisz uważać, kiedy i gdzie to mówisz.

Abd można także przetłumaczyć jako sługa, tak jak Abdallah to sługa Allaha, czyli sługa boży.

Na początku października Muhammad przyniósł mi z „Obozowiska Nazzala” list lotniczy od moich rodziców. Była to ich reakcja na nasz ślub.

„Jesteśmy pewni, że wychowaliśmy Cię dobrze i daliśmy Ci mnóstwo okazji, abyś nauczyła się myśleć samodzielnie — pisali. — Wierzymy, że wiesz, co robisz. Pamiętaj też, że zawsze, w każdych okolicznościach Ci pomożemy”.

Tata odszukał już kilka artykułów na temat Petry w starych egzemplarzach *National Geographic*, a mama znalazła w atlasie miejscowość Ma’an.

W przyszłości wielokrotnie przypominałam sobie ich słowa, ponieważ wiele kobiet, słysząc, że poślubiłam Beduina i mieszkam w jaskini, natychmiast wykrzykiwało: „A co na to twoja matka?”. Wtedy ja dumnie cytowałam ten list.

Później tata uważał, że napisał do mnie jeszcze coś więcej na temat samotności osoby mieszkającej w odmiennej kulturze. Oboje z mamą pochodzili z Holandii, mieli zatem inne korzenie kulturowe i nie posiadali doświadczeń łączących ich z mieszkańcami Nowej Zelandii. O ile pamiętam, nigdy mi tego nie pisał, albo po prostu ja o tym zapominałam. Samego listu nie zachowałam, nie chciałam obrastać w rzeczy, więc co pewien czas paliłam niepotrzebne papiery, bo i tak nie miały znaczenia.

Po wielu latach mama opowiedziała mi swój sen, na tyle żywy i sugestywny, że musiała się nim podzielić z tatą i

przyjaciółmi. „Śniła mi się Marguerite — opowiadała im. — To nie był zły sen, ale jestem pewna, że coś się w jej życiu wydarzy”. Po trzech tygodniach otrzymała mój list i dowiedziała się o co chodziło.

Kiedy w końcu wybraliśmy się do Nowej Zelandii, mój tata oświadczył pewnego dnia: „Teraz rozumiem, dlaczego go wybrałaś”. Ale do tego jeszcze dojdziemy.

Codzienna harówka

Przez pierwsze miesiące wczesnym rankiem często pojawiał się u nas Abdallah. Jeśli właśnie jedliśmy śniadanie, zasiadał z nami do jedzenia, jeśli zdarzało się, że jeszcze spaliśmy, stawał nam nami i ponaglał: — *Gaum, ja Muhammad. Wahid Allah* — póki nie wstaliśmy. *Wahid Allah* to jeden z wielu sposobów, na które Bóg objawia się w naszym codziennym życiu. Mówiąc *Wahid Allah* oświadczamy, że jest tylko jeden Bóg. Był to jeden z rytuałów Muhammada, gdy obmywał ręce i twarz. Zawsze wymawiał wtedy słowa: „Nie ma boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego wysłannikiem”.

Abdallah pomagał Muhammadowi poszerzać naszą jaskinię, wybierał stosy ziemi i kamieni zalegających po lewej stronie drzwi. Mieli nadzieję, że odkryją kolejną pieczarę. W dzień Abdallah kruszył grudy piachu i przesiewał go w poszukiwaniu antycznej ceramiki i monet. Gdy zapadał zmrok zsypywał z naszej półki skalnej piasek nagromadzony w ciągu dnia. Wieczorna bryza wiejąca z doliny z powrotem nanosiła kurz i piach, a pryzma poniżej jaskini rosła w przerażającym tempie. Nie znaleźliśmy kolejnej jaskini, ale w odległości siedmiu metrów od naszego wejścia Abdallah odkopał starorzemieński mur wzniesiony z bloków skalnych połączonych spoiwem, ciągnący się aż do skraju urwiska. Kiedy odgarnęli piasek z

kąta między ścianą a skałą, odkryli kilkumetrowy kawałek pokryty kamiennymi płytami. Była to podłoga starożytnego pokoju. W szczelinie pomiędzy płytami znaleźli cztery monety, które ktoś upuścił całe wieki temu. Odlane z brązu monety były gładkie i wyraźnie nadszarpnięte zębem czasu, bo całkiem poczerniały. Miały wielkość kapsla od butelki pepsi, z krzyżem wybitym z jednej strony i wielką literą M z drugiej.

— Popatrz, na tych monetach są nasze inicjały! — wykrzyknęłam zachwycona.

— „M” nie ma nic wspólnego z imieniem Marguerite czy Muhammad — powiedział Muhammad, ściągając mnie z powrotem na ziemię. — Litera M oraz krzyż oznaczają, że są to typowe bizantyjskie monety. Liczą tylko jakieś tysiąc pięćset lat. — Dodał jeszcze, że nie są tak wartościowe jak nabatejskie, mające około dwóch i pół tysiąca lat.

Tak czy inaczej, byłam pod wrażeniem: starożytne monety na naszym podwórku, na dodatek z naszymi inicjałami.

Kiedy inspektor z Wydziału do spraw Zabytków nie mógł dłużej ignorować rosnącej sterty ziemi, zjawił się, aby sprawdzić, co się u nas dzieje. Na szczęście do tego czasu wystarczająco rozbudowaliśmy już podwórko, więc Muhammad zaprosił go na obiad i obiecał, że przestaniemy kopać.

Następnego lata Muhammad dobudował drugie pomieszczenie, wykorzystując dwie ściany rzymskiej budowli i stawiając dwie nowe z kamienia. Blaszyany dach sprawiał, że pokój nie nadawał się na sypialnię, bo w lecie było w nim za gorąco, a zimą za chłodno. Poza tym wpadało tam za dużo kurzu, oprócz deszczowych dni, w które woda skapywała do środka przez pozostawione po gwoździach dziury i zbierała się na podłodze w postaci błotnistej kałuży. Z początku chciałam zrobić w nowym pomieszczeniu pokój, ale po kilku latach poddałam się i

urządziliśmy tam kuchnię.

Przez cały czas zajmowałam się dekoracją wewnątrz. Stwierdziłam, że naturalny kolor skał jest zbyt wyjątkowy, aby pokrywać go farbą, a zielony, na który Muhammad pomalował ściany jest zbyt jadowity, więc postanowiłam zdrapać farbę ze ścian. Muhammad nie starał się mnie przekonywać, tylko pozwolił mi spróbować sił. Zdrapałam ledwie kilka fragmentów o wielkości mnie więcej pół metra i poddałam się. Współczułam Nabatejczykom. Miałam zupełnie zniszczone dłonie od zeskrobywania farby szpachlą. Muhammad z łatwością przekonał mnie, że bym pobieliała ściany wapnem, zamiast ryć w skale w całej jaskini. Musieliśmy położyć kilka warstw, aby przykryć zieleni oraz łaty, które zdarłam, ale biel wapna rozjaśniła i optycznie powiększyła wewnątrz jaskini. Ucieszyłam się nawet, że mój pierwotny zamysł okazał się zbyt trudny do zrealizowania. Czasami, zwłaszcza zimą, woda przeciskała się przez warstwę czerwonego piaskowca. Jej krople skapywały nam prosto do talerza albo podczas snu spadały na twarz. Kiedy stawało się to nie do zniesienia, a jednocześnie spod białej warstwy zaczynały przeświecać nieśmiertelne słoneczniki Muhammada, wiedziałam, że nadszedł czas, aby szykować kolejne wiadro wapna.

Etap „przesypiania” porannych przygotowań nie trwał długo, Muhammad był przewidujący i szybko nauczył mnie, jak rozpalać kuchenkę naftową i parzyć herbatę. Beształam go jednak za każdym razem, gdy wywijała mi się uszczelka lub zatykał palnik — wtedy musiałam w nim grzebać cienkim drutem, który wyciągałam z siatki zamontowanej na oknie — albo gdy kończyła się nafta i musiałam znaleźć lejek, napełnić zbiornik i od nowa zacząć rozpalać prymus. Oczywiście jeżeli mieliśmy naftę. Jeśli nie — Muhammadowi dostawało się jeszcze bardziej i musiał

ruszać do sklepu po paliwo. Parzenie herbaty wydawało się czynnością bardzo prostą. Muhammad wyrzucał stare listki, płukał dzbanek, wlewał wodę, wrzucał dwie garście cukru, dodawał jedną garść herbaty i stawiał na kuchence. Dałam się jednak zwieść pozorom. Nalewanie wody było proste, szybko też nauczyłam się odmierzać cukier szklanką, ale odmierzenie poprawnej ilości herbaty było o wiele trudniejsze i wieki minęły, zanim doszłam do perfekcji. Tak czy inaczej, herbata wychodziła mi wspaniała tylko wtedy, gdy udało nam się kupić towar firmy Shay al-Fakher, importowany z Cejlonu przez Palestyńskie Przedsiębiorstwo Handlu i Obrotu Herbatą. W przeciwnym razie wychodziła albo za słaba, albo za gorzka, albo za czarna. Nawet gdy nauczyłam się już obsługiwać prymus, zdarzało mi się przegapić moment, w którym słodka woda kipiała przez liście herbaty. Ściekała wtedy strumieniem, wybuchała jak gejzer, gasząc płomień, zapychając palnik i wyrzucając w górę kłęby pary i dymu o silnym zapachu nafty. Na szczęście Muhammad nie był zbyt wybredny, jeśli chodzi o herbatę. Gdy nauczyłam się już uruchamiać prymus, musiałam zrywać się co rano, żeby ją dla nas zaparzyć.

A jednak mój trud został nagrodzony. Od tamtej pory jadaliliśmy wspólnie śniadania, siedząc na krawędzi naszej półki skalnej. Słońce długo wylaniało się znad Dżabal al-Chubsa i do tego czasu było chłodno i przyjemnie. Bloki skalne służyły nam za stołki, a okrągła podstawa kolumny za stół. Siorbaliśmy herbatę, maczaliśmy chleb w oliwie, a w ustach rozpływały się nam kawałki sezamowej chałwy. Dopóki mieliśmy baterie w magnetofonie, Muhammad nastawiał kasetę z nagraniem Egipcjanina Abd al-Basita recytującego sury Koranu. Nawet nie próbowałam zrozumieć słów — były stworzone dla tego świata, dla tego czasu. Zwłaszcza dla takich poranków, kiedy z zachwytem patrzyliśmy, jak dolina budzi się do życia, a promienie

słońca przemykają po skałach.

Szrak, wabr i drzewo jałowca

W Ma'anie wypiekano pitę w piecu na ropę naftową, ale Wadi Musa była zbyt małą miejsciną, żeby powstała tam piekarnia. Zresztą dzieliło ją od naszej jaskini półtorej godziny marszu. W dolinie nie mogliśmy kupić tradycyjnego chleba. Dawaliśmy sobie świetnie radę tylko dlatego, że potrzebne nam były zaledwie dwa placki na kolację i śniadanie, a taką ilość zdobywaliśmy zwykle podczas naszych popołudniowych wędrówek. Kobiety, które siedziały przed namiotami i przygotowywały pieczywo na kolację niezmiennie nawoływały:

— *Dżanbu, ta'aszu andina*. Wejdźcie, zjedzcie z nami — zapraszały, a gdy odmawialiśmy, wysyłały za nami biegiem dzieci z jednym lub dwoma *szrakami*. Kiedy nastały chłody i Umm Lafi zmontowała swój piec *tabun*, bardzo często wysyłała do nas dziewczęta ze świeżymi wypiekami i wtedy jedliśmy chleb także na obiad.

Pieczywo z *tabuna* było wyśmienite. Gdy pierwszy raz go skosztowałam, wręcz nie mogłam uwierzyć, że jem tak wyborny chleb niemal na środku pustyni. Był znakomity! Przepyszny bochenek wielkości talerza miał kilka centymetrów grubości, na zewnątrz chrupiącą, pofałdowaną, złotawą skórkę, która w pękniętych miejscach odkrywała puszysty, pszeniczny, żółty miąższ. Chleb wypiekało się w glinianych piecach opalanych obornikiem.

Pewnego dnia, gdy nie włączyliśmy się nigdzie poprzedniego wieczoru i musiałam wybrać się do Rachijji z prośbą o upieczenie dla nas chleba, postanowiłam sama się tego nauczyć. Rachijja wróciła do obozowiska rodziców kilka dni po ślubie i zaparła się, że za nic nie wróci do męża

wybranego dla niej przez ojca. Niezależnie od tego, co jej obieca i co może zapewnić. Często odwiedzałam jej rodzinę, która zawsze przyjmowała mnie życzliwie, zapraszała na herbatę i obiad. Nie chciałam jednak po raz kolejny prosić o przysługę.

Przecież mogłam sama codziennie piec świeżutki, chrupiący placek, prosto z *sadżu*. Wymagało to jednak czasu i zachodu.

Muhammad poprosił Umm Mahmud, żeby mnie nauczyła. Bez chwili wahania i z błyskiem w oczach powiedziała:

— *Badri, badri*, przyjdź wcześniej.

Umm Mahmud i Abu Mahmud mieszkali niedaleko nas, w jaskini u podnóża Miejsca Ofiarnego.

Zazwyczaj lubiłam nazywać ludzi nadanymi im przydomkami, ale w tym przypadku nie mogłam. Aby odróżnić Abu Mahmuda od pozostałych, ludzie nazywali go Muhammad al-Atrasz, czyli głuchy Muhammad i to mi się nie podobało. Imię jego żony — Imhila miało z kolei tak gardłowe brzmienie, że przez długie lata nie byłam w stanie go wymówić. Wystarczająco namęczyłam się z „Umm Mahmud”.

Byli młodym małżeństwem, tak przynajmniej podejrzewałam, bo mieli tylko dwóch małych synków. Ja nigdy ich za młodych nie uważałam. Głuchota Abu Mahmuda sprawiała, że wydawał mi się stary, a Umm Mahmud z takim zapałem podjęła się roli mojej nauczycielki, że traktowałam ją raczej jak matkę, choć była ode mnie młodsza.

Następnego dnia wczesnym rankiem przyszedłam do jej jaskini tylko po to, żeby się przekonać, że dla Umm Mahmud wcale nie był to już wczesny ranek, bo właśnie wkładała do *sadżu* ostatni *szrak*. Roześmiała się i zaproponowała, żebyśmy zaczęły lekcje po południu.

Często wpadałam do niej popołudniami. Zawsze przyjmowała mnie miło i gościnnie. Siadywałyśmy w cieniu skał, a w chłodniejsze dni tuż przy wejściu z jaskini, skąd miałam widok na ścieżkę, którą Muhammad wracał do domu. Parzyła herbatę, piłyśmy i patrzyłyśmy, jak się bawią jej dzieci Mahmud i Ahmad.

Lubiłam ją obserwować, podobały mi się jej godność i spokój. Miała piękną, smagłą cerę, gęste, czarne rzęsy i grube, długie do pasa warkocze, które podziwiałam w milczeniu za każdym razem, gdy zdejmowała chustę z głowy. Jej owalną twarz ciasno opinała bordowa *asaba*, która odsłaniała na skroniach trójkąty czarnych włosów. Pod brodą zawiązywała ażurowy *misfah*.

Kiedy herbata była gotowa, Umm Mahmud studziła ją pośpiesznie w misce dla chłopców, nie pozwalając im też biegać zbyt blisko gorącego czajnika, bo była bardzo przewidująca i ostrożna. Gdy jedno z dzieci zgubiło bucik, natychmiast mu go zakładała, kiedy zdarzało się chłopcom zmoczyć spodnie, miała zawsze pod ręką suche na zmianę. Wszystko to robiła z niezmaconym spokojem.

Obserwowałam ją i podziwiałam tygodniami; podczas nauki pieczenia chleba zaprzyjaźniłyśmy się, siadywałyśmy razem, patrząc godzinami w milczeniu na dolinę. Kiedy widziałyśmy, że Muhammad wraca do domu, wołała, żeby wpadł na herbatę, a potem on zapraszał całą jej rodzinę na obiad. Wtedy moja przyjaciółka Beduinka albo oferowała się ugotować obiad dla nas wszystkich, albo pakowała nam na wynos nie tylko świeży chleb, ale także co smakowitsze potrawy. Chyba byli bardzo biedni, w ich jaskini brakowało wygod i ulepszeń, nawet zwykłych drzwi czy betonowej podłogi, a jednak jej podarunki były tak hojne, że zawsze przypominały mi się *Grona gniewu* Steinbecka.

— *Ma andina ghajr batatas, atiki batatas?* Mamy tylko ziemniaki, dać ci trochę?

Tego popołudnia Umm Mahmud nalała wody z kanistra

do miski, umyła ręce i połała strumień wody, żebym mogła opłukać swoje. Nasypała mąki ze szczyptą soli do naczynia, w którym gniotła ciasto i kazała mi powiedzieć *bi-smillah*[20], zanim zabrałam się za wyrabianie masy. Wielokrotnie widziałam, jak się piecze chleb, więc wiedziałam, co robić. Schowałam zegarek i pierścionki do kieszeni, upięłam z tyłu *mudragę* i uklęknęłam na macie w cieniu frontowej ściany jaskini. Nalałam trochę wody, wymieszałam, dolałam jeszcze odrobinę i znów wymieszałam. Nim wyrobiłam ciasto, bolały mnie już ręce (nogi wytrzymały trochę dłużej), więc Umm Mahmud postanowiła mi pomóc. Ukucnęła naprzeciwko mnie i zaczęła ugniatać masę, dodając po trochu wody i znów wyrabiając, póki nie powstało jednolite ciasto, gładkie i miękkie, wypełniające całą dzieżę.

Teraz nastąpiła przyjemniejsza część.

Umm Mahmud rozpałała ognisko i ustawiła blaszany *sadz* na trzech kamieniach. W ręku trzymała zawiniątko z odrobiną mąki, którą rozsypała obok ogniska. Oderwała kawałek ciasta wielkości pięści i zręcznie obtaczała w mące, póki nie otrzymała pokrytej mąką kulki. Prysnęła odrobinę wody na *sadz*, usłyszałyśmy syk oznaczający, że już się wystarczająco nagrzał. Rozpłaszczyła kulkę, bardziej na brzegach, podrzuciła i przerzucała z jednej dłoni na drugą, aż powstał spory, cienki i okrągły placek, który wrzuciła na *sadz*. Placek posykiwał w miarę pieczenia.

— *Iglibi!* Przerzucić na drugą stronę! — poleciła, a dzieci zaczęły chichotać.

Przyzwyczaiłam się już do pracy w kuckach, więc raczej nie było to dla mnie wyzwanie, ale przez chwilę spanikowałam: „Kto? Ja?” Musiałam odskrobać brzegi placka, które przywarły do gorącej blachy, później nie przejmując się dymem i płomieniem, oderwałam placek w całości i przerzuciłam na drugą stronę. Udało się! Pyknięcie, jakie usłyszałam, odrywając placek, dodało mi

otuchy i pieczone ciasto ułożyło się idealnie na drugiej stronie. Na środku placek był trochę cieńszy, więc Umm Mahmud uniosła go jak namiot i w ten sposób dopiekły się jego grubsze brzegi. I tak oto miałam przed sobą świeży *szrak*, który sama upiekłam.

— *Durki* — powiedziała. — Twoja kolej.

Odkąd po raz pierwszy zobaczyłam, jak się piecze *szrak*, podejrzewałam, że to wcale nie jest takie trudne i tylko czekałam na stosowną okazję. Byłam także pewna, że uda mi się zagnieść ciasto. Miałam jednak cichą nadzieję, że nikt nie będzie świadkiem moich pierwszych prób. Sprawdziłam, czy mam dobrze zawinięte rękawy, po czym uniosłam ciasto do góry: nie było odwrotu. I tak jak to sobie wyobrażałam, ciasto było idealnie rozciągliwe, i to do tego stopnia, że po chwili mój pierwszy *szrak* leżał już na *sadżu* i to zaledwie z kilkoma dziurkami w środku.

Od tej pory przychodziłam codziennie rano i po południu. Stopniowo moje ręce przywykły do wysiłku. Lubiłam bardzo poranki, bo było dużo chłodniej. Grota, w której urządzono kuchnię, była tak niska, że musiałam schylać głowę, żeby się w niej zmieścić, ale za to unosił się tam przyjemny zapach palonego drewna. Budzące się ze snu dzieci były wręcz rozkoszne, gorąca herbata z mlekiem w proszku rozgrzewała mnie, a na dodatek mogłam zabrać do domu ciepłe pieczywo i jego zapachem obudzić Muhammada. W piątki nauczyłam się nie zwracać uwagi na trzaski i szумы, jakie wydawało z siebie nasze tranzystorowe radio, zresztą rzadko udawało mi się coś zrozumieć.

— To jest Koran, to jest *kuwajjis*, dziś jest *al-dżum'a*[21] (Święty Dzień) — Umm Mahmud wymawiała arabskie słowa, a ja domyślałam się reszty.

Wreszcie zdecydowałam się upiec samodzielnie mój pierwszy *szrak*. Na miejscowym suku Muhammad kupił niewielki *sadż* i cały worek mąki, a ja zebrałam w drodze ze

źródła chrust i patyki. Ugniotłam ciasto i postawiłam *sadz* nad ogniskiem na trzech niewielkich kamieniach. Po pół godzinie łzawiły mi oczy, ogień bez przerwy przygasał, a ciasto na zmianę to przywierało do zimnej blachy, to znów przypalało się, gdy forma się rozgrzewała. Kiedy Muhammad wrócił do domu i zobaczył zgliszcza moich planów: ledwo tłące się, za to dymiące okrutnie ognisko oraz *sadz* z kawałkami spalonego i niedopieczonego ciasta — wybuchnął śmiechem. Powiedział mi, że teraz powinnam wziąć lekcje rozpalania ogniska i rozpoznawania drewna. To był oleander, zupełnie bezużyteczny przy rozniecaniu ognia. Później dowiedziałam się, że wydzielał także trujące opary. Wtedy wpadł do nas Salim i Muhammad zaproponował, aby wraz z Awazem zabrali mnie na wyprawę po chrust.

— Wybierzmy się jutro — podchwycił Salim.

Następnego ranka on i Awaz pojawili się u nas z dwoma osłami, linami oraz strzelbami. Koszule obu chłopców były tak samo dopasowane; sądząc po dużych, nierównych szwach wzdłuż rękawów i po bokach, przerabiała je ta sama osoba. Mieli pomalowane *kuhlem* oczy, które błyszcząły im z radości i podniecenia. Usiadłam za Salimem i popędziliśmy w stronę wzgórza zwanego Al-Barra, oddalonego mniej więcej o pół godziny drogi. Dzień był słoneczny, jasny i upalny. Przywiązaliśmy i rozkulbaczyliśmy osły. Podczas mozolnej wspinaczki w górę wąwozu przytrzymywaliśmy się krzewów rosnących na stromych zboczach. Spociliśmy się z wysiłku, a na obcisłych koszulach chłopców pojawiły się plamy potu. Musieliśmy wspiąć się jakieś sto metrów na szczyt góry, przypominający czaszę wypełnioną ciężkim, duszącym aromatem i bielą kwitnących krzewów rattanu. Rósł tam także jałowiec, którego gęste, pachnące i suche gałęzie łamaliśmy i układaliśmy na stos. Niewiele im mogłam pomóc, gałęzie wprawdzie łatwo się łamały, ale za to miały

ostre igły.

Z sąsiedniego wzgórza Umm al-Bijara doszły nas dźwięki fletu. Wśród gromady kolorowo przyodzianych pasterzy, których stada pasły się na opadającym płaskowyżu, siedziała dziewczyna i grała na fujarce. Salim zawołał, muzyka ustała, mężczyźni wymienili między sobą kilka szybkich słów. Miałam nadzieję, że są one grzeczne, ponieważ mówili podniesionym głosem tak, aby słowa dotarły do drugiej osoby przez upalne, wibrujące powietrze i wszyscy w okolicy mogli je usłyszeć.

Rok czy dwa lata później, kiedy Salim wybrał się wraz z ojcem Umm Lafi oraz wujami poprosić o rękę dziewczyny grającej na flecie, jej ojciec bardzo niegrzecznie ich potraktował, a oświadczyzny Salima spotkały się z szorstką odmową. Starszyzna próbowała pocieszać chłopaka: „Jeśli jej ojciec zlekceważył tradycję i zasady gościnności i nam również nie okazał szacunku, lepiej daj sobie spokój z jego córką”.

Nagle usłyszeliśmy przeraźliwy huk. Wielokrotnie już go słyszałam, ale w górach wydawał się znacznie głośniejszy niż zwykle. To izraelskie myśliwce odbywały loty ćwiczebne na zachodzie, wzdłuż Wielkich Rowów Afrykańskich Wadi Araba leżących poniżej poziomu morza. Na szczycie Dżabal al-Barra znajdowaliśmy się na wysokości około tysiąca metrów nad poziomem morza, więc maszyny ponaddźwiękowe przelatywały tuż nad naszymi głowami. Gdy zebraliśmy już sporą stertę chrustu, urządziliśmy sobie krótki popas, rozpakowaliśmy w cieniu nasze torby i zaparzyliśmy herbatę. Był to magiczny górski wywar. Miedziany czajniczek nosił czarne ślady sadzy, pozostawionej przez niezliczone górskie ogniska, z której unosiła się niepowtarzalna woń drewna. Napelniliśmy go wodą źródlaną i na pachnącym jałowcowym drzewem ogniu zagotowaliśmy wodę.

Właśnie wtedy Salim wytropił *wabra* wylegującego się

na słońcu na półce skalnej. Kiedy wystrzelił, huk rozniósł się wysoko w powietrzu. *Wabr* to futerkowe zwierzątko, długości i grubości mniej więcej mojego przedramienia, pozbawione ogona. Nie wiedziałam wtedy, co to za zwierzę i przez długie lata nie znałam jego angielskiej nazwy — *hyrax*, czyli góralek. Salim i Awaz obdarli go ze skóry i błyskawicznie wypatroszyli. *Szabrija* Salima, czyli jego ostry sztylet, prawie tak długi jak sam *wabr*, miał czarny trzonek wykonany z koziego rogu i stalowe obosieczne ostrze, które z łatwością przebijało skórę zwierzęcia. Upiekliśmy kawałki mięsa. Awaz, niemal jak wzorowy skaut, zawsze nosił przy sobie sól. Mięso było pyszne, ale bez naszego chleba byłaby to zaledwie skromna zakąska.

Potem przyciągnęliśmy gałęzie na skraj grani, na którą się wspięliśmy i zrzuciliśmy je na dół. Gdy zeszliśmy, odetchnęliśmy z ulgą, widząc, że żadna z nich nie spadła na osły. Konary, które ledwie udało nam się dociągnąć do krawędzi nad wąwozem, rozpadły się na łatwe do transportu kawałki. Przypomniała mi się legendarna postać amerykańskiego drwala Paula Bunyana, który ponoć zrzucał pnie drzewa z góry w taki sposób, że zsuwały się wśród skał i docierały do miasta odkorowane, wyszlifowane i gotowe do zapakowania jako wykałaczkki.

Awaz i Salim równomiernie rozkładali ładunek na grzbietach osłów, a wcale nie była to łatwa sztuka. Najpierw ładowali po juku o jednakowym ciężarze z jednej i z drugiej strony siodła. Wtedy powstało szerokie miejsce, na którym mogli położyć trzeci wór. Ruszyliśmy w drogę. Osły rażno szły do przodu, jakby dla zachowania równowagi nie mogły ustać w miejscu. Niosły przecież ciężki ładunek, a dróżka była kamienista, wyboista i kręta, wąska i stroma, piaszczysta i trudna, ale i tak dostarczyły juki z drewnem aż do naszej półki skalnej. Od tej pory ognisko było już na miarę moich umiejętności piekarskich i co dnia wypiekałam wzorowe *szraki*.

Droga Elizabeth

Petra, 30 września.

„Droga Elizabeth,

Bardzo ucieszył mnie Twój list, który dotarł do mnie dopiero dzisiaj. Mam wrażenie, że jesteś teraz dużo bardziej pewna siebie i szczęśliwa. Mam nadzieję, że tak się właśnie czujesz. Twój list o mało co w ogóle by do mnie nie dotarł. Pewien miejscowy chłopak odebrał go na poczcie, a potem zapomniał o nim, gdy nocował w namiocie obok schroniska. Dziś ta rodzina wprowadzała się do jaskini z najstarszą zachowaną nabatejską inskrypcją. Ojciec Muhammada widział ten list, ale nie wiedział, że to do mnie i dopiero dziś wieczorem Muhammad wysłał swojego brata, żeby przyniósł list. List był więc w miejscach, w których ja wcale nie bywałam...”

To rzeczywiście był prawdziwy kłopot. Niewiele osób dostawało listy, więc wszyscy wiedzieli, że są one niesłychanie cenne. Niestety, ludzie chyba nie zdawali sobie sprawy, że lepiej je dostać wcześniej niż później. Kiedy dowiedziałam się, że kartka Elizabeth o mało nie zaginęła, zastanawiałam się, czy więcej takich przesyłek do mnie nie wala się zagubionych w jaskiniach i obozowiskach w całej dolinie. Postanowiłam wybrać się do Wadi Musa i założyć własną skrzynkę pocztową. Otworzono tam właśnie prawdziwą pocztę, a nie tylko agencję, mieszczącą się w sklepie. Sklep pełnił zresztą różne role, nawet lokalu wyborczego. Właśnie tam Muhammad głosował po raz pierwszy. Od wojny w 1967 roku[22] nie było w naszym rejonie wyborów parlamentarnych, a wcześniej był jeszcze niepełnoletni. Opowiadał mi, że jakiś kandydat z Ma’anu przybył do Petry i za cenę jednego dinara od sztuki kupił w Wadi Musa tyle głosów, na ile tylko było go stać. Zawsze błyszczały mu oczy, gdy mi opowiadał tę historię i wspominał, jaki był dumny, że mógł podpisać się swoim imieniem, a nie tylko zagłosować *ubsum* — odciskiem

palca, jak większość starszych od niego mężczyzn. Wyliczał też, ile był wart w tamtych czasach dinar wypłacany przy wyjściu ze sklepu Al-Ghanajmiego, gdzie odbywały się wybory. Dziś poczta ma własny budynek — z kamienną fasadą i metalową roletą w drzwiach — który wygląda dokładnie tak samo, jak pozostałe sklepy położone w cieniu rosnących rzędem drzew pieprzowych.

Później listy adresowane do nas dochodziły już bezpiecznie. Jeden z nich, który przechowuję do tej pory jak najcenniejszy skarb, miał następujący adres:

Pani z Nowej Zelandii,
Pamiętki, Kawa, Herbata,
Petra,
Jordania

...ale to zdarzyło się wiele lat później.

Do naszej skrzynki wrzucano także inne listy zaadresowane po angielsku, choć niekoniecznie do nas.

W następnym roku odwiedziła nas Elizabeth, ale jej dalsze plany pokrzyżowała wojna domowa w Libanie i postanowiła osiedlić się w Australii. Z czasem pisywałyśmy do siebie coraz rzadziej. Zobaczyłyśmy się znowu dopiero parędziesiąt lat później.

Przepierka w źródlanej wodzie

Co kilka dni trzaskałam drewnianymi drzwiczkami do naszej jaskini, zamykałam je na kłódkę i z plecakiem wypchanym brudami wyruszałam na przepierkę. Szłam ścieżką przez wzgórze w stronę zamku krzyżowców i schodziłam w dół po rumowisku skalnym za twierdzą aż do doliny. Nade mną wznosiła się Umm al-Bijara, Umm

Zajtuna zasłaniała niebo przede mną, a na prawo, powyżej zwaliska kamieni, pięły się w górę ściany zamku. Ścieżka wiodła wzdłuż suchego koryta rzeki, w cieniu wielkich oleandrów. Zwykle spotykałam na trasie innych ludzi zmierzających do źródła. Młody, grający na flecie mężczyzna szedł pewnie doglądać ogrodu oliwnego swojego ojca, pasterka gnała do wodopoju stadko kóz. Za każdym razem spotykałam tu dzieci idące po wodę i ścigające się dla zabawy na osłach. Ich wesole pokrzykiwania były jak muzyka, a brzęczące kanistry jak bębny. Cała ta sceneria i dźwięki odbijające się echem od zboczy górskich, były urzekające.

Niektóre z dzieci już mnie rozpoznawały:

— *Anti mar'at Muhammad? Tirkabi?* Jesteś żoną Muhammada? Chcesz się przejechać? — pytały.

Ja ich jeszcze nie rozróżniałam, ale nie dlatego odmawiałam przejażdżki na osłe. Droga była wprawdzie kamienista i nierówna, ale ja nie musiałam się spieszyć, a zresztą uwielbiałam słuchać echa, kiedy dzieci znikwały za zakrętem.

Kiedyś był tam szeroki występ skalny, który opływała woda po ulewach. Właśnie tam Nabatejczycy po wydobyciu kamienia pozostawili wyrobisko, nad którym wznosiły się niemal pionowe ściany, wysokie na kilka pięter. Wśród nich znajdował się ogród dziadka

Muhammada, choć prawdę mówiąc, było tam więcej kamieni niż roślin: rosło zaledwie kilka drzew morelowych oraz oliwnych, winorośl zwieszała się z muru i dziko rozrastała wśród oleandrów i tamaryszków. Tuż za ogrodem, tam, gdzie wysokie skały oraz drzewa, które przetrwały powódź całkowicie przesłaniały niebo, tryskało źródło. Woda wybijała spomiędzy kamieni na dnie doliny i płynęła dalej wartkim strumieniem. Dzieci zbudowały niewielkie zbiorniki, z których mogły czerpać wodę poobijanymi naczyniami. Niektóre wiązały osły bardzo

blisko brzegu i potem musiały wysoko się wspinać, aby przelać wodę z miseczek do blaszanych kanistrów, przytroczonych do zwierząt. Moim zdaniem wygodniej było napełnić baniak w strumieniu, a później poprosić kogoś o pomoc w załadunku.

Parę razy obserwowałam rozpaczliwe działania dzieci: brat i siostra stoją po dwóch stronach osła, przez którego grzbiet nie mogą się nawet zobaczyć. Chłopiec jest trochę silniejszy, więc zawiesza kanister po swojej stronie kulbaki i wtedy z baniaka zaczyna wyciekać woda, bo nie został szczelnie zamknięty. Jego siostra stara się utrzymać kanister, a osioł daje krok do przodu, żeby nie stracić równowagi, tymczasem chłopiec podnosi kolejny kanister, opiera go na kolanie, a następnie o bok osła i przeciąga pętlę przez uchwyt. Wtyka kij w pętlę i krzyczy „*ch alas*”[23], dając znak siostrze, że ma wciągać baniak znajdujący się po jej stronie, lub opuszczać go, gdyby kij nie wytrzymał ciężaru kanistrów, do chwili, aż oba zostaną przytroczone po bokach osła. W małe dziurki, którymi wycieka woda, wtykają kawałki materiału oraz szmatki znalezione na drzewach czy na drodze. Łamią gałęzie oleandrów, którymi będą popędzać osła w drodze do domu i z wielkiego, leżącego przy ścieżce głazu wskakują na grzbiet swojego „rumaka”.

Kiedy wreszcie pojęłam, jak to działa, zwykle starałam się pomóc, a jednak nie potrafiłam zorganizować tego lepiej od dzieci: osły się ruszały, kanistry przeciekały, kije się łamały, a liny plątały i koniec końców staliśmy w środku błotnistej bajora. Nigdy nie byłam w stanie zapanować nad przypadkami rządzącymi tą całą akcją.

Co chwila wyskakiwałam z cienia lub się w nim chowałam w miejscach, gdzie w białym kamieniu powstawały naturalne kanały. Rozłożywszy wokół siebie utensylia potrzebne do prania, siadałam tam mocząc nogi w wartkim nurcie chłodnej wody. Proszek do prania (*Suruf-*

Surf albo *Tajd- Tide*) sprzedawano w małych kartonowych pudełeczkach, które rozpadały się, gdy nasiąknęły wodą. Zwykle zużywałam więc całe opakowanie, aby sprząć piasek, zapach dymu i resztki jedzenia. Najtrudniejsze do prania były moje dzinsy, nawet jeśli jakimś dziwnym trafem udało mi się nie wylać na nie oliwy czy nie zachlapać tłustą potrawą. Kiedy zdarzały mi się jednak takie wpadki, były dla mnie niezłym bodźcem, abym nauczyła się wreszcie jeść tak, jak należy, czyli rękami.

Rozwieszałam ubrania na gałęziach drzew rosnących w okolicy i jeśli dochodziły mnie jedynie bardzo odległe dźwięki, rozbierałam się do kostiumu kąpielowego i myłam. Trochę niżej znajdował się „basen”: szpara między skałami wielkości dużej wanny. Trzeba tam było jednak trzymać kolana przy piersiach, aby stopami nie dotknąć rosnących na dnie glonów. Do tego źródła miejscowi *niszama* prowadzili czasem zgrzanych i pokrytych kurzem turystów będących na wycieczce objazdowej z Londynu do Katmandu, ale ja nie zadawałam sobie trudu, żeby odchodzić tak daleko. Niewiele osób tu przychodziło, tylko raz dzieliłam moje miejsce z kobietą piorącą owcze runo. Zwykle więc udawało mi się wziąć odświeżającą kąpiel bez strachu, że ktoś mnie zobaczy. Gdyby zobaczyli mnie w kostiumie, uznaliby, że jestem naga.

Na ogół ludzie taszczyli większe zapasy wody i robili pranie w domu, co na początku wydało mi się niedorzeczne, ale to dlatego, że trudno nam było przetransportować wodę. Co jakiś czas Muhammad pożyczał osła i przywoziliśmy cztery kanistry — osiemdziesiąt litrów, które starczały nam na kilka dni, oczywiście jeśli byliśmy oszczędni. Kiedy wreszcie kupiliśmy własnego osła, przyznałam, że pranie ubrań w domu było łatwiejsze i rzeczy wychodziły znacznie czystsze, bo używałam ciepłej wody. Na razie jednak cieszyłam się możliwością przebywania na świeżym powietrzu. Nad moją

głową wznosiły się przeogromne skały, a panujący tam cień działał na mnie kojąco. Głazy, które leżały wokół mnie, spadły już tak dawno temu, że były gładkie i wypolerowane przez wodę. Jeden z nich, nagrany na słońcu, służył mi jako podgrzewacz, dopóki ja sama i moje ubrania nie wyschły. Potem czysta, pachnąca i odświeżona pakowałam plecak i dołączałam do wozowodów w ich mozolnej drodze powrotnej — chętnie wtedy przyjmowałam pierwszą ofertę przejażdżki na osle, jaka mi się trafiła.

Przygoda jak lekarstwo

Nie licząc sporadycznych przejażdżek na osle do domu, wciąż miałam niewielkie doświadczenie w obchodzeniu się z tymi zwierzętami. Aż do dnia, kiedy Muhammad wysłał mnie na ekspedycję do Wadi Araba. Jego macocha Umm Lafi, którą nazywał „cioteczka”, wybierała się tam na pielgrzymkę, a jego brat Salim miał jej towarzyszyć. Obiecali osiodłać osła także i dla mnie, jeśli tylko miałabym ochotę przeżyć prawdziwą przygodę.

Byłam bardzo podekscytowana i nie pomyślałam nawet o moim braku obycia z osłami.

— *Deri balki* — poradził mi Muhammad przed odjazdem.
— Uważaj na siebie.

Prawie nie widywałam Umm Lafi od dnia naszego ślubu. Rodzina wyprowadziła się do obszernej jaskini za Grobowcem Pałacowym, dwadzieścia minut drogi spacerem od nas, i tylko najstarsze dzieci od czasu do czasu nas odwiedzały. Umm Lafi ponoć straciła głos. Pogorszyło jej się od naszego ślubu (pewnie przez śpiewy i zawodzenie); próbowała już ziół, pigułek, które dała jej znachorka, ale bez rezultatu. Ja uważałam, że po prostu nie powinna nadwyręzać gardła, ale ona sądziła, że potrzebny jej jest akt wyciszenia. Miała nim być pielgrzymka do grobów

przodków w Ajal Awwad. Umm Lafi była wtedy w siódmym miesiącu ciąży, ale to akurat nie stanowiło dla niej żadnej przeszkody.

Pielgrzymki na cmentarz Ajal Awwad — Synów Awwada — były stosunkowo nową tradycją. Grób nie należał bowiem do żadnej biblijnej czy koranicznej postaci. Było to miejsce pochówku Salima ibn Awwada, szajcha plemienia Amarin, który żył na początku dwudziestego wieku. Wszystkie okoliczne plemiona wierzyły, że posiadał nadludzkie moce, a jego grobowiec stał się miejscem kultu. Wierzano, że jeśli pielgrzymki będą regularnie odwiedzać jego grób lub na jego cześć będą wyprawiane uczty z tradycyjnym *mansafem*, to święty mąż okaże pątnikom przychyłność. Natomiast zapomniany ściągnie na pobratymców nieszczęście, choroby i śmierć. Nieszczęście mogło spaść bez żadnego ostrzeżenia, dlatego Umm Lafi wolała zabezpieczyć się na wszystkich frontach.

Wyruszyliśmy tuż przed wschodem słońca, każde z nas na swoim osiołku. Umm Lafi siedziała bokiem, owinięta brązową *abą*. Póki nie wzeszło słońce, było bardzo chłodno, więc cieszyłam się, że włożyłam ciepłą kurtkę. Jechaliśmy ścieżką w dół, aż do podnóża zachodnich skał, a później doliną na południe. Na stromych skałach tu i ówdzie można było dostrzec wejścia do czerwonych grot, z lewej strony wąwóz stromo opadał do wyschniętego koryta rzeki.

Ośle chyba dobrze znały drogę, truchtały szybko i pewnie. Mój „wierzchowiec” wydawał się wręcz stworzony dla mnie. Szary, spokojny i niewysoki szedł miarowym krokiem, dziarsko postukując kopytami. Przejazdźka zatem wydawała mi się całkiem wygodna i przyjemna. Siedząc na złożonym na pół grubym, wełnianym kocu, trzymałam wodze luźno zawinięte na drewnianym przednim łąku. Ośle kopyta stukały miarowo w pełnym przeciągów kanionie, wijącym się między białymi, kamiennymi ścianami. Po pewnym czasie dotarliśmy na płaskowyż. Grunt był

starannie zaorany, a kamienne ścieżki i wyschnięte koryta potoków dzieliły cały teren na mniejsze poletka. Ślady pług widniały wokół jałowców, krzaków rattanu i stosów kamieni. Od czasu do czasu Salim popędzał osły przeciągłym okrzykiem „*hhrrrrwl*” oraz machnięciem ręki. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Wreszcie zobaczyliśmy Dżabal Harun; meczet na jego szczycie błyszczał w promieniach porannego słońca. Kilka jasnych postaci (pewnie młodzi pasterze) głośno nawoływało kozy. Ptaki ćwierkały. Przestraszone przepiórki podrywały się do krótkiego lotu. Objechaliśmy górę białą, zapyloną ścieżką i niewielkimi kotlinkami dotarliśmy do krótkiego kanionu wyżłobionego przez naturę w skałach piaskowca. Przed nami roztaczał się widok na Wadi Araba, ujęty skałami jak oprawiony w ramy obraz. Wiał przyjemny chłodny wietrzyk.

Zatrzymaliśmy się u podnóża gór. Nad nami rozpościerało się bezchmurne i błękitne niebo. Spojrzałam w dół, gdzie białe wzgórza z piaskowca opadały na zachód, a wąwozy między nimi stawały się coraz szersze. Poniżej, po drugiej stronie doliny, już na terenie Izraela, rysował się w dali czerwonawy górski masyw. Salim i Umm Lafi, dużo praktyczniejsi ode mnie, sprawdzali zejście, które opadało przed nami w dół stromym żwirowym usypiskiem. Miałam wrażenie, że jest ono nie do przebycia, ale chyba się myliłam, bo moi towarzysze zsiadli z osłów i przygotowali się do zejścia.

Umm Lafi podciągnęła brzeg *mudragi* i zawiązała wokół brzucha. Pod spodem miała drugą sukienkę oraz elastyczne spodnie. Zwinęła *abę* na czubku głowy. Na nogach miała plastikowe buty.

Ja na przejażdżkę osłem wolałabym włożyć po prostu dżinsy i t-shirt, ale przecież byłam członkiem plemiennej społeczności i musiałam zważać na to, co myślą o mnie Beduini. Wybieraliśmy się na pielgrzymkę, więc chciałam być stosownie ubrana. Oprócz chusty na głowie miałam na

sobie *mudragę*, którą za przykładem Umm Lafi podwiązałam w pasie i bawełniane spodnie. Na całe szczęście włożyłam sportowe buty.

Salim starannie upchnął nogawki spodni w białe skarpetki. Był niski i przystojny, tak jak Muhammad, i nosił świetnie utrafiony przydomek Abu Kuhl, bo prawie zawsze miał oczy podkreślone *kuhlem*. Na głowie nosił śnieżnobiały *mindil*, przytrzymywany czarnym *mirrirem* założonym trochę na ukos, co sprawiało wrażenie jakby mrugał gigantycznym okiem. Oprócz tego miał na sobie ciemną marynarkę, białą, obcisłą koszulę i koszulkę polo. W zawieszanej nisko na biodrze czarnej, skórzanej kaburze trzymał rewolwer. Zauważyłam, że tuż przed rozpoczęciem naszej wyprawy wypastował sobie buty. Cóż za próżność! Zastanawiałam się, czy miał nadzieję, że kogoś pozna po drodze. Ponieważ do tej pory nikogo nie spotkaliśmy, wątpiłam, że teraz ktoś się pojawi, bo coraz bardziej oddalaliśmy się od cywilizacji.

— *Jalla, deru balku* — powiedział i poprowadził nas wzdłuż wąskiej, skalnej krawędzi wprost na czarne, żwirowe usypisko. Ja szłam tuż za nim, a Umm Lafi na końcu. Spod naszych nóg osuwały się poluzowane kamienie i spadały na dół, a my, ślizgając się i potykając, schodziliśmy zygzakiem. Czasem ciągnęliśmy za sobą nasze osły, ale od czasu do czasu to ja chwytalam się kurczowo cugli, mając nadzieję, że zwierzę dobrze się wczepia kopytami w grunt i nie wyląduję na dole z osłem na grzbiecie. Gdy dotarliśmy wreszcie do podnóża góry, byliśmy kompletnie zgrzani. Salim przetaił buty z kurzu i pojechaliśmy dalej na północ niewielkim i płaskim *wadi*.

Góry, które mijaliśmy po prawej stronie, piętrzyły się nieprzyjaźnie, ukazując czarne granitowe urwiska porośnięte tu i ówdzie zieloną roślinnością jaśniejszą w miejscach, gdzie padały promienie słońca. Nagle zauważyłam w ścianie ciemnego granitu rozpadlinę

obrośniętą bambusami oraz oleandrami i wypełnioną wodą. Byłam oczarowana. Salim wskazał na wodę: „Wadi Sijagha”, powiedział i zwrócił się na wschód, „Wadi Musa, Petra”. Zejście z góry zajęło nam cały ranek. Byliśmy teraz dokładnie poniżej miejsca, z którego wyruszyliśmy. Tu jednak strumień się kończył. Woda opuszczała bowiem wąski wąwóz i wsiąkała prosto w piasek.

Zauważyłam kilka dziewczynek, które poobijanymi puszkami czerpały wodę. Nie miałam zielonego pojęcia, gdzie mieszkały. Patrzyły, jak podjeżdżaliśmy na osłach i nieśmiało odpowiedziały na nasze „*salam*”; zaraz potem znowu wróciły do pracy, napełniając ogromne, czarne, gumowe bukłaki, wiszące po obu bokach osła. Napełniliśmy butelki, napoiliśmy osły, obmyliśmy twarze i stopy. Powietrze było rozgrzane, a woda chłodna i orzeźwiająca. Im dalej na północ się przemieszczaliśmy, tym bardziej płaskie i szerokie stawało się *wadi*. Pojawiało się coraz więcej zieleni, nawet na piasku wyrastały krzewy z gałęziami uginającymi się pod ciężarem zielonych igieł. Zwędłe i żółtawe krzaki wciąż tkwiły korzeniami w miejscach, w których pozostawiły je wody ostatniej gwałtownej powodzi. Gdzieniegdzie rosły drzewa akacji, rzucające tak upragniony przez wszystkich cień. Trawa kiełkowała wszędzie tam, gdzie jej nasiona znalazły dobre podłoże. Po drodze minęliśmy dwa czarne namioty z koziej wełny, prawdopodobnie właśnie w nich mieszkały dziewczynki, ale nie spotkaliśmy żywej duszy. Wreszcie dostrzegliśmy cmentarz wyłaniający się z porośniętych krzewami piasków. Salim rozsiadł osły i przywiązał je tuż koło krzaków, żeby mogły poskubać trochę trawy czy liści, ale na tyle mocno, żeby nie zerwały się z postronków. Gdyby nasze powolne „rumaki” zerwały się z uwięzi, czekałaby nas długa piesza wędrówka do domu.

Byłam szczęśliwa, że nareszcie mogę zsiąść z osła. Niskie kopce nagrobne, wszystkie skierowane w tę samą

stronę, usypano z ziemi i kamieni. Nawet grób Salima ibn Awwada nie miał żadnej płyty nagrobnej, choć łatwo go było poznać, ponieważ otaczał go prymitywny, niski murek, a między kamienie powtykano skrawki zielonego[24], zetlałego już materiału.

Umm Lafi zbliżyła się, dopiero kiedy opróżniła juki przytroczone do siodła i postawiła czajnik pełen wody na ognisku. Następnie dokonała rytualnego obmycia, *wudu*, i dopiero wtedy przeszła przez murek. Wyobrażałam sobie, że odprawi jakąś długotrwałą ceremonię, ale nie trwało to długo. Po wyrecytowaniu wersetu z Koranu, zapaleniu „świecy wotywniej” zrobionej z kawałka zrolowanego, zielonego materiału zamoczonego w *saminie* i wetknięciu jej między kamienie Umm Lafi przeszła z powrotem przez kamienne ogrodzenie i zabrała się za przygotowywanie obiadu. Salim i ja nie przeszliśmy nawet na drugą stronę muru. Żałowałam, że tyle się namęczyłam i pojechałam w sukni i szalu.

Z czajnika doszedł ostrzegawczy syk — znak, że woda już wrze. Za pomocą długiego kija Salim sprawnie zdjął z ognia naczynie, po czym wsypawszy cukier i liście herbaty, postawił go ponownie na palenisku, tym razem na krótko.

Oparłam się o murek i ze smakiem siorbałam herbatę, a tymczasem Umm Lafi ugniatała na obiad ciasto z jasnożółtej mąki. Przygotowywała świeżą *fattę*. Nie było do jedzenia *szraka* ani *riszufu*, ale mieliśmy pieczywo z ogniska i *laban*. Drzewo wypaliło się, więc Salim długim kijem rozrzucił żar, a Umm Lafi włożyła sporej wielkości placek wprost do ogniska. Ostrożnie nagarnął rozgrzane do czerwoności węgielki, przykrył nimi całą powierzchnię grubego placka, a potem upewniwszy się, że wierzch już jest przypieczony, zagrzebał go głęboko w gorącym piasku pod ogniskiem.

Umm Lafi podała mi naczynie z wodą, w której leżała namoczona kula jogurtu i poinstruowała mnie — *Umrusi*.

Wiedziałam, że wreszcie mogę się przydać; znałam nazwę tej czynności związanej z prowadzeniem domu i w dodatku pamiętałam jak ją wykonać. Oprócz *saminu*, kulki jogurtu były głównym produktem przetwarzania koziego i owczego mleka oraz podstawowym źródłem dochodu. Po ubiciu i zdjęciu tłustej warstwy do produkcji masła, resztę odstawiano do fermentacji. Odlewano potem serwatkę, a ścięte mleko przelewano do muślinowej torby po cukrze, żeby je dokładniej odcedzić. Gdy jogurt stawał się spoisty, dodawano soli i formowano kulki wielkości pięści. Kulki te układano następnie na wierzchu wełnianego namiotu po to, by obeschły tak jak glina. Takie jogurtowe kulki można było przechowywać latami. Teraz siedziałam i tarłam jedną z takich kulek, aż woda, w której pływała, nabrała białego koloru, a na dnie zostało zaledwie kilka drobnych okruchów. Umm Lafi zdjęła pokrywkę z puszki „Nido” i postawiła ją obok ogniska, by rozpuścić w niej *samin*.

Salim postukał w chleb i usłyszał miły, głuchy dźwięk, więc natychmiast wyjął placek z ledwie żarzącego się ogniska, otrzepał, a potem kilka razy mocno uderzył pustym workiem po mące, aby usunąć paprochy. Przycupnęliśmy na ziemi i połamaliśmy chleb — skórka była chrupka, a miąższ żółty i ciężki — i wrzuciliśmy kawałki do pustego naczynia. Umm Lafi polała to wszystko jogurtem, a my wymieszaliśmy. Potrawa miała kremową barwę i półpłynną konsystencję z chrupkami kawałkami w środku. Następnie Umm Lafi wlała w sam środek mieszaniny rozpuszczony *samin*, przejrzysty i żółty jak jaskier. Wypowiedzieliśmy tradycyjną formułkę „*Bi-smillah*” i z apetytem zabraliśmy się do jedzenia. Siedzieliśmy przy cmentarnym murku, a nad nami rozpościerało się błękitne niebo.

Wracaliśmy tą samą drogą. Miałam obolałą pupę i uda, ale nie chciałam się do tego przyznać, więc tak jak Umm Lafi przez pewien czas jechałam w siodle bokiem.

Po drodze, już w *wadi*, zatrzymaliśmy się na chwilę i Salim zawołał coś w stronę zbocza. Usłyszałam odpowiedź i dostrzegłam ledwie widoczne stado kóz gdzieś wysoko na skałach. Nie było to zwykłe powitanie, ale cała rozmowa, odbijająca się w górach głośnym echem. Okazało się, że Umm Lafi zostawiła swoją *abę* na murku przy grobie i Salim oznajmił ten fakt w lokalnym odpowiedniku biura rzeczy znalezionych. Parę miesięcy później, kiedy odwiedzałam Umm Lafi, do jej namiotu przyszedł pewien starszy mężczyzna idący do Wadi Musa i zwrócił zgubę.

Zanim dotarliśmy do podnóża usypiska, rozboleły mnie nogi i nie mogłam już udawać twardzielki. Byłam naprawdę wykończona. Kiedy postanowiłam wyruszyć na pielgrzymkę do grobu, nie miałam pojęcia, jaki czeka mnie wysiłek. Myślałam tylko, że będzie to całkiem nowe i ekscytujące przeżycie. Bóle pleców, pupy i nóg po jeździe w siodle były dla mnie czymś nowym i niespodziewanym.

— *Jalla* — ponaglał mnie Salim. Umm Lafi, mimo zaawansowanej ciąży, z uporem spokojnie wjeżdżała na swoim osiołku pod górę. Byłam szczęśliwa z krótkiego popasu na szczycie, ale nie mogłam usiąść. Moi towarzysze wybuchnęli głośnym śmiechem, kiedy zrozumieli o co chodzi. Słońce już zaszło, gdy ponownie ruszyliśmy w drogę. Ależ była ze mnie turystka! Przez pewien czas szłam i pewnie bym kontynuowała taką wędrówkę, ale zapadł już zmrok i w ciemnościach trudno było wypatrzyć wyboistą ścieżkę. To przeze mnie wlekliśmy się niemiłosiernie. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że nikomu przed nami pielgrzymka na cmentarz nie zajęła tak wiele czasu, Muhammad i jego ojciec zaczęli się już niepokoić. Nasze osły bez problemu znajdowały drogę w ciemnościach i my też musieliśmy iść do przodu. Salim wciąż śmiał się i powtarzał: *Jalla*”, a zatem ja, pomimo bólu, musiałam znowu dosiąść kłapoucha.

Poczułam ulgę dopiero gdy zobaczyłam w oddali słabe

światełka w beduińskich domach. Nagle ujrzałam pochodnie i usłyszałam głosy: to Muhammad wraz z kilkoma towarzyszami wyruszył na poszukiwania.

— *Lisz tawwaltu?* Dlaczego zajęło to wam tak dużo czasu? — dopytywał się z niepokojem.

— To przeze mnie, nie mogłam jechać, pupa mnie boli — wyjaśniłam, rozśmieszając ich do łez. Śmiali się także, bo poczuli ulgę, widząc, że Umm Lafi nie poroniła.

Ruszyli przodem, żeby przekazać wszystkim, że wróciliśmy cali i zdrowi. Ja z Muhammadem wlokłam się z tyłu, bardzo wolno, krok za krokiem, do zadymionej jaskini. Tam podekscytowane młodsze siostry Muhammada — oczy im błyszczały w płomieniach ogniska — zebrały się wokół sagana, w którym dusiła się koza ofiarna. Na kolację podano *mansaf*, a my zostaliśmy na noc, bo nie byłam w stanie dowlec się nawet do naszej półki skalnej.

Umm Lafi nie odzyskała głosu ani tego dnia, ani następnego, ale była szczęśliwa, że zrobiła wszystko, co w jej mocy i może właśnie ta świadomość sprawiła, że uspokoila się i mniej gadała. Tak czy inaczej, do narodzin dziecka zupełnie wyzdrowiała.

Niespodziewany potop

Dni stały się chłodne, a w nocy lał deszcz. W jaskini mieliśmy kosz z żarem, więc było mi ciepło i wygodnie. Po skorzystaniu z toalety Muhammad wpadł z krzykiem:

— Chodź posłuchać powodzi. — W ciemności na naszej skalnej półce słyszeliśmy dochodzący z *wadi* groźny, dudniący odgłos. — Chyba jest potężna, chodź, zobaczymy.

Było ciemno, padał deszcz.

— Nie lepiej poczekać do jutra? — spytałam.

Muhammad zaśmiał się i kiedy zakładałam płaszcz, on

już napełniał lampkę naftową. Schodziliśmy ścieżką w jasnym świetle; kilka kropel deszczu zasyczało na pokrywie lampki. Przypomniałam sobie tatę i nasze nocne wyprawy na ryby na rozlewiska za Wyspą Króliczą. Ja siedziałam na łódce, podczas gdy tata brnął w wodzie. W jednej ręce trzymał lampę naftową, a w drugiej harpun, a następnego dnia jedliśmy na śniadanie ryby smażone na maśle.

Dudnienie stawało się coraz donośniejsze, a gdy dotarliśmy do brukowanej drogi, nie słyszeliśmy już własnych głosów. W promieniu światła widać było rzekę błota i kamieni, przelewającą się przez *wadi*. Do tej pory widziałam tylko jej koryto, wypełnione gładko oszlifowanymi głazami, a teraz woda prawie występowała z brzegów. Słyszałam zgrzyt i huk ziemi, po której przewalały się kamienie. Gałąź wyrwanego z korzeniami drzewa sterczała w górze jak ręka wzywająca pomocy. Nasz sąsiad Al-Dżimadi zszedł przyjrzeć się powodzi razem z nami, także Muflih znalazł się w kręgu światła lampy.

Muflih przewija się w mojej opowieści od czasu do czasu, bo taki właśnie był jego styl życia. Zawsze był niepoprawnym włóczykijem i (fakt niezwykle nawet jak na Beduina) nie potrafił nigdzie zagrzać miejsca. Nie miał rodzeństwa ani nawet dalszej rodziny ze strony ojca, który zmarł jeszcze przed narodzinami Mufliha. Matka wyjechała z Be'er Szewy, zostawiając teściów i wróciła do Petry, nigdy też nie chciała ponownie wyjść za mąż. Muflih dorastał w dolinie. Opiekowało się nim całe plemię (uważano za zasługę w oczach Boga karmienie, odziewanie oraz opiekowanie się sierotą, a dla Beduinów sierotą jest dziecko, które nie ma jednego z rodziców), ale Muflih nigdy nie miał rozwiniętego poczucia przynależności plemiennej, nie przejął także obowiązków rodzinnych. Był trochę starszy od Muhammada, który patrzył na niego z rozczarowaniem: „Nie musi o nikogo dbać, tylko o siebie, powinien być bogaty!”. Ale Muflih nie miał takich ambicji.

Pracował od czasu do czasu w Wydziale do spraw Zabytków, mieszkał najpierw w jednej jaskini, a później w innej, parę razy o mało się nie ożenił, nigdy długo nie wytrwał w żadnym postanowieniu.

Przestało lać, woda stopniowo zaczęła opadać. W powietrzu oczyszczonym deszczem czuło się świeżość. Gdy wróciliśmy wreszcie do jaskini i zamknęliśmy na noc drzwi, bezchmurne niebo usiane było gwiazdami. Nic dziwnego, że Muhammad śmiał się ze mnie, że chciałam z przyglądaniem się powodzi zaczekać do świtu: następnego ranka tylko gdzieś tam pozostało parę błotnistych kałuż.

1979

Piękne beduińskie dziecko

Pewnego ciemnego lutowego wieczoru zjawił się u nas Salim, by obwieścić nam *biszr* — dobrą nowinę: urodził mu się brat. Wszyscy byliśmy podekscytowani, ale Abu Mahmud, który wpadł do nas na herbatę, powiedział, że kilka godzin wcześniej widział Umm Lafi i nie zauważył niczego nadzwyczajnego podczas kolacji, którą razem zjedli. Nie on jedyny; nikt nie zauważył, że kiedy przyrządzała posiłek, już miała bóle porodowe, wysłała zatem małego Lafiego po sąsiadkę z drugiej strony *wadi*. Goście pili herbatę w oddzielonej tkaniną części przeznaczony dla mężczyzn, a kobiety po cichu zabrały Umm Lafi do pustej jaskini u podnóża góry, gdzie bez komplikacji przyszło na świat jej dziecko. *Al-hamdu li-llah ala-s-salama*[25]. Dzięki Bogu za bezpieczny poród.

Następnego dnia rano Muhammad wysłał mnie, żebym odwiedziła matkę i dziecko. On sam — zgodnie ze zwyczajem — mógł się pojawić dopiero dużo później. Świeżo upieczeni rodzice znów zamieszkali w namiocie. Zaciszne, zwrócone ku północy i otoczone antycznymi budowlami miejsce, w którym rozstawili swoje niskie namioty, oddalone było o dziesięć minut drogi od naszej jaskini. Umm Lafi leżała na grubej, wełnianej *farszy* na honorowym miejscu pośrodku namiotu. Uniosła kwiecisty szal, żeby pokazać mi swojego leżącego w skórzanej kołyszce dzidziusia. Oczy maleństwa wyglądały jak lśniące półksiężycy, ciemne rzęsy rzucały cień na pulchne policzki, a czarne włosy wymykały się spod zawiązanego na główce

czepeczka. Było to najpiękniejsze dziecko świata. Jego matka puchła z dumy i nadała mu imię Husajn:

— Jak król[26] — wyjaśniła.

Byłam jej synową, więc odwiedzałam ją codziennie. Kobiety, które do niej wpadały, w większości mieszkały w Petrze, ale Umm Lafi pochodziła z plemienia Amarin, więc jej siostra przybyła ze wzgórz w Al-Bajda. Nie byłam ekspertką od życia w namiotach oraz od panujących w nich zwyczajów, ale bałagan i rozgardiasz, jakie tam panowały, sprawiały, że sama nie wiedziałam, od czego zacząć porządki. Codziennie wczesnym rankiem Tuflih znikwała wraz ze stadem kóz i wracała dopiero późnym wieczorem. Lafi szedł do szkoły i trzeba go było długo namawiać, żeby w powrotnej drodze przyniósł wodę ze źródła. Ośmioletnia Inzila i pięcioletnia Nida krzątały się po namiocie, skore do pomocy, ale takie rutynowe czynności jak mycie naczyń, pranie ubrań, sprzątanie czy dbanie o zwierzęta domowe nie należały do ulubionych zajęć Beduinów. Wszystko zmieniło się wraz z dostępem do edukacji, bieżącej wody i z czasem Beduinki nauczyły się wzorowo prowadzić domy. Ale wtedy jeszcze dziewczynki wpychały jedynie pościel do szafki, a brudne ubrania podnosiły tylko z ziemi i przewieszały na linkach namiotów. Prały rzeczy dopiero wtedy, gdy były im potrzebne. Wodę dla drobiu nalewały do stojącego między kamiennymi blokami i pustymi kanistrami garnka, w którym wysychały resztki gulaszu z poprzedniego dnia. Przez cały czas koźlątka, w ciągu dnia odłączone od matek, wierciły się, beczwały, posikiwały i popuszczały tu i ówdzie rzadkie odchody.

Goście zjawiali się w tak czystych *mudragach* i *asabach*, że dopiero po pewnym czasie przypinałam sobie, w jakim stanie były ich domostwa. Kobiety przynosiły podarki, składające się z jaj i *saminu* oraz niewielkie sumy pieniędzy. Siedziały i plotkowały, popijając przy tym herbatę, zwykle też zostawały na cały dzień. Ubijały wtedy

masło, mieszały maślankę i odkładały kule kremowego jogurtu na dach namiotu do ususzenia. Oślepiąca kataraktą ciotka Umm Lafi zabierała się za ugniatanie ciasta na obiad, tylko najpierw ktoś musiał postawić przed nią wodę i mąkę.

Zwykle lubiłam takie zamieszanie, tyle się tam działo, a większość kobiet była przyjazna i ciekawa. Niemniej zawsze rozmawiały o mnie za moimi plecami i pewnego dnia, mimo woli, zdenerwowałam się.

— *Hazi mar'at Muhammad?* — Pomarszczona, pulchna kobieta spoglądała na mnie spod chusty i wskazując na mnie głową, spytała Umm Lafi, czy jestem żoną Muhammada. Później zwróciła się do mnie:

— *Kajf halki?* Jak się czujesz?

Wymamrotałam odpowiedź i wtedy zwróciło się w moją stronę jeszcze kilka twarzy. Pomarszczona kobieta miała na imię Imghiza i wcześniej witałam się z nią, zresztą widywała mnie u Rachijji tyle razy, że powinna wiedzieć, kim jestem.

Młodsza, kolorowo ubrana kobieta z hojnie pomalowanym *kuhlem* dzieckiem przy piersi spytała:

— *Tahki arabi?* — Spoglądała na mnie pytającym wzrokiem, ale odpowiedzi szukała po drugiej stronie namiotu. Czy ty — a właściwie ona — mówi po arabsku?

— *Szuwajja* — odważyłam się odpowiedzieć. Trochę.

Wreszcie zadano mi pytanie skierowane bezpośrednio do mnie.

Takie, które zrozumiałam:

— *Ummki tajjiba?* Czy twoja matka ma się dobrze?

— *Ajwa*. Tak.

Przyglądały mi się bacznie, uśmiechały się i kiwały głowami. Oceniały mnie.

— *Fi bebe?* — Stojąca obok mnie kobieta pochyliła się i

pomacała mój brzuch. Czy jest dziecko? Intensywny zapach jej tłustych włosów wdierał mi się w nozdrza, ale poddałam się, ponieważ uśmiechała się do mnie z takim podnieceniem, podnosząc w ramionach swoje niemowlę, aby mi je pokazać.

— *Ma fi*. Nie, nie ma.

Kobiety komentowały moją odpowiedź.

— *Ta'chuz man'a*. — Słyszałam, jak Imghiza burczy coś pod nosem. Kiwała też domyślnie głową, przezornie nie patrząc na mnie. Ja również opuściłam głowę. Udawałam, że nie wiem, że mówi o mnie i nie rozumiem, że podejrzewa mnie o stosowanie środków antykoncepcyjnych.

Wściekałam się w duszy. Co ona mogła o mnie wiedzieć? Kto jej dał prawo do wygłaszania opinii? Zgorzkniała, stara wiedźma. Po co się wtrąca?

Jednocześnie czułam, iż muszę im wyjaśnić, że nie biorę tabletek. Zastanawiałam się, po co w ogóle chcę się tłumaczyć. Gorąco pragnęłam znaleźć po arabsku jakieś dobitne słowa.

— Wcale nie. — Chciałam im wyjaśnić, że staramy się o dzieci przy każdej nadarzającej się okazji, ale jak dotąd bezskutecznie. Pewnie by się roześmiały.

Ale nie umiałam tego powiedzieć, więc spojrzałam w drugą stronę i postanowiłam ją zignorować.

Umm Lafi nie robiła nic oprócz opieki nad dzieckiem. Przez czterdzieści dni nie mogła gotować, a nawet parzyć herbaty. Była nieczysta. Miała swój własny kubek, który trzymała w plastikowej torbie pod materacem i nie jadła ze wspólnego talerza. Wszystkie te zabiegi wydawały mi się dość drakońskie, biorąc pod uwagę ogólny brak higieny. Zauważyłam też, że nikomu nie pokazuje Husajna. „Aby uchronić go przed złym okiem”, wyjaśniła.

Później, gdy moje własne tygodniowe niemowlę złapało grype — może dlatego, że używałam tych samych naczyń co inni, aby udowodnić, że nie jestem nieczysta, albo ponieważ pozwalałam wszystkim obcałowywać naszą córeczkę, aby dowieść, że nie ma czegoś takiego jak złe oko — zrozumiałam, jak wiele mądrości kryło się w tych przesadach.

Wszystkie prezenty były przyjmowane życzliwie: na śniadanie smażyliśmy jajka na *saminie*, a z drobniakami Umm Lafi posyłała Nidę do sklepu w Fam al-Wadi, żeby kupiła cynamon potrzebny do przygotowania wywaru oraz kadzidło do okadzenia całego namiotu. Ibrahim przywiózł na osiołku herbatę i cały worek cukru. Mały Husajn nie był jednak drogi w utrzymaniu. Umm Lafi karmiła go piersią, spał owinięty w płaszcz ojca, a starą sukienkę podarto na pieluchy.

Sąsiedzi szczęśliwych rodziców zbierali się wieczorami i do późnej nocy pili słodką herbatę. Pojawił się również Salama al-Muchtar oraz inni mężczyźni z doliny. Dbali o to, aby ognisko w nocy nie przygasło. Nikt nie myślał o zachowaniu ciszy czy o oszczędzaniu cukru.

— Kobieta i noworodek są szczególnie bezbronni przez pierwszych czterdzieści dni — powiedział Salama i kazał Muhammadowi to przetłumaczyć, żebym zrozumiała, dlaczego siedzą tam niemal co noc.

— Przychodzimy dotrzymać Abdallahowi towarzystwa.

Poczułam się skarcona: Muhammad i ja odwiedziliśmy położnicę zaledwie kilka razy, bo ja wołałam siedzieć w naszej przytulnej jaskini.

Zdobywam szacunek

— *Mar'atak narsa, lisz ma btisztighil?* Tyle razy

zadawano Muhammadowi to pytanie, że z czasem dowiedziałam się, co znaczy. Twoja żona jest pielęgniarką, dlaczego nie pracuje?

Uważali, że mogę poprowadzić ambulatorium w Petrze lepiej niż obecny pielęgniarz dojeżdżający z Wadi Musa. Kiedy wreszcie zrozumiałam, co do mnie mówią, minęło już kilka miesięcy słodkiego nieróbstwa i wiedziałam, że potrzebuję zajęcia. Nie byłam jednak przekonana, czy akurat pracy w ambulatorium. Oprócz tego, że na razie nie było tam wakatu, nie byłam pewna, czy dam sobie radę. Uczono mnie, jak się opiekować dziećmi opóźnionymi umysłowo, była to raczej metoda behawioralna, a nie nauka udzielania pierwszej pomocy. Podstawową wiedzę zdobyłam na kursie organizowanym przez fundację St John's Ambulance jeszcze w czasach liceum. Nie wyobrażałam też sobie, jak sobie poradzę z tak słabą znajomością arabskiego.

— Posłuchaj — Muhammad nie potrafił zrozumieć moich obaw. — Przecież tego faceta prawie tu nie ma, będzie zadowolony, że może wreszcie pracować tylko w Wadi Musa, a jeśli chodzi o znajomość języka, to lekarz wszystkie recepty wypisuje po angielsku.

Wszyscy przekonywali mnie do tego pomysłu z takim zapałem, że postanowiłam spróbować. Jeśli mam robić coś pożytecznego, a przy tym zarobić pieniądze, to chyba nie ma w tym nic złego.

W szpitalu w Wadi Musa lekarze namawiali mnie, żebym zamiast w ambulatorium w Petrze podjęła pracę w szpitalu. Większość z nich skierowano z Ammanu na roczny staż, a pozostali pracownicy szpitala pochodzili z pobliskiej wioski i brakowało im fachowego przygotowania. Etatowa pielęgniarka była więc cennym nabytkiem. Ja chciałam jednak pracować tylko pod warunkiem, że nie będzie się to wiązało z dużym wysiłkiem, a codzienne dojazdy do Wadi Musa byłyby sporym utrudnieniem. Stanowisko, jakie

objęłam w ambulatorium w Petrze, nosiło szumną nazwę pomocy pielęgniarskiej.

Właściwie wcale nie przypominało to oficjalnej pracy. Dostałam ją na słowo honoru, jeszcze zanim dołączyłam kopię świadectwa do moich dokumentów. Miesięczne wynagrodzenie, jakie otrzymywałam, było tak niskie, że w Nowej Zelandii nikt nie uznałby tego za prawdziwą pensję. Ambulatorium mieściło się w zatęchłej i zakurzonej jaskini, aż trudno było uwierzyć, że naprawdę istnieje — to wszystko przypominało raczej ciąg dalszy mojej beduińskiej przygody niż pracę zawodową.

Przez pierwsze sześć tygodni codziennie jeździłam do szpitala, aby zorientować się, jak to wszystko działa. Chorych przyjmowano od ósmej do czternastej, a piątek był dniem ustawowo wolnym od pracy, tak samo jak w szkołach, bankach i urzędach państwowych. Dochodziłam do asfaltowej drogi u wylotu wąwozu As-Sik, skąd zabierał mnie szpitalny land-rover. Kierowca objeżdżał jeszcze trzy inne wioski, po drodze zgarniając pozostałe pielęgniarki.

Polubiłam moje codzienne piesze wyprawy i poranny spacer przez As-Sik wraz z pierwszymi przejeżdżającymi jeźdźcami. Gdy tylko dowiedzieli się, że jestem *mar'at Muhammad*, nalegali, żebym to ja jechała wierzchem, a oni szli obok piechotą. Ci ludzie zajmowali się oprowadzaniem turystów na koniach, więc nie chciałam pozbawiać ich możliwości przynajmniej dojazdu do pracy na końskim grzbiecie. Zawsze jednak znalazł się ktoś, kto nalegał ze szczególnym uporem i na nic się zdawała moja nawet najgrzeczniejsza odmowa. Zimowa pogoda była cudowna. Upajałam się ostrym powietrzem; śpiew mężczyzn oraz stukot końskich kopyt niósł się echem w cichym kanionie. Był to magiczny początek dnia. Szpital, pozbawiony łóżek, przypominał raczej zwykły ośrodek zdrowia zamykany po godzinach przyjęć. Mieścił się w prostokątnym betonowym budynku na drodze dojazdowej do Wadi Musa, nad wioską;

rozciągał się stamtąd wspaniały widok na wzgórze Petry. Krajobraz po zachodniej stronie podlegał nieustannym zmianom. W niektóre słoneczne przejrzyste poranki masyw gór jakby się przybliżał, wyraźnie też było widać pustynię oraz wzgórze Wadi Araba w tle. Czasami, kiedy Wadi Araba spowita była mgłą, przypominała błękitny ocean. Kiedy indziej chmury otaczały Wadi Araba i wtedy góry wyglądały jak wielka tama oddzielająca Petrę od wody. Któregoś dnia nawet Petra zatoneła w chmurach i wystający z nich szczyt Dżabal Harun przypominał wyspę, a grób proroka Haruna lśnił w promieniach słońca.

Najbliższy szpital z łózkami oraz laboratorium znajdowały się w Ma'anie, 50 kilometrów na wschód od Petry. Stamtąd przywożono wszystkie lekarstwa i tam też co miesiąc odbierałam moją, niewielką co prawda, ale mile widzianą wypłatę. Rodzinę oraz przyjaciół Muhammada bardzo interesowała moja praca i związane z nią apanaże; urzędników państwowych oraz pracowników służby zdrowia darzono dużym szacunkiem, więc z czasem stawałam się coraz lepiej widzianą synową. Co prawda zawsze krępowały mnie pytania w stylu *Giddisz bitdżibi? Ile zarabiasz?*, poprzedzone oczywiście pytaniem *Twazzafti?* albo *Isztaghalti?* Czy znalazłaś już pracę?

Muhammad nie przejmował się tym. — Ty te pieniądze zarabiasz, a nie kradniesz, więc po prostu im powiedz — tłumaczył.

Dla mnie jednak wypytywanie o zarobki było równie niedyskretne, jak pytanie kobiety o wiek. Zresztą Beduini i o to pytali bez mrugnięcia okiem.

Kiedy zdecydowaliśmy się oszczędzać na podróż do Nowej Zelandii (wyjazd wymarzony, ale ciągle jeszcze nie zaplanowany), założyłam konto, na które wpłacano moją pensję. Dzięki temu nie musiałam odbywać podróży przez wszystkie najodleglejsze pustynne osady starym, rozklekotanym autobusem.

W moim ambulatorium tłoku raczej nie było, zwykle po prostu siedzieliśmy przed jaskinią, czekając na pacjentów. Próbowałam rozmawiać z innymi pracującymi tam dziewczętami, ale chociaż były uprzejme i życzliwe, prawie nie mówiły po angielsku. Schodziłam więc do apteki, w której siedzieli księgowy, pomocnik oraz kierowca, którzy lepiej sobie radzili z językiem. Pewnego dnia dyrektor stwierdził, że nie wypada, żebym siedziała w tym samym pomieszczeniu z mężczyznami. Z początku starałam się tłumaczyć, że tylko szukam towarzystwa do konwersacji, ale w końcu zrozumiałam, że uważa, iż samo siedzenie z mężczyznami jest nie do przyjęcia. Nie zamierzałam zmieniać świata, więc po prostu wstałam i wyszłam. Od tamtej pory przesiadywałam z dziewczętami.

Ciągle nie wiedziałam, jak sobie poradzę z Beduinami w Petrze, przecież prawie wcale nie mówiłam po arabsku. Dziewczyny nauczyły mnie kilku nowych słów: *raha* — przysmak turecki i *biscotte* czyli ciastka, które kupowały do porannej herbaty i podawały zamiast kanapek: odrobina słodkiej masy pokrytej różowym lub białym lukrem i ściśniętej między dwoma herbatnikami. Nauczyły mnie też, jak wysterylizować w metalowej nerce szklaną strzykawkę i wykonane z nierdzewnej stali igły oraz jak rozsmarować dużą ilość jasnożółtej tłustej maści przeciwbakteryjnej na bandażu lub gazie nakładanej na ranę albo oparzenie. Do dyspozycji mieliśmy jedynie zwykłe bandaże, gazy, watę, i to w niewielkich ilościach. Pierwszą jednorazową igłę zobaczyłam dopiero parę miesięcy później, gdy poznałam Nuę — pielęgnarkę od szczepień. Chorzy przychodzili do nas po lekarstwo na kaszel, a lekarze zazwyczaj przepisywali im antybiotyki, które były na stanie w aptece. Poważniejsze przypadki odsyłaliśmy do Ma'anu. Po raz pierwszy zobaczyłam wewnątrz ambulatorium w Petrze we wtorek. Doktor przyjeżdżał do Petry raz w tygodniu i tego dnia miałam go poznać. Wczesnym rankiem wyruszyłam do

Doliny Klasztornej i czekałam pod drzwiami u podnóża skały. Te drzwi pokazał mi kiedyś Muhammad, a ja sama mijiałam je wielokrotnie w drodze do Rachijji. Rodzina Rachijji spędzała zimę w pobliskiej jaskini; widziałam, jak nowy miot kózek podskakuje i pobekuje na skalnej półce tuż nad nami. W ścianie po drugiej stronie doliny było wiele zamieszkanymi jaskiń. Przynajmniej do takiego wniosku doszłam, widząc osły, zbiorniki na wodę, gdzieniegdzie rozwieszane sznury z bielizną, bawiące się dzieci oraz *tuki* (to ciemne smugi na skałach wyglądające jak wyschnięte wodospady, wyłobione przez wieloletnie wylewanie wody po zmywaniu oraz wyrzucanie odpadów i śmieci). Sliman, po którym przejmowałam stanowisko, był młodym, dobrze wychowanym mężczyzną. Miał bardzo gęste, czarne i perfekcyjnie przystrzyżone wąsy, nosił się jak Europejczyk, zawsze w czystym, idealnie wyprasowanym garniturze. Tego dnia pojawił się niedługo po mnie. Otworzył drzwi wielkim metalowym kluczem, przyczepionym do długiego łańcucha. W ucho klucza musiał włożyć drąg, żeby powstało coś w rodzaju dźwigni. W miarę przekręcania klucza kij trzeszczał niepokojąco, ale się nie złamał. W przyszłości ja również zaczęłam nosić ze sobą metalową rurkę, żeby przy każdym otwieraniu zamka nie łamać kolejnego kija. Drzwi zrobiono z nierówno ociosanych jałowcowych desek. Gdy Sliman popchnął je, zaskrzypiały i otworzyły się z głuchym łomotem. Przechodząc przez próg, musiałam się schylić. Stałam na starożytnych kostkach brukowych zatopionych w betonie. Pachniało tu chłodem, wilgocią i kurzem. Kiedyś nierówno pobielono ściany, ale od tamtej pory najwidoczniej nikt ich nie odkurzał. Na wprost wejścia, we wpadającym przez drzwi świetle, stał stół. Właśnie tu, pokazywał mi dalej Sliman, rejestrowano pacjentów, sporządzano spis leków, przepisywano recepty oraz zalecenia lekarskie. Za stołem, pod ścianą, zostało tylko miejsce na krzesło. Sliman otworzył wysoką, drewnianą szafkę stojącą po lewej stronie stołu i wtedy

ujrzałam kilka półek zastawionych lekarstwami oraz stare, różowawe, wyblakłe, kartonowe pudełka. Dalej, po lewej stronie, tuż za moimi plecami, ustawiono zdezelowany stoliczek, blokując drzwi, żeby się nie zamknęły. Wszystkie sprzęty wyglądały na stare i mocno zniszczone. Zobaczyłam też kuchenkę gazową, kilka metalowych nerek, wateę, kleszcze, butlę gazową, kanister oraz blaszany kosz na odpady. Po prawej stronie stołu stała przykryta szarą ceratą kozetka lekarska. Pod nią wsunięto drewniany stołeczek, a obok rozstawiono parawan z poszarzałym płótnem. Na kolejnym drewnianym stoliczku, wciśniętym między parawan a drzwi, stały zakurzone, kartonowe pudła.

Raz jeszcze zadałam sobie pytanie, jak sobie poradzę? Zaczęli się schodzić pacjenci, pewnie zobaczyli otwarte drzwi, a może usłyszeli głośny warkot nadjeżdżającego samochodu, rozchodzący się w cichej dolinie. Sliman zaczął przyjmować opłaty i wypisywać recepty.

— Nie będę mogła tego robić — powiedziałam głośno.

— I nie będziesz musiała, ponieważ Beduini mieszkający w Petrze na mocy królewskiego dekretu wydanego przez Jego Wysokość Króla Husajna będą mieli zagwarantowane prawo do bezpłatnej opieki lekarskiej. Dekret wchodzi w życie w przyszłym tygodniu — wyjaśnił lekarz.

W samą porę! Jednym królewskim dekretem pozbyto się stosu papierkowej roboty. Tak jak mówił wcześniej Muhammad, recepty wypisywano po angielsku.

Kiedy skończyłam już szkolenie w Wadi Musa i byłam gotowa do przejęcia obowiązków, umówiłam się ze Slimanem w ambulatorium, aby dokonać wręcz niemożliwego zadania. Mój poprzednik musiał zdać wszystkie lekarstwa, sprzęty, strzykawki oraz książki, niezależnie od ich stanu. W kartonowych pudłach, pokrytych grubą warstwą gromadzonego latami kurzu, znajdowały się zardzewiałe wagi dla niemowląt, stara

lampa parafinowa — pewnie jeszcze z czasów, gdy pielęgniarka mieszkała w małej jaskini w pobliżu, mnóstwo strzykawkę zniszczonych sterylizacją w zbyt twardej wodzie, pokruszone, niemal zamienione w pył tabletki węgla (nie dało się ich policzyć) oraz dziesięciolitrowa, blaszana puszka z małym kranikiem, która po napełnieniu wodą i powieszeniu na ścianie dawała nam złudzenie, że mamy bieżącą wodę. Przez wiele godzin liczyliśmy i spisywaliśmy każdą najmniejszą tabletkę i każdą zakurzoną strzykawkę. Przerwaliśmy tylko po to, aby wypić herbatę oraz zrobić zastrzyki kilku zawiniętym w chusty kobietom. Segregatorów leżących w szafce nawet nie tknęliśmy. Sliman powiedział, że są nieważne.

— To należy do *sitt. Dabair at-tat'imat*. Ona czasem tu przyjeżdża — dodał. Nie rozumiałam, o co mu chodzi, ale stwierdziłam, że słowo „nieważne” było w tym wypadku najważniejsze. Wreszcie skończyliśmy i Sliman poszedł do domu. Odtąd miał pracować w ośrodku zdrowia, a ja zostałam sama na moim nowym stanowisku pracy.

Ambulatorium w Petrze

Cieszyłam się, że mam do dyspozycji małe biuro, a co najważniejsze powód, żeby do niego przychodzić. Każdego ranka szłam drogą prowadzącą ze wzgórza między ruinami domów, przez opustoszałe antyczne place targowe, wśród powalonych kolumn, leżących jak przewrócone kostki domina na dziedzińcu świątynnym, a potem dalej w dół, po wielkich zniszczonych schodach, aż do brukowanej drogi. Gdziekolwiek spomiędzy skał wyglądały maki i inne dzikie kwiaty albo cierniste krzewy, które wraz z nadejściem wiosny rozrastały się, tworząc jakby gigantyczny wzór chemiczny.

Brałam ze sobą „Samouczek arabskiego” oraz

brudnopis. Wielki stół był doskonałym miejscem do nauki. Zaczęłam uczyć się alfabetu, a litery powtarzałam w domu.

Jedną z moich pierwszych pacjentek była niziutka, stara kobieta, niewiele większa od osiołka, na którym przyjechała. Tatuaze na jej ciemnej, pooranej zmarszczkami twarzy, zgarbione plecy oraz warstwy *mudragi*, które na siebie włożyła, sprawiały, że wydawała mi równie wiekowa, jak otaczające nas wzgórza. Przyszła na zastrzyk witaminy B, bo właśnie na jej brak cierpiało wielu miejscowych Beduinów ze względu na niedostatek świeżych warzyw. Chciała mi wręczyć kilka monet. Wyjaśniłam jej, że otrzymuję pensję i wcale nie spodziewam się zapłaty. Ale i tak przy następnej wizycie przyniosła mi cztery jajka owinięte skrawkiem materiału i włożone do poobijanej puszki, a przy kolejnej trochę *saminu*. Nalegała, abym przyjęła je jako dowód wdzięczności, a nie wynagrodzenie.

Inni pacjenci również chcieli mi płacić. Dowiedziałam się wtedy, że zwyczaj ten narodził się w latach sześćdziesiątych podczas kampanii przeciwgruźliczej, gdy Gublan, miejscowy Beduin z plemienia Bdul, nauczył się robić zastrzyki ze streptomycyny. Nikt się nie spodziewał, że szczepienia mogą być darmowe. Teraz Gublan był już stary, ale ludzie ciągle stawiali mi go za przykład. Jego chudą twarz zasłaniały krzywo założone, sklezione taśmą okulary ze szklami jak spodki; do tej pory nazywano go „Toktorem”.

Hojność pacjentów schlebiała mi, ale również wywoływała we mnie uczucie zażenowania. Skutecznie broniłam się przed przyjmowaniem pieniędzy, ale nie potrafiłam odmówić przyjęcia żywnościowych darów, z których moi pacjenci byli tacy dumni, a które mi bardzo szybko zasmakowały.

W taki sposób poznałam Beduinów. Widywałam się często z rodziną Muhammada oraz kilkoma innymi

rodzinami, z którymi się przyjaźnił, poznałam także kilka mieszkających w pobliżu młodych kobiet, które przychodziły na naszą półkę skalną, żeby mnie zobaczyć. Znałam paru kolegów Muhammada, z którymi pracował w Skarbcu, ale resztę plemienia Bdulów, Amarin, a nawet Sajdijin poznałam dopiero dzięki pracy w ambulatorium. Zdarzało się, że ci Beduini, którzy jeszcze nie mieli okazji, aby wpaść na naszą półkę skalną i mnie poznać, pojawiali się w ambulatorium tylko z tego powodu. Inni z kolei przychodzili na zmianę opatrunku na gojących się poparzeniach i ranach albo na zastrzyk. Niektórzy liczyli na darmową buteleczkę syropu na kaszel lub inne lekarstwo — których otrzymać nie mogli, skoro nie zostały przepisane przez lekarza. Przy każdej wizycie doktora zbierał się ogromny tłum. Ci, których już znałam, przedstawiali mi nieznanym. Bywało, że sami mówili, kim są.

— *Ana Umm Salim*. Jestem matką Salima — oświadczyła mi pewna kobieta z wyraźną dumą w głosie. Była matką przyjaciela Muhammada. Dostarczyła mi garść informacji o swojej rodzinie. — To są moje córki bliźniaczki Naifa i Nadźda, na cześć pielęgniarek, które asystowały przy porodzie w Ma'anie.

Na ogół nie poddawali się, dopóki nie zrozumiałam, co chcą powiedzieć. Z czasem wyławiałam coraz więcej dźwięków i coraz więcej rozumiałam.

— *Dżuzi bjisztaghil ma'a Muhammad fi-l-Dżarra*. Mój mąż pracuje z Muhammadem w Skarbcu — powiedziała kobieta z dzieckiem na rękach. Wszyscy, mówiąc o Al-Chaznie, używali słowa *Dżarra* czyli urna, pomimo gadki, jaką turystom sprzedawał przewodnik.

Z reguły było dwóch lekarzy, którzy pracowali w ambulatorium na zmianę, po pół roku każdy. Każdy z nich przez sześć miesięcy prowadził ośrodek zdrowia, a kolejne sześć dyżurował w ambulatorium. Na przestrzeni lat miałam więc okazję poznać wielu młodych lekarzy.

Studiowali w Ammanie, Bagdadzie, na Ukrainie, w Rosji i Jugosławii. Niektórzy naprawdę chcieli leczyć i pomagać innym, więc do rozpaczki doprowadzali ich starzy mężczyźni, którzy nie chcieli nawet otworzyć ust i powiedzieć „aaaaaa”. Inni zostali lekarzami tylko z powodu szacunku i prestiżu, jakim cieszyli się wtedy rodzice lekarzy. Zadowalali się przepisywaniem witamin anonimowym, czarno ubranym postaciom, które pojawiały się w drzwiach ambulatorium i skarżyły na zawroty głowy.

Na receptach wypisywano trójczłonowe nazwisko pacjenta: najpierw imię własne, potem imię ojca, na końcu dziadka. Odnotowywano także jego wiek, choć zwykle domniemany. Większość ludzi odpowiadała:

— Nie wiem, ile mam lat. Nie umiem też ani czytać, ani pisać.

Niektórzy jednak mieli datę urodzenia zapisaną na jakimś karteluszkach albo na karcie poborowej i zwykle byli młodszy, niż myślałam. Nikt nie miał oficjalnej metryki urodzenia, ale zdarzało się, że przynosili tak zwane Świadectwo Przypuszczalnego Wieku, takie samo jak Muhammad. Otrzymał je w 1974 roku, kiedy stawił się przed komisją lekarską, która oceniła jego „ogólną budowę ciała oraz wygląd” pod kątem służby w wojsku i orzekła, iż urodził się w 1950 roku, dzięki czemu uniknął poboru, bo był na to za stary.

Nie mając pod ręką Muhammada służącego mi pomocą w tłumaczeniu, musiałam uważnie wsłuchiwać się w słowa, a potem w domu wypytywałam go o wszystko.

— *Kullu ma minni judża'ni, ja toktor.* — Recytowałam, łapiąc się przy tym za plecy, ramiona, a później pierś i mówiłam dalej — *zahri bjudża'ni, kitafi btudża'ni, wabahiss kibdi tala'a ras galbi, ja toktor.*

Śmiał się — albo z powodu mojego przedstawienia, albo też czuł się zażenowany lub zniecierpliwiony słuchaniem o chorych.

— Wszyscy oni są na to chorzy — wyjaśnił. — To znaczy po prostu: Wszystko mnie boli, plecy, ramiona i czuję się tak, jakby wątroba tkwiła nad moim sercem. To gadanie ciemnoty, nie powinnaś się tego uczyć.

Ciemnota czy nie, takim językiem mówili pacjenci i tego właśnie języka musiałam się nauczyć.

— Co ona mówi? Co to jest *disz bih*? — spytał pewnego dnia lekarz. Lekarz zapytał mnie!

Nie miałam zielonego pojęcia, co znaczą jej słowa, ale kobieta wyglądała na przeziębioną, więc założyłam, że o to jej chodzi. Doktor miał jednak wątpliwości.

— Nie, przecież przeziębienie to *rasz*.

Beduini mówią po arabsku z czystym, starym akcentem, który jest dość podobny u wszystkich plemion zamieszkujących obszar od Synaju, przez Jordanię aż do Arabii Saudyjskiej. Istnieje wiele słów potocznych, a także zwrotów, których nie używa się już w nowoczesnych miastach Jordanii. Poza Petrą, widząc minę mojego rozmówcy, zawsze wiedziałam, kiedy wypowiedam słowo, które wyszło już z użycia. Muhammad wyglądał wtedy na zakłopotanego, ale inni Beduini śmiali się z dumą i mówili:

— Jeśli mieszkasz z plemieniem czterdzieści dni, stajesz się jego częścią.

Nowoczesne młode kobiety odrzucające język oraz beduiński styl życia udawały, że nigdy nawet nie słyszały o tradycyjnych potrawach ich dziadków.

Dla mnie nauka języka polegała na całkowitym zanurzeniu się w nowej kulturze. Mój słownik podstawowych określeń medycznych stopniowo powiększał się zarówno o nowe jak i stare beduińskie słowa. Poza ambulatorium uczyłam się tylko beduińskiej odmiany arabskiego, a ponieważ była to w większości społeczność niepiśmienna, postępy w pisaniu robiłam niewielkie. W końcu mogłam zrozumieć rozmowy prowadzone pod

drzewami oraz część kolokwializmów. Już wiedziałam, że jeśli „wątroba tkwi nad sercem” albo macica („matka dzieci”) przemieściła się, lepiej udać się do Nury lub Fathiji, żeby wmasowały je z powrotem na miejsce, niż przychodzić do ambulatorium, gdzie „doktor nie wyznawał się na takich rzeczach”.

Nauczyłam się tłumaczyć matkom, jak odzyskać zastygły syrop z antybiotyku przegotowaną, ale nie wrzącą wodą. Napełniałam pudełeczka tabletkami i rysowałam na nich trzy kreski oznaczające, że należy zażywać je trzy razy dziennie. Nauczyłam się też pisać cyfry arabskie, ale na niewiele się to zdało, ponieważ większość moich niepiśmiennych pacjentów nie była w stanie ich odczytać. Czasami pacjenci prosili, abym przechowywała ich lekarstwa w ambulatorium; bali się, że w namiocie zbiją fiolki z cienkiego szkła. Inni zabierali leki ze sobą, żeby pokazać je rodzinie. Zaaplikowanie zastrzyków oznaczało, że są naprawdę chorzy.

W dniach, w których pojawiał się lekarz, parzyłam czajniczek herbaty i wraz ze schodzącymi się pacjentami czekałam na piasku w cieniu porastających dolinę oleandrów. Piasek na dnie doliny, wymyty przez zimowe powodzie, był nieskazitelnie czysty. W lecie stopniowo stawał się coraz brudniejszy i musiałam znaleźć sobie wygodny kamień do siedzenia pod osłoną różowych oleandrów. Czasem mijali mnie turyści idący w stronę Klasztoru. Ich nieufne spojrzenia odczytywałam jako „Hipiska udaje tubylca”, wścibskie pytania zaś sprawiały, że czułam się zakłopotana. Nie chciałam wydać się tym, z którymi siedziałam, jeszcze większym odmieńcem, dlatego na widok nadchodzącego turysty odwracałam się tyłem do ścieżki lub chowałam w jaskini.

Wciąż chodziłam w dzinsach i podkoszulkach, ale zaczęłam przykrywać włosy. Częściowo dlatego, że musieliśmy nosić wodę ze źródła. Kiedy więc miałam czyste

włosy, chciałam, żeby jak najdłużej pozostały w takim stanie. Natomiast gdy były przetłuszczone, wołałam, żeby nikt ich nie widział. Moje powody wydawały się być obojętne kobietom, które gratulowały mi szczerze „*Mabruk ala-l-mindil*”. Fraidza, która zawsze bała się, że moje błyszczące złote loki ściągną nieszczęście, odetchnęła z ulgą, widząc, że wreszcie są bezpiecznie zakryte przed zawistnym wzrokiem.

Mój kwiecisty szal nazywano *mindilem*. Większość dziewcząt nosiła szyfonowe, zawiązane pod brodą *aszary*. Ja jednak nigdy go tak nie motałam, bo nie podobał mi się wtedy mój wygląd.

Lekarz nie zawsze pojawiał się w wyznaczonym dniu. Czasem dlatego, że miał wtedy wolne i jechał do Ammanu. Częściej jednak zdarzało się, że jego land-rover się popsuł lub trzeba było nim pojechać po leki do Ma'anu. Czasami doktor odwiedzał najpierw ambulatorium w innej miejscowości i u nas zjawiał się dopiero po południu. Tak czy inaczej, nie mieliśmy jak się o tym dowiedzieć, więc pozostało jedynie czekać. Kobiety plotkowały i żartowały, niemowlęta spały, płakały albo ssały pierś wyciągniętą spod luźnych, przykrywających ją szat. Starsze dzieci bawiły się albo przytulone do matek także ssały pierś. Niektóre kobiety chroniły się przed kolejną ciążą poprzez karmienie piersią. Przechodzący w pobliżu młodzieńcy zatrzymywali się czasem, aby pożartować z młodymi, czekającymi w kolejce dziewczętami albo puścić im nagranie najnowszych ślubnych przyśpiewek. Dość często zdarzało się też, że jakaś zaniedbana matka przychodziła z Równiny Al-Bajda lub z Wadi Araba, niosąc na ręku osłabione, owinięte w *muzfir*[27] dziecko. Wystarczyło mi jedno dotknięcie zwiotczalej skóry wiszącej na brzuchu odwodnionego dziecka i już wiedziałam, czy to pilna sprawa. Musiałam podjąć decyzję, czy zmęczona matka powinna zrezygnować z czekania na lekarza i ruszyć pieszo przez As-Sik do

ośrodka zdrowia w Wadi Musa.

Niezależnie od tego, czy doktor pojawił się, czy nie, ze zgrzytem klucza zamykałam drzwi około drugiej w południe. Moja praca nie miała jednak końca, ponieważ zdarzało się, że kiedy docierałam do mojej jaskini, czekał już tam na mnie ktoś, komu trzeba było zrobić zastrzyk.

Goście w ambulatorium

W dniach pomiędzy dyżurami lekarzy zawsze ktoś wpadał na zastrzyk albo na zmianę opatrunku. Żaden z tych zabiegów nie wymagał wielkich umiejętności językowych. Zmiana opatrunku była prostą i naturalną czynnością. Większość pacjentów wiedziała także, że do zastrzyku trzeba obnażyć pośladek, zwykle robili to na stojąco.

Natomiast Husajna zawsze kładła się na kozetce. Była bardzo przejęta ciążą, a po zastrzyku żelaza, jeśli nie był zrobiony należycie, mógł pozostać paskudny siniak. Muhammad przedstawił mi Husajnę oraz jej dalekiego kuzyna Abdallaha jako jedyną parę „posiadającą urzędowe świadectwo ślubu, oprócz nas oczywiście”, więc coś nas łączyło — chociaż Husajna miała dopiero szesnaście lat i było to jej drugie małżeństwo. Mieszkali u rodziców Abdallaha, niedaleko, tuż za naszym wzgórzem i mogłyśmy się często odwiedzać. Husajna była bardzo piękna. Wszystkie młode dziewczyny wydawały mi się śliczne, ale w jej okrągłych policzkach oraz pytającym uśmiechu było coś naprawdę wyjątkowego. Na głowie nosiła żółty szal, zakrywający brodę. Zagarniała swoje ciemnozłote włosy na jedną stronę, zaczesywała je szczotką namoczoną w oliwie na czoło, a przy policzkach przyczepiała je spinkami. Grube warkocze wystawały spod jej szala. Kiedyś poprosiła mnie, abym przywiozła jej butelkę wody utlenionej z Ma'anu. Już

wcześniej zauważyłam niezwykle kolor jej włosów, nigdy jednak nie przypuszczałam, że ktoś może sobie zadawać tyle trudu w trosce o urodę, mieszkając na pustyni.

Husajna leżała na boku na kozetce, patrząc, jak przygotowuję strzykawkę. *Mudragę* oraz wszystkie halki zawinęła w pasie, dłoń przygotowała do włożenia pod gumkę elastycznych spodni. Nagle spojrzała na mnie z przerażeniem i wydała z siebie dziwny dźwięk. Zanim zdążyłam zareagować, zerwała się z kozetki, wskazując coś palcem. Oto miałam przed sobą wielkiego jak moja dłoń, przebierającego czarnymi odnóżami i wymachującego kleszczami mojego pierwszego skorpiona. Siedział na starych, drewnianych drzwiach. Husajna zapomniała o ciąży i zmęczeniu, wepchnęła mnie za stół, złapała miotłę, rzuciła skorpiona z drzwi i rozgniotła go na miazgę.

W drzwiach pojawiło się kilka głów.

— *Ja makbara*. — Tyle udało mi się zrozumieć: ten był szczególnie wielki.

— *Al-hamdu li-llah ala-s-salama* — mówili.

— *Al-hamdu li-llah* — zgodziłyśmy się z nimi.

Do tej pory nie wiedziałam, co może mi zrobić skorpion, więc byłam raczej zaintrygowana, a nie przestraszona. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaki był wielki. Dziś myślę, że był to największy skorpion jakiego kiedykolwiek w życiu widziałam. Zwykle były o połowę mniejsze, żółte lub przezroczyste, tak że widać było wnętrze oraz ciemny jad na końcu ogonów.

Ugryzienie skorpiona wydawało mi się podobne do ukąszenia osy, niektórzy pluli na to miejsce, pocierali i wracali do swoich zajęć. Inni, tak jak ja, gdy pewnej nocy skorpion ukąsił mnie, kiedy sięgałam po omacku po butelkę wody, mieli bolesną miejscową reakcję. Przez resztę nocy czułam nieznośne, lodowate mrowienie, ręka mi drętwiała. Tak jakbym przedawkowała maść tygrysią. Drętwota trwała

tak długo, że następnego wieczora nie mogłam zagnieść ciasta na chleb. Zdarzali się i tacy, którzy reagowali jeszcze gwałtowniej: wymiotami i skurczami w klatce piersiowej. Jeśli mieli szczęście i ktoś na czas dowiózł ich do szpitala, dostawali antidotum. Ich życie było „w rękach Boga”. Owinięte w pieluchy niemowlęta, które nie mogły powiedzieć, co się stało, nie miały żadnych szans. Gdy po dwudziestu minutach przeraźliwego płaczu odkrywano winowajcę, na ogół było już za późno.

Brat Husajny, który chodził do siódmej klasy, zmarł nazajutrz po ugryzieniu, po którym najpierw go przyjęto do szpitala, a potem zwolniono do domu. Lekarz nie przewidział, że skurcze, które chłopiec miał poprzedniej nocy, pojawią się znowu, kiedy po powrocie z pasania kóz wypije łyk zimnej wody. Serce nie wytrzymało i dziecko zmarło, zanim dowieziono je do szpitala.

Moje ambulatorium niewiele pomagało w takich przypadkach. Nawet jeśli kogoś ukąsił skorpion w godzinach przyjęć i tak nie mogłam podać antidotum, bo trzeba przechowywać je w lodówce. W całej Petrze nie było ani jednej lodówki, nie wspominając już o elektryczności!

Stary człowiek i *rababa*[28]

W drodze do ambulatorium w Dolinie Klasztornej mijałam jaskinię, w której często widywałam kruchego, starszego mężczyznę, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami i chroniącego się w cieniu przed porannym słońcem. Staruszek grał na *rababie* oraz recytował poematy. Jego muzyka towarzyszyła mi przez całą drogę przez dolinę.

Kiedyś zapytałam o niego Muhammada, który odpowiedział mi:

— *Miskin, ma lih warisa*. Biedny człowiek, nie ma męskiego potomka.

Warisa to antyczne słowo pochodzące z czasów przed wynalezieniem zapalek i zapalniczek, gdy jedynym znanym Beduinom sposobem na podtrzymanie ognia było zagrzebanie drewnianego pieńka głęboko w popiele, gdzie tlił się aż do rana. Tak jak pień podtrzymuje ogień, tak synowie przedłużają istnienie rodu i nazwiska.

Wszyscy nazywali starszego człowieka z *rababą* Abu Urgub, chociaż nie miał syna. Jego przydomek oznaczał „Ojciec Łydek”, miał bowiem łydki cienkie jak patyki. Wystawały spod podciągniętej, niegdyś białej *sauby*. Za młodu ponoć był playboym, nosił zawiązany w zawadiacki sposób *mirrir*, a oczy miał ostro pomalowane *kuhlem*. Spędził młodość na uganianiu się za pasterkami w odległych dolinach, raczej nie poświęcał się pracy. Dobrze bawił się w życiu, które upłynęło mu w mgnieniu oka, póki nie zdał sobie sprawy, że dziewczęta wolą spotykać się z mężczyznami młodszymi od niego. Jedyna rodzina, która chciała oddać mu swoją córkę za żonę, pochodziła spoza plemienia Bdulów. Dziewczyna była już lekko posunięta w latach, a na dodatek niezbyt rozgarnięta. Ożenił się z nią jednak i po pewnym czasie urodziła im się córka, która teraz opiekowała się starym ojcem, przynosiła mu wodę i

drewno na opał, myła go i przygotowywała jedzenie.

Rababa Abu Urguba to typowy beduiński instrument smyczkowy. Wielkości skrzypiec, wykonany z kilku kawałków drewna, obciągniętych kozią skórą. Staruszek trzymał go jak wiolonczelę. *Rababa* miała tylko jedną strunę, którą pieścił smyczkiem z oleandra i końskiego włosia. Porażająco piękna muzyka niosła się echem w dolinie i mieszała ze słowami poematów o górach. Często byłam jego jedyną publicznością. Nie rozumiałam słów, ale melodia była tak wzruszająca, że aż ciarki mnie przechodziły. Przenikliwe brzmienie *rababy* i samotny ton jego poezji wyczarowywał obrazy wiatru igrającego w gałęziach jałowca, ogniska pod pustynnym, nocnym niebem oraz pasterki, którą kiedyś kochał, a która poślubiła innego.

Wraz ze śmiercią staruszka wszystko się skończyło. Prawdziwe imię, jakkolwiek brzmiało, zostało pogrzebane razem z nim. Jego córkę odesłano do dalekich krewnych, gdzie została drugą żoną nieznanego mężczyzny, a jego żona wróciła do brata, by u jego boku dożyć późnej starości. Nawet jaskinia starca zniknęła. Zrównano ją z ziemią w 1980 roku, aby wybudować tam restaurację Forum Basin.

Jeśli duch staruszka krąży jeszcze gdzieś w dolinie i wciąż gra na *rababie*, to te piękne dźwięki nie przebiją odgłosów generatorów prądu zainstalowanych w miejscu, gdzie dawniej była jego jaskinia.

Projekt osiedla

Gdy Muhammad kupił dla nas osiołka, co kilka dni wyruszałam do źródła, aby napełnić nasze dwudziestolitrowe kanistry. Mogłam napełnić dwa i wrócić wierzchem, albo cztery i iść za osłem. Używaliśmy zwierzęcia również do jazdy wierzchem, nieobciążony

kanistrami mógł udźwignąć ciężar nas obojga. Tego lata, po zakończeniu roku szkolnego, rodzina Muhammada przeniosła się na północ do Al-Bajda na zbiory jęczmienia. Rozbili obozowisko przy Sik al-Barid, gdzie poprzedniego lata wyprawiono wesele Rachijji. Któregoś popołudnia wybraliśmy się do nich przez wschodnią dolinę Majsara. Tą samą trasą wracaliśmy po weselu. Tym razem podróż nie była dużo krótsza. Kilka godzin zajęło nam wspinanie się pod górę, a potem jazda w dół oraz nakłanianie osła do pokonania trudnych odcinków. Gdy dotarliśmy na miejsce, zastaliśmy małego Husajna, śpiącego w hamaku rozwieszonym między słupkami namiotu. Nida i Mariam, szczęśliwe z naszej wizyty, skakały niczym punk rockowcy. Włosy miały postawione na jeża, którego nie powstydzilby się najbardziej ekstrawagancki londyński stylistka. Przypomniała mi się północna Anglia, gdzie rok wcześniej na koncercie „The Clash” w ratuszu w Blackburn skakałam tak jak one teraz.

Kiedy ojciec Muhammada zobaczył naszego spokojnego osła, postanowił zamienić go na muła, którego kupił w Wadi Musa. Był tam na targu i w chwili słabości (ojciec i syn byli bardzo do siebie podobni) kupił to dziwne, silne zwierzę. Dopiero po powrocie do domu, kiedy zwierzak zaczął wierzgać, słysząc piski podnieconych dzieci, zrozumiał, że muł może być niebezpieczny.

Lubiłam naszego osła, ale Muhammad zapalił się już do pomysłu zamiany go na muła, a ponieważ nam obojgu zależało na bezpieczeństwie dzieci, więc odpuściliśmy sobie niepotrzebne spory. Muł był za wysoki, żebyśmy mogli wrócić do domu trasą, którą przyjechaliśmy, więc wybraliśmy dróżkę wijącą się przez doliny u podnóża Asz-Szarah, trochę dalej na wschód. Okrążywszy długi grzbiet opadający na zachód, Muhammad odwrócił się do mnie i powiedział:

— Tutaj nas przeniosą. To miejsce nazywa się Umm

Sajhun, ponieważ zawsze wieje tu wiatr.

Słyszałam już o projekcie osiedla, Ali wspomniał o nim, gdy nakłaniał mnie do małżeństwa z Muhammadem. Opowiadał z pełną entuzjazmu naiwnością, że nie będę musiała do końca życia mieszkać w jaskini. Muhammad miał w przyszłości zostać godnym mojej ręki konkurentem — właścicielem domu z bieżącą wodą oraz elektrycznością. Oczywiście, nie był to dla mnie decydujący powód do małżeństwa, a nawet zastanawiałam się, czy nie wywarł wręcz przeciwnego skutku. Chyba tak naprawdę nie wierzyłam Alemu. Cała ta koncepcja wydawała mi się ulotną chmurką na horyzoncie, odległą i niewiarygodną plotką, która równie dobrze mogła się rozwiać, jak przybrać konkretny kształt.

Chmura stała się trochę wyraźniejsza dopiero gdy w okolicy pojawili się ludzie pracujący dla UNESCO czy USAID z planami przyszłej wioski. Pomysł osiedla dla Beduinów powstał w USAID około dziesięciu lat wcześniej, w celu usunięcia ludzi zamieszkujących tereny badań archeologicznych. W tamtym czasie wyliczono, że w tych rejonach mieszkało jedynie około dwustu członków plemienia. Dziś dopuszczano myśl o kilku dodatkowych osobach, ale wciąż miałam poważne wątpliwości co do rzetelności tych statystyk. Podawana przez nie pięćdziesięcioprocentowa śmiertelność niemowląt była już nieprawdą. Od mojego przyjazdu urodziło się (i zostało zaszczepionych) dużo dzieci i jak do tej pory żadne z nich nie umarło. Bdulowie korzystali z darmowych lekarstw oraz bezpłatnego dostępu do usług szpitalnych, ale wciąż nie stosowali środków antykoncepcyjnych.

Obejrzałam się na zbocze, a tymczasem Muhammad popędzał muła w stronę Petry.

— *Dah...dah-wll.*

Dolina nie wyglądała na dostatecznie dużą, by pomieścić wszystkie narysowane na planach domy wykończone

kopułami, stajnie i podwórza, nie wspominając już o obiecanym przez architekta widoku ponad domem sąsiada. Takie rozmyślenia były jednak bezcelowe, chmura jeszcze nad nami nie zawisła.

Żeby jeździć na mule, musiałam nauczyć się nowego dźwięku. Już i tak z trudnością przychodziło mi polecenie *hrrwl*, konieczne przy jeździe na osle, a teraz musiałam nauczyć się nowego. Nie sądziłam, że dla muła to jakaś różnica, ale Muhammad śmiał się, słysząc, że używam innych zawołań niż *dah-wl*. (Kiedy kupiliśmy konia, musiałam nauczyć się wymawiać *hirra*, a przy wielbłądzie *hit, hit*.)

Raczej nie zbliżałam się do muła. Nawet jeśli wkoło nie było piszczącej i biegającej dzieciarni, zwierzę lubiło wierzcąć. Muhammad starał się go wytresować, na przemian karząc go i nagradzając, ale muł kopał tylnymi nogami, kiedy tylko poczuł, że ktoś się do niego zbliża. Pewnego wieczoru, kilka miesięcy później wzdał się jak balon i wydawszy ostatnie parsknięcie, zdechł obok jaskini. Miejscowi *niszama* przybyli na osłach i zaciągnęła zwierzę w dół, aż do *wadi*, gdzie Muhammad polał je naftą, podpalił i zostawił resztki do rozkładu. Smród naszego zdechłego muła niósł się nad brukowaną drogą aż do końca lata.

Skarbiec — miejsce pracy mojego męża

Zanim zaczęłam pracować w ambulatorium, często odwiedzałam Muhammada w Skarbcu. Teraz mogłam chodzić do niego tylko w piątki, ale i tak akcja rozgrywała się wedle starego scenariusza, który zmieniał się w zależności od pory roku oraz liczby i narodowości turystów.

Kiedy pojawiałam się u wylotu niewielkiego kanionu poniżej Skarbcu, sprzedawcy zapraszali mnie:

— *Ta'ali, iszrabi szaj*. Chodź, napij się herbaty.

Ich kramy stały w promieniach południowego słońca między gardzielą As-Sik a stopniami monumentalnego zabytku. Zniszczone, często ozdobne deski chygotały się na cienkich, drewnianych nóżkach, albo opierały się na kamiennych ścianach. Każdy sprzedawca miał wyłożone blachą, drewniane pudło, w którym w zimnej wodzie unosiły się trójkątne kartoniki soku pomarańczowego. Pudło nazywano po arabsku *salladża*, czyli lodówką, co było określeniem trochę na wyrost, jeśli chodzi o tak skromny sprzęt. Grunt na dziedzińcu, tak samo jak w As-Sik oraz w większości *wadi*, był wyboisty, pełen głazów, kamieni i piachu, gdzieniegdzie rosły gęste krzewy oleandrów. Tu i ówdzie pojawiały się także jasnozielone krzaki o długich gałęziach, ich przypominające igły liście zwisały smętnie jak końskie ogony.

Za stołami wśród zarośli Muhammad i inni sprzedawcy (wszyscy z plemienia Bdul: drugi Muhammad, dwóch Musów, dwóch Alich, Sliman oraz Awaz) siedzieli w kucki wokół maleńkiego czajniczka z herbatą, pyrkoczącego na niewielkim ognisku. Trzy kamienie, na których opierał się czajniczek, leżały tak blisko siebie, że nie można było dołożyć chrustu. Ogień ledwie się tlił, ale aromat palonego drewna i słodkiej herbaty unosił się wkoło. Jeden z mężczyzn pogrzebał w kwitnących krzewach i podał mi worek, na którym usiadłam. Musa poczęstował mnie pierwszą szklanką herbaty, którą pośpiesznie odstawiłam na piasek, żeby nie poparzyć sobie palców. Napój był dużo słodszy niż ten, który parzyliśmy w domu, ale też znacznie mocniejszy. Na samą myśl o jego cierpkim smaku nawet dziś wykrzywiają mi się usta, ale nigdy nie uraziłam ich odmową.

Oczy drugiego Muhammada błyszcząły:

— *Muhammad biddu jitdżawwaz*. Muhammad chce wziąć jeszcze jedną żonę — rzucał wyzywająco. To była jego stała śpiewka. Łypał wtedy spod oka na mojego

Muhammada i czekał na reakcję.

Początkowo w ogóle nie rozumiałam, co mówi, więc nie reagowałam. Później, kiedy już wiedziałam o co chodzi, ale jeszcze nie umiałam odpowiedzieć po arabsku, musiałam się siłą opanowywać, co bardzo mnie frustrowało. W końcu jednak przyszedł taki moment, kiedy mogłam swobodnie odpowiedzieć:

— Szkoda, że stoję mu na gardle. — Ten arabski idiom oznacza „Trzymam go pod pantoflem”. W ten sposób dokuczałam im obu.

Muhammad żartował razem z nimi i nigdy mnie nie uspokajał, ja jednak wiedziałam, że obowiązuje nas umowa. Muhammad stracił szansę na drugi ożenek w dniu, w którym poprosił mnie o rękę. Wiedział zresztą, że większość mężczyzn, którzy brali kolejną żonę, miało dwa razy więcej kłopotów. Zresztą szybko odkrył też inne sposoby wydawania pieniędzy.

Do naszych uszu dobiegły odgłosy z wąwozu As-Sik. Amerykańscy turyści wjechali na koniach z okrzykami:

— Wow, czy to nie cuda? — Turyści próbują utrwalić na taśmie sławną fasadę, tymczasem poganiacze wyciągają ich stopy ze strzemion, łapią ich za ramiona i krzyczą:

— Na dół... foto na ziemi.

Chcą wrócić do Zajazdu po kolejną grupę, stąd ten pośpiech.

Czajnik z herbatą i spekulacje na temat potencjalnych drugich żon stają się nieważne. Kupcy podnoszą się, poprawiają *mindile*, biorą do rąk fałszywe monety oraz niklowane naszyjniki wysadzone niebieskimi skarabeuszami i rzucają się w stronę nowo przybyłych. Łapią ich za ręce i nawołują: „Hej, mistrz. Patrzyć!”. A ja się chowam w krzakach.

Kiedy cała grupa zsiada z koni, a przewodnik zaczyna

tokować, sprzedawcy wycofują się na chwilę. Gdy tylko przewodnik milknie, znowu się zlatują i idą za turystami do Skarbca, a potem do kanionu. Później wracają na herbatę, komentując głośno, co udało im się wcisnąć turystom oraz rozprawiając o tych okazjach, które im się wymknęły.

Na Amerykanach robiło się najlepszy interes. Nigdy długo nie siedzieli w Petrze, najwyżej kilka godzin, ale uwielbiali się targować i szukać okazji, a wszystkie wystawione świecidełka wydawały im się niezwykle tanie. Muhammad opowiadał, że kiedyś rozprasował kapsle od butelek pepsi, wrzucił je do ogniska, a po wyjęciu sprzedawał po kilka dolarów za sztukę jako antyczne, cenne monety.

Niemcy natomiast zatrzymywali się w Zajeździe na parę dni. Przed przyjazdem do Petry czytali o Nabatejczykach i prosili beduińskich przewodników o pokazanie wykutego w skale węża strzegącego antycznego cmentarzyska albo wielbłądów wyrzeźbionych w wąskiej dolinie nieopodal Klasztoru. Próbowali też kupić antyczne monety, ale nie dawali się nabrać na podróbki Muhammada. Podejrzywałam, że Amerykanie również nie byli aż tak naiwni, ale może chcieli dać zarobić młodemu, przedsiębiorczemu człowiekowi.

Przyjeżdżali także Anglicy i Francuzi, trochę rzadziej Włosi i Hiszpanie, a już naprawdę sporadycznie pojawiali się Rosjanie. Byłam zaskoczona, że w ogóle tu trafiali, ale tak czy siak, od czasu do czasu przyjeżdżała grupka Rosjan, na ogół bezbarwnych i bez kasy. A jednak Muhammad zawsze dokonywał z nimi wymiany: na przykład *szabriję* na lornetkę, *mindil* na aparat fotograficzny, a kiedyś nawet za naszyjnik z agatu wytargował damski zegarek, bo mój przestał chodzić. Włożył mi go na rękę podekscytowany. Zegarek działał przez całe lata.

Przyjeżdżali także Arabowie, ale raczej niewielu. Niektórzy znali Muhammada z wywiadu, którego udzielił w

telewizji tuż po naszym ślubie. Kiedy on cieszył się z zainteresowania mediów, ja siedziałam podczas zdjęć w nagrzanym kącie naszego podwórka oślepiąca światłami i niewiele z tego rozumiałam. Muhammad uwielbiał być w centrum uwagi i czasem sprowadzał całe wycieczki szkolne do naszej jaskini. Dziewczynki otaczały mnie zwartym kręgiem i wrzeszczały do ucha „Hej, Hej, HEJ”. Były tak głośne i natrętne, że nawet gdybym mówiła po arabsku, nie mogłabym wydusić z siebie słowa. Jeszcze bardziej irytowały mnie idiotyczne pytania w rodzaju „Jak ona wchodzi pod górę?”, które Muhammad tłumaczył mi, bo uważał je za zabawne. Wtedy chowałam się do jaskini i zamykałam za sobą drzwi, a gdy byliśmy w Skarbcu, po prostu odchodziłam na bok.

Muhammad nie rozumiał mojego zachowania

— Przecież to tylko małe dziewczynki. Uważają, że to ciekawe, że ktoś porzucił życie w cywilizowanym świecie, miasto pełne samochodów i wygodny dom, a zamiast tego wybrał jaskinię na środku pustyni.

— Wcale mnie to nie obchodzi — odpowiadałam, wyżywając się na nim. — Mieszkam w jaskini, bo chcę się cieszyć spokojnymi popołudniami u boku mojego męża, a nie udowadniać tabunom małych, arabskich dziewczynek, że życie to coś więcej niż podłoga wyłożona kafelkami.

Kiedy traciliśmy nadzieję na przyjazd kolejnych turystów, wędrowaliśmy z powrotem do domu, po drodze wstępując do sklepu po jakiś dodatek do naszego *tabach* na kolację.

Jednogarnkowe danie

Tabach (co po arabsku znaczy gotowanie) był podstawą naszego wyżywienia. *Tabach* i chleb. Danie to przypominało mi słynną „Zupę z kamienia” z bajki, którą

czytano mi w dzieciństwie. Można ją bowiem przyrządzić mając jedynie cebulę, wodę, przecier pomidorowy oraz makaron. Oczywiście można dorzucić jakieś sezonowe warzywa albo konserwę, którą akurat mamy pod ręką i wiele innych składników. A oto mój przepis:

Postaw garnek na kuchence: elektrycznej, gazowej, prymusie albo po prostu na ognisku. Wlej troszkę oliwy, oleju lub sklarowanego masła roślinnego Al-Ghazal.

Posiekaj cebulę i zrumień ją na oleju.

Dodaj kilka pokrojonych ziemniaków. Dorzuć inne sezonowe warzywa. My mieliśmy zwykle tylko cukinię, kalafiora

i bakłażany. Jeśli masz miękkie, dojrzałe pomidory, pokrój je w kostkę i podsmaż. Jeśli nie masz — nie szkodzi.

Zalej wszystko wodą, przypraw solą do smaku i jeśli nie dodawałeś pomidorów, to wrzuć dwie łyżki przecieru.

Doprowadź do wrzenia i od czasu do czasu zamieszaj przy gotowaniu. Jeśli chcesz, aby potrawa była gęstsza i pożywniejsza, dodaj garść klusek albo paczkę chińskiej zupy z makaronem.

Gdy ziemniaki będą już miękkie, a woda się wygotuje, dodaj składniki z puszek: my zazwyczaj dysponowaliśmy konserwą wołową, zielonym groszkiem, mieszanką warzywną oraz krojonymi grzybami.

Zamiast mięsa oraz warzyw z puszki można dodać śmietany. Liczba kombinacji jest wręcz nieskończona.

Potrawę można podawać z ryżem, ale my zwykle zagarnialiśmy ją kawałkami *szraka* własnego wypieku albo kromką chleba *tabun*.

Obecnie do zrumienionej cebuli dodaję kawałki mięsa lub kurczaka. Podsmażam też paprykę, czosnek i selery. Można dodać świeżą marchew i groszek. Wciąż jednak

gotuję to wszystko w jednym garnku i podaję w takiej samej misce, jak przed laty.

Miejscowy sklep

Jeszcze przed naszym ślubem Muhammad po raz pierwszy posłał mnie do sklepu. Potrzebny był nam cukier, a w okolicy nie było żadnego dziecka, którym można się wyręczyć.

— Nie mówię po arabsku — odparłam.

— Nie szkodzi, powiem ci, o co masz poprosić — odpowiedział szybko.

Moja pierwsza lekcja arabskiego brzmiała następująco: *Nus wugijjat szaj wa-nus ratli sukkar*”. Pół *wugijji* herbaty i pół *ratla* cukru. Podobało mi się, że istniały oddzielne nazwy na 250 gramów i na trzy kilo; uwielbiałam brzmienie tych słów.

Idąc ścieżką do Fam al-Wadi, powtarzałam sobie jak mantrę wyuczone zdanie. „*Nus wugijjat szaj wa-nus ratli sukkar, nus wugijjat...*”

Na zboczku prowadzącym do jaskini, w której mieścił się sklep, pełno było uwiązanych koni. Ich kopyta zmieniały ziemię w rozdrobniony, śmierdzący łajnem pył, ale nie to było najgorsze, tylko zapadnięte boki, zaślinione wędzidła oraz ogony oganiające od much. A ja musiałam się między tym wszystkim przedzierać. W tym czasie ich właściciele siedzieli przed sklepem, czekając na turystów... i wszyscy gapili się na mnie. Niemal zapomniałam, co mam powiedzieć. Weszłam do jaskini i w środku poczułam się bezpieczniej, mimo że było ciemno choć oko wykol.

Z czasem jeźdźcy zaczęli mnie rozpoznawać, wtedy witali mnie przyjaznym okrzykiem *salam*, więc i ja poznałam ich wszystkich, starych i młodych. Nigdy jednak

nie czułam się zbyt pewnie, wspinając się pod górę wśród tabunu machających ogonami koni.

Gdy przyzwyczałam się do otaczających mnie ciemności, wyrecytowałam stojącemu przy zardzewiałej kasie mężczyźnie moje zamówienie. Jego bielejący w mroku *mindil* wyglądał jak markiza zawieszona nad jego twarzą, ale czarnych oczu nie było widać w ciemnościach. Sklepikarz kiwnął głową, zważył herbatę oraz cukier i przesypał je do papierowych torebek. Nigdy nie zapomniałam tej lekcji.

W tym czasie turyści mogli już kupować znaczki i wysyłać kartki ze stemplem Petry z miejscowej agencji pocztowej, prowadzonej przez Awwada w jaskini położonej poniżej muzeum. Sprzedawano tam także baterie do magnetofonów, dzięki czemu lokalni *niszama* zawodzili do wtóru Umm Kulsum[29] półgodzinne pieśni miłosne. Dla stałych klientów Awwad przywoził piwo nawet z samej Akaby. Hadzdi Mutlag, ojciec Alego F., miał niewielki stragan w ruinach, na samym środku Urgub Dżmi'an. Sprzedawał na wagę przechowywany w workach *hiszi* — beduiński tytoń, naftę z kanistrów oraz sznury konopne, leżące w wielkich zwojach pod ścianą. Pamiętam tragiczne w skutkach zdarzenie, gdy w pewnym zatęchłym sklepiku, położonym trochę dalej w dolinie, Gisma kupiła swojemu synkowi słodycze. Dlaczego tragiczne w skutkach? Bo kiedy mały zaczął się krztusić, Gisma zawołała „trucizna” i nikomu nie wpadło w porę do głowy, żeby go po prostu klepnąć mocno w plecy. Kłódki przy skrzyniach w namiotach oraz skoble w drzwiach jaskiń natychmiast się otwierały na wieść o tym, że przyszła dostawa mleka w proszku „Carnation” albo papierosów Gold Star. Były eksportowane do Arabii Saudyjskiej, w której nie było cła, a potem przemycane z powrotem.

Sklep w Fam al-Wadi położony był najbliżej naszej jaskini. Choć zajmował stosunkowo niewielką powierzchnię, zaledwie trzy na cztery metry, to drewniane skrzynie odwrócone do góry nogami piętrzyły się od podłogi do sufitu, udając półki. Z czasem przekonałam się, że Hadździ Salama sprzedawał praktycznie wszystko.

Oprócz cukru i herbaty, które precyzyjnie odważał, miał też długoziarnisty i krótkoziarnisty ryż, brązową i pomarańczową soczewicę oraz zieloną oliwę. Puszki sardynek z papryką lub bez, peklowanej wołowiny, tuńczyka, hummusu, *fulu* — brązowej fasoli, przecieru pomidorowego, mieszanek warzywnych i mleka w proszku piętrzyły się w piramidach. Na ladzie miał zapalki oraz bibułki do papierosów Ottoman. Paczki papierosów schowane były pod kasą, a worki *hiszi* stały w rogu. Miał również paczuszki tureckiej kawy mielonej oraz tygielki, w których można ją było zaparzyć. Można było kupić także tureckie *rachatlukum*, herbatniki oraz przepyszne, kruche, maślane ciasteczka *ghurajby*, którym nie potrafiłam się oprzeć. Przez kilka miesięcy w 1980 roku Hadździ sprzedawał nawet puszki nowozelandzkiego jabłkowego i pomarańczowego soku „Fresh-Up”, produkowanego w Nelson z jabłek z sadów, wśród których dorastałam.

Sprzedawał tam także zwykłą czarną tkaninę na *mudragi*, błyszczący, kwiecisty akryl na halki oraz satynę w paski na poszewki do kołder, szczelnie opakowane w zakurzone plastikowe torby. Można tam było znaleźć jeden czy dwa szale, *mindile*, spodnie, a także skarpetki z akrylu. Na półkach stały małe kartonowe pudełeczka, z których Hadździ wyciągał motki białych lub czarnych nici oraz igły: grube do zszywania poszewek na materace i te największe — do cerowania namiotów z koziej sierści. Regularnie kupowałam tam szpulki nici oraz igły do maszyny do szycia. W innych pudełkach leżały proste, czarne spinki do włosów — sprzedawał je tuzinami młodym dziewczynom, które

podpinały nimi długie grzywki. Można było nabyć buty z plastiku: czarne sandały lub sznurowane półbuty dla mężczyzn, czarne klapki z nadrukowanymi kokardami dla kobiet oraz czarne *szip-szipy* — rodzaj plastikowych kapci dla wszystkich. Muhammad latami wspominał plastikowe buty, które kupili mu rodzice, gdy wybierali się wszyscy do szpitala w Ma'anie i jaki był z nich dumny, kiedy wypolerował je do połysku.

Sklep Hadżdżi Salama miał jeszcze inne działy. Gdy potrzebowaliśmy aluminiowej patelni albo emaliowanego garnka, zawsze mogliśmy je tam kupić. Mieliśmy nawet wybór między dobrej jakości szklankami do herbaty „Arcoroc”, wyprodukowanymi we Francji oraz ich tanią turecką podróbką. Niestety, jedynymi dostępnymi szklankami do wody były opakowane w plastik komplety na polistyrenowych tacach. Kwiaty ponaklejane na szklankach odpadały przy pierwszym zmywaniu w ciepłej wodzie. Były tam jeszcze gumowe lub skórzane uszczelki do prymusów i lamp parafinowych, jedwabne siatki żarowe do lamp gazowych, dające jasne światło oraz genialne *nakasze*, używane do przetykania dysz. W najdalszym kącie stały dwudziestolitrowe plastikowe baniaki, nieporęczne, ale za to lekkie. Resztę wolnej przestrzeni wypełniały worki. Były w nich suszone kulki jogurtu, sól kamienna, soczewica, cukier. Liny i sznury, grube i cienkie, plastikowe i konopne, leżały w zwojach na workach. Czasem na gwoździach wisały ręcznie wyrabiane końskie uzdy ozdobione muszelkami.

Natomiast podstawowym narzędziem pracy wszystkich bez wyjątku sklepikarzy był „zeszyt”. Jeśli sprzedawca był analfabeta, klient sam zapisywał swoje długi albo handlarz zapamiętywał je i pod koniec dnia dyktował wszystko jednemu ze swoich chodzących do szkoły dzieci. Ci, którzy utrzymywali się z pensji, zwykle spłacali długi w dniu wypłaty. Inni sprzedawali kozę na piątkowym targu i

natychmiast regulowali zobowiązania. Byli też tacy, owiani złą sławą, którzy figurowali w zeszytach wszystkich okolicznych sklepikarzy, nawet tych z Wadi Musa.

Ale tamtego dnia Muhammad dał mi gotówkę wyliczoną na herbatę i cukier, więc szybko zapłaciłam i zabrałam papierowe torby z zakupami. Po chwili cieszyliśmy się już mocną herbatą, patrząc z góry na resztę świata.

Miasto i duchy

Sklepy w dolinie były całkiem nieźle zaopatrzone, ale po niektóre rzeczy musieliśmy wybrać się do Ammanu.

Ze swojej pierwszej podróży do Ammanu, tuż po naszym ślubie, Muhammad wrócił do domu ze zbiornikiem na wodę wykonanym z ocynkowanej stali. Zbiornik miał pojemność 160 litrów oraz pokrywę i kranik. Wcześniej korzystaliśmy z czterdziestogalonowej, starej beczki z odciętą pokrywą, z której wodę musieliśmy nabierać miskami. Muhammad zbudował w rogu naszej kuchni specjalną platformę pod nowy zbiornik. Między pokrywą zbiornika a sufitem było wystarczająco dużo miejsca, aby ją unosić i napełniać zbiornik wodą z kanistrów. Na podłodze pod kranikiem postawiłam plastikową miskę. Nigdy więcej nie musiałam już zanurzać upapranej piaskiem miski w wodzie pitnej.

Z kolejnej wyprawy wrócił z obrączkami ślubnymi w malutkim, aksamitnym woreczku.

— Oszalałeś! — Zawołałam, nie mogąc wręcz uwierzyć w jego lekkomyślność. — Skąd znałeś mój rozmiar?

— Przymierzyłem obrączkę na mój mały palec. Na ciebie będzie idealna — odpowiedział pewnym siebie głosem i rzeczywiście tak było, co musiałam z podziwem przyznać. Obrączki były piękne: proste, z osiemnastokaratowego złota. Zupełnie takie, jakie sama bym dla nas wybrała, tyle

że grubsze, cięższe i z pewnością dużo droższe, a ja nie zdecydowałabym się na taki wydatek.

Kilka razy w roku jeździliśmy razem do Ammanu. Busiki wyjeżdżały ze wsi tuż po porannych modlitwach, o czwartej trzydzieści albo o piątej rano, a powracały około południa, więc zwykle wyjeżdżaliśmy wcześniej i zatrzymywaliśmy się u kogoś na noc.

W lecie sypialiśmy pod gołym niebem. Srebrny księżyc chował się za zamkiem krzyżowców, a my tymczasem siorbaliśmy herbatę i przygotowywaliśmy się do spaceru pod gwiazdami przez wąską gardziel As-Sik. W wąwozie As-Sik były takie miejsca, gdzie skalne ściany stawały się niezwykle strome, prawie pionowe i zbliżały się do siebie. Nie docierało tam żadne światło, więc trzymaliśmy się za ręce. Później jechaliśmy samochodem w kierunku wschodzącego słońca, a następnie szosą pustynną, pełną wielkich ciężarówek.

Zimą wyruszaliśmy do Wadi Musa poprzedniego wieczoru i zostawialiśmy na noc u Abu Alego, starego strażnika, który na zdjęciu umieszczonym na okładce przewodnika Lonely Planet po Bliskim Wschodzie opiera się o kolumny Skarbca. Abu Ali mieszkał w tradycyjnym domu pachnącym miło drewnem jałowca, którym pokryty był dach, oraz wapnem, którym pobielono ściany. Jego żona, okrywając nas wełnianymi kołdrami, dopytywała się co chwila:

— *Anti dafi'a?* Czy jest ci ciepło?

Wstawiała o czwartej rano, aby zapalić naftowy grzejnik, piekła świeży chleb i namawiała nas: „*Kulu, kulu*” do zjedzenia zielonych oliwek oraz jogurtu przed wyruszeniem w drogę.

Nie lubiłam Ammanu. Zdawał się kumulować cały wielkomiejski brud i nędzę, a przy tym pozbawiony był uroku. Musieliśmy jednak przyjeżdżać, żeby kupić pamiątki na stoisko Muhammada. Wokół nas rozbrzmiewał

nieustanny ryk klaksonów. W lecie nie było tu najmniejszego powiewu wiatru, panowały czterdziestostopniowe upały i czuło się straszliwy smród. W zimie było bardzo chłodno, a gdy padał deszcz, spod kół przejeżdżających samochodów bryzgała na nas czarna, śmierdząca breja. Trudno było znaleźć jakieś ciekawsze pamiątki, ponieważ gdy tylko zwalnialiśmy kroku, żeby przyrzeć się towarom rozłożonym na wystawach, sprzedawcy niemal wciągali nas do swoich sklepików. „Witajcie” — wołali jedni. „Popatrz” — nagabywali inni. To już wystarczało, bym przyspieszała kroku. Ceny nie były ostateczne i prawie nigdy nie wystawiano ich obok towarów. Oczywiście dla cudzoziemców ceny były znacznie wyższe. Zwykle gdy już wiedziałam, co chcę kupić, wysyłałam po to Muhammada.

Nie byłam jedyną kobietą na ulicach Ammanu. Widywałam młode, nowoczesne kobiety w spodniach, z umalowanymi ustami oraz długimi, ciemnymi włosami, tłuste palestyńskie matrony w zwykłych, białych szalach oraz bogato zdobionych sukniach. Czasem spotykałam żebrzące Cyganki z grubymi warkoczami i w kolorowych, sutych spódnicach. Mimo to wciąż czułam się niezręcznie, kiedy przechodnie się na mnie gapili. Czasami czułam, że ktoś podchodzi bliżej niż należy, wtedy przyspieszałam kroku. Muhammad zaś rozglądał się wokół z groźną miną, aby sprawdzić, kto mnie nagabuje. Z czasem jednak zaczęło się to zmieniać. Później, kiedy zaszłam w ciążę i nie mieściłam się w džinsy, zaczęłam nosić *mudragę* i przykrywać włosy. Oczywiście mój wygląd nie mógł nikogo oszukać, ale kiedy usłyszałam jak sprzedawca mówił do swojego sąsiada: „To ta *adźnabijja*, która mieszka z Beduinem”, poczułam się lepiej. Wciąż byłam cudzoziemką, ale znali mnie i akceptowali.

Prawdziwy chrzest bojowy przeszedłam kilka lat później, w wąskim zaułku położonym obok Włoskiego Szpitala w

Ammanie, gdzie kramy z używaną odzieżą stoją tak blisko siebie, że prawie się stykają. Znów ubrana byłam w moje europejskie ciuchy, znów byłam więc cudzoziemką. Młody kramarz sprzedający z wózka skarpetki zawołał:

— *Dżuz'ajn dżirabat bi dinar.*

Kiedy zobaczył, że spojrzałam w stronę jego obwoźnego straganu, zawołał po angielsku, podwajając cenę:

— Dwie pary skarpetek za dwa dinary.

Oczywiście skupiło się na nas zainteresowanie całego tłumu, tym bardziej gdy wypaliłam bez zająknięcia:

— *Ja'ni iza bisztiri bi-l-arabi ahsan li.* Jeśli kupię je po arabsku, to wyjdzie mi taniej.

Wszyscy gruchnęli śmiechem. Nawet młody kramiarz się roześmiał. Wtedy poczułam się jak w domu.

Na wprost centralnie położonego meczetu Al-Husajna w Ammanie mieścił się zadaszony Suk al-Bucharijja, Bazar Buchary. Wąska alejka wiodła między rzędami straganów, każdy z nich specjalizował się w innym towarze, począwszy od nożyczek niemieckiej firmy Solingen, a skończywszy na chińskich plastikowych lalkach, które przy pierwszym pociągnięciu traciły nogi i ręce. Gdy na nowo odkryłam mój talent do szycia, zaopatrzyłam się tam w bawełnę do haftowania i *markę* — kanwę, która pozwalała na naszycie skomplikowanych wzorów na *mudradze*. W kolejnej budce kupiłam „diamenty”, na które Rachijja dała mi pieniądze.

Błyszczący naszyjnik, bransoletkę oraz klipsy ułożono na tandetnej tekturce i przykryto celofanem. Nie mogłam uwierzyć, że Rachijja właśnie to chciała mieć, Muhammad zapewnił mnie jednak, że tak.

— Co za niefrasobliwość — podsumował. — Za tę cenę mogłaby kupić 21-karatowy złoty pierścionek.

Ale ona była młoda i chciała być niefrasobliwa. Uroczy

uśmiech na jej ślicznej twarzy na widok sztucznej biżuterii był bezcenny. Była przeszczęśliwa, od razu przymierzyła całość i jeszcze długo nosiła te świecidełka na wszystkie wesela.

W połowie alei stał stragan naszego przyjaciela oraz dostawcy pamiątek, Badra. Powitał nas „*Ahlan wa-sahlan*”, rozstawił dla nas w przejściu dwa stołki i wysłał młodego pomocnika po coś do picia. Chłopak wrócił po chwili z tacą pełną szklanek z gorącą, czarną herbatą oraz liśćmi mięty, z porcjami cukru w plastikowych podstawkach do jajek. W zimie przynosił nam często żółty napar z rumianku lub gęsty, biały *sahlab*, kremowy napój posypany wiórkami kokosowymi i orzechami pistacjowymi z odrobiną cynamonu na wierzchu. Ogrzałam dłonie o szklanekę i wypijałam łyk herbaty. Badr był wysokim mężczyzną, który wypełniał sobą całą przestrzeń za szklaną ladą. Jego promienny uśmiech niemal całkowicie zakrywały sznury niklowanych łańcuchów z jasnoniebieskimi, szklanymi wisiorami, amuletami, mającymi strzec przed złym okiem, które zwisały z sufitu straganu. Na półkach znajdujących się za plecami naszego przyjaciela piętrzyły się śliczne pudełka wykładane masą perłową, leżały komplety do trik-traka, wysadzone klejnotami *szabrije* i prymitywnie rzeźbione w oliwnym drzewie karawany wielbłądów. Później, gdy przychodziłam z małym dzieckiem, wychodził zza lady i wpuszczał mnie do środka, abym mogła w spokoju zmienić na podłodze pieluszkę. Od czasu do czasu spotykaliśmy tam innych Bdulów. Wybieraliśmy się wtedy, w zależności od pory dnia, na śniadanie lub obiad do restauracji Kair albo Salam. Tam zjadaliśmy pieczonego kurczaka — zawsze w tej samej, niezmiennej cenie — każdy z nas swoją połówkę i sprzecaliśmy się godzinami, kto tym razem funduje.

Potem wracaliśmy do domu. Czasem byliśmy ostatnimi pasażerami wsiadającymi do busika, i od razu

odjeżdżaliśmy. Zdarzało się jednak, że musieliśmy czekać godzinami na ostatniego pasażera. Czasami busik jechał tylko do Ma'anu i wtedy mieliśmy nadzieję, że za dodatkową opłatą kierowca zawiezie nas do domu.

Amman dzieli od Petry ponad 260 kilometrów. Podróż zajmowała zatem ponad trzy godziny, a czasem i więcej, nawet gdy jeździliśmy już własnym samochodem.

„*Twakkilna ala-Allah*” — mawiał nasz kierowca, zbliżając się do autostrady. I faktycznie, oddawaliśmy się w opiekę Bogu na autostradzie zatłoczonej wyładowanymi po brzegi ciężarówkami wiozącymi towary z portu w Akabie do Ammanu, a potem dalej do Iraku.

Ciężarówki nas frapowały: kolorowe skrzynki z ładunkiem układały się w geometryczne wzory, a na tylnych klapach pełni zapału twórczego artyści malowali „rękę Fatimy” i kaligrafowali *ma sha'a Allah*[30]. Symbole te miały chronić pasażerów przed złym okiem. Powierzchnię przedniej szyby zmniejszały o połowę jedwabne frędzle, przyłączone do podsufitki pinezkami. Pinezki te były rozmieszczone w idealnie równych odstępach — chyba także stanowiły część dekoracji. Tablicę rozdzielczą przykrywano skrawkami starannie dobranej, sztucznej, owczej skóry o długim włosiu. Lusterko służyło jako wieszak dla muzułmańskiego różańca, pluszowych kostek na szczęście, miniaterek Al-Kaby[31] oraz hologramowych wisiorków z okiem, które mrugało na wybojach. Podróż przypominała losowanie na loterii, więc zgadzaliśmy się z naszym kierowcą: „*Ala-Allah*”.

Przez te wszystkie lata, które spędziłam w Petrze, wiele znanych mi osób zginęło w wypadkach samochodowych na autostradzie, inni z kolei byli ich uczestnikami.

Na drodze czekało nas jeszcze mnóstwo korków i utrudnień. Nie istniały ograniczenia w załadunku, więc asfaltowa nawierzchnia pełna była gigantycznych wyrw i

dziur, zdarzały się czasem uskoki o głębokości dziesięciu centymetrów i metrowej lub dwumetrowej długości. Robiliśmy wtedy „buum”, wpadając w dół, a potem „bang”, wjeżdżając na górę. Nasz kierowca starał się czasem unikać wybojów, zjeżdżał wtedy na przeciwny pas. Często zatrzymywaliśmy się na poboczu: a to przy straganach z arbusami i skrzynkami pomidorów, a to z powodu awarii — przegrzanej chłodnicy lub pękniętej opony. Kiedyś musieliśmy zboczyć prawie 80 kilometrów do Al-Karak, bo nasz kierowca spostrzegł na poboczu wrak samochodu przyjaciela i chciał go odwiedzić w szpitalu. Innym razem spotkaliśmy naszego sąsiada Al-Dżimadię jadącego ciężarówką Wydziału do spraw Zabytków i przesiedliśmy się do niego. Zboczyliśmy tylko o dziesięć kilometrów z drogi, mniej więcej czterdzieści kilometrów przed domem, ponieważ Al-Dżimadi postanowił odwiedzić krewniaka.

Zwykle jednak jechaliśmy prosto do domu, mijając zabytki, punkty widokowe oraz pędzące prosto na nas inne ciężarówki i starając się nie wpadać w panikę, kiedy widzieliśmy, że głowa kierowcy opada ze zmęczenia. Stosowałam wtedy stary chwyt: „Zapali pan?“, żeby tylko nie zasnął.

Po kilku godzinach męczącej jazdy mijaliśmy Asz-Szarah, a w oddali na zachodzie rysował się Dżabal Harun. Choć za kolejnym zakrętem, gdy wjeżdżaliśmy do Wadi Musa, zniknął z widoku, a my musieliśmy jeszcze złapać okazję, która podwiozłaby nas do wąwozu

As-Sik, to ten znajomy kształt sprawiał, że już się cieszyłam z powrotu do domu.

Czasem zdarzało się, że Muhammad i Ali F. musieli kupić więcej pamiątek, ja natomiast nie musiałam ani niczego załatwiać w urzędzie, ani uzupełniać zapasów tamponów. Wtedy miałam wieczór tylko dla siebie.

Muhammad nie lubił zostawiać mnie samej i na początku nie rozumiałam, czemu tak trudno było go przekonać do tego pomysłu.

— Wolałabym zostać — mówiłam mu.

— Nie będziesz się bała? — wypytywał niespokojny.

— A czego mam się niby bać?

— Niczego, ale...

— Nie martw się, nie będę się bała — upierałam się.

Biorąc pod uwagę fakt, że nasz dom był prawdopodobnie również grobowcem całej nabatejskiej rodziny, sama się dziwię, że nigdy nie myślałam o duchach. Wtedy jeszcze za słabo znałam język i nie rozumiałam opowieści Husajny o dziwnych, beduińskich namiotach, które widziała na pustyni, kiedy uciekała górami w nocy od swojego pierwszego męża. W namiotach było pełno ludzi świętujących coś radośnie, natomiast następnego dnia i namioty, i ludzie zniknęli bez śladu. Nie rozumiałam też opowiadania Dachilallaha o *ghuli*, która rzuciła się na niego nieopodal Dżabal Harun i prawie udusiła, zmuszając go do ssania piersi. Po kilku latach nie miałam problemów ze zrozumieniem podobnych historii, ale wtedy tyle razy już zostawałam sama, iż wiedziałam, że nie grożą mi żadne nabatejskie zjawy czy też duchy Bdulów.

— Chcę zostać sama — przekonywałam go.

— Salim albo Ibrahim mogą z tobą posiedzieć.

A ja wtedy będę musiała ich zabawiać i dotrzymywać im towarzystwa, pomyślałam. Nie bałam się zostawać sama. Nigdy nawet nie wpadło mi do głowy, że ktoś może się dowiedzieć, że Muhammad wyjechał, a ja siedzę sama w jaskini. Wiem, że Muhammad też nigdy we mnie nie wątpił ani nie uważał, że potrzebuję opieki czy straży. I choć w takie samotne wieczory zdarzało się, że ktoś do mnie wpadał, to nigdy nie czułam się zagrożona. Byłam młoda, zakochana i wszystkich gości traktowałam jak przyjaciół

Muhammada.

Plastikowy skorpion

Pewnego wieczoru gdy Muhammad spokojnie popijał herbatę na skraju przepaści, zobaczyłam na podłodze w kuchni rozplaszczonego czarnego skorpiona. Muhammad właśnie wrócił z Ammanu, więc pomyślałam, że kupił na suku Al-Bucharija plastikową zabawkę, żeby mnie nastraszyć.

— Znam te twoje numery! Myślisz, że dam się nabrać?
— zawołałam.

— Jakie numery? — spytał spokojnie.

— Myślisz, że nie potrafię rozpoznać plastikowego skorpiona? Usłyszałam, że zrywa się na równe nogi, jeszcze zanim doszły do

mnie słowa „Nie dotykaj go”. Już po chwili stał przy mnie uzbrojony w kij.

— Nie kupiłem żadnego plastikowego skorpiona. Gdzie on jest? Udawałam spokój.

— Wciąż w tym samym miejscu — wskazałam mu głową — dokładnie tam, gdzie go położyłeś.

Muhammad trącił odwłok kijem i ten nagle przeobraził się w normalnego, żywego skorpiona, a wypełniony trucizną ogon zwinął się gotowy do ataku. Skorpion zaczął ostrożnie poruszać się na długich odnóżach, jak bokser na ringu, który nie wie, skąd nadejdzie cios.

Cios nadszedł z góry. Gdy Muhammad rozgniół skorpiona kijem, rozległ się nieprzyjemny trzask.

Uszczęśliwiony spojrział mi w oczy, czekając na pochwałę, a ja od razu przejrzałam jego zamysły. Z następnej wyprawy do Ammanu przywiezie mi, tym razem prawdziwego, plastikowego skorpiona.

Wciąż jeszcze nie przyzwyczałam się do skorpionów. W Nowej Zelandii nie było tak niebezpiecznych stworzeń.

Musiałam zawsze pamiętać, żeby dokładnie sprawdzać każdą rzecz, którą podnosiłam z ziemi i zawsze byłam przygotowana do zabicia skorpiona. Chciałabym reagować inaczej, niż tylko wydając głośny okrzyk „ohyda”, który wymykał mi się za każdym razem, gdy rozgniatałam odwłok i słyszałam nieprzyjemny chrzęst.

Kuszenie losu

Do Ammanu pojechałam sama, gdy podejrzewałam, że jestem w ciąży. Był sierpień, znów święto Id kończące ramadan, ale wypadało dziesięć dni przed naszą pierwszą rocznicą ślubu. Muzułmański kalendarz jest kalendarzem księżycowym i co roku przesuwają się o około dziesięć dni. Kevin przedstawił mnie znajomemu lekarzowi w Szpitalu Włoskim. Wynik badania ciążowego okazał się pozytywny.

Pomimo upału pędziłam wózkiem As-Sik i pamiętam, że kupiłam w sklepie paczkę cukierków, żeby podzielić się z pracującymi w Skarbcu chłopakami. Zapytali Muhammada, jaka to okazja.

— To kuszenie losu — stwierdzili, kiedy Muhammad wyjaśnił, że jestem w drugim miesiącu ciąży. — Coś złego się wydarzy.

Ich żony nie wspominały o ciąży aż do porodu. Spojrzeli na mnie spod oka i pewnie pomyśleli: „Zgubią ich te nieodpowiedzialne, cudzoziemskie zwyczaje”. Mimo to klepali Muhammada po plecach i mówili „dobra robota”, prosząc jednocześnie Boga, aby to był chłopiec... „Pasterz wielbłądów, *in sha'a Allah*”.

Nie rozmawialiśmy o płci dziecka, ale w drodze powrotnej do domu Muhammad powiedział:

— *Illi jidži Allah, hajja Allah*. Można to przetłumaczyć jako: „Cokolwiek Bóg nam ześle, przyjmujemy to”, ale w rzeczywistości znaczy to dużo więcej: „Cokolwiek Bóg nam ześle, będziemy z tego szczęśliwi”. Wiedziałam, że tak będzie.

Makina

Makina, czyli maszyna do szycia, to prezent ślubny od moich kuzynów z Holandii — przesłali mi pieniądze i pojechaliśmy kupić ją w Wadi Musa. Była to wyprodukowana w Chinach maszyna o wdzięcznej nazwie „Butterfly” (motyl). Przypominała eksponaty, które widywałam w Muzeum Historii w Nowej Zelandii, z czarnym, ciężkim pedałem, wykończeniami z kutego metalu, błyszczącym drewnianym blatem i namalowanymi na środku złotymi literami. Małe kółeczka kręciły się tylko w jednym kierunku, więc musiałam ciągnąć ją bokiem.

Cała lokalna społeczność widziała, jak przywieziono do nas maszynę. Ludzie zauważali każdy samochód wjeżdżający w naszą dolinę i wszyscy z zainteresowaniem patrzyli, dokąd jedzie. Mieszkańcy doliny sądzili, że chcę otworzyć interes, choć wcale nie miałam takiego zamiaru.

Wkrótce na naszej półce skalnej zebrał się tłum kobiet. Gratulowały mi maszyny do szycia i gdy piłyśmy herbatę, wypytywały, czy mam zamiar oferować moje usługi — „*Bitchajjiti?*”. Przyniosły ze sobą zwoje sztucznego jedwabiu i patrzyły na mnie z nadzieją.

W dzieciństwie i młodości składano mi gratulacje za konkretne osiągnięcia lub z powodu pewnych faktów, na przykład z okazji urodzin, czy też miejsca, jakie zajęłam — o ile nie było ostatnie — w biegu przełajowym w Waimea Harriers w sobotnie popołudnie. Teraz poznałam zupełnie inne znaczenie tego słowa. Gratulowano mi nowego osła,

później muła, nowej *mudragi* uszytej przez Jusrę, srebrnego pierścionka, który zsuwał się z palca Umm Mahmud i ona, widząc jak bardzo mi się podoba, pomimo moich oporów podarowała mi go, materaca, koców, szafek pełnych garnków, które kupiliśmy od Mufliha, gdy jego szwajcarska żona wróciła do domu, a on szybko potrzebował pieniędzy, aby ruszyć w jej ślady. Musiałam też nauczyć się dostrzegać nowe nabytki moich przyjaciół i gratulować im, aby się nie obrazili.

Podczas naszego ślubu kobiety usłyszały, że umiem szyć. Oczywiście zaliczyły to do moich zalet, takich jak jasna karnacja, złote włosy, fakt, że mam zegarek i jestem dyplomowaną pielęgniarką, a oprócz tego potrafię prowadzić samochód, czytać i pisać. Pewnie liczyły na to, że będę ich lokalną szwaczką, ale przede wszystkim przyszły po to, aby okazać nam swoją przyjaźń. Dlatego trudno było mi się wymigać. Szyłam tylko dla przyjemności i nie chciałam, aby stało się to moim obowiązkiem. Nigdy też przedtem nie szyłam bez gotowych papierowych wykrojów, dlatego zaczęłam wymyślać wymówki.

— Jestem w ciąży — mówiłam. Był to był fakt oczywisty i akceptowany bez wahania. Wszyscy wiedzieli, czym grozi kobietom w ciąży szycie na maszynie z pedałem — tego i tańca muszą zdecydowanie unikać. Natomiast reszta prac była dozwolona, a nawet wskazana, zwłaszcza dźwiganie: mogłam podnosić kanistry, aby przelać wodę do zbiornika, dźwigać chrust na ognisko i pełne jogurtu bukłaki z koziej skóry. Mogłam się schylać, aby rozstawić trójnóg używany do ubijania masła i podnosić ciężkie kamienie przytrzymujące kołki mocujące namiotu. A zatem ciąża stała się moją oficjalną wymówką. Wiedziałam oczywiście, że trochę szycia mi nie zaszkodzi. Wyprosiliśmy stare krzesło z „Obozowiska Nazzala” i wreszcie w miarę, jak rósł mi brzuch, mogłam poszerzać moje *mudragi*. Szyłam także poszewki na poduszki w miejscowym stylu (z jasnej

satyny, naciągane na podłużne podgłówki) i skracałam nowe dzinsy Muhammada, które jak zwykle były dla niego za długie.

Salim i Awaz nakryli mnie na szyciu i skłonili, żebym dla nich też coś zrobiła. Szycie dla przyjaciół mojego męża było dość zabawne.

— Zwiąż od tego miejsca — *Dajjigi min hin* — marudzili. Zrobiłam więc fałdy z przodu ich koszul, choć według mnie nie był to wcale dobry pomysł. Zaszewki pod pachami nie wystarczyły, aby zamienić koszule XL, które kupili, w odpowiedni dla nich rozmiar XS. Nie obchodziło ich, w którym miejscu będą zakładki albo czy rękawy będą dobrze leżały, chcieli tylko, żeby koszule były obcisłe. Zdradzili mi też sekret, na kim chcą wywrzeć dobre wrażenie.

Rachijja również miała swoje sposoby, żeby mnie do czegoś przekonać. Dziewczyna wciąż odmawiała powrotu do męża, choć jeszcze nie była rozwiedziona. Ponad rok zajęło jej przekonywanie ojca, wujków, męża, szwagrów, że jest zdecydowaną, młodą kobietą i nie zamierza zmienić zdania. „Przywieź mi *kilfę* z Ammanu” prosiła mnie. Gdy wreszcie zrozumiałam, że chodzi jej o ozdobną plecionkę na suknię i w końcu ją przywiozłam, ubłagała, żebym przyszyła ją na jej *mudradze*. Nie mogłam się powstrzymać od obszycia dekoltu oraz poprawienia wszystkich innych niedoskonałości, które pozostawiła jakaś domorośla szwaczka z Wadi Musa i w końcu przerobiłam całą sukienkę. Odtąd gdy Rachijja dostawała jakiś nowy kupon materiału, prosiła mnie o pomoc. Odkąd się poznałyśmy, zawsze coś od niej dostawałam — szal, świeżo pieczony *szrak*, fragmenty starożytnej ceramiki, resztki *fatty* dla Muhammada na kolację, jogurt pitny, a nawet świeże jajka, oprócz tego radosną paplaninę i nowe arabskie słowa. Wreszcie mogłam się jakoś odwdzięczyć. Dała mi też okazję do udoskonalenia umiejętności krawieckich, szczególnie szycia *mudrag* i to bez presji, jaką było wynagrodzenie.

Rachijja była przy tym wdzięczną modelką.

Gdy odkryłam, jak łatwo szyje się *mudragi*, uszyłam po jednej dla każdej z sióstr Muhammada na święto (*Id*). Zdarzało się jednak na przestrzeni lat, nawet wtedy gdy nie byłam już w ciąży, iż mówiłam wprost, że nie mam czasu. Pas napędzający zwisał wtedy luźno, a *makina* stała złożona pod drewnianym stolikiem.

Pielgrzymka do Mekki

Hadżdż, czyli pielgrzymka do Mekki, to piąty filar islamu. Wszyscy muzułmanie, zarówno mężczyźni jak i kobiety, powinni obowiązkowo przynajmniej raz w życiu wybrać się do Mekki, jeśli oczywiście sytuacja finansowa im na to pozwala. Pielgrzym nazywa się *hadżdżi* (albo *hadżdża*).

W naszej dolinie mieszkało kilku *hadżdżich*. Ja nie mogłam się w tym połapać, ale inni zazwyczaj doskonale wiedzieli, o kim akurat mowa. Był więc Hadżdżi Nuwajja, którego poznałam w namiocie Abdallaha, uroczy, choć chuderlawy staruszek z uśmiechem obnażającym zęby oraz starannie przyciętą kozią bródką. Był Hadżdżi Salam, który prowadził sklep w Fam al-Wadi i pięć razy dziennie zostawiał w nim syna, a sam szedł do Klasztoru, by wezwać innych do modlitwy. W wielkiej jaskini obok ambulatorium w Petrze mieścił się meczet. Były tam drzwi i dywaniki pokrywające betonową podłogę, ale niewielu wiernych. Beduini modlili się w miejscach, w których koczowali. W piątki Hadżdżi Salam chadzał do meczetu w Wadi Musa.

Ojciec Alego F., właściciel sklepu, również był *hadżdżim*. Przez długie lata rozpaczliwie pragnął wybrać się do Mekki, ale nie mógł, bo miał żonę oraz ośmioro dzieci do wykarmienia. Pewnej nocy przyśniło mu się, że ma zaorać zagon na zboczu obok namiotu. Był człowiekiem głębokiej

wiary, więc postąpił zgodnie ze swoim widzeniem. Odkrył wtedy taką ilość starej ceramiki, że nie tylko opłacił swoją pielgrzymkę, ale też przywiózł dla wszystkich prezenty z Mekki.

W 1979 roku do *hadźdżu* szykowało się aż sześciu Bdulów. Podczas odwiedzin w Skarbcu oraz pracy w ambulatorium poznałam już praktycznie wszystkich członków plemienia, dorosłych i dzieci, więc znałam na bieżąco wszystkie szczegóły przygotowań. Wreszcie mogłam się odwdziaczyć za *laban* i *samin*, którymi hojnie mnie obdarowywano.

Upiekłam dla pielgrzymów ciasto daktylowe w nowym piekarniku gazowym, który kupiliśmy z Muhammadem w Wadi Musa za przesłany przez moją ciotkę czek, który pewnego dnia znalazłam w skrzynce pocztowej. Chociaż od dawna miałam skrzynkę, i tak co jakiś czas znajdowałam listy adresowane do mnie w rozrzuconych po pustyni namiotach, w których mieszkali moi pełni dobrej woli doręczyciele. Na szczęście ciotka nadała czek listem poleconym.

Dwa tygodnie przed Świętem Ofiary pielgrzymi wyruszyli do Mekki dużym, zdezelowanym autobusem z zamocowanymi na dachu tobołkami z pościelą. Gdy schodziliśmy ich pożegnać, wręczyć jedzenie i prosić Boga, aby o nich pamiętał, w dolinie panował zgiełk i rejwach.

— *Fi aman Allah* — powiedzieliśmy sobie na pożegnanie i zaraz odjechali. Nie mieliśmy od nich żadnych wiadomości aż do trzeciego dnia *Id*, gdy *niszama* przywieźli ich do domu z Wadi Musa. Jeśli do tej pory miałam problemy z rozróżnieniem, o którego *hadździego* chodzi, teraz miało być jeszcze gorzej.

Niebezpieczeństwa

Wkrótce mieliśmy własnego osła. Przywiązywaliśmy go do krzaka na zboczu wzgórza lub, jeśli był zmoknięty, trzymaliśmy go w ogromnej pieczarze, niemal ukrytej pod warstwą kruszywa i ziemi, które Muhammad zrzucił z naszej półki skalnej. Mogłam teraz jeździć po wodę, kiedy tylko miałam ochotę. Moja umiejętność jazdy na osle zdecydowanie się poprawiła, a ciężyła jakoś mnie nie powstrzymywała przed przejazdami.

Pewnego dnia, nudziłam się tak bardzo, że osiodłałam osła, wskoczyłam na jego grzbiet i wyruszyłam do źródła, mimo że mieliśmy jeszcze niewielki zapas wody w beczce. Był chłodny, pochmurny dzień — włożyłam kurtkę i z zadowoleniem obwiązałam głowę kwiecistą chustą chroniącą uszy przed zimnem. Minęłam kolumnę Faraona i kiedy okrążałam z tyłu zamek krzyżowców, z jamy nielegalnych wykopalisk pod wzgórzem wychynęła czyjaś głowa, ktoś do mnie zamachał i krzyknął:

— *Wajn idki, ad-dunja szatija*[32].

Nie byłam pewna, co to znaczy, a nawet nie wiedziałam, kto to był; nieznajomy miał głowę szczelnie obwiązaną *mindilem*, kryjącym nawet jego twarz. Obsypany pyłem mężczyzna wyłonił się z jamy, podbiegł do mnie i złapał za uzdę osła. Moja ewidentna nieznajomość arabskiego nie powstrzymała go przed przekazaniem wiadomości. Machnął ręką w stronę ciemniejących na horyzoncie chmur:

— *Szita*[33]! — wrzasnął i dodał z naciskiem, wskazując dolinę: — Nie!

Potem odkręcił mojego osła zadem, klepnął go mocno, zmuszając

go do ruszenia naprzód i tym prostym sposobem zostałam odesłana do domu. Ciężkie krople deszczu zaczęły padać po drodze.

Nad górami Dżabal al-Chubsa rozpostarła się tęcza, a

ciemne chmury zasłoniły niebo nade mną. W Petrze rzadko padał deszcz. Jednak niespełna pół godziny później huk wody wypełniającej całe *wadi* dobiegł moich uszu i w końcu zrozumiałam, co się stało.

Miałam szczęście, że mieszkaliśmy na zboczu wzgórza. Miałam szczęście, że jama, w której kopał nieznajomy nie była zbyt głęboka i widział mnie z niej. Miałam także szczęście, że nie schował się w niej z powrotem, kiedy nie zwróciłam na niego uwagi i że nie znalazłam się w dolinie między skałami bez żadnej szansy na ucieczkę.

Czemu nie dostrzegłam niebezpieczeństwa?

Skalisty kanion wypełniły nie tylko strugi ulewy, która spadła na Petrę, ale także wszystkie opady z miejscowości Wadi Musa. Rozciągające się w odległości kilku kilometrów na północ i południe od wioski pasmo gór Asz-Szarah tworzyło od tysięcy, a nawet milionów lat rodzaj lejka, który kierował wody opadowe w stronę doliny, a potem przez wąwóz As-Sik, powstały w wyniku trzęsienia ziemi. Następnie fala płynęła przez Petrę aż do Wadi Sijagha i w końcu wsiąkała w piaszczysty grunt Wadi Araba.

Zazwyczaj powódź trwała kilka godzin, a przepływająca fala odsłaniała głębsze warstwy ziemi, w której grzebano w poszukiwaniu starych monet czy potłuczonej ceramiki. Jednak co kilkadziesiąt lat zdarzał się prawdziwy potop. Jeśli lało potężnie przez parę dni, rzeka błota, mułu i kamieni wypełniała dolinę. Zdarzało się, że wysoka fala przepływała przez As-Sik i osiągała nawet 50 metrów.

Pewnie z tego powodu Nabatejczycy wzniesli zaporę. Kiedy osiedlili się w Petrze, postanowili zapanować nad przekleństwem klęsk żywiołowych. Przed wąwozem Sik zbudowali tamę i wydrążywszy skierowany na północ tunel o przekroju naszych tuneli kolejowych, skierowali nadmiar wody do niewielkiej doliny znajdującej się za pasmem Dżabal al-Chubsa. Wykuli również cysterny u podstawy góry oraz sieć kanałów, którymi spływała woda. Jej

nadmiar opadał doliną Mataha; fala przetaczała się przez Wadi Musa środkiem miejscowości, poniżej naszej jaskini, z której obserwowałam moją pierwszą powódź w naszym wspólnym życiu z Muhammadem.

Zapora Nabatejczyków nie mogła jednak przetrwać całe wieki. Kiedy Johann Ludwig Burckhardt na nowo odkrył Petrę w 1812 roku, woda już od stuleci spływała przez wąwóz As-Sik. Współczesna tama została wzniesiona w poprzek wejścia po tragedii, która się wydarzyła wiosną 1963 roku, kiedy dwudziestu ośmiu francuskich turystów zostało porwanych przez wezbrany i szybko płynący potok błota i kamieni. Przeżył tylko kierowca autokaru, który wczepił się kurczowo w skaliste brzegi kanału oraz dwie dziewczyny, które się go złapały. Resztę grupy porwał wartki nurt i zniósł do Doliny Mojżesza, gdzie utonęli wraz z miejscowym przewodnikiem i objuczonymi osłami dźwigającymi bagaże i zapasy żywności.

Mężczyźni z Petry i z Wadi Musa ruszyli na pomoc natychmiast jak wody opadły, ale mogli jedynie zebrać zwłoki topielców. Muhammad miał wtedy jakieś dwanaście, trzynaście lat i do dziś wyraźnie pamięta drzewa pomarańczowe, a wśród nich leżące w całej dolinie ciała zatrzymane na naturalnych przegrodach z krzewów i skał. Potok kamieni i błota zniósł niektóre ciała w dół aż do Wadi Sijagha. Ludzie z plemienia Sajdijin znaleźli ludzkie zwłoki daleko od Petry i dziesięć lat później zaprowadzili delegację z ambasady francuskiej do miejsca pochówku w Wadi Marwan.

Niestety, zapora wzniesiona w czasach Nabatejczyków i jej współczesna wersja chroniły tylko As-Sik — fala powodziowa nadal przepływa przez Sijagę; w końcu zrozumiałam, że muszę być ostrożna. Wystarczająco dużo było pogodnych dni, aby przywieźć wodę pitną, a ja nauczyłam się korzystać z cystern Nabatejczyków, z których czerpałam wodę do mycia. Jeden ze zbiorników

znajdował się u podnóża Miejsca Ofiarnego i po każdym deszczu gromadził kilka metrów wody. Oczywiście, można ją było filtrować i oczyszczać, w ten sposób mielibyśmy zdatną do picia wodę, ale przyuczenie wszystkich do precedzania wody byłoby syzyfowym zajęciem.

Umm Awwad, która mieszkała niedaleko, zawsze nakłaniała córki do zaparzenia i podania herbaty oraz zapraszała mnie na obiad. Ich jaskinia była na tyle duża i przestronna, że podczas deszczu mogli palić ognisko w środku. Wyjście prowadziło na szeroką półkę skalną tworzącą rodzaj tarasu, na którym można było przesiadywać w czasie ładnych, słonecznych dni. Nie miałam wówczas pilnych obowiązków domowych, a zatem miło było usiąść i patrzeć na bawiące się dzieci czy na piekarza wkładającego jeden *sarak* po drugim do otworu *sadżu*.

Zadowolony osiołek skubał nędzną trawkę, póki nie nadszedł czas, abym przytroczyła mu pełne juki i wróciła do domu.

Ilekcroć mijałam czyjąś zamieszkaną pieczarę albo domostwo, mieszkańcy zapraszali mnie do środka. Zauważyłam, że ciężko jest się wymigać. Na szczęście lubiłam czasem posiedzieć sama z moimi myślami. Moja gospodyni mogła wtedy wyjść do innej pieczary, przyrzadzić posiłek albo poplotkować o mnie z jakimś gościem i przyznać, że Muhammad wybrał odpowiednią kobietę: dobrze, że nosiłam *mudragę* i chustę na głowie, a do tego byłam miła i cicha. Umiejętność milczenia była uważana za wielką zaletę i zanim nauczyłam się dobrze mówić po arabsku, bardzo to sobie ceniłam.

Pniaki rattanu

Zbocze góry, na którym mieszkaliśmy, było dość typowe

dla Petry, z rozwalającymi się murami, pełne odłamków ceramiki, z wczepionymi w grunt cebulkami urginii morskiej i zarośnięte tu i ówdzie krzakami. Nie odkopano wtedy jeszcze dawnych domostw Nabatejczyków. Pewnego chłodnego, zimowego popołudnia wzięliśmy wór oraz kilof i wyruszyliśmy na poszukiwanie pniaków rattanu, najlepszych do rozpalania ognia. Choć w ciągu dnia przygrzewało słońce, zimowe noce były bardzo chłodne, a kiedy zachodni wiatr przywiewał chmury zwiastujące deszcz, nawet w dzień robiło się zimno. Gdy wiatr ze wschodu przeganiał posępne, sinawe chmury, suche powietrze stawało się mroźne.

Kiedy Muhammad znalazł pniak, najpierw odgarniał piach, a potem zastanawiał się, jak go wyciągnąć. Korzenie grubości przedramienia wygrzebywał kawałkiem kamienia, te bardziej odporne i potężniejsze rozłupywał kilofem. Zdarzało się, że jednym, sporym pniakiem napełnialiśmy wór. Za każdym razem rozgrzewaliśmy się przy tym zajęciu.

Czasami córki Rawiego, które aż do zmroku pilnowały stadka kóz, podbiegały i przeglądały wykopane przez nas odłamki ceramiki, poszukując najozdobniejszych kawałków, które następnego dnia próbowały wcisnąć turystom. Synowie Abu Nawasa dla zabicia czasu pomagali nam z zapalem, rozgrzebując ziemię gołymi, spierzchniętymi i zgrabiałymi z zimna rękami, popisując się przy tym i rozgrzewając.

Na podwórku opróżnialiśmy wór z łupów. Muhammad ustawiał korzenie w piramidkę na naszym „złomie” — nazwa „palenisko” brzmiała koniec końców zbyt dostojnie jak na urządzenie wykonane ze starego, zardzewiałego kanistra. Ignorując mój komentarz „Drewna jest stanowczo za dużo, wystarczyłoby na dwie noce”, obficie polewał stosik benzyną i zapalniczką podpalał wysuszone kłaczka. Uwielbiał takie fajerwerki. Staliśmy wokół ogniska na

podwórku i wpatrywaliśmy się w płomienie rozwiewane wiatrem, aż pozostawał sam żar.

Sprawy przybierały gorszy obrót, kiedy nadciągały czarne chmury niosące deszcz. Musiałam wtedy ustąpić Muhammadowi i pozwolić wnieść palenisko do nowego pokoju. Nie dawałam się przekonać i nie pozwalałam wnieść ognia w głąb domu, a i tak dym snuł się po pokoju, okopcając świeżo bielone ściany i wdzierając się w purpurowe zasłony. Przycupnięci lub siedząc na parcianych workach na podłodze, wpatrywaliśmy się w ogień. Płomienie pełgały dziko, krople deszczu waliły o blaszany dach, który zresztą przeciekał, a smród benzyny wkrótce ustępował miejsca krzepiącemu aromатовi drewna. Kiedy dym się rozwiewał, podrywałam się i na brzegu paleniska ustawiałam czajniczek z herbatą.

Potem, kiedy drzewo już się wypaliło, przeciągaliśmy palenisko z rozżarzonymi węglami do jaskini i zamykaliśmy drzwi. Zapychaliśmy workami okna, żeby wiatr nie wciskał się przez siatkę i rozkładaliśmy *piankowe farsze* wokół paleniska. Piliśmy ciepłe mleko, graliśmy w *szisz bisz* (tryktrak) i, póki nie musieliśmy udać się do ustępu, zapominaliśmy o chłodzie i panujących na dworze ciemnościach.

1980

Karty

Wraz z nadejściem zimy Muhammad zaczął wymykać się po kolacji. Twierdził, że chadza do jaskini Wydziału do spraw Zabytków, aby pograć w karty z kolegami i operatorem spychacza z Ammanu, który chwilowo mieszkał w Petrze, ponieważ dostał tu pracę.

Słałam wcześniej łóżko, ale leżałam w nim sama. Nawet nie chciało mi się rozpalać ognia tylko dla siebie. Słuchałam dochodzących z daleka, pełnych świstów i trzasków wiadomości radiowych BBC. Odbiór w głębi jaskini był okropny, dlatego nie było wielką stratą, kiedy odbiornik w końcu wysiadł. Pisałam długie, wyczerpujące, pełne tęsknoty listy, których jednak nigdy nie wysłałam. Czasami dziergałam na drutach, ale robotki ręczne wykonywane w samotności i bez telewizji nie są żadną rozrywką. Pożyteczna byłaby lektura, ale oprócz powieści *Ptaki ciernistych krzewów*, którą jacyś turyści zostawili dla mnie u jednego z miejscowych kramarzy, a ja przeczytałam w cztery dni, nie miałam innej książki.

— Mam dosyć — powiedziałam w końcu. — Nie po to wyszłam za męża, aby rozpaczać wieczorami, że leżę sama w łóżku.

— Nic złego nie robimy, gramy tylko w karty — tłumaczył Muhammad, kiedy wrócił do domu późno w nocy i zastał mnie chlipiącą pod kocem.

— Przynajmniej jesteś między ludźmi — oskarżałam go.

— Więc chodź ze mną, ale nie sądzę, żeby to była dla

ciebie rozrywka. Inne kobiety tam nie przychodzą.

— Nie wyszłam za ciebie za mąż, żeby siedzieć z innymi kobietami — gderałam.

Od tej pory towarzyszyłam mu w nocnych eskapadach. Trzeszczące radio w ich jaskini było nastawione na rozgłosnię „Saut Al-Filastin min Jeruszalim Al-Kuds”, „Głos Palestyny z Jerozolimy”, nadającą pieśni zrozumiałe nawet bez znajomości języka. Siedziałam i gapiłam się na grę w karty, jednocześnie dziergając w świetle lampy naftowej buciki niemowlęce.

Powoli pojmowałam, dlaczego Muhammad tak długo przesiaduje poza domem — nawet ja, będąc biernym widzem, uzależniłam się od tej gry. Nie grali na pieniądze, choć często zaklinali się: „Na Allaha i moje wąsy, gdybyśmy grali na pieniądze, ograłbym cię do zera!”. Mieli świetną zabawę, natrzęsając się z siebie następnego dnia, bywało, że robili złośliwe komentarze przez kilka tygodni z rzędu, jeśli gra była szczególnie emocjonująca. Pewnego wieczoru zabrakło im jednego z graczy, dlatego przyłączyłam się do gry i pokazałam, czego się nauczyłam, obserwując ich. Od tej pory często zastępowałam czwartego do gry.

Potem, wraz z nadejściem każdej kolejnej zimy, Muhammad kupował talię nowych, plastikowych kart — w Ammanie, bo lokalne sklepiki w Wadi Musa oferowały tylko papierowe. Salama al-Muchtar zazwyczaj przechowywał talię starych, zeszłorocznych kart, ale potem zauważyliśmy, że joker jest znaczony. Muhammad naprawił nasze radio. Nie zwrócił uwagi albo szczęśliwym trafem nie odczytał firmowej naklejki na odbiorniku „Uwaga, urządzenie pod napięciem. Może być otwarte tylko przez osobę upoważnioną”. Odkręcił śruby i tak długo grzebał w środku, póki nie ustawił wskazówki na paśmie szukającym stacji.

Salama i jego żona Mariam byli młodą rodziną. Kiedyś pracował jako kierowca w wojsku, a teraz był zatrudniony w Wydziale do spraw Zabytków. Nazywali go *Muchtar*, przywódcą, pełnił bowiem funkcję przedstawiciela lokalnej społeczności, a to wiązało się z rejestrowaniem urodzin i zgonów oraz reprezentowaniem plemienia podczas takich wydarzeń, jak zasiedliny nowego osiedla. Jego głębokie zamiłowanie do gry w karty oraz *szisz bisza*, niemal młodzieńcza fascynacja westernami — przy każdej wyprawie do Akaby i Ammanu musiał iść do kina — oraz obsesyjne wążenie się na publicznych wagach nie dodawały mu powagi. (Mężczyźni w różnym wieku siedzieli na chodnikach Ammanu lub Akaby ze starymi wagami łazienkowymi i dotąd nie potrafię zrozumieć, czy było tak ogromne zapotrzebowanie na ich usługi, czy też był to tylko pretekst do dawania jałmużny).

Operator spychacza mieszkał w Petrze tylko rok, a zatem po jego wyjeździe Ali, Ali F. i Salama zaczęli przychodzić do naszej jaskini. Zaczynaliśmy grać codziennie zaraz po zachodzie słońca, a czasem nawet przed, i graliśmy aż do późnej nocy.

— *Hazi szisz bisz* — mawiał Salama, sadowiąc się na *farszy*. Zaraz też domagał się poduszek — *Hazi ma'chuzat* — cierpiał na artretyzm kolana i zawsze musiał wygodnie wyciągnąć nogi.

— Tak się śpieszysz do przegranej? — przygadywał mu Muhammad, otwierając pudełko tryktraka i rozstawiali pionki.

Zachód słońca to tradycyjna pora wieczornego posiłku, ale Salama pewnie jadał wcześniej, a może Mariam odgrzewała mu jedzenie po powrocie. Nie krępował się wcale domaganiem się *szisz bisza* albo poduszek.

— *Tafaddalu* — używając arabskiego, wyrażałam się bardziej formalnie niż mówiąc po angielsku. Powiedzenie „Rozgość się” jest w końcu znacznie grzeczniejsze niż

zwykle „Weź sobie”.

Zbierali pionki do pudełka, a ja stawiałam przed nimi danie *tabach*. Salama zawsze próbował z apetytem, „żeby zrobić nam przyjemność”, ale rzadko z nami jadał.

Kiedy kończyliśmy, zwykle ktoś do nas dołączał, bo potrzebna była czwórka graczy. Uwielbiali oszukiwać. Okropnie mnie to irytowało. Staralam się nie zauważać, że mój partner w grze wymachuje swoimi cennymi dwójkami czy jokerami, aby mi pokazać, ile ich ma.

Muhammad bezwstydnie oblizywał kartę jokera z wierzchu i przyklepał sobie do czoła, a jednocześnie sprawdzał, co ma w ręku. Dla niego najważniejsze było zwycięstwo, nawet jeśli osiągnięte oszustwem, w myśl zasady „Cel uświęca środki”. Triki i przekręty były dopuszczalne, jeśli zapewniały wygraną. Wprawdzie nie miałam wąsów, na które mogłabym się zaklinać, ale i tak nie byłam ulubionym partnerem w grze — ani przegrana, ani żarty czy kpiny nie wytrącały mnie z równowagi.

Ojciec Muhammada wypytywał go regularnie o ilości cukru, jakie musieliśmy kupować, bo goście nachodzili nas praktycznie co wieczór. Wiedzieli, że jesteśmy w domu, że zawsze z ochotą zaparzymy kolejny czajniczek z herbatą, a gra ubarwiona gorącymi sprzeczkami czy żartami, a czasem nawet złośliwymi kpinami, będzie wspaniałą zabawą. Uważaliśmy, że te kilka czajniczków herbaty to koniec końców niewielka cena za cowieczorną rozrywkę w naszym własnym domu.

Święty chleb

— Nie wolno ci tego robić! — Takim tonem Muhammad jeszcze nigdy do mnie nie mówił. Czy był zaskoczony (oczywiście moją głupotą), zdumiony (pewnie moją bezczelnością) czy przerażony (moją bezmyślnością)? Nie

miałam pojęcia. Ewidentnie ganił mnie za coś, ale ja nic złego nie zrobiłam.

Byliśmy w Skarbcu, jedliśmy kupiony przeze mnie na obiad chleb i pomidory. Chcieliśmy jak najwięcej skorzystać z nieśmiało przygrzewającego o tej porze roku słońca, więc odsunęliśmy świecidełka, którymi handlował i usiedliśmy na drewnianym stoliku, machając nogami.

— To haram[34]! — Muhammad skoczył na równe nogi i wybierał wszystkie okruszki *tabuna*, które strzepnęłam z siebie. Były zbyt spalone, aby je zjeść. — Nie wolno tego wyrzucać!

— Dlaczego? Przecież wy wszystkie resztki zrzucacie na podłogę. Przynajmniej kozy się nakarmią okruchami, a to i tak lepsze niż puszki po sardynkach, czy skórki po bananach — tłumaczyłam się skonsternowana. Inne śmieci leżały tuż obok okruchów chleba, ale Muhammad nie zwracał na nie uwagi.

— Ale to jest chleb!

Zapadła krótka chwila niezręcznej ciszy, widocznie czekał, aż coś do mnie dotrze...

— Chleb to *ni'ma min Allah*, chleb to Dar Boży i nie możemy gnieść go stopami. — Nie widząc oczekiwanego efektu, wyjaśnił.

Teraz już rozumiałam. Był zaskoczony moją głupotą. Położył okruszki i resztki spalonego chleba w najbliższych zaroślach, gdzie mogła je znaleźć tylko szukająca pożywienia koza.

Mimo braku lodówki niewiele jedzenia marnowało się u nas. Kiedy Umm Lafi zrobiła *fattę* i coś zostawało (nawet po tym, jak Abdallah wyrzucił trochę na skałę dla swojego wyliniałego kundla), wkładała je do miseczki, przykrywała szczelnie pokrywką albo torebką od cukru przeciw „szkodliwym promieniom gwiazd” i przez Lafiego przesyłała je nam. Odstawiałam pojemniczek na okno, a

rano odgrzewaliśmy *fattę* na patelni i robiliśmy sobie prawdziwą ucztę — beduińskie placki ziemniaczane lub odsmażaną fasolę.

Droga do Umm Sajhun

W początkach 1980 roku rozpoczęto prace na odcinku dwuipółkilometrowej drogi prowadzącej do osiedla Umm Sajhun. Roboty drogowe nie dotarły do Petry, bo zaczęto je od końca istniejącej drogi, tuż przy wjeździe, i przebiegały na odcinku północnym wzdłuż Asz-szarah za pasmem Dżabal al-Chubsa. Nie licząc sporadycznych odgłosów maszyn budowlanych, nawet byśmy nie zauważyli robót, gdyby Abu Mahmud nie dostał pracy jako nocny stróż na budowie i nie przeprowadził się wraz z całą rodziną do brezentowego namiotu rozstawionego na zboczu góry.

Tęskniłam teraz za wizytami w ich jaskini. Brakowało mi Umm Mahmud nawołującej mnie ze ścieżki poniżej Rasu, osiołka objuczonego pobrękującymi kanistrami, jej słów „*Tirridi ma’i?*” zapraszających do wspólnej wyprawy po wodę, a przede wszystkim brakowało mi ciepłych uścisków jej synków.

Postanowiłam więc ich odwiedzić.

Całe przedpołudnie zabrało mi poszukiwanie ich obozowiska. Muhammad pokazał mi piaszczyste wzgórze, na które miałam się wspiąć, żeby dotrzeć na grzbiet Umm Sajhun. Następnie miałam się nim kierować, aż dotrę do Asz-Szarah, ale skalne korytarze i ścieżki dla kóz zawiodły mnie na manowce i musiałam podjąć mozolną wspinaczkę z powrotem. Grań była pełna skalnego kruszywa i nadkruszonych kamieni, na których łatwo było się poślizgnąć i przewrócić. Upał dawał się we znaki, nie czuło się nawet najłżejszego powiewu wiatru, a ja byłam w ciąży. Ciągle jeszcze nie wiedziałam, jak pokonam strome zbocze

Asz-Szarah. Ściągnęłam *mudragę* i przez chwilę byłam tylko w samej koszuli i spodniach, póki zza bocznej krawędzi nie wyłoniło się trzech jeźdźców na osiołkach. Dzięki temu znalazłam ścieżkę. Bóg wysłuchał mojej modlitwy. Pozdrowiłam nieznanomych uprzejmym „*salam*”, nałożyłam z powrotem *mudragę* i szłam dalej ścieżką, aż natrafiłam na namiot przyjaciół.

Już z oddali dostrzegł mnie Ahmad i radośnie podskakiwał przed namiotem rozstawionym zaledwie parę metrów nad ścieżką. „*Haj ummi Fatima dżi't, haj ummi Fatima dżi't*”. — Idzie moja mama Fatima, idzie moja mama Fatima — podśpiewywał, kiedy podbiegłam do niego. Chichotał radośnie, kiedy go podniosłam. Tu byli moi przyjaciele, witali mnie tymi samymi ciepłymi, tak długo wyczekiwanymi uśmiechami.

Zaskoczyła mnie łatwość, z jaką Umm Mahmud porzuciła wygodną jaskinię i zamieszkała w namiocie z dwójką małych dzieci. Co prawda mieli teraz pod dostatkiem wykarczowanych pniaków do ogniska wykopanych przez buldożery i mogli czerpać wodę z ogromnego zbiornika, ale było tam tak mało miejsca. Jeśli ktoś poślizgnął się i stracił równowagę, staczał się z góry. Starannie wyzbierali wszystkie kamienie ze środka dwuspadowego namiotu i paru metrów przed nim. Poły namiotu były teraz otwarte z obu stron, ale zbliżała się zima, noce już wkrótce miały stać się chłodne. Zrozumiałam wtedy, dlaczego boki namiotu były obłożone kamieniami.

Umm Mahmud wyciągnęła cienką matę zwaną *dżannabijja* i zaprosiła mnie, żebym usiadła. Krzątała się w ciasnym wnętrzu i przeproszała za to, że zostawiła wszystkie porządne poduszki w jaskini. Zrolowała starą kołdrę, żebym mogła się o nią oprzeć. Ahmad usadowił mi się na kolanach, a ja bawiłam się z nim w „Idzie rak, nieborak, jak uszczypnie będzie znak”, szczypiąc go

delikatnie w pulchną, dziecinną rączkę. Mahmud, który nie był aż taki śmiały jak jego brat, tym razem sam mi podsunął rączkę do zabawy. Nie rozumieli wprawdzie słów, ale łąskotki są taką samą zabawą na całym świecie. Kiedy Umm Mahmud rozpałała ogień i parzyła herbatę, a ja się jeszcze bawiłam z moimi małymi przyjaciółmi w „Kosi, kosi łapki” i „Jadą, jadą misie”, zapomniałam o pustym i surowym krajobrazie na zewnątrz — tak jakby góry i skaliste szczyty znikły.

Potem często ich odwiedzałam, zdarzało się także, że Muhammad przychodził razem ze mną. Z pewnością nasi gospodarze musieli się przy nas nabiegać, ale nie potrafiłam się powstrzymać od odwiedzin. Ahmad od pierwszej lekcji wypieku chleba traktował mnie jak drugą mamę.

Pewnego dnia Umm Mahmud przesiewała mąkę przez sito, na którym pozostało mnóstwo otrębów. Powiedziała, że to *sha'ir*, a ja wiedząc, że to znaczy jęczmień podawany jako karma dla osłów, pomyślałam, że chyba się przesłyszałam albo moja przyjaciółka żartuje. Ale nie był to żart ani pomyłka. Starannie wybrała kamienie z kilkukilogramowego wora z jęczmieniem i Abu Mahmud zawiózł zboże do młyna w Wadi Musa. Wyrabiała masę starannie i nie pozwalała sobie pomóc. Ugniotła ciasto i upiekła w żarze pod rozgrzanym piaskiem. Zostaliśmy na kolacji, na której podano *fattę* z jęczmiennych podpłomyków zamaczanych w *labanie*, a do tego misę ciemnozielonej oliwy zamiast *saminu* wlewanego do środka. Toczyliśmy kulki i zanurzaliśmy je w oliwie. Dodatkowe danie — to znaczy chrupkie, surowe kawałki cebuli — podano jak grzanki do zupy. Bardzo nam to smakowało i po powrocie do domu przesiałam kilka kilogramów naszych własnych zapasów jęczmienia, a potem Muhammad zawiózł je do młyna. Oczywiście, musiałam nauczyć się wybierać plewy.

Roboty drogowe wlokły się w ślimaczym tempie, ale wreszcie w połowie 1981 roku zostały zakończone, buldożer wyrównał drogę prawie do samej Al-Bajda, a moi przyjaciele wrócili do swojej jaskini.

Nabatejskie inskrypcje

Napisy ryte w różowawych i czerwonych skałach piaskowca w drodze do Miejsca Ofiarnego są charakterystyczne dla Petry. Zachwycające, prostokątne, zdecydowane ryty inskrypcji nabatejskich przypominają sznury złotych łańcuchów, wiszących na słynnym suku ze złotem w Ammanie. Gdy Muhammad pokazał mi je po raz pierwszy, musiał odciągać zasłaniające je gałęzie jałowca, ale od tamtej pory wyschnięte pędy zużyto do ogrzania niezliczonych rąk i zaparzenia setek czajniczków z herbatą, a inskrypcje zostały wydane na pastwę wiatru i deszczu; dobrały się do nich także dzieci, skrobiąc patyczkami.

Inskrypcje i ryty skalne można znaleźć we wszystkich miejscach, w których osiedlali się Nabatejczycy — *salam*, zaklęcia, a nawet „Aretas tu był”. Najsłynniejsza inskrypcja w Petrze, jedyny zapis w mieście ogrodów, zbiorników wodnych i sal zgromadzeń powstających tuż obok grobów, wyryta jest na Grobowcu Turkmanijja. Znalazłam te wiadomości w przewodniku, który podarował mi Ali. Nie wiedział, co zrobić z książką Iaina Browninga *Petra*, którą jacyś turyści zostawili w jego sklepiku, a ja z ciekawością przeczytałam ją od deski do deski. Opisane są w niej perły architektoniczne zachowane w skałach na całym terenie Petry, widziałam wiele z nich przy okazji spotkań towarzyskich.

Zobaczyłam Grobowiec Turkmanijja, kiedy udaliśmy się z wizytą do kuzynki Umm Lafi, Rachijji N., która właśnie urodziła dziecko. Spotkałam ją zaledwie parę razy i

sporadycznie widywałam w ambulatorium, toteż sama bym się do niej nie wybrała, ale Umm Lafi zaproponowała, że jeśli tylko mam ochotę, możemy pójść razem. Oczywiście martwiły mnie trochę ewentualne konsekwencje mojej wizyty. Wiedziałam bowiem, że jeśli wręcę jej jakiś prezent, kobieta będzie o tym pamiętała tak długo, póki mi się nie zrewanżuje, a ponieważ sama byłam w siódmym miesiącu ciąży, mój podarunek będzie wyglądał na inwestycję obliczoną na zwrot. „Przecież właśnie o to chodzi”, przekonywała mnie Umm Lafi. „Ludzie pomagają sobie wzajemnie w potrzebie”. Toteż pod opiekuńczymi skrzydłami teściowej wybrałam się do Wadi Turkmanijja.

Husajn siedział na ramieniu matki. Jedna noga dyndała mu z tyłu, druga z przodu, rączkami ściśle obejmował jej głowę, tak jak *asaba*. Umm Lafi szła prosta jak trzcina, w zniszczonej, ale czystej *mudradze* i *popękanych plastikowych sandałach*, *godna zaufania przewodniczka po osłoniętej drzewami ścieżce*. *Minęliśmy wzniesiony z betonu trzyoddziałowy budynek szkoły. Wkrótce bambusy i oleandry ustąpiły miejsca winoroślom i drzewom granatu oraz moreli rosnącym wśród wierzb i tamaryszku. Potem dolina stawała się szersza.*

Pamiętałam jeszcze, jak galopowałam tędy wśród drzew, kiedy wracaliśmy z Al-Bajda na naszym mule i zrozumiałam, dlaczego wtedy nie zauważyłam grobu. Nigdy przedtem nie galopowałam na mule i było to dla mnie tak ekscytujące przeżycie — czułam się szczęśliwa, że mogę przytulać się do Muhammada, a muł niesie nas oboje — że nie zwracałam uwagi na nic dookoła.

Prawdę mówiąc, na pierwszy rzut oka inskrypcja rozczarowała mnie. Był to tylko ciąg słów — starannie wykończonych, idealnie prostokątnych symboli — niepasujący do zniszczonego, nadkruszonego kamiennego portalu. Sale balowe i ogrody niemal zniknęły podczas tysięcy lat zimowych potopów i rześzystych opadów deszczu.

Połowę podstawy grobowca spotkał niestety podobny los, kamienie wystawione na ostre promienie przedpołudniowego słońca pociemniały.

Rodzina: pan domu Hadździ Nuwajja szczerzący zęby w uśmiechu, z kozią bródką, jego żona Rachijja N. i ich dziewięcioro dzieci mieszkali tu tymczasowo, w nie do końca zagospodarowanej jaskini. Podłoga była z piachu, sypkiego i grząskiego, czarnego od palenia ognisk przez wiele lat oraz od brudnej sierści chroniących się tu zwierząt. Byłam pewna, że wśród zalegających z boku kamieni śpią węże. Przez otwór w tylnej ścianie było widać głębokie pomieszczenie, w którym zgromadzili worki z ziarnem, mąką i *tanaki*[35] z *saminem*. Mieli się przenieść za pasmo gór Asz-Szarah za kilka miesięcy, kiedy dojrzeją ich uprawy na płaskowyżu Al-Fudźajdz.

Zawsze myślałam, że płaskowyż nosi nazwę Alf Dźajdz i zapamiętałam ją przez skojarzenie, wyobrażałam sobie *alf* (tysiąc) *dźajsz* (armii) obozujących na rozległej, bezludnej wyżynie. Potem z czasem, kiedy dowiedziałam się, że płaskowyż nazywa się Al-Fudźajdz i nie ma nic wspólnego z armiami, obraz się zamazał.

Wokół mnie słychać było ożywione terkotanie kobiet odwiedzających położnicę. Nie pozwolono mi nic zrobić. Może dlatego, że byłam *adźnabijjā* jak prawdziwa Beduinka odwiedzającą Rachijję N. podczas jej połogu albo dlatego, że spodziewałam się pierwszego dziecka Muhammada Abdallaha. Nie znam przyczyny, ale cała rodzina traktowała mnie jak honorowego gościa i właśnie ten duch gościnności sprawił, że czułam się jak najcenniejszy skarb.

Odbiegłam od tematu, miałam pisać o nabatejskich inskrypcjach. Z pewnością są piękne, ale mnie jakoś nie porwały. Uczeni mogą twierdzić, że mają związek z arabskim i hebrajskim pismem, a podobne inskrypcje odnaleziono na Synaju, Pustyni Negew i Arabskiej, ale według mnie największą zasługą Nabatejczyków był fakt,

że dzięki nim poznałam Muhammada i jego plemię.

Wróżka Dżidaja

Pomimo nakazu: „Cokolwiek Bóg zsyła, powinniśmy przyjmować to z wdzięcznością”, zastanawiałam się, co to naprawdę znaczy mieć syna. Wspomnienie niepełnosprawnych dzieci, którymi kiedyś się opiekowałam, tkwiło gdzieś w zakamarkach mojego umysłu i modliłam się przede wszystkim o zdrowe dziecko, płęć była nieistotna. Gdy gratulowałam Rachijji N. szczęśliwego porodu, odparła: „Teraz twoja kolej... oby to był chłopiec, *in sza'a Allah*”, to samo powiedziały Fatima i Nura, które rodziły przede mną. Drażniło mnie, że wszystkie kobiety, nawet kramarki ze Skarbca, wierzyły, że chłopcy są lepsi.

Wiedziałam, że to bzdura i cały czas udowadniałam, że mnie to nie sprawia różnicy. Być może podświadomie pragnęłam dziewczynki, by udowodnić, że będę traktowała ją tak samo jak chłopca. Ale prawdę mówiąc, to było coś więcej. Tak jakbym wiedziała, że noszę w sobie córkę. Bez trudu wybraliśmy imię — Salwa brzmiało ładnie dla moich uszu przyzwyczajonych do angielskich dźwięków, było tradycyjne, choć rzadko nadawane. Nie potrafiliśmy jednak znaleźć odpowiedniego imienia dla chłopca.

Pewnego dnia Dżidaja zatrzymała mnie w Fam al-Wadi. Dżidaja była duszą większości wesel w naszej okolicy, w chuście ściśle zawiązanej na biodrach wykonywała taniec brzucha w rytm oklasków i śpiewów dziewczyn oraz postukiwania szklaneczek do herbaty wsadzonych na koniuszki palców. Podciągała wysoko lśniąca *asabę*, a oczy miała grubo pomalowane *kuhlem*. Później kiedy zajęłam się szyciem, przynosiła mi skrawki materiału na tyle duże, aby uszyć z nich rękawy. Przyfastrygowane do starej *mudragi* wyglądały tak, jakby ciągle miała coś nowego pod spodem.

Ale wówczas jeszcze słabo ją znałam, nigdy nawet nie widziałam jej w ambulatorium i byłam bardzo zaskoczona, kiedy zatrzymała osła objuczonego worami z ziarnem, pomachała ręką i zawołała: — Fatima!

— *Kajf halki, szlonki?* — Powtarzałyśmy sobie niemal w nieskończoność różne formy zwrotu „Jak się masz?“, obcałowałyśmy się po policzkach i po dłoniach.

Z jej arabskiego udało mi się wychwycić pojedyncze słowa: *Halimit* — (śniłam), *bint* (dziewczynka) i jeszcze *ra'jat al-ghanam* (pasterka). Zrozumiałam przekaz. Uśmiech i dłoń ściskająca moje ramię były krzepiące, ale jej oczy wbite w mój wielki brzuch były jak czarne kropki kończące przepowiednię.

Nie potrafiłam jej wytłumaczyć, że jestem bardzo wzruszona faktem, iż moje przeczucia zostały w pewien sposób potwierdzone. Mogliśmy tylko czekać i się przekonać.

Daj mu imię Awwad

Pewnego dnia Muhammad M. przywędrował do naszej jaskini.

Kiedyś już nas odwiedził i wspominał z Muhammadem dawne czasy:

— Pamiętasz, jak żeśmy pracowali przy wykopaliskach w pobliżu Tafili, a ja miałem kamienie w nerkach. Ludzie gadali, że piwo najlepiej wypłukuje. Przeszliśmy nocą ponad dwadzieścia kilometrów, musieliśmy być *madżanin*[36].

— *Al-hamdu li-llah, ta'aggilna.* Dzięki Bogu zmądrzeliśmy — przyznali, wyraźnie z siebie zadowoleni. — Małżeństwo nam pomogło.

Ale tego dnia Muhammad M. był jakby zmieszany.

Rozłożyłam *farszę* w cieniu i zabrałam się za parzenie herbaty. Przysłała go jego żona, powiedział, a ja zastanawiałam się, czy jego gładko ogolone, pełne, ogorzałe policzki poczerwieniały, bo czuł się zakłopotany.

— Śniło jej się, że obudził ją anioł i kazał jej iść do Muhammada Abdallaha. „Przekaż mu, że jego żona urodzi syna. Muszą nazwać go Awwad” — oświadczył anioł. To było już dawno temu i na początku nawet mi o tym nie mówiła, ale twierdzi, że ten sen w kółko jej się powtarza. Wysłała mnie do ciebie, bo to może być ważne.

A ja sobie pomyślałam, że skoro anioł jest taki uparty, to być może żona Muhammada M. ma po prostu nadzieję, że wreszcie prześpi spokojnie noc.

Od tamtej pory modliłam się, aby przeczucie mnie nie myliło. Sami wybierzemy imię dla naszego dziecka. Byłam szczęśliwa, że zostanę Umm Salwa, a Muhammad — Abu Salwa i nie chciałam, żebyśmy byli Umm i Abu Awwad. Już tacy mieszkali przy zbiorniku.

Większość Beduinów chyba nie zastanawia się nad takimi sprawami. Jeśli komuś śni się imię jego dziecka, wtedy uznaje to za znak albo błogosławieństwo. Natomiast mnie martwiło, że zostało nam to obwieszczone: jeśli urodzi się chłopiec, winniśmy nazwać go Awwad albo spędzić resztę życia w lęku przed karą boską. Kolejna szansa na samodzielny wybór imienia wymykała mi się z rąk.

Wyprawa do Wadi Sabra

Wiele kobiet opowiada historie o tym, jak wróciły do domu z kozami, belami wełny i noworodkiem — po porodzie odbytym gdzieś w górach. Łóżysko zagrzebywały w korycie potoku w celu zapewnienia sobie płodności. Odrywały skrawek materiału z chusty albo sukni, aby zawiązać pępowinę i przecinały ją ostrym odłamkiem kamienia na skale.

Ja z kolei byłam świadoma wielu zagrożeń podczas porodu i miałam głęboką nadzieję, *in sha'a Allah*, że dotrę do szpitala w samą porę. Jednak nasza wyprawa do Wadi Sabra mogła mieć wręcz przeciwny skutek.

Od prawie dwóch lat przebywałam w Petrze i ciągle jeszcze nie widziałam Wadi Sabra. Nazwa brzmiała kusząco. W mojej książce napisano, że tryska tam małe źródło, a w skałach piaskowca wykuto teatr. Muhammad także nigdy tam nie był. Jego rodzina mieszkała w północnej części Petry i znał tam wszystkie górskie szlaki, każde dające cień drzewo oraz każdą nabatejską inskrypcję. Tymczasem Wadi Sabra znajdowała się na południu starego szlaku karawan z Petry do Egiptu i Gazy, gdzie mieszkało niewielu Bdulów.

Często rozmawialiśmy o wspólnej wyprawie. „Któregoś dnia pojedziemy”, twierdzili nasi partnerzy w kartach Ali i Ali F., ale żaden z nich nie zabierał się do działania. Ali w dzieciństwie wypasał w Wadi Sabra kozy należące do rodziny i ruiny wywarły na nim ogromne wrażenie, wiedział także, gdzie są źródła. Zaproponował, że będzie naszym przewodnikiem. W początkach marca, kiedy weszłam w dziewiąty miesiąc ciąży, olśniło nas, że wkrótce będę opiekować się niemowlęciem, a później, latem, będzie gorąco, dlatego postanowiliśmy wybrać się do Wadi Sabra

następnego dnia.

O świcie kilka razy musiałam biec do ustępu, bo miałam straszne rozwolnienie. Czułam się osłabiona, ale gdy pojawili się inni uczestnicy naszej eskapady na objuczonych osłach, wypiliśmy *bajsiran*, gorzki, pustynny ziołowy napój (co prawda o paskudnym smaku, ale za to o znakomitym działaniu) i postanowiłam wziąć się w garść. Mężczyźni chcieli przełożyć wycieczkę, ale ja nie. Wiedziałam, że prędko nie trafi nam się podobna okazja. Kiedy nabierałam sił, Muhammad osiodłał i objuczył osła.

Czułam się rozdarta, w jednej chwili chciałam urodzić dziecko w szpitalu, a w drugiej pragnęłam zaszyć się gdzieś sama po koszarnej nocy z rozstrojem żołądka! Mogło wydawać się to skrajną głupotą, ale ja myślę, że było inaczej. To była raczej ta ślepa ufność, że w życiu nie przytrafi mi się nic złego, a nasza wyprawa się uda. Nawet nie myślałam, że jestem silna i zdrowa ani o tym, że niedługo będę miała dziecko. Kierował mną jedynie instynkt.

Ali F., z którym rozmawiałam po angielsku i z którym w nudne dni w Skarbcu Muhammad siłował się na ręce, był krótko po ślubie. Sprowadził swoją żonę Rawiję z Egiptu. (To znowu *gisma wa-nasib* — udało mu się znaleźć kobietę, która pasowała do niego idealnie.) Ta piętnastoletnia mężatka z błyszczącymi oczami, która odważyła się przylecieć samolotem, aby rozpocząć nowe życie z mężczyzną, którego dopiero co poznała, myślała, że jest gotowa na każde ryzyko.

Ali, który nie prowadził już taksówki, ale ciągle jeszcze był kawalerem, pożyczył osiołka i zabrał ze sobą flet.

Ja z Rawiją jechałyśmy na przedzie. Nie miałam zbytniej ochoty rozmawiać, dlatego byłam zadowolona, że dziewczyna zorientowała się, że nie rozumiem jej akcentu. Pomimo to mogłam odczytać sporo z jej twarzy; nie wiedziała, co o mnie sądzić. Uśmiechnęłam się i

stwierdziłam, że znacznie lepiej się czuję.

Nasi panowie śpiewali i żartowali, przewidując, że pewnie zaraz będę musiała pędzić za potrzebą. Śmiali się rozbawieni i ja także — a ból brzucha zniknął bez śladu, bo nie miałam co już z siebie wydalać.

Wijąca się między białymi skałami ścieżka coraz bardziej się zwężała, więc musieliśmy zsiąść i wspinać się aż do Stauh. Stamtąd zjeżdżaliśmy już na osłach, Rawijja i ja z tyłu, przytulone do naszych mężów, Ali śpiewał o kobiecie, którą pragnie przytulać. Okrążyliśmy zaoraną połec płaskowyżu. Nagle przed naszymi oczami rozciągnął się wspaniały widok: byliśmy już w Ras Sabra. Usiedliśmy i odpoczywaliśmy. Na kiepskiej jakości zielonkawej fotografii widać dziwną grupę podróżników: ja mam ogromny brzuch, a Muhammad trzyma kałasznikowa. Nie miał zresztą pozwolenia na posiadanie broni.

Ras Sabra to początek ogromnej doliny w kształcie litery U. Otaczały ją wypiętrzone skały piaskowców, które stopniowo stawały się coraz mniejsze. Kiedy się patrzyło na południe, góry lekko skręcały w zachodnią stronę. Środek U tonął w zieleni: jałowce, tamaryszki, wybujale piołuny wczepiały się w odległe skały po obu stronach doliny. Teatr znajdował się mniej więcej w połowie, z naszego miejsca był prawie niewidoczny — dostrzegliśmy tylko jakiś ciemny zarys. Kiedy schodziliśmy wijącą się zygzakiem ścieżką do Wadi Sabra, poczuliśmy upajający aromat kwiatów rattanu.

Jechaliśmy po grząskim, piaszczystym dnie *wadi*. Byłam zachwycona, kiedy Ali grał na fujarce, a reszta radośnie pokrzykiwała — wtedy muzyka wypełniała świat wokół mnie. Około południa wśród bujnych krzewów oleandra znaleźliśmy trochę stojącej wody. Ali postanowił wtedy przedrzeć się przez gąszcz i odnaleźć źródło. Przywiązaliśmy osły i poszliśmy za nim, odsuwając gałęzie. Dotarliśmy w końcu do wody spływającej po wykutych w kamieniu stopniach małego, ukrytego w gąszczu teatru.

Rośliny i krzaki rozrastały się wśród ruin, rozsadzając korzeniami kamienne ławy. Na chwilę rozsiedliśmy się wygodnie na rudawych schodkach, pstrokata publiczność na surowych siedzeniach wykutych w skale piaskowca. Błękitna wstęga nieba, rozdzierający ciszę trzask ptaków i całe to otaczające nas piękno przeznaczone tylko dla naszych oczu. Ta wyprawa to był naprawdę wspaniały pomysł!

Na obiad mieliśmy *szrak* i sardynki, których jeszcze nie mogłam jeść. Herbata była wyborna. Ali i Muhammad postanowili rozejrzeć się po okolicy i kupić gdzieś kozłatko na kolację, ale szybko wrócili, osiodłali osły i stwierdzili, że pora ruszać.

— Jakiś wariat na dole groził nam bronią! Nie możemy tu zostać.

Myślałam, że to jakiś żart.

— Przecież chyba widział, że jesteście Beduinami. Jesteście pewni, że nie chciał was po prostu zaprosić na herbatę? A może zbieracie się, żeby razem z nim zjeść *mansaf*?

— *Bi-l-aks*, wręcz przeciwnie — mówili dalej wzburzeni. — Oskarżył nas, że jesteśmy *Jahud*.

To znaczyło Żydami lub Izraelczykami.

— Oj, daj spokój. — Ciągle im nie wierzyłam, nawet gdy opuszczaliśmy dolinę. — Przecież nie mógł być aż taki zdenerwowany.

— Wolałbym tego nie sprawdzać — stwierdził Muhammad. — Musi być zdrowo pomyłony, żeby mieszkać z rodziną na takim odludziu.

— Ale skąd mu wpadli do głowy Izraelczycy?

— Nie słyszałaś? Pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych na tych wzgórzach toczyły się walki. Dlatego kobiety, słysząc helikopter, chronią się w jaskiniach. Izraelczycy czasami pieszo przekraczają granicę

i próbują dostać się górami do Petry. Zdarzały się nawet potyczki partyzanckie. Zginęło wielu Beduinów... To się już skończyło, ale ten facet był *madźnun*, a do tego miał broń. Nie było sensu z nim się kłócić.

Wróciliśmy do Ras Sabra, a ponieważ zapadał zmrok, musieliśmy rozbić obozowisko w wąskim, wychodzącym na północ wąwozie, poniżej nabatejskiej zapory ze zbiornikiem pełnym świeżej wody.

Zaparzyliśmy świeżą herbatę i właśnie piekliśmy kartofle oraz bochen chleba w ognisku, kiedy nagle z ciemności wyłonił się Ali F. i powiedział zaniepokojony:

— Chyba zanoszą się na deszcz.

Opuściliśmy oświetlony ogniem krąg i poszliśmy za skałę. Muhammad i Ali przyznali, że złowieszcze, urywane błyski na zachodzie zapowiadają burzę i stwierdzili, że czeka nas długa droga przez zaorane pole aż do najbliższej kryjówki w pobliżu Pomnika Węża.

— *Jalla*, chodźmy — krzyczeli. Tak jakby w tym dniu mało było niespodzianek.

Przy świetle ognia zbieraliśmy porozrzucane rzeczy. Na szczęście chleb był już upieczony, więc Rawijja owinęła go w torbę po cukrze i wsunęła do przytroczonego do siodła juku. Zebrałam pięć szklaneczek i czajniczek. Nasi mężczyźni osiodłali osły i zwinęli materace do spania. Przy świetle zapalniczki sprawdziliśmy, czy nic nie zostało i wyruszyliśmy w ciemną noc.

Ali, podśpiewując, ponaglał nas do szybkiego wydostania się z przytulnego wąwozu wprost na wietrzny płaskowyż. Po zaoranym polu bardzo trudno się szło, a ponieważ osły mogły się potknąć, musieliśmy zsiąść i maszerować. Panowały grobowe ciemności. Muhammad prowadził naszego osła, ja zaś kurczowo uczepiłam się drewnianej kulbaki. Szłam na oślep, potykając się o nierówno zaoraną glebę, stopy przypominały łodzie zanurzające się w falach

rozszałatego oceanu, wdzierające się w rozpulchnione skiby i spadające w głębie bruzd. Byłam zupełnie wykończona, a jednak dostałam nerwowego chichotu, wyobrażając sobie minę Muhammada, kiedy wysyczał do mnie:

— Zachciało ci się przygody.

Burza zbliżała się wielkimi krokami. Grzmoty były coraz wyraźniejsze, ich huk dopingował osły do szybszego marszu.

Oślepiające błyskawice rozświetliły okolice — Dżabal Harun, Dżabal al-Barra, Dżabal Inmir i wreszcie masyw Asz-Szarah. Byliśmy w połowie drogi, w połowie płaskowyżu i parę sekund później cały krajobraz pogrążył się w ciemnościach, a my poczuliśmy się jak ślepcy. Nagle usłyszeliśmy potężny grzmot. Przerażeni, zaczęliśmy się pocieszać:

— *Jalla, misz ba'id*. To już niedaleko.

Poprzedzający burzę wilgotny wiatr przenikał nas na wskroś. Rozdzierające ciemności błyskawice tworzyły niesamowity pokaz fajerwerków przy akompaniamencie głuchych grzmotów.

Wreszcie wydostaliśmy się na skalne, twarde podłoże. Poczulałam zapach obornika i dymu — cywilizacja! Wiatr niósł pierwsze, ciężkie krople dżdżu, kiedy w świetle błyskawicy zobaczyliśmy szerokie wejście do jaskini. Wiwatowaliśmy z radości, a Rawijja zawodziła w najlepszym egipskim stylu, kiedy szliśmy prosto do pieczary, my — zbłąkani podróżni i nasze osły.

Pieczara była obszerna i dobrze chroniona przed wiatrem, ponieważ wychodziła na południową stronę. Pośrodku dostrześliśmy nawet porządnie ułożony stos suchego drewna do ogniska. Pomagaliśmy sobie, rozpalając żagwie, aż wreszcie płomienie rozproszyły ciemności. Rozpętała się prawdziwa burza chłuszcząca strumieniami deszczu ziemię, a my spokojnie jedliśmy kolację. Wszyscy

odetchnęliśmy z ulgą, a ja odmówiłam moją osobistą modlitwę dziękczynną: podziękowałam Hammudzie za niezwykle lekarstwo *bajsiran*; Nabatejczykom za wydrążenie jaskini; Ghajzie, który mieszkał w pobliżu za zgromadzenie zapasu drewna; naszym osiołkom za to, że przeprowadziły nas bezpiecznie przez pola, zanim lunął deszcz; a nawet szalonemu Beduinowi za to, że nas wystraszył z Wadi Sabra, gdzie nie było żadnej kryjówki; i wreszcie Bogu za wszystkie te szczęśliwe przypadki.

Rozłożyliśmy posłania na skalnym podłożu. Przy kojącym dźwięku padających kropli deszczu, rozkoszując się świeżym zapachem mokrej ziemi, położyłam się obok Muhammada, czując moje nienarodzone dziecko w brzuchu i zasnęłam ze świadomością, że to najlepsze dla mnie miejsce na ziemi.

Salwa — nasza duma i radość

Nie byłam pewna dat — nie miałam kalendarza ani dziennika, ale trzy razy odwiedziłam lekarza w Szpitalu Włoskim. Stwierdził, że termin porodu wypada na początek kwietnia. Miałam spakowaną torbę i co wieczór ćwiczyłam prawidłowy oddech podczas porodu oraz uczyłam się technik rozluźniania. I ciągle nic. Pewnego dnia, Muhammad zaprosił jakiegoś jordańskiego turystę do nas do domu na szklankę herbaty. Gość na widok mojego brzucha oświadczył, że jest ginekologiem-położnikiem. Dodał, że rozumie, iż mogę nie mieć pewności, jeśli chodzi o daty, ale ostrzegł mnie, że jeśli termin porodu się opóźnia, to nie jest to bezpieczne ani dla dziecka, ani dla matki.

— Jeśli nie poczujesz bólów porodowych w przyszłym tygodniu, musisz mnie odwiedzić w Al-Baszir, największym szpitalu. Rozumiesz, że to bardzo ważne? — spytał

Muhammada.

W następnym tygodniu również nic się nie zdarzyło — nie miałam żadnych zapowiadających skurczów, o których tyle gadały między sobą ciężarne kobiety.

Podczas tych ostatnich dni Muhammad szybko wracał ze Skarbca.

— Dobrze się czujesz? Może powinniśmy pojechać do Ammanu? — Proponował. Nie byliśmy już wtedy tak zupełnie nieświadomi. Dopytywał się z niepokojem: — Czy jeszcze się rusza?

Wszystko wydawało się być w porządku, ale tak czy siak, postanowiliśmy błędym świtem wybrać się do szpitala, żeby się upewnić. Złapaliśmy busik i wyruszyliśmy w jedną z moich najkoszmarniejszych podróży, z dzieckiem uciskającym mi pęcherz.

Położnik pracował w szpitalu Al-Baszir, największym szpitalu państwowym w południowym Ammanie, w strefie zamieszkaney głównie przez Palestyńczyków, kilka minut drogi od Karadż al-Dżanub. Dotrzymał słowa i zrobił mi zdjęcie rentgenowskie, aby się upewnić, czy wszystko jest w porządku oraz podał wlew na przyspieszenie porodu. Dalej nic się nie działo, miałam zaledwie słaby skurcz, znacznie łagodniejszy, niż oczekiwano, a zatem lekarz odłączył mnie od kroplówki i przyjął na oddział. Skurcze trwały przez całą noc, nasiliły się nad ranem i kiedy w końcu odeszły wody, pielęgniarka zabrała mnie do sali porodowej i znowu podłączyła kroplówkę. Wokół mnie zbiegło się kilka położnych i zawołano dyżurnego lekarza, doktora Basama. Nie wiedziałam, czy powodem tej szczególnej troski był fakt, że to mój pierwszy poród, czy raczej to, że byłam *adżnabijjā*, ale wcale mnie to nie obchodziło — widziałam Beduinę, która trafiła rano na oddział i dopiero pierwszy krzyk nowo narodzonego dziecka skłonił kobiety leżące obok do wezwania pielęgniarki. Tradycja nakazywała jej zachować spokój.

Ale ja nie musiałam stosować się do tradycji; wrzeszczałam rozdzierająco, a nasze dziecko przychodziło na świat z równie donośnym krzykiem. Urodziła się moja wymarzona córeczka.

Potem przewieziono nas do pokoju dla położnic. Salwę ułożono w kołysce tuż koło mojego łóżka. Inne matki leżały razem z niemowlętami w łóżku. Moja malutka spała spokojnie w łóżeczku: żadnego rozdzierającego płaczu (to przyszło później), żadnej wysypki na poczerwieniałej twarzy. Była idealna. Muhammad przyszedł do nas z bukietem kwiatów i *Al-hamdu li-llah ala-s-salama*. Fakt, że pomyślał, aby kupić prawdziwy bukiet w mieście, w którym było niewiele kwaciarni, wzruszył mnie bardziej niż same kwiaty. Arabowie zazwyczaj wręczają pieniądze. Widać było, że rozpieszcza swoją *adźnabijję* i nic nie dał po sobie poznać, że jest rozczarowany córką.

Po południu miałam gości, w tym Lynne, Amerykankę, która przyjechała na wykopaliska do Petry i poślubiła inspektora z Wydziału do spraw Zabytków. Mieszkała niemal po sąsiedzku i wpadła do mnie ze swoją szwagierką oraz termosem herbaty cynamonowej. Kevin i Innes przyjechali z drugiego krańca miasta. Byłam zachwycona ich radością tak typową dla Nowozelandczyków, którą nazywamy „Kiwi Way”, nowozelandzkim sposobem bycia. W pewnym momencie jednak poczułam się zmieszana, kiedy Kevin zapytał: „Czy mogę ją wziąć na ręce?”.

Zdałam sobie sprawę, że Muhammad nie trzymał jeszcze swojej córki w ramionach. Prawdopodobnie nawet nie przyszło mu to do głowy, bo w jego otoczeniu zgodnie z tradycją ojcowie nie widywali noworodka przez czterdzieści dni, nie mogli zatem brać go na ręce. Nie wiedziałam, dlaczego nie wpadło mi to wcześniej do głowy. To był niezły pomysł — wszyscy po kolei brali Salwę na ręce, a uśmiech malujący się na twarzy Muhammada, uchwycony na fotografii, był jawnym dowodem, że całkowicie

zaakceptował kolejny zwyczaj przeszczepiony z mojej kultury.

Przespałam spokojnie całą noc, dlatego rano poczułam się zaskoczona, że we wszystkich łózkach — oprócz mojego oczywiście — leżały po dwie matki i prawie tyle samo noworodków! I nikt się nie skarżył. Wszystkie były zajęte snuciem opowieści o swoich porodach; składaniem życzeń małej matce z okazji urodzenia pierwszego syna; wyrażaniem współczucia starszej matce, która miała już pięć córek w domu i właśnie poroniła trzeciego synka. Goście zaczęli się dopiero schodzić i naszą niewielką salkę wypełniały okrzyki „*Mabruk*” i „*Al-hamdu li-llah ala-s-salama*”. Przetaczał się też cały korowód palestyńskich babć, matek i teściowych w różnobarwnie haftowanych szatach i śnieżnobiałych chustach, ozdobionych ręcznie wyszytymi kwiatami, z pojemnikami z domowym jedzeniem wydzielającym apetyczne aromaty oraz termosami pełnymi rumiankowej i cynamonowej herbaty. Radośnie wręczały słodycze i czekoladki świeżo upieczonym matkom.

Sąsiedzka pomoc poporodowa

Wynajęliśmy busik, żeby nas zawiózł następnego dnia prosto do Petry. Kiedy zatrzymaliśmy się pod jaskinią, od razu zaczęły schodzić się Beduinki. Sięgnęłam po *farszę*, ale młoda matka mieszkająca w brezentowym namiocie pod nami wtrąciła się:

— Czy nie masz wełnianej *farszy*? Ta z pianki odparzy ci plecy. Połóż dziecko przy ścianie, żeby je chronić przed przeciągami. Nie kładź się w ten sposób — musisz leżeć z głową skierowaną na zachód, a nie na wschód.

Czekały mnie ciężkie czasy.

Wkrótce pojawił się rozpromieniony Abdallah; oczywiście, chłopak byłby lepszy, ale dziewczynka była taka

śliczna. Muhammad zdążył już nadać telegram z Ammanu do Nowej Zelandii. Salwa — to kolejne pokolenie; pierwsza wnuczka w mojej rodzinie; pierwsza wnuczka moich rodziców, a mojej jedynej żyjącej babci — pierwsza prawnuczka.

Moja teściowa pojawiła się z wełnianą *farszą*, ale ja nie ustąpiłam. Przywykłam sypiać na własnej; wełniana była szorstka i na ogół za krótka.

— Dlaczego nikogo ze sobą nie zabraliście, kiedy jechaliście do Ammanu? Co by było, gdyby ona urodziła po drodze?

Nie chciało mi się opowiadać o przebiegu porodu, dlatego starałam się nie zwracać uwagi na jej biadolenie.

— Ale nie urodziła, wszystko poszło dobrze.

Kiedy mężczyźni rozpalili ogień, Umm Lafi sporządziła kadzidełko, robiąc knot ze skrawka swojej *asaby*. Podpaliła go, rozkruszyła żywicę na żar leżący na płaskim kamiennym naczyniu i rozprowadziła dym po wszystkich zakamarkach jaskini.

Przyszła także Umm Mahmud i zabrała się za parzenie herbaty. Mahmud i Ahmad chcieli zobaczyć dziecko.

— Gdzie macie mąkę? — Tuflih szykowała obiad.

Ali F. i Rawijja pojawili się z posłaniami. Ali F. stał wraz z innymi mężczyznami przy ognisku, a Rawijja myła soczewicę na *riszuf*.

Salwa płakała, a ja walczyłam z nabrzmiętymi piersiami. Musiałam opuścić *mudragę* do pasa, żeby je wyciągnąć. Umm Lafi ściągnęła Tuflih chustkę z głowy i przykryła nią moje piersi i niemowlę, aby uchronić od złego uroku.

Tuflih położyła niemowlę na brzegu mojego materaca, oczywiście maluch od razu się zsiusiał. Skrzywiłam się. Reszta dnia rozmyślała się zupełnie. Późno po obiedzie większość naszych gości wyszła, natomiast Tuflih najwyraźniej szykowała się na nocowanie, a razem z nią

Rawijja i Ali F. Koczowali u nas przez następne dwa tygodnie.

Właściwie było mi to na rękę, bo przez ten czas wszystkie kobiety, większość mężczyzn i cała dzieciarnia z Petry wpadali do nas z wizytą. Mężczyźni pojawiali się dopiero wieczorami. Nasza jaskinia nie była aż tak obszerna, żeby urządzić oddzielne pomieszczenia dla obu płci, dlatego zazwyczaj podchodzili do mnie, aby uściskać mi rękę i wręczyć pieniądze, a potem dołączali do reszty panów zebranych przy ognisku. Natomiast kobiety przychodziły rano w swoich odświętnych strojach, czyściutkie i wysmarowane oliwką. Większość z nich siedziała u nas aż do zmierzchu. Urodę swoich dzieci ukrywały przed złym urokiem, ich pociechy miały kołtuny we włosach i chodziły w podartych, zniszczonych ubraniach. Kobiety zajmowały kącik kuchenny, a dzieciarnia opanowywała resztę jaskini. Zaciskałam zęby i spokojnie leżałam na swoim materacu.

Ten tłum kłębiący się w naszej jaskini sprawiał, że było gorąco i duszno, a ponieważ większość paliła, powietrze przesycone było dymem. Muhammad i ja, tak jak większość młodych ludzi, paliliśmy papierosy paczkowane fabrycznie i byliśmy przyzwyczajeni do dymu w naszym skalnym domu. Kobiety paliły jednak znacznie mocniejsze *hiszi*, sporządzone z lulka czarnego z rodziny psiankowatych. Zawijały liście w kawałki papieru, a ponieważ nie było kleju, musiały ugnieść tytoń i zwilżyć papier na brzegach, żeby się trzymał. Tytoń z rozkruszonych liści wysypywał się podczas skręcania, a jeszcze częściej wypadał podczas palenia, dowodem czego były dziury w *mudragach*. Nasza wylana z betonu posadzka pełna pęknięć i szczelin wręcz kusiła do gaszenia w niej petów.

Oczywiście, goście zawsze przynosili coś z sobą: *samin*, *laban*, pieniądze czy jajka — na wiosnę wszystkiego było pełno. Rachijja N. przyniosła mi więcej *saminu*, niż

mogłabym kupić za pieniądze, które jej dałam. Tuflih opróżniła wszystkie swoje bezcenne plastikowe butle i aluminiowe miski. Piątego dnia mieliśmy zapas stu dwudziestu jaj, oprócz tych smażonych na śniadanie na wielkich patelniach.

Kiedy Salwa zaczynała płakać, kobiety kiwały głowami i spoglądały na mnie:

— No, nakarm ją — poganiały, a potem patrzyły na siebie zaskoczone, kiedy przystawiałam ją do piersi. Mimo wszelkich pozorów byłam taka sama jak one.

Myślały, że nowoczesna, miastowa kobieta, na dodatek z zagranicy, będzie karmiła niemowlę z butelki. Nawet w Petrze widywałam noworodki karmione smoczkiem. Z reguły były bardzo pulchne, bo matki dodawały do mieszanki za dużo cukru. Zdarzało się, że chorowały, ponieważ w prymitywnych warunkach trudno było sterylizować butelki. Nie mieliśmy lodówki, a nawet elektryczności, jak zatem można było przechowywać mleko albo podgrzać pokarm? Byłam więc naprawdę szczęśliwa, że mogłam karmić piersią — pokarm był zawsze sterylny, ciepły, a przede wszystkim pod ręką.

Nie zawijałam jednak Salwy tak, jak zawija się tutejsze dzieci. Beduinki opatulają niemowlęta w zniszczone, stare pieluchy i koce, a na dodatek tak ściśle, że sztywne tobołki przypominały mi lalki ze szczapek drewna, jakie robiłam z koleżankami w dzieciństwie; tylko główki pozostawały na wierzchu. Zdecydowanie sprzeciwiałam się naśladowaniu Beduinek. Zawijałam Salwę we frotową pieluchę, na to nakładałam plastikowe majtki z zatrzaskami i elastyczny kombinezon, kładłam ją na brzusek, a sama starałam się być głucha na wszelkie komentarze.

Umm Lafi zamartwiała się tak zwanym złym okiem. „Powinnaś cały czas ją przykrywać” — twierdziła z uporem. Jej dzieci nosiły ręcznie szyte czapeczki ze sztucznej tkaniny z doszytym czarnym welonem, który można było

opuścić, żeby chronić niemowlę przed urokiem, albo podnieść i pokazać, jakie jest piękne. Oczywiście, zależało to od tego, kto był w pobliżu. Ja jednak nie zamierzałam jej naśladować. Nie wierzyłam w przesady.

— Czy ona ma *kibas*? — wszystkie kobiety dopytywały się Umm Lafi. Uważały, że obowiązkiem mojej teściowej jest sprawdzenie, czy wiem, co robię. Większość z nich nosiła przynajmniej jeden złoty lub srebrny pierścionek, a wszystkie ich dzieci miały swój *kibas* (kwadratowy, zielonkawy agat z wygładzonymi krawędziami i nadprzyrodzoną mocą) przymocowany na wierzchu czapeczki albo nanizany na gotowy naszyjnik. Zewsząd zagraża dziecku niebezpieczeństwo, twierdziły. Wtedy pomyślałam, że łatwiej jest powiedzieć: „Ależ tak, oczywiście”, niż tłumaczyć za pomocą mojego skąpego zasobu słów, że nie wierzę w czarodziejską moc. A ponieważ niewiele mnie to kosztowało, przyczepiłam moją złotą obrączkę, srebrny pleciony pierścionek oraz prześliczny *kibas* od Umm Lafi do agrafki i przypięłam do kocyka Salwy. Dla świętego spokoju włożyłam *szabriję* pod poduszkę; dla mojej własnej — wyłącznie symbolicznej — ochrony.

Umm Lafi była już u nas, kiedy znalazłam wysuszoną pępowninę w pieluszce. Nie dała mi jej wyrzucić do śmieci.

— Chyba nie chcesz, żeby została zbieraczem śmieci? Poproszę Lafiego, żeby położył pępek na dachu szkoły. To najlepsze miejsce, wtedy gdy urośnie, pójdzie do szkoły i będzie się dobrze uczyć — wyjaśniała.

Wiele lat później mój młody przyjaciel Harun, który był małym chłopcem, kiedy Salwa przyszła na świat, zwierzył mi się, że kiedyś wlaźł z kolegą na płaski dach szkoły i znaleźli tam zawiniątko z materiału z wysuszonym kawałkiem skóry w środku. Wyrzucili je daleko w zarośla oleandrów. Tak czy siak, nie przeszkodziło to mojej córce w edukacji.

Przyszła Nura i nałożyła *kuhl* na brwi i rzęsy Salwy, żeby były gęste i o ładnym kształcie. Chciałam ją powstrzymać, ale była taka szybka, zręczna i pewna siebie, że nie miałam odwagi.

Nura już taka była — prędką we wszystkim. Chociaż dorastała w namiocie nomadów w Al-Bajda, przeniosła się do miasta, kiedy jej mąż służył w wojsku. Rzuciła się na wszelkiego rodzaju prace. Jej dom był zawsze nieskazitelnie czysty, jogurt śnieżnobiały, bez jednej żółtawej plamki, brudu, czy koziej sierści, jej *szrak* był perfekcyjnie cienki, jak bibułka. Przyrządzała również *szisz barak* (pieróg nadziewany tłuszczem z ogona owcy, gotowanym w jogurcie) oraz *bazinę* (ciasto beduińskie, które smakuje jak makaron zapiekany z serem). Wpadała też do mnie i na mojej maszynie szyła sukienki do szkoły dla swoich córeczek. Była także wspaniałą przyjaciółką służącą pomocą, kiedy trzeba było pojechać do szpitala z małym dzieckiem albo zawiązać pępowinę noworodkowi.

Teraz zmiękczyła zębami wykałaczkę, wetknęła na chwilę w cebulę, żeby ją odkazić i hojnie posypała *kuhlem*. Na szczęście po tym zabiegu Salwa nie oślepla, ale ogromne czarne plamy nie dały się zmyć jeszcze przez wiele tygodni. Nigdy też nie udało mi się sprać śladów z białych koszulek niemowlęcych kupionych za ogromne pieniądze w jakimś nędznym sklepiku w bocznej uliczce Ammanu.

Minęło kilka miesięcy, zanim moje znajome Beduinki zorientowały się, że — mimo ich starań — Salwa wcale nie tyje. Mówiły na to *makbus*[37].

— Co się dzieje z twoją córką? — wypytywały. — Jest za mała. Musi odwiedzać cię ktoś nieczysty. — Chodziło im o kobietę z miesiączką, albo, jeszcze gorzej, o taką, która nie podmyła się po stosunku. — Czy już stosowałaś soczewicę?

Nie za bardzo przejmowałam się komentarzami. Salwa ważyła zaledwie 2,7 kilograma po urodzeniu i chociaż nie kontrolowałam jej wagi regularnie, widziałam jednak, że ładnie się rozwija. Dla mnie wyglądała na coraz większą i coraz częściej kładłam ją na macie, wtedy podnosiła rączki do góry i przewracała się na plecy. Kiedy płakała, dawałam jej possać smoczek, a jeśli byłam bardzo zmęczona, prosiłam jednego z wujków, żeby zabrał ją na spacer.

Znajome Beduinki podały mi najlepszy przepis na lekarstwo dla dziecka *makbus*. Nie wiedziałam, czy z niego skorzystam, ale tak czy siak, nie zawadziło posłuchać. Otóż miałam moczyć brązową soczewicę przez całą noc, a potem w tej wodzie wykąpać dziecko. Hajjaja M. obwiązywała swoje dziecko w świeżą skórę rocznego kozłątka — ale takie metody stosowano tylko w najgorszych przypadkach. Dżidaja przyniosła mi swój naszyjnik: piętnaście kawałków czystego złota, nanizanych na czarny rzemyczek, wart znacznie więcej niż wszystkie nasze dobra razem wzięte.

— Włóż do miski z wodą i postaw na dworze w świetle gwiazd na całą noc. Rankiem użyj gwiazdnej wody do obmycia małej — doradzała mi, wręczając naszyjnik.

— *Szukran* — podziękowałam grzecznie, ale byłam zadowolona, że mam kredens zamykany na klucz, w którym schowałam naszyjnik na parę dni. I tak wystarczająco się martwiłam, że trzymam go w mojej jaskini — a miałam jeszcze nie spać ze strachu przez całą noc, gdybym włożyła go do miski i postawiła pod gwiazdami!

W końcu pomyślałam, że mała nie dojada i zaczęłam ją dokarmiać. W aptece w Ma'an trafiłam na mieszankę Milupy odpowiednią dla dziesięcioletniowych niemowląt, ale wkrótce zaczęłam stopniowo wprowadzać normalne potrawy — zawzięcie siorbała *fattę* i zlizywała kleik ryżowy z moich palców. Jeśli na obiad mieliśmy *mansaf*, rozdrabniałam *sżrak*, moczyłam w szklance słodkiej herbaty i karmiłam ją tym. Była prawdziwym żarłokiem.

Kiedy parę miesięcy później odwiedziliśmy krewnych Muhammada w Ras an-Nakb, Ataiga opowiedziała mojemu mężowi swój sen:

— Twoja żona miała parę drutów do robótek ręcznych, a to znaczy, że będzie miała jeszcze dwóch chłopców. — W języku arabskim druty są przecież rodzaju męskiego.

Kiedy mi to powiedział, odparłam:

— No cóż, mam nadzieję, że teraz urodzę synów. Dziewczynka i dwóch synów, to niezła opcja.

Poczułam ulgę, kiedy przytaknął:

— O tak, niezłe brzmi. — Bałam się, że będzie chciał mieć o wiele więcej dzieci.

Elastyczne godziny

Miałam prawo do czterdziestodniowego urlopu macierzyńskiego po urodzeniu Salwy, ale zdążyłam spędzić w domu zaledwie kilka dni, kiedy szpitalny land-rover podjechał pod naszą jaskinię. Lekarz zabrał Muhammada ze Skarbca, aby się za nim wstawił. Jako osoba odpowiedzialna za każdą pigułkę w ambulatorium mogłam pojechać z nimi i otworzyć jaskinię medyczną albo pozbawić ludzi pomocy na czterdzieści dni. Mężczyźni poczekali, aż ogarnęłam siebie i dziecko i pojechaliśmy.

Taki był koniec moich pielęgniarских, rutynowych obowiązków. Od tamtego dnia ludzie wpadali do nas do domu, kiedy byłam im potrzebna, a we wtorki otwierałam ambulatorium i czekałam w dolinie na przyjazd lekarza. Takie rozwiązanie odpowiadało nam wszystkim. Nie traciłam czasu, czekając bezsensownie na pacjentów, więc nie przeszkadzało mi, że ludzie przychodzą do mnie po poradę. Otrzymywali opiekę medyczną, jaka była im potrzebna: dwa zastrzyki dziennie, jeśli tak zostało

przepisane, świeży opatrunek nawet w piątek i lekarstwa w środku nocy, jeśli apteka szpitalna była akurat zamknięta, a oni mieli receptę oraz samochód gotowy, żeby zawieźć mnie do ambulatorium i przywieźć z powrotem.

Parę miesięcy później wybuchła epidemia odry. Chorym przepisano zastrzyki penicyliny dwa razy dziennie, ale wielu z nich nie było w stanie się poruszać, dlatego chodziłam z wizytami po jaskiniach i namiotach.

Chciałam zapisywać informacje na tabliczce na drzwiach kliniki, ale nie miało to sensu, ponieważ niewiele osób potrafiło czytać. Wiadomość przekazywana z ust do ust niosła się szybciej, więc polegałam na słowie mówionym.

Jaskinie i namioty

Bardzo lubiłam wizyty domowe. Spotykałam różnych ludzi i z ciekawością przyglądałam się, jak urządzają wnętrza, czy to jaskiń, czy też namiotów.

Abu Szahir, ojciec Fatimy, po której nosiłam imię oraz kilku innych gospodarnych dziewcząt, mieszkał w jaskini, która szczególnie mi się podobała. Oprócz ogromnych, oszklonych okien po obu stronach drzwi zazdrościłam im zwłaszcza wykorzystywanego jako dodatkowa powierzchnia mieszkalna podwórka na skale oraz jedwabście gładkiej betonowej podłogi. Muhammad pamiętał jeszcze, jak mieszkał w niej w dzieciństwie, kiedy jego młodzi rodzice dzielili tę pieczarę z trzema innymi rodzinami, z których każda zajmowała inny kąt. Teraz jednak duża rodzina Abu Szahira miała całą jaskinię dla siebie.

Koce i poduszki były nieskazitelnie czyste, a w szafeczkach za szklanymi drzwiczkami leżały haftowane serwetki. Na skalnych ścianach wisiały fotografie w złożonych ramkach: Abu Szahir jako młody człowiek w mundurze Armii Arabskiej, jego młoda rodzina, składająca

się z czworga dzieci (zdjęcie zrobione w atelier fotograficznym, kiedy mieszkali w Ammanie) oraz ogromny portret Jego Wysokości Króla Husajna. Kufry ustawione na stelażu przy ścianie były zawsze starannie zamknięte w obawie przed skorpionami. Jedna para drzwi prowadziła do małej pieczary, w której mieściła się kuchnia z paleniskiem pośrodku. Była tam idealnie zamieciona, kamienna podłoga, drewniane pudła pociemniałe od dymu oraz równie ciemne półki, zastawione błyszczącymi, aluminiowymi naczyniami i glazurowanymi talerzami. W głębi znajdował się kolejny stojak na worki z mąką, cukrem i ryżem. Przystosowali także jeszcze jedną, znacznie większą jaskinię na pomieszczenie gospodarcze. Stały tam ogromne pojemniki na wodę, dwu- i trzykomorowe karmniki dla bydła, wory z ziarnem oraz osioł na postronku.

Latem na płaskiej półce skalnej przed jaskinią rozstawiali porządną namiot z tkaniny z koziej sierści i w nim spędzali ciepłe miesiące.

Letnie namioty z włosia rozstawione na stromych zboczach Petry były idealne. Miały tylną połę lub *riwag* uniesione w górę, wpadał tamtędy lekki wietrzyk, dzięki czemu można było odpocząć w miłym przewiewie i cieniu. Przesiadaliśmy przed namiotem, wpatrując się w migoczące gwiazdy i błyszczący księżyc. Rodziny, które nie znalazły w pobliżu jaskini do przechowywania wody lub do zamykania kóz, korzystały z namiotów w bardzo tradycyjny sposób. Jedną część zajmował *szig*, w którym przyjmowano gości. W dzień przesiadywali w nim mężczyźni, a nocami rozkładali tam farsze starsi chłopcy i dorośli. W środkowej części, czyli *haramie*, mieszkaly i spały kobiety z dziećmi. W ostatniej części trzymano kozy i małe kozłatka; wisiały tam także bukłaki z jogurtem i stały *tanaki* z *saminem*. W Petrze, jeśli nie pojawiał się ktoś z zewnątrz, te podziały

zanikały — kobiety siadały przy swoich mężach, dzieci na kolanach ojców, a kozy włóczyły się wszędzie.

Jesienią, gdy pierwszy wiatr *Szargijja* wiał od strony Pustyni Arabskiej, a my znowu przenieśliśmy posłania do jaskini, obudziłam się rano i zobaczyłam przewracane namioty po drugiej stronie doliny. Wiatr wznosił wielkie chmury piachu i wciskał się w dolinę. Zrywał ciężkie namioty z drążków i zrzucał na mieszkańców i sprzęty domowe.

Kiedy ucichł wiatr, zrobiło się upalnie, a ja zabrałam Salwę na spacer wzdłuż doliny, żeby sprawdzić jak sobie radzą moi teściowie.

— *Al-hamdu li-llah* — odpowiadała Umm Lafi. Nikogo nie zabiły spadające drążki, a ona zapobiegliwie wygasiała palenisko i przykryła otwór *sadżu*.

Parokrotnie słyszałam o namiotach, które spłonęły razem z mieszkańcami. Chociaż *Szargijja* niosła ze sobą lodowaty chłód, to jednak jako wiatr pustynny była przeraźliwie sucha. W namiotach nie było gaśnic ani węży strażackich, a jeśli w zbiornikach brakowało wody, w razie pożaru niewiele można było zrobić. Zaskakiwała mnie sprawność, z jaką pościel, żywność, drewno na opał oraz wszelkie drobiazgi gospodarstwa domowego pakowano na osły pożyczone z całej doliny i pod wieczór rodziny pogorzalców mogły już się ponownie urządzić.

Jak wszyscy wiedzieliśmy, *Szargijja* wiała zaledwie trzy dni, cichnąc popołudniami i rozpętując się na nowo świtem następnego dnia, a zatem Umm Lafi przygotowywała się do ewakuacji. Opuściła namiot, pozostawiając wszystko w niezmiennym stanie i posyłała Inzilę i Lafiego, żeby spod zapadniętej tkaniny wyciągali artykuły pierwszej potrzeby, które wszyscy solidarnie przenosiliśmy do Wadi Mataha do jednej z zajmowanych zimą jaskiń. Pomagaliśmy ugotować kleik ryżowy w *labanie* w takich ilościach, aby wystarczyło dla rodziny z innego wywróconego namiotu i zjadaliśmy go

z dużą ilością *saminu*.

Natomiast życie krewnych Muhammada w Ras an-Nakb było znacznie cięższe. Nie mieli jaskiń, w których mogli się schronić, bądź ukryć kozy i chociaż przenosili się w głąb parowu, gdzie było trochę cieplej, ich namioty musiały być lepiej przygotowane na niepogodę. *Riwag* uszyty z worków chronił namiot z przodu i wiatr nie wciskał się do środka, dodatkowe liny zaś przytrzymywały brezent. Ras an-Nakb znajdowało się na wysokości tysiąca metrów powyżej poziomu morza i czasem zimą padał tam śnieg. Podstawiano więc beczki i puszki pod środkowy rząd drążków, aby namiot miał dwuspadowy dach i śnieg nie zalegał na wierzchu. Tylko wtedy mogłam stać wyprostowana wewnątrz namiotu — a i tak długo nie wytrzymywałam, bo gęsty dym z wysuszonego piołunu palącego się w palenisku unosił się i zbierał pod sufitem.

Niezależnie od tego, czy były to namioty czy jaskinie, lato czy zima, jedna rzecz pozostawała niezmienna.

— *Ahlan wa-sahlan, ug'udi, ug'udi, Umm Salwa*. Witaj, Umm Salwo, siadaj, rozgość się — zapraszano mnie, gdziekolwiek się pojawiałam. Następnie podawano herbatę, a często i jakieś pożywne danie. W Ras an-Nakb, niezależnie jak późno przychodziliśmy, nie mogliśmy wyjść bez *mansafu*. Potem w Petrze wyrzucałam sobie, że nie dość mocno broniłam się rano i kiedy po południu pójde podać drugą dawkę penicyliny, znowu poczęstują mnie przygotowaną specjalnie potrawką z kozy.

Nuha, pani od szczepień

Moim ulubionym zajęciem w przychodni była pomoc przy obowiązkowych szczepieniach. Kiedy kobiety po raz pierwszy zagadnęły mnie o *as-sitt* Umm Zuhajr, nie wiedziałam, co odpowiedzieć, ponieważ nie miałam pojęcia,

o co chodzi. Potem dowiedziałam się, że *sitt* to pełen szacunku tytuł, jaki nadają kobietom (nawet ja bywałam nazywana *as-sitt* Fatima), a *as-sitt* Umm Zuhajr była pielęgniarką od szczepień. Pewnego dnia gdy w ambulatorium robiłam zastrzyki, usłyszałam odgłos podjeżdżającego land-rovera. Nie spodziewałam się lekarza, choć kilka osób cierpliwie na niego czekało.

— *As-sitt dżi't, as-sitt dżi't*, pani przyjechała, pani przyjechała — dobiegł nas podniecony głos dziecka sprzed ambulatorium. Wyszłam na dwór i zobaczyłam garbatą kobietę zsiadającą z miejsca dla pasażera. Powitała wszystkie kobiety szerokim uśmiechem i uścisnęła im dłonie. Miała pulchną, okrągłą twarz, jasną cerę i ciemne, upięte w wysoki kok włosy. Nie nosiła chusty na głowie. Była ubrana w spodnie i biały lekarski fartuch. Na szyi miała krzyżyk na złotym łańcuszku.

Odezwała się do mnie w nieporadnej angielszczyźnie: „Witaj, jestem Nuha”.

Kierowca pomógł wysiąść innej *sitt* siedzącej z tyłu, kobiecie w długim białym fartuchu i chuście. Razem ostrożnie zanieśli przenośną lodówkę z obłożonymi lodem szczepionkami do jaskini-ambulatorium, wyjęli z szafki ten „nieważny” karton z różowymi segregatorami i ustawili swoją objazdową klinikę na moim stole. *Dabair at-tat'imat* ...widniało na grzbiecie, a zatem był to rejestr szczepień obowiązkowych.

Umm Zuhajr była chrześcijanką, niewiele ode mnie starszą, jej rodzina pochodziła bodaj z Bułgarii. Nie sięgała mi nawet do ramienia, ale swoją wielką głowę nosiła wysoko, z nieomylną pewnością siebie osoby kompetentnej i niezawodnej. Była odpowiedzialna za przeprowadzanie obowiązkowych szczepień dziecięcych, należało to do programu opieki nad noworodkami na terenie całej prowincji Ma'an, obejmującej tysiące kilometrów pustyni. Miesiącami objeżdżała wszystkie odległe wioski i

odwiedzała namioty nomadów. Uznałam, że jej imię „Matka Zuhajra” jest zbyt trudne do wymówienia i wolałam nazywać ją Nuha. Po kilku miesiącach dowiedziałam się, że jest niezamężna i spytałam Muhammada, dlaczego nazywają ją Umm Zuhajr, skoro nie ma syna.

Roześmiał się i wyjaśnił:

— Mam nadzieję, że nie zwracałaś się do niej w taki sposób. To znaczy „Matka Pleców”, nazywają ją tak, bo jest garbata. Tak samo jak na Slimana, garbusa, który pracuje ze mną w Skarbcu, mówią Abu Zuhajr. To taki żart.

W ten sposób wzbogaciłam swoje słownictwo.

Kobiety szybko się zleciały, kiedy wieść o przyjeździe *sitt* rozeszła się po wzgórzach, ale większość matek trzymała się z dala od wagi. Nie chciały ważyć swoich pociech i to wcale nie z powodu zardzewiałej tacki, na którą musiały położyć niemowlęta. Odmawiały ze strachu, że ktoś może rzucić zły urok na ich pulchne dzieci.

Nuha wielokrotnie spotkała się z tym przesądem i raczej nie nalegała na ważenie dzieci. Natomiast mówiła:

— *Challini aszufha*[38] — i nakłaniała wszystkie matki do ściągnięcia w ustronnym miejscu za zasłonką pieluch, mokrych lub pełnych pachnących matczynym mlekiem kupek, żeby przynajmniej mogła ocenić wagę dziecka. Niemowlęta owijano szczelnie w kocyki i powijaki nawet podczas upalnego lata. Ale zazwyczaj od pasa w dół były nagie i kiedy podnosiło się je w górę, potrafiły obsusnąć zgromadzonych. Wtedy kobiety śmiały się i mówiły: — To nic takiego, to tylko woda. Niemal wszystkie maluchy pachniały siuszkami i zmuszałam się, żeby je kołysać i całować po zasmarkanej, mokrej od gilów i łez buzi.

— *Ja zakira Allah wa-sa'ifni* — mówiłam wtedy. W języku potocznym oznaczało to: „Niech Allah ma go w swojej opiece”, co uważano za komplement. Chwaliłam dzieci głośno, nawet jeśli uważałam, że są brzydkie.

Jeżeli Nuha podejrzewała, że niemowlęta są niedożywione, kładła je na wadze i na pocieszenie wręczała torbę mleka w proszku. Regularnie besztła matki za używanie *kuhlu*: „To wcale nie sprawi, że rzęsy będą długie i gęste, za to może wywołać stan zapalny”. Wcale jej nie słuchały.

Sprawdzała starannie imiona każdego dziecka, te nadane, po ojcu i po dziadku oraz nazwisko rodowe. Najwięcej było Fatim, Mariam, Salimów i Muhammadów; były to tak popularne imiona, że często musiała sprawdzać nawet pokolenie dziadków, aby odróżnić dzieci. Ustalała datę narodzin za pomocą pytań: czy poród odbył się tydzień po ślubie Alego; po wichurze; przed pierwszym śniegiem; w świętym dniu Id, czy też zanim urodziła Ataima? Wszystkie matki mogły uczestniczyć w rozwiązaniu tego quizu. Im starsze było dziecko, tym trudniejsza stawała się odpowiedź.

Nuha prowadziła własny spis, pomagający przy wypełnianiu różowych kwestionariuszy. Kiedy ja wkłuwałam się w napięte, śniade, pomarszczone pośladki i podawałam różowe krople do nic nie podejrzewających, wilgotnych czerwonych buzi albo starszych, przestraszonych ust z zaciśniętymi zębami, pielęgniarka uzupełniała informacje. Jeśli dziecko miało ponad dziesięć miesięcy podczas swojej pierwszej wizyty, najpierw podawałyśmy szczepionkę na odrę. Jeśli było młodsze, aplikowałyśmy doustnie krople na polio i potrójną szczepionkę. Tę ostatnią należało powtórzyć dwukrotnie w ciągu mniej więcej trzech miesięcy, bo inaczej trzeba było zacząć na nowo cały cykl szczepień. Bardzo często zdarzały się dłuższe przerwy, ponieważ Nuha musiała czekać na służbowe auto, aby dostać się do Petry i jeśli nie przyjeżdżała w wyznaczonym terminie, nie wiedziałyśmy, kiedy się pojawi. Czasami przyjeżdżała w kolejny poniedziałek, a czasem nie. Kobiety zbierały się przez trzy

kolejne poniedziałki, a w czwartki, zniecierpliwione, wracały do swoich zajęć. Nawet jeśli tego dnia przyjechała, Beduinki były już zniechęcone na wiele miesięcy. Oczywiście w takiej sytuacji przydałby się telefon, ale w naszej dolinie nie było aparatów.

Wobec nieregularnych wizyt pielęgniarki oraz sezonowych wędrówek niektórych rodzin nikogo nie dziwiły takie zdarzenia jak na przykład pojawienie się Ghajzy z jej licznym potomstwem. Dzieciaki były śliczne, ale w podartych ciuchach, z oczami ciemnymi jak filiżanka kawy. Liczyły sobie od trzech miesięcy aż do ośmiu lat.

— Przyszliśmy na szczepienia. Już od lat nie były szczepione — oświadczyła i zaczęła przedstawiać swoje stadko, odsłaniając złote zęby w szerokim uśmiechu. Kładła po kolei dzieciom rękę na głowie i wymieniała ich imiona: „To Gasam, a to Gisim, tamta to Gisima, to Basima, a to — powiedziała, podnosząc niemowlę — Basama, ale my mówimy na nią „Babaja”. Mówiła to z dumą i namaszczeniem, a ja musiałam się siłą powstrzymać od chichotu. Nuha miała wtedy sporo kłopotów z ogarnięciem, kto i na co był szczepiony i które ze szczepień musi zostać powtórzone, bo zbyt wiele czasu minęło od ostatniej wizyty.

A ja od tamtej pory starałam się notować datę narodzin każdego dziecka.

Zima u Abdallaha

Zimą otworzyłam drewniane drzwi do naszej jaskini i zobaczyłam snującą się wokół mgłę. Narzuciłam pelerynę, zamknęłam drzwi i pobiegłam ścieżką do naszego wychodka znajdującego się pod wiszącą skałą. Otaczające ją krzewy stwarzały wrażenie intymności i w pogodne dni mogłam dojrzeć ponad nimi *kinę*[39], ale dziś ledwie dostrzegałam ścieżkę. Mgła otuliła świat i przytłumiła

dochodzące z doliny dźwięki.

W jaskini, gdy zamknęłam szczelnie chroniące nas przed zimnem i wilgocią drzwi, było ciemno. Zimą piekłam chleb w piecu. Rozczyniałam i ugniatałam ciasto wieczorami i pozostawiałam na noc do wyrośnięcia. Obkładałam bochenki na tacy kamieniami, żeby miały kształt *tabunów*, tak jak chleb innych kobiet, bo choć mój był smaczny, nigdy jednak nie był tak jasny i chrupiący jak u znajomych Beduinek. Muhammada i Salwę budził rozchodzący się po całej jaskini zapach świeżo pieczonego chleba.

Kiedy Muhammad wychodził, do jaskini wdzierało się lodowate powietrze. Kiedy wracał, opatulał się kocami. Dodawałam liści szaławii do czajniczka dla smaku — i śniadanie gotowe. Skórką gorącego chleba zgarnialiśmy świeże, bielutkie kozie masło i *halawę*[40] zmieszaną z *saminem*, zanurzaliśmy też kawałki w zielonej oliwie i *za'tar*, kwaskowatej mieszance suszonego tymianku i sezamowego ziarna. Muhammad zabawiał Salwę, ściskając koniec foliowanego topionego sera i wyciskając przez małe dziurki długie paski przypominające spaghetti, które ona zlizywała mu z palców.

Muhammad ubierał się ciepło i okręcał *mindil* wokół twarzy. Lubiłam, jak krzyżował rogi chusty nad nosem, obwijał końce wokół głowy i tak upinał, żeby frędzle upchnąć pod *mirrirem*. Widać było wtedy tylko jego iskrzące się oczy i zmarszczki wokół nich. Wychodził sprawdzić, czy nie przyjechali jacyś turyści, a ja odkładałam koce i *farsze* na stelaż, zmywałam naczynia i też szłam na spacer. Salwa była bardzo ruchliwa, więc zamiast bawić się z nią w ciemnej jaskini, zabierałam ją do dziadków. Leżała zadowolona, przeczuwając, że wyjdziemy, kiedy wkładałam ją do *muzfiru* i otulałam kocykiem.

Kobiety śmiały się z zażenowaniem, kiedy robiłam *muzfir* dla Salwy.

— *Anti midinijja* — mówiły. — Przecież jesteś z miasta.

Wyczuwałam w ich słowach przyganę: miastowa nie powinna

włóczyć się z dzieckiem w *muzfirze*.

— *Al-muzfir li-l-Bedu*. *Muzfir* jest dla ciemnych, zacofanych Beduinów.

Dlaczego nie potrafiły zaufać sobie i tradycyjnym zwyczajom? *Muzfir* był przecież idealnym rozwiązaniem w Petrze. Tak Beduinki nosiły swoje dzieci od wieków.

Nie mogłam nosić mojej prześlicznej córeczki na rękach. Zastłaniały mi ścieżkę, a gdybym się potknęła, mogłyby mi wypaść z ramion. Przewracając się, przygniotłabym ją. Zresztą nasze wędrówki po Petrze nie należały do krótkich. Do ambulatorium szłam ponad kwadrans, a spacer do teściów zajmował mi ponad pół godziny. Ręce opadały mi ze zmęczenia już na samą myśl.

Właśnie dlatego uszyłam *muzfir* i teraz wkładałam Salwę do wyłożonego materiałem nosidła. Kiedy związywałam plecione wełniane sznury, przeciągnięte przez rogi, powstawał worek z otworem nad jej twarzą. Sznur, idący przez moje czoło utrzymywał jej ciężar, a Salwa spoczywała w poprzek na wysokości mojego krzyża. Błogosławiłam w duchu dawne metody noszenia dzieci, przykrywałam nas obie pelerynką i wychodziłam z jaskini.

W dole w Fam al-Wadi dostrzegłam pasące się konie, a więc kilku turystów odważyło się przyjechać. Pewnie woleliby, żeby był jasny, słoneczny dzień, ale dla mnie mżawka i mgła nadawała otoczeniu magii. Chociaż mgła trochę już się rozwiała, wokół roztaczały się przesiąknięte wilgocią cisza i spokój.

Rodzina Abdallaha zimą mieszkała w wielkim czarnym grobowcu Nabatejczyków w Wadi Mataha, na północnych zboczach masywu Dżabal al-Chubsa. Miał podłogę ze zbitego piasku, popiołu, obornika i wysuszonego siana, ubitego z czasem i elastycznego jak podłożony gumą

dywanik. Dobrze zachowany portal i równo wycięte w oryginalnej fasadzie okno sprawiały wrażenie bezpiecznego schronienia. Ogromne wnętrze z wieloma niszami grobowymi przypominało garderobę z półkami wyłobionymi w tylnej ścianie. Trudno było ogrzać taką przestrzeń. Bosonogie dzieciaki z rozczochranymi włosami tłoczyły się wokół ogniska. Husajn leżał na podółku Inzili, a Mariam, Nida i Lafi przepychali się przy palenisku.

— *Zihi ghad* — chciały się ogrzać i wetknąć chrust pod czajniczek z herbatą. Tuflih próbowała utrzymać go w równowadze i niemal zrzuciła na ziemię.

Gdy tam dotarliśmy, Abdallah zszedł właśnie do doliny z *szabrijją* i ściął zielony krzew rattanu, będący niemal jego wzrostu. Lafi pomógł mu go przyciągnąć i chociaż krzak ledwie mieścił się w drzwiach, chłopak wrzucił go w całości w ogień. Drzewo zajęło się od razu, a ja położyłam się na materacu, aby uchronić się przed sypiącymi się w górę rozżarzonymi iskrami. Dym snuł się po wszystkich kątach, dzieciarnia z piskiem wypatrywała iskier, próbując je w porę zdusić, żeby nie zaproszyły materaców, ubrań i koców. Ale przynajmniej rozgrzaliśmy się i kiedy wypaliły się zielone pędy, a dym ulotnił, mogliśmy wreszcie spokojnie odetchnąć. Później po południu spadła rześista ulewa i Muhammad przyszedł ze Skarbca przemoczony do suchej nitki. Postanowił już nie wracać do pracy tego dnia — garstka turystów, która błąkała się po Petrze była tak wyziębiona, że wcale nie myślała o kupnie beduińskich sztyletów czy dwudziestu czterech kolorowych slajdów Petry, zrobionych kieszonkowym aparatem Muhammada.

Posadził sobie malutką Mariam na kolanach.

— Jesteś moją siostrą?

— Tak — cmoknęła go w nos.

Umm Lafi zaczęła się z nią droczyć:

— W takim razie nie jesteś moją córeczką?

— Czy jesteś córeczką mamusi? — wypytywał dalej. Przyjrzała się matce spod oka.

— Jestem? — spytała z niepokojem.

— W takim razie nie jesteś moją siostrą! — Zsadził ją z kolan. Przekomarzali się, zaśmiewając się do łez, kiedy biegała od brata do matki, okładając ich malutkimi piąstkami.

Zostaliśmy na obiedzie, a przez ten czas ulewa minęła. Kiedy na niebie pojawił się księżyc, opatuliliśmy Salwę i wróciliśmy do naszej jaskini.

Id al-Adha

Zbliżało się znowu Id al-Adha (Święto Ofiary), a my szykowaliśmy się do rychłego wylotu do Nowej Zelandii.

Pewnej nocy śniło mi się, że Muhammad stoi na wierzchołku skały nad naszą jaskinią i szykuje się do podcięcia gardła Salwie, a ja tymczasem czyszczę wielki gar. Wtedy nasz sąsiad Al-Dżimadi wdrapuje się na szczyt z czarno-białym koziołkiem, uwiązany na postronku i wykrzykuje do Muhammada:

— Wystarczy koźlę.

Nie potrafiłam wtedy interpretować snów ani nie wierzyłam w nie i nawet nie opowiedziałam o tym Muhammadowi. O dziwo, tego samego popołudnia powiedział, że chce, abyśmy w tym roku ofiarowali własne koźlątko. Id al-Adha obchodzono, aby uczcić jagniątko zesłane przez Boga Abrahamowi, żeby nie zabijał swojego syna Ismaila — odwrotnie niż w tradycji chrześcijańskiej, gdzie chodziło o Izaaka. Abdallah stwierdził, że jesteśmy już samodzielną rodziną i złożona przez niego w swoim oraz naszym imieniu ofiara z kozła może w oczach Allaha okazać się za małą.

Wtedy właśnie zrozumiałam mój sen i skwapliwie zgodziłam się z Muhammadem, więc wyszedł poszukać najlepszego zwierzęcia na rzeź.

Do świąt pozostało zaledwie parę dni i obawiałam się, że nie znajdzie nic odpowiedniego. Moje obawy okazały się jednak płonne — wrócił w ciągu kwadransa z biało-czarnym kozłem z mojego snu, którego kupił od naszego sąsiada Al-Dżimadięgo!

W *Id* z samego rana zaprowadziliśmy naszego kozła do Abdallaha i zarżnęliśmy go, zanim jeszcze wzeszło słońce. (Pamiętam jeszcze, jak dziwnie patrzyli na mnie ludzie, których spotykaliśmy po drodze, ponieważ dla nich *Id* zaczynało się dopiero po wschodzie słońca).

O wschodzie słońca, po przyrządzeniu tradycyjnego *szraka*, zaparzeniu herbaty i pokrojeniu mięsa, zaczęliśmy składać sobie życzenia.

- *Mabruk ala-Idak.*
- *Mabruk ala-Idki.*
- *Kullu amin wa-anti bichajr.*
- *Allah jibarak fi-ki.*

Ze wszystkich stron dochodziły serdeczne życzenia i powinszowania.

Przez ostatnią godzinę razem szykowaliśmy się do świąt i wymieniliśmy mnóstwo uścisków, pocałunków, a jednak to, co się działo, przypominało spotkanie po długoletnim rozstaniu.

Wszyscy byli odświętnie ubrani w nowe stroje. Poprzedniego roku, kiedy jeszcze nie miałam małego dziecka i nie musiałam się szykować do wyprawy do Nowej Zelandii, zrobiłam niespodziankę siostrze Muhammada, szyjąc im *mudragi* ze sztucznego jedwabiu, ze srebrnymi haftami na dole i przy dekolcie. Błysk szczęścia w oczach

dziewczynek, kiedy wkładały nowe suknie, sprawił, że mój czas spędzony na szyciu okazał się wart zachodu. Malutka Mariam udowodniła, jak bardzo lubi swoją nową suknię, nosząc ją bez przerwy, póki się nie podarła na strzępy.

Mieliśmy mięsa do syta; włożyliśmy nerki, wątrobę oraz serce w żar ogniska i smakowały jak prosto z grilla. Salim wrzucił udźce do *tabunu*, a kiedy je wyciągnął upieczone, zapach niedzielnych lunchów w Nowej Zelandii wypełnił powietrze, przypominając mi o wyprawach z ojcem do kościoła. Muhammad i Lafi pomogli kobietom nadziać tłuste, długie jelita na patyki i zgrillować. Kozie flaki trzeszczały na ogniu, a resztę mięsa wrzuciliśmy do garnka na *mansaf* i ugotowaliśmy obiad. Lafiemu obiecano głowę — miał rozbić czaszkę, a potem wybrać mózg. Jednak najpierw musiała obejść na *sidrze* mężczyzn, którzy zjedli tylko jęzor i policzki, bo wiedzieli, że resztę przyrzeczono już chłopcu, nie mogącemu się doczekać najlepszych kawałków.

Abdallah wysłał Lafiego i Inzilę, aby zaprosili sąsiadów. Natychmiast przybiegli, chociaż mieli jeszcze własne kozy do zarznięcia i zjedzenia. Wróciliśmy do domu, a wieczorem poszliśmy jeszcze do jaskini Abu Mahmuda, żeby zjeść z nimi kozłą zarzniętą w ofierze na kolację. Prawdę mówiąc, byłam szczęśliwa, że przez kolejne dziewięć miesięcy nie będę jadła żadnego *mansafu*.

Podróż do domu

Wylecieliśmy z Damaszku w tym samym czasie, kiedy jordańskie i syryjskie wojska stanęły naprzeciwko siebie na granicy. Muhammad przekraczając granicę syryjską, otrzymał formularz z wizą wjazdową, która w podejrzanym

sposób zniknęła z jego paszportu na lotnisku. Przypuszczałam, że dokument po prostu przypadkowo wypadł, ale Muhammad uważał inaczej.

— Chcą ode mnie wyciągnąć łapówkę albo gorzej, zamierzają wyprowadzić mnie z równowagi, a wtedy będą mieli na mnie haka.

Całe wieki spędziliśmy w sekcji emigracyjnej. Na szczęście nie spieszyliśmy się, bo o północy złapaliśmy ostatni autobus z miasta, a odlatywaliśmy dopiero o trzeciej w nocy. Muhammad zrobił na mnie wrażenie swoim opanowaniem, ale widziałam, że jest już u kresu wytrzymałości. W końcu pozwolili nam przejść.

W samolocie linii Qantas załoga zachwycała się Salwą. Zdałam sobie wtedy sprawę, że chyba źle wybrałam jej imię. Wymawiali je „Salawa”, albo „Sow-wa”.

— Sal-wa — poprawialiśmy z Muhammadem zgodnym chórem.

Mama czekała już na nas na lotnisku z tatą i moją siostrą Anną oraz całym komitetem powitalnym złożonym z moich przyjaciół z miasta Nelson. Ostrzegłam przedtem Muhammada, że w Nowej Zelandii obowiązują inne zwyczaje niż w Jordanii (inaczej niż w krajach arabskich, można całować kobiety, ale nie mężczyzn), ale później już nie widziałam, co robi, bo łzy przysłoniły mi wzrok. Poczulałam się wzruszona, kiedy zbliżyliśmy się do wybrzeża Nowej Zelandii, a w połowie drogi nad Cieśniną Cooka łzy zaczęły kapać mi z oczu. Muhammad był zdegustowany. Uważał, że płacze się tylko z żalu i rozpacz, a i wtedy nie należy tego robić publicznie. Jednak nie potrafiłam się powstrzymać i płakałam jak bóbr.

— Za dużo wzruszeń, prawda? — mama objęła mnie. Miała rację.

Był ze mną mój mąż i moja córeczka. Byli przy mnie moi

rodzice i przyjaciele, a nade mną niebo, pod którym dorastałam. Dotarliśmy na miejsce.

Zignorowałam szok kulturowy, jakiego mógł doznać Muhammad i odprężyłam się.

Czasami dom zdawał się być bardzo daleko.

— *Kajf Zelandia?* Jaka jest Nowa Zelandia?

— *Fi Bedu zajna ghad?* Czy są tam Beduini tacy jak my?

— *Ba'id Newzlanda? Zaj Masr?* Czy Nowa Zelandia leży daleko? Tak jak Egipt?

Zauważyłam, że trudno jest opisać moją ojczyznę tak, aby Beduini potrafili ją sobie wyobrazić. Wyjaśniłam:

— Do Egiptu leci się tylko godzinę, a do Nowej Zelandii całą dobę.

— *Subhan Allah, al-gisma kajf?* Na Allaha, co za los! — odpowiadali.

Teść nie chciał stracić Muhammada z oczu. Nie tylko on — kobiety wypytywały mnie, dlaczego zabieram męża ze sobą.

— *Wajn idki fih?* Dokąd się wybierasz? — Ostrzegały nas, żebyśmy tam nie jechali. — *La tadchulu ghad.*

Muhammad stwierdził, żebym się nie przejmowała głupim gadaniem; chciał lecieć i był podekscytowany, bo zastanawiał się, czy tam nie zostaniemy. Wiedział, że moje wyjaśnienia ich nie przekonają, a jego krewni i tak uwierzą w to, w co chcą.

Muhammad szybko zaaklimatyzował się w Nowej Zelandii. Dostał pracę przy zbieraniu jabłek i sam nauczył się jeździć na moim starym rowerze. Zważywszy, iż przez całe życie jeździł tylko wierzchem na zwierzętach, które nie przewracały się, kiedy się zatrzymywał, dokonał naprawdę wielkiego wyczynu. Wkrótce jeździł sam do baru Travellers' Rest, gdzie nauczył się grać w bilard.

Ujął wszystkich swoimi manierami; zachowywał się tak, jak go nauczono w rodzinnym namiocie. W pracy nigdy nie zabierał się do swoich kanapek z Vegemite i sałatą, zanim poczęstował wszystkich ze swojej ekipy i dziwił się, jak inni potrafią jeść, nie dzieląc się z kolegami. W Petrze widziałam, jak dzielił lizaka na drobne kawałki i częstował każde spotkane po drodze dziecko, przestrzegając, aby trzymało się z dala od niebezpiecznych rumowisk. Cały czas szlifował angielski. Kiedy skończył się sezon zbierania jabłek i specjalnej odmiany nowozelandzkich jeżyn Boysenberry, pożyczaliśmy samochód od rodziców i wyruszyliśmy na wyprawę na Wyspę Południową. Salwa od pierwszego dnia znienawidziła fotelik samochodowy, a zatem przyjemnie było wynajdować miejsca na biwakowanie. Po dwóch tygodniach Muhammad stwierdził, że widział wystarczająco dużo lasów i nie chce ich więcej oglądać. Podczas naszej podróży nie spotkaliśmy żadnego innego Araba albo muzułmanina.

Muhammad wysyłał listy lotnicze do ojca, do Alego i Alego F. Odpisywali mu natychmiast, przede wszystkim przesyłając mu *salamat*, ale także dzielili się z nim najnowszymi ploteczkami: pierwsze dziecko Alego F. i Rawijji żyło tylko cztery dni; Ali zrezygnował już z wymarzonej beduińskiej żony i zaręczył się z młodą Egipcjanką. Przesłał nam zdjęcie, na którym oboje za wszelką cenę powstrzymują uśmiech (żeby, o zgrozo, nie pokazywać zębów — według Beduinów na porządnej fotografii nie wolno odsłaniać zębów, nawet bardzo pięknych) i wyglądają na śmiertelnie przestraszonych. Natomiast Rachijja w końcu dostała rozwód i poślubiła naszego przyjaciela Salima.

Potem Muhammad dostał pracę w Waitaki Freezing Works w Oamaru przy uboju jagniąt do sprzedaży na rynku *halal*[41] w Iranie. Pracował z kilkoma muzułmanami, choć tylko jeden z nich był Arabem. Budynek rzeźni ustawiono w

stronę Mekki, tak aby mężczyźni dokonujący uboju patrzyli w tamtym kierunku. Niemniej tylko od nich zależało, czy będą czysti i nieskalani grzechem przed przystąpieniem do pracy oraz czy wypowiedzą tradycyjną formułkę „*Bi-smillah, Allahu akbar*”[42] przy podrzynaniu gardeł zwierzęcych (czyli od dwóch do trzech tysięcy razy dziennie). Pracowali, póki były jeszcze jagnięta (owce zabijali zwykli rzeźnicy, ponieważ nie eksportowano ich do Iranu) lub póki związkowcy nie ogłosili strajku. Strajki doprowadzały Muhammada do szału — nudził się w domu i chciał zarabiać, poza tym w czasie strajku nie otrzymywał pieniędzy za przepracowane soboty. Kiedy zranił się w palec, a rekonwalescencja trwała tygodniami, wręczył wymówienie i wróciliśmy do mojego rodzinnego Nelson.

Ja też się nudziłam. Nie licząc pikników, spotkań towarzyskich, wycieczek pieszych i wizyt u rodziny trudno było zapełnić czas. Nie byłam zachwycona tym, że muszę wydzwaniać do przyjaciół, żeby spytać, czy mogę do nich wpaść. Chciałam po prostu odwiedzać ich bez zapowiedzi. W końcu zaczęliśmy doceniać rzeczy, którymi cieszyliśmy się w Jordanii i stwierdziliśmy, że jesteśmy gotowi do powrotu.

Zawiozłam moje stare płyty winylowe do miasta i sprzedawałam je za pięćdziesiąt dolarów, czego do dziś żałuję. Natomiast wcale nie żałuję, że spaliłam w szopie moje spisywane przez sześć lat pamiętniki z czasów dojrzewania. Pamiętam jednak o nich, tak samo jak o moich płytach.

Polecieliśmy do Jordanii, gotowi osiedlić się tam na zawsze.

1981

Nowa podłoga i stary kaganek

Wróciliśmy z Nowej Zelandii pewnego upalnego dnia w połowie 1981 roku. Miałam zamiar stać się od tej pory prawdziwą beduińską żoną, a zatem, zanim wróciliśmy do Petry, włożyłam na siebie *mudragę* i ukryłam włosy pod chustą. Chciałam z powrotem wsiąknąć w otoczenie, z którego się wyrwałam, a teraz przekonałam się, że wygląd jest ważny.

Przysiadłam przy Grobowcu Pałacowym w cieniu namiotu Abdallaha i znowu spotkałam starych przyjaciół i ich nowo narodzone dzieci. Umm Mahmud miała synka, Mariam także, natomiast Sztaja urodziła córeczkę (sama uważałam ją zawsze za wiekową staruszkę, prawdę mówiąc, zaskoczyła nawet samą siebie).

Tamtej nocy Abdallah podał *mansaf*, aby podziękować Allahowi za nasz bezpieczny powrót, a potem zapraszano nas na kolejne *mansafy* na naszą cześć do namiotów w całej dolinie przez kilka kolejnych dni. Rozebraliśmy ścianę, zakrywającą drzwi do naszej jaskini i spośród derek oraz okryć wyciągnęliśmy kulki naftalinowe, które szczęśliwym trafem kupiłam kiedyś w Wadi Musa. Nie znaleźliśmy żadnych skorpionów. Wynieśliśmy sprzęty kuchenne (stół, naczynia, piecyk i pojemnik na wodę) do mojego pokoju i z wyproszonego drutu zrobiliśmy płotek, aby Salwa nie spadła z krawędzi naszej półki skalnej.

Muhammad poznał inny świat. Zawsze był pełen wspaniałych pomysłów, jak ułatwić sobie życie — parę lat

wcześniej skonstruował metalowy stolik z pokrywką na sprzedawane pamiątki tak, aby nie pakować codziennie swojego stoiska. Teraz, zobaczywszy wszystkie wygodne, nowoczesne domy z ogródkami, podwórkami, tarasami i werandami, miał ochotę zmodernizować nasz.

Kiedy przytaczał wory z cementem, żeby wylać posadzkę pod zacieniającym naszą półkę skalną daszkiem zszytym ze starych worków, Abdallah zaczął się niepokoić. Wskazał w stronę Umm Sajhun, gdzie od karczowania i niwelowania terenu pod budowę osiedla unosiły się w górę tumany kurzu i błagał:

— *Ja waladi*, synu, przestań zajmować się cementowymi podłogami, przecież nie zabierzesz ich do *al-wahdat*.

Muhammad chciał ułatwić nam życie, nawet jeśli miałby zainwestować w coś, co zostawimy, kiedy przeprowadzimy się do nowobudowanego osiedla.

Zgodnie z tradycją, Beduini to plemiona koczownicze, nomadowie. Posiadali tylko majątek ruchomy, a wszelkie luksusy i zbytki mogli na ogół zabrać ze sobą. Kobiety obnosiły się dumnie ze swoim złotem, prezentowały ozdobne tatuaże lub błyskały złotymi zębami, natomiast mężczyźni mawiali: „Kiedy Beduin staje się bogaty, kupuje konia, strzelbę albo nową żonę”. Kiedy obserwowali z zazdrością, co mają sąsiedzi, żony przezornie zachęcały ich do kupna koni lub strzelb. W przeciwieństwie do koni i złota, cementowej posadzki nie da się przenieść.

Do pomocy w wylaniu posadzki Muhammad zatrudnił Rawiego, który jak zawsze poszukiwał jakiegoś zajęcia. Powiększyli również podwórko, dorzucając kilka metrów świeżej ziemi na warstwę starej. Na osie przywieźli piasek z *wadi* i kanistry z wodą ze zbiornika znajdującego się poniżej Miejsca Ofiarnego. Przez następne dni mieszały na podwórku wielkie kadzie z cementem i wylewali posadzkę oraz szeroki chodnik, prowadzący z jaskini aż do wejścia do kuchni.

Otrzymane piętnaście metrów kwadratowych podłogi kosztowało nas tylko tyle, co miesięczne jedzenie dla naszego osła, a służyło nam o wiele dłużej. Przeprowadzka do nowego osiedla nie nastąpiła tak szybko, jak wszyscy się spodziewali, a my cieszyliśmy się naszym podwórkiem z cementową posadzką i dającym cień daszkiem jeszcze przez wiele lat. Zresztą znacznie łatwiej było utrzymać porządek.

Ma'rusz z wylaną cementową podłogą stał się naszym letnim domem. Przesiadaliśmy tam całymi dniami i jadaliśmy posiłki. Robiłam tam pranie, mocząc stosy brudnych rzeczy w wielkich blaszanych baliach, *liganach*. Czasem rozkładaliśmy tam na noc posłania. Wraz z nadejściem zimy ściągaliśmy daszek z worków, żeby nie sparciał na wietrze i deszczu, a posadzką cieszyliśmy się w słoneczne dni.

Właśnie siedzieliśmy na niej pewnego popołudnia, kiedy dostrzeżliśmy ojca Muhammada wdrapującego się po zboczu. Jego odwiedziny nie były niczym niezwykłym, ale tym razem nie zatrzymywał się, żeby skrobać powierzchnię piaskowca w poszukiwaniu starych monet, co świadczyło, że przychodzi w jakiejś ważnej sprawie. Z daleka widziałam, że jest ubrany tak jak zwykle, w odzież kryjącą jego figurę i kruchy wygląd, ale nie charakterystyczny krok. Zwykle przemykał się jakby bokiem, dlatego przypominał mi kraba. Na ciepłą koszulę narzucił fioletowy sweter, który własnoręcznie zrobiłam dla niego na drutach. Stara sportowa kurtka miała mnóstwo kieszeni na tytoń, rydel i inne skarby. Miał na sobie czerwony *mindil* i czarne plastikowe buty, wełniane spodnie z demobilu i wojskowy płaszcz.

Kiedy przysiadł się do nas, od razu przystąpił do rzeczy. Spytał Muhammada:

— Co znaczy słowo *ałd*, *ołd*?

— *Old!* — natychmiast wykrzyknęliśmy zgodnym chórem

z Muhammadem i wyjaśniliśmy mu, co to znaczy — *Gadim* (stary).

Błysk zrozumienia rozjaśnił mu twarz.

— Teraz rozumiem — pokiwał z zadumą głową i wyciągnął zawiniątko z kieszeni. Odsupłując węzeł, kręcił głową i wyjął zawartość na rękę — był to stary kaganek oliwny w kolorze brudnoróżowym, nieco poczerniały przy knocie, ale niemal w tak samo idealnym stanie jak wtedy, kiedy go używano.

— Spotkałem turystę na Rzymskiej Drodze i pokazałem mu to cacuszko. Wyglądał na zainteresowanego. Prawdę mówiąc, widać było, że mu się podoba, ale stał się nieufny, kiedy podałem mu cenę. To najpopularniejszy styl Nabatejczyków, dlatego nie zażądałem dużo. Wtedy spytał: czy to jest *old*. Przyglądał się podejrzliwie, więc pomyślałem, że *old* znaczy *kopia* albo *podróbka*. Dlatego zacząłem go zapewniać: „Nie, nie jest stare” — opowiadał rozczarowany Abdallah. Pogładził swoją kozią bródkę i dodał — mogłem podać wyższą cenę, wtedy byłby pewny, że kaganek jest naprawdę stary.

Chociaż to było nielegalne, Beduini sprzedawali wygrzebaną spod piasku ceramikę oraz monety odsłonięte przez wiatr i deszcz. Kiedy zobaczyłam, ile sztuk leżało w pudłach w podziemiach muzeum (dostępne tylko dla osób, które je katalogowały), pomyślałam, że trzeba w jakiś sposób uregulować wykopywanie antycznych przedmiotów i handel nimi. Unikatowe przedmioty odkrywające tajemnice z przeszłości muszą być oczywiście chronione. Władze powinny pozwolić wywozić za granicę rzeczy codziennego użytku, aby rozbudzać zainteresowanie świata Petrą, Nabatejczykami, Beduinami i Jordanią.

Wykopaliska przynosiły z pewnością niebagatelne profity, ale jak się później okazało, wiązały się z niebezpieczeństwem. Grunt był wystarczająco zbity i raczej się nie obsypywał. Jeśli pracowało więcej osób, mogli

wykopać dół o głębokości nawet kilku metrów. Na widok warstwy ceramiki w ścianie reagowali tak jak poszukiwacze złota na widok złotodajnej żyły. Dzieląc się łupami, ściągali *mindile* z głów, wkładali do nich skorupy i nieśli do domu. Bizantyjskie kaganki i naczynia były dość prymitywne, wyglądały jak zrobione przez dzieci. Rzymianie pozostawili solidne dzbany, urny na łązy oraz kaganki oliwne z lekko obscenicznymi motywami. Natomiast po Nabatejczykach zachowały się niewielkich rozmiarów figurki bogiń, koni, talerze, dzbanki — delikatne, kruche i misternie pomalowane.

Pewnego popołudnia siedziałam w domu. Była to wiosna, a może jesień. Słońce przygrzewało silnie, ale powietrze było kryształowo przejrzyste. Miałam wrażenie, że zaraz płuca mi pękną. Umm al-Bijara wznosiła się majestatycznie, a padające na nią cienie ukrywały wszelkie szczegóły. W dole przy *kinie* niosły się jakieś głosy, wkrótce drogą poniżej naszej półki skalnej przejechał szybko land-rover Wydziału do spraw Zabytków, a po kilku minutach przemknął z powrotem. Kiedy zniknął w dali w As-Sik, zobaczyłam na drodze Mufliha i zawołałam go, żeby dowiedzieć się, co się stało.

Okazało się, że męża Basmy odwieziono do szpitala. Prowadził właśnie wykopaliska w obfitującym w stare rzeczy rejonie w pobliżu zamku krzyżowców, nieopodal ich jaskini, kiedy runęły na niego zwały ziemi. Synek, który kopał razem z ojcem, zorientował się, że nie ma szans odgrzebać ojca, zawołał więc Basmę, która natychmiast pobiegła po pomoc w najbliższe miejsce — do Wydziału do spraw Zabytków, gdzie zazwyczaj siedzieli ludzie, dysponujący na dodatek samochodem. Ta stworzona naprędce ekipa ratunkowa odkopła męża Basmy. Muflih opowiadał:

— Sam nie wiem, jak nam się udało — nawet sobie nie wyobrażasz, jaka głęboka była ta jama! To pewnie dzięki

temu, że grunt osypał się na niego, ale nie zagrzebał go całkowicie. Miał kłopoty z oddychaniem, dlatego zabrali go do szpitala.

Przeżył tylko dzięki ofiarnej i szybkiej akcji ratunkowej wszystkich ochotników. Wkrótce zapomniano o całym wydarzeniu.

Samochód i pożyczka

Podczas naszego pobytu w Nowej Zelandii Muhammad nauczył się prowadzić. Zdał egzamin na prawo jazdy pewnego dżdżystego, deszczowego dnia w Oamaru i miał nadzieję, że w przyszłości kupi samochód.

Tuż po naszym powrocie do Petry wyjechał razem z Alim i niebawem powrócił do domu mazdą 929 sedan w metalicznym, niebieskim kolorze, za którą ciągnęły się chmury dymu. Auto było na saudyjskich numerach rejestracyjnych. Pewien Beduin z plemienia Abu Taja al-Huwajtat — które przemierzało pustynię z Lawrencem z Arabii i ciągle jeszcze koczowało na południu, bezustannie przekraczając granicę między Jordanią a Arabią Saudyjską — sprowadził mazdę z sąsiedniego kraju. Ciągle jeszcze pozostało do zapłacenia cło. Nie mogliśmy jeździć samochodem bez uiszczenia opłat, a zatem wyrównaliśmy grunt w jaskini pod nami i trzymaliśmy tam nasze cudo ze skórzaną tapicerką, póki nie udało nam się zdobyć pieniędzy.

Gdy zeszliśmy do *kiny*, aby poprosić Gublana (Toktora) o pożyczkę, wyciągnął mirindę i pepsi z *salladży*, odkręcił zakrętki i powiedział, abyśmy wpadli do niego wieczorem.

Kiedy wdrapywaliśmy się do jaskini Gublana na Az-Zanab, Muhammad wspominał:

— Pamiętam, jak robiliśmy samochodziki z drutu i

puszek po mleku i jeździliśmy nimi po całej dolinie. Wtedy żyła jeszcze moja mama, mieszkaliśmy tu razem z Alim, który był sierotą. Zbieraliśmy puszki w całej okolicy i robiliśmy z nich najdziwniejsze pojazdy.

Widywałam jeszcze niedawno dzieci, które konstruowały takie pojazdy z niewielkiego zwoju drutu i puszek. Potrafiły nimi manewrować za pomocą kierownicy sterczącej na ponadmetrowym drągu.

— Uprzątaliśmy drogę w dół aż do sklepu w pobliżu *kiny* i kiedy Ummy wysyłała nas po zakupy, mogliśmy bawić się naszymi pojazdami.

Rodzina Gublana zimą mieszkała w zakopconej jaskini. Lampa nie rozpraszała ciemności panujących we wszystkich zakamarkach, ale oświetlała oczy dzieciarni tłoczącej się wokół ogniska oraz kartki z notatnika rozrzucone na ziemi, na której zgarbiony chłopiec, oparty na kolanach i łokciach, odrabiał lekcje. Nie zdejmując butów i płaszczy, usiedliśmy wokół ogniska na *džannabijji*, a niedopałki wrzucaliśmy prosto do ogniska. Poczęstowali nas herbatą i zaprosili na kolację (takie zaproszenie odbywało się niemal bez słów), ale było na tyle późno, że przekonaaliśmy ich, że już jedliśmy.

Bachita wyszła na dwór i zniknęła w mrokach nocy. Powróciła niebawem z ośmiuncjową puszką po mleku w proszku Nido. Strzepnęła ziemię z wieczka, a Gublan podał jej *szabriję*, żeby je podważyła. Pyk. Wyciągnęła z puszki owiniętą folią rulon i rozwiązała sznurek. Banknoty dinarów ułożone były kolorami — zielone dwudziestki, niebieskie dziesiątki i dwie czerwone piątki. Pamiętali, ile banknotów mają, ale nie umieli dodać do siebie nominałów. Bachita przekazywała banknoty, jeden po drugim, Gublanowi i wszyscy razem je liczyliśmy. Chłopiec z notatnikiem był w tym wyjątkowo skrupulatny. Gublan następnie odliczył dwadzieścia zielonych banknotów i wręczył je Muhammadowi ze słowami:

— Czteryście dinarów. — Muhammad potwierdził i oboje wypowiedzieliśmy formułkę:

— *Allah jikassir chajrak*. Niech Bóg obdarzy was swoją łaską.

Obiecaliśmy zwrócić dług jak najszybciej.

Pomaszerowaliśmy do domu. Byliśmy szczęśliwi — w kieszeni Muhammada spoczywało jeszcze trochę gotówki i po zapłaceniu cła mogliśmy wreszcie korzystać z naszego samochodu. A jednak nie przestawaliśmy myśleć o pieniądzach zakopanych w puszcze i bosonogich dzieciakach, odrabiających lekcje przy świetle ogniska. Zastanawiałam się nad priorytetami w życiu Gublana.

Samochodem do Chatiba

Odkąd spłaciliśmy obciążenia celne, staliśmy się bardzo zajęci. Nasz samochód był jednym z czterech w dolinie, a ponieważ był czterodrzwiowy, bardzo szybko stał się ulubionym środkiem transportu dla rodzin, które musiały pojechać do lekarza w Wadi Musa, szpitala w Ma'anie, czy ze specjalnymi darami do *chatibów* — *uzdrowicieli* — w *wioskach zasypanych piaskiem od Al-Guwajra aż do Al-Gatrana*.

Każdy *chatib* stawał się na krótko sławny, ale wkrótce znowu znikał w mrokach lokalnych legend, kiedy ludzie, którzy się u niego leczyli, skorzystali z jego rad i albo zostali uleczeni, albo się zawiedli.

Ostatnim i najpopularniejszym ze znachorów był mężczyzna z Ajwanat, niewielkiej osady składającej się z betonowych domów wybudowanych obok pustynnej szosy. Ludzie szukający pomocy przybywali tu z najodleglejszych krańców kraju, od granicy syryjskiej aż po Arabię Saudyjską. Wszystkich witał tak samo uprzejmie i

przyjmował, nawet jeśli pojawiali się bez tradycyjnej kozy czy owcy uwiązanej na pace ciężarówki i przeznaczonej na wieczorny posiłek. Członkowie rodziny *chatiba* przygotowywali posiłek *mansaf* w zbudowanym z betonowych pustaków domu i podawali przy świetle lampy naftowej kobietom siedzącym w jednym pomieszczeniu i mężczyznom w drugim.

Kobiety snuły opowieści i zwierzały się, że innym wiodło się znacznie gorzej niż im. Były tam młode mężatki, które poroniły, dzieci z porażeniem mózgowym i z chorobą Downa (te przypadłości uznawano za spowodowane rzuceniem uroku), żony, które uciekły od mężów oraz ludzie cierpiący na chroniczne przeziębienie lub uporczywy kaszel. Po kolacji *chatib* — zwykły mężczyzna o przeciętnym wyglądzie, w spodniach z demobilu oraz w znoszonym wełnianym płaszczu w jodełkę — wchodził do pokoju. Czekające na swoją kolej chore kładły się wtedy na podłodze, aby mógł na nich stanąć, splunąć i je uzdrowić „*In sha’a Allah*”. Mężczyźni — impotenci, bezpłodni czy też tacy, którzy płodzili same córki — poddawani byli podobnym zabiegom w *szigu*. Z reguły nie było to pierwsze miejsce, w którym szukano pomocy. Rzadko uciekano się wyłącznie do tradycyjnej medycyny. Jednocześnie stosowane były różne sposoby leczenia, a zatem trudno było ocenić, czy chorym pomagały zastrzyki z antybiotyków, które ja im podawałam, czy też plwociny męczyzny w płaszczu w jodełkę.

Byli także inni uzdrowiciele, *chatibowie*, zajmujący się drobniejszymi dolegliwościami i to nie tylko natury cielesnej. Dowiedziałam się o tym, gdy moja teściowa sporządziła gorzki *samin*.

Kiedy polać nim *fattę*, wszyscy narzekaliśmy, że jest gorzki. Nawet ja wyczułam dziwny, lekko ziemisty smak, tylko nie umiałam jeszcze tego powiedzieć. To była jej pierwsza porcja *saminu* w tym sezonie. Zauważyła, że ma

dziwny smak, kiedy ucierała masło, ale miała nadzieję, że minie, gdy będzie go klarować. Roztopiła masło, aż zaczęło pyrkotać i dodała mąki, aby oddzielić osad, oraz ziół dla uzyskania charakterystycznego jasnożółtego koloru. Ale smak nie zniknął, kiedy oblizywała palec po czyszczeniu resztek z patelni. Wlała sos z powrotem i dodała więcej ziół. Niewiele to jednak pomogło. Pomyślała wtedy, że na pewno ktoś rzucił urok, ktoś, kto spojrział zazdrosnym okiem. Domyślała się nawet, kto.

Si'ny — skórzane bukłaki, w których przechowywała mleko, były świeżo wyprawione. Oczyszczyła je własnoręcznie w minione lato, kiedy przekonała *niszama* ubijających kozy na wesele, aby nie rozcinali skór, tylko ściągnęli je z zabitych sztuk. Pozostały tylko otwory w miejscach ogonów, kończyn i oczywiście łba. Potem wybrała się do Bir ad-Dubaghat (prawdziwej kopalni złota dla zbieraczy taniny[43]) na wzgórzach nad Al-Bajda, gdzie przez kilka dni wraz ze swoją siostrą dokopywały się do korzeni ciernistych dębów i zeskrobała z nich bogatą w taninę korę, *dubagh*. Wróciła do domu dopiero z worem pełnym kory, a po wyprawieniu swoich skór resztę taniny sprzedała kobietom w dolinie, odmierzając ją miarką z oleju roślinnego Al-Ghazal. Oczyszczyła skóry z sierści, szykując je do garbowania. Potem tygodniami leżały w *liganie*, w wodzie zabarwionej przez *dubagh*, przykryte kamieniami, które przytrzymały je pod wodą. W końcu Umm Lafi zaszyła otwory, ściągając brzegi i związując je skrawkami starych skór. Pozostawiła tylko otwór szyi do wlewania jogurtu.

Zastanawiałam się, czy ten dziwny smak nie pochodzi czasem od *dubaghu*, może nie została dokładnie wypłukana, ale Umm Lafi stwierdziła:

— Nie, to złe oko. Mogłam temu zapobiec, nie ubijając masła tak wcześnie. Powinnam była odciąć kawałek *mudragi* Flany, kiedy widziałam, jak wpatruje się z

zazdrością w nasze tłuste owce, nie wymawiając przy tym imienia Allaha. Potem powinnam to spalić i wtedy jej zawiść straciłaby moc.

Fatta była naszym jedynym posiłkiem, a zatem wmówiliśmy sobie, że nie jest taka najgorsza i zjedliśmy trochę. Następnego dnia zaintrygowana pojechałam razem z Umm Lafi i Muhammadem do Hmada, miejscowego *chatiba* od drobniejszych spraw, który mieszkał w Wadi Musa. Podjechaliśmy pod drzwi domu ocienionego wielkim figowcem. Zwabiony warkotem samochodu Hmad wyszedł i zaprosił nas do środka. Zobaczyliśmy dwa pokoje i kuchnię z ciemnym otworem okiennym oraz tkaniną zawieszoną w drzwiach wychodzących na zagracone, piaszczyste podwórko. Hmad poprosił żonę, aby zaparzyła herbatę, a tymczasem zaprosił nas do pokoju gościnnego. Zdjęliśmy buty, przeszliśmy nad rzędem szklanych popielniczek i usiedliśmy na rozłożonych przy ścianie materacach. Hmad nie tracił czasu. Wyciągnął kilka aluminiowych grudek i zakreślił nimi kręgi wokół głowy Umm Lafi, a potem przeszedł podwórkiem do kuchni. Herbaty ciągle jeszcze nie podano, lecz wkrótce zjawił się gospodarz z gotową odpowiedzią. Wrzucone w ognisko bryłki aluminium zaczęły się topić, powstawały na nich pęcherze i bąble. Wreszcie Hmad zdecydował, że są już wystarczająco stopione, wyjął je z ognia i zaczął interpretować ich kształt.

— *Al-muszkila min al-ard, misz an-nas* — oświadczył — Kłopot pochodzi z ziemi, a nie od ludzi.

W ten sposób wyeliminował teorię Umm Lafi i przeszedł do nakreślenia planu działania:

— Rozpal kadzidło nad bukłakami i przenieś je w inny kąt jaskini. Urok musi pochodzić z dawnych czasów.

Zapisał drobnymi zawijasami na skrawku papieru kilka wersetów ze Świętego Koranu i położył go na kawałku cyny nie większym od dużej monety. Zagiął brzegi *hidżabu*[44] parą szczyptic i rozpłaszczył amulet na cementowym

schodku. Umm Lafi zapłaciła Hmadowi kilkoma kulkami jogurtu, a kiedy wróciła do domu, obszyła materiałem *hidżab* i zawiesiła go na szyi.

Wkrótce jej *samin* i *laban* były znowu wyśmienite. Pomyślała, że klątwa została odczyniona albo duchy ziemi uspokoiły się. Ja natomiast uznałam, że skórzane bukłaki przepuściły przez siebie dużo tłustego mleka, które wypłukało pozostałości *dubaghu*. Niezależnie od przyczyny, my zajadaliśmy się wspaniałą *fattą* zanurzaną w wybornym *saminie*.

W środku nocy w drodze do Ma'anu

To ja prowadziłam samochód, kiedy któraś z miejscowych kobiet zaczynała rodzić. Nagłe łomotanie do drzwi albo natarczywe nawoływanie przy furtce budziło nas czasem w środku nocy. (Ryglowaliśmy furtki na ścieżki prowadzące na półkę skalną, żeby Salwa — a także rośliny rosnące z tyłu naszego *ma'ruszu* — były bezpieczne.) Narzucałam *mudragę* na koszulę nocną, zawiązywałam chustę na głowie i wyprowadzałam samochód z jaskini na dole. Zabierałam liczną gromadkę z jaskini lub z najbliższej dróżki i prowadząc ostrożnie auto kamienistą drogą, wyjeżdżałam z wąwozu As-Sik. Przemykające po bokach światła reflektorów wydobywały z ciemności płaskorzeźby w kształcie obelisków wyrzeźbione wśród skalnych załamów, jasne pnie figowców wczepionych w szczeliny skał i sterty kostki brukowej.

(Prostokątne obeliski zostały wyciosane w czasach Nabatejczyków i przedstawiały ich bogów). Przesycony dymem zapach koziej sierści, jaki dochodził od teściowych i mężów, walczył o prymat z wonią świeżo wykąpanych kobiet. Zawsze się kąpały, kiedy były pewne, że zaczyna się poród, ponieważ w ten sposób mogły obyć się przez kilka

tygodni po porodzie bez kontaktu z wodą, która mogła powodować infekcje. Czasami jechaliśmy tylko do Wadi Musa do akuszerki, ale w miarę upływu lat, kiedy doceniono rolę inkubatorów i cięć cesarskich, coraz częściej jeździliśmy do Ma'anu.

W Ma'anie czekaliśmy na korytarzu szpitala. Kiedy siostra Naifa wychodziła do nas i pytała o ubranka dla niemowlęcia, wiedzieliśmy, że dziecko jest zdrowe.

Wtedy pytaliśmy: „Czy matka dobrze się czuje?“, ale nigdy: „Czy to chłopiec czy dziewczynka?“, chociaż pragnęliśmy, aby to powiedziała. Trzymała nas jednak w niepewności.

Często krewni rodzącej nie mieli ze sobą ubranek dla dziecka, wtedy pielęgniarka stała z rękami na biodrach i niedowierzającą miną tak długo, póki świeżo upieczona babcia nie ściągnęła z głowy kwiecistej chusty albo nie zdjęła wyświechtanego swetra. Zbyt często byłam świadkiem takiej sceny, aby nie wiedzieć, że Naifa rozkleja się w tym momencie. Być może przypominała sobie własną, dobroduszną babcię. Jednak jej pełne dezaprobaty posykiwanie, z którym odchodziła opatulić kruszynkę, mówiło rodzinie, aby następnym razem lepiej się przygotowała na przyjście na świat noworodka.

Nazajutrz albo jeszcze tego samego dnia wieczorem, jeśli przywieźliśmy rodzącą wcześniej rano, wracaliśmy do szpitala, żeby zabrać matkę z dzieckiem do domu. Tym razem Salwa już nie spała i płakała:

— *Widi aruh ma'aki, Jum.* Chcę jechać z tobą, mamusiu — prosiła. Wtedy pasażerowie nalegali, żeby ją zabrać, mówili, że jest jeszcze mnóstwo miejsca i brali ją na kolana. Nigdy nie mieliśmy fotelika dla dziecka, nikt z nas nie używał też pasów bezpieczeństwa dla dorosłych.

Lekarz kończył codzienny obchód i wypisywał młode matki do domu, a szpitalny księgowy dostawał kopię Królewskiego Dekretu dotyczącego bezpłatnej opieki

lekarskiej. Większość matek wracała do swojej jaskini czy namiotu już kilka godzin po porodzie.

Babki wnosiły niemowlęta ze szpitala otulone *abami*, a młode matki wsuwały się na rozłożone na tylnym siedzeniu prześcieradło. Mężowie natomiast nalegali, żebyśmy wszyscy jechali do restauracji Abdu na śniadanie złożone z połówki pieczonego kurczaka albo smażonej owczej wątróbki z hummusem. Inni z kolei kupowali combry jagnięce, które wisiały przed sklepem rzeźnika, byli także i tacy, którzy zamawiali drób u rzeźników i nabywali taką ilość kurczaków, żeby starczyło na *mansaf* w domu. Zdarzały się babki, które nalegały, aby zatrzymać się przed sklepem Amraniego i kupić wyciąg z kozieradki, który ponoć przywraca macicy dawny kształt, oraz nasiona rzeżuchy, które położone na czubku sutka u karmiącej matki miały przynosić ulgę w zaparciach u ich niemowląt. Młode matki prosiły mężów, aby kupili dla nas wszystkich zimne *manga* — puszki z nektarem owocowym, słodki i sycący napój na drogę powrotną do domu.

Kiedy już byłam z powrotem w domu z przyjętym zaproszeniem na obiad, miałam siłę tylko wyciągnąć się na *ma'ruszu* i podziwiać otaczające mnie góry. Jednak świeżo wyspana Salwa potrzebowała nadzoru, a zazwyczaj czekała na mnie również góra naczyń do zmywania albo woda do nabrania, a dodatkowo musiałam zrobić jeszcze jakiś zastrzyk lub zmienić opatrunek.

Wypadki się zdarzają (I)

O nie, pomyślałam, zobaczywszy Ataimę z wnuczką na biodrze. Co znowu jej zrobili? Ewidentnie nie była to wizyta towarzyska — kobieta miała zawiązaną na głowie prostą, codzienną, czarną *asabę* i nosiła znoszoną *mudragę* bez haftów i ozdób. Dwuletnia dziewczynka była w podartej

sukience. Oderwałam się od zmywania i otwierając furtkę, dostrzegłam, że Basma mnie poznała, krzyknęła i wyciągnęła rączki obronnym gestem. Wtedy od razu zauważyłam na jej prawym ramieniu miejsce pokryte przecierem pomidorowym. To była odpowiedź na moje pytanie: znowu poparzenie.

Ataima postawiła dziecko na cementowej posadzce, usiłowała przekrzyczeć płacz i krzyki dziecka. Zamiast je uspokoić, próbowała sama się bronić:

— Właśnie gotowałam kalafiory dla dzieci na obiad. Basma wbiegła i wywaliła wszystko: prymus, patelnię, rozgrzany olej i jedzenie. Dobrze wiesz, jaka jest jej matka, a ta mała nie usiedzi spokojnie. Na szczęście w pobliżu nie było innych dzieci — popatrz, nawet na mnie kapnęło! — dodała i zrozpaczona usiadła na macie, pocierając ramię.

Postawiłam czajnik z herbatą na gazie, z głębi jaskini przyniosłam pudło z bandażami i przykucnęłam przed nimi, lejąc płyn fizjologiczny do metalowej nerki. Płacz przybrał na sile. Drobniutką, spiczastą buzię Basmy pokrywały ślady kurzu i łez, Ataima wycierała ją skrajem *asaby*.

— Powinniście bardziej na nią uważać — beształam babkę. — Spójrz tylko na jej nóżkę.

Przecinała ją czerwona, szkaradna szrama biegnąca od kostki aż po udo. Ledwie kilka tygodni wcześniej mała poparzyła się gorącą herbatą.

— I tyle razy wam powtarzałam, żebyście nie kładli przecieru pomidorowego na oparzenia. Teraz, kiedy będę dezynfekowała chore miejsce, będzie jeszcze bardziej boleć. Nic dziwnego, że mała się mnie boi. A teraz przytrzymaj jej rączki.

Ataima trzymała małą na kolanach.

Dlaczego nie potrafili się tego nauczyć? — Zastanawiałam się, zmywając przecier. Na szczęście jeszcze nie zasechł. Na dodatek nóżkę posmarowali pastą

do zębów i teraz wyglądała jak pokryta świeżym tynkiem!

Biedna Basma. Zszedł jej kawałek skóry.

— *Smallah, smallah* — uspokajała małą Ataima. Basma powoli przestawała płakać, a ja nakładałam opatrunek z tłustą maścią parafinową, a potem starannie bandażowałam.

Nie lubiłam przykrywać oparzeń, ale moi pacjenci mieszkali w namiotach z koziej sierści z piaszczystym podłożem i ciężko byłoby utrzymać ranę małej Basmy w czystości. Musiałam za wszelką cenę uchronić ją przed zakażeniem, nawet gdyby zmiana bandażu była tak samo bolesna, jak czyszczenie z przecieru pomidorowego.

Przy szklance herbaty po raz kolejny pouczyłam babkę małej, co ma robić. Miałam nadzieję, że tym razem moje słowa zapadną jej w pamięć.

— Przyrowadź ją za dwa dni do kontroli. Staraj się trzymać z dala od piasku, a jeśli bandaż spadnie, przyjdź z nią natychmiast. Gdybyś jednak postanowiła jej nie przyprowadzać, nie pozwól nikomu smarować oparzonego miejsca jakimiś dziwnymi pastami albo przecierem pomidorowym.

Po co darować, skoro można sprzedać...

Pewnej nocy Muhammad zawiózł jedną ze znanych nam Fatim z bólami porodowymi do Ma'anu. Lekarze zdecydowali się na cesarskie cięcie. Położnica potrzebowała transfuzji krwi. Muhammad wrócił do Petry po braci, kuzynów i innych chętnych (wszystkich rodzaju męskiego), którzy byli skłonni oddać krew. Niestety, żaden z nich nie miał takiej samej grupy i czynnika Rh, dlatego Muhammad razem z jednym z krewnych kobiety wyruszył do Ammanu w poszukiwaniu dawcy. Bank krwi również nie

posiadał potrzebnego typu. Ludzie z ujemnym czynnikiem Rh nie oddawali krwi — zamiast tego spędzali czas w kafejkach w centrum miasta i w razie potrzeby handlowali tą życiodajną substancją. Na szczęście kuzyn kobiety miał dużo pieniędzy, bo oprócz opłacenia dwóch mężczyzn z tą samą grupą krwi i czynnikiem Rh, opłacił jeszcze lekarza w Dżarasz (miejscowości położonej 60 kilometrów na północ od Ammanu), który pobrał od nich krew. Kupił również podręczną lodówkę, aby przewieźć ją bezpiecznie do Ma'anu.

W szpitalu ponownie sprawdzono grupę oraz czynnik i przeprowadzono transfuzję. Podejrzewałam, że może lekarze mieli jakąś ilość krwi w zapasie, sprawdzoną i oczyszczoną, a ta przywieziona przez Muhammada po dokonaniu koniecznych analiz miała uzupełnić rezerwy. Tak czy siak, wszystko poszło dobrze, bo Fatima i jej mąż pomimo ostrzeżeń lekarzy dochowali się licznej gromadki dzieci — w sumie trzynaściorga.

1982

Krewni i przeróbki w domu

Długo nie odwiedzał mnie nikt z mojej rodziny. Moi bracia Ted i John najpierw studiowali, a potem pracowali, a siostra Anna była jeszcze w szkole. Mama z tatą nie zamierzali opuszczać wybranej ojczyzny. Kiedy John ze swoją żoną Cathie polecili do Europy, my właśnie wybraliśmy się do Nowej Zelandii. W tym samym czasie Ted także wyjechał z Nowej Zelandii i przemierzył całą Europę od ZSRR aż do Holandii, gdzie dotarł w tak ciężką zimę, że nawet Holendrzy startujący w Wyścigu Jedenastu Miast[45] uznali ją za mroźną. Wrócił potem prosto do domu.

Ted był właśnie w porcie w Yokohamie. Czekał tam na prom, którym miał popłynąć na kontynent, gdzie chciał wsiąść do pociągu na trasie transsyberyjskiej. Zabijał czas pogawędkami z innymi pasażerami. W pewnej chwili rozmowa zeszała na Bliski Wschód.

— Najciekawszym miejscem jest Petra. Musisz ją zobaczyć — powiedziała jedna z dziewcząt.

— Właśnie zamierzam to zrobić. Moja siostra tam mieszka, wyszła za mąż za Beduina.

— Niesamowite! Byłam u nich. Mieszkają w jaskini, prawda? Muhammad i Marguerite! Wreszcie mieli przyjechać do nas John i Cathie. Na tę okoliczność Muhammad postanowił skonstruować prysznic. Do tej pory, kiedy chcieliśmy się wykąpać, grzaliśmy wodę w metalowym rondlu, zamykaliśmy drzwi do jaskini i

zasłaniaaliśmy okna dla zapewnienia sobie większej prywatności, a potem kucaliśmy w wielkiej, okrągłej balii i polewaliśmy siebie wodą. Szorowaliśmy się dokładnie gąbką roślinną z truckwy (gąbczaka). Kilkoma kwartami ciepłej wody zmywaliśmy mydło. Najtrudniejszą częścią tej operacji było wyniesienie *ligana* przez drzwi i wylanie wody na podwórku.

Uważałam, że nasi goście dadzą sobie radę. Gdyby zależało im na prysznicu, nigdy by nie przyjechali, mówiłam, ale Muhammad się uparł.

Zabrał się dziarsko do roboty, jakby przez całe życie był zawodowym konstruktorem pryszniców. Przyciął rurę zgodnie ze swoimi wyliczeniami, kupił w Wadi Musa sitko do prysznicza i zawór odcinający dopływ wody, postawił czterdziestogalonowy zbiornik na skale nad kuchnią i przeprowadził rurę po ścianie, a potem przez dach. Za drzwiami kuchennymi wybudował cementowy brodzik i wykopał dziurę do odprowadzania wody. Osłonił rurę deskami i przysypał ją ziemią. Powiesił nawet prawdziwą zasłonę prysznicową, żeby zapewnić biorącym kąpiel prywatność, a także po to, by nie chlapać wodą po całej kuchni. Opróżniliśmy kilka kanistrów wody, żeby sprawdzić, jak działa i stwierdziliśmy, że instalacja wodociągowa jest idealna, chociaż woda w zbiorniku musiała nagrzewać się przez cały dzień, żeby osiągnąć temperaturę odpowiednią do kąpieli.

Kiedy dotarł do nas telegram z zapowiedzią wizyty rodziców, minęła właśnie połowa pobytu Johna i Cathie w Petrze. Poczulałam się wtedy szczęśliwa, że jednak zainstalowaliśmy prysznic. Nikt z nas nie wyobrażał sobie, że mama z tatą kiedykolwiek opuszczą Nową Zelandię, a jednak zgodnie z telegramem mieli do nas przyjechać w następnym tygodniu. Kąpiel w cebrzyku z pewnością nie byłaby dla nich wymarzonym przeżyciem. Trochę ciężko było napełniać zbiornik, ale tata uwielbiał wędrówki do

źródła i to stało się jego głównym zajęciem w czasie pobytu u nas.

Mama i tata spędzili w Petrze dziesięć dni. Do ich wizyty Beduini nie mogli uwierzyć, że mam rodzinę.

— Czy oni nie chcą cię odwiedzić? Czy są może za starzy? — wypytywali. Nie mogli zrozumieć, że to daleko i podróż jest kosztowna. Teraz, kiedy pokazywałam rodzicom Petrę, przedstawiałam ich wszystkim znajomym Beduinom. Kobiety podchodziły do nas i ścisnęły im dłonie.

— *Haza abuki? Hazi ummki?* Czy to twój ojciec? To twoja mama? — upewniały się na wszelki wypadek.

Potem całowały ich — krótko ostrzyżona fryzura mamy potrafiła je zmylić, w przeciwnym razie zostałyby wycelowane w oba policzki. Zapraszały nas na herbatę i poczęstunek. Wpatrywały się badawczo, próbując znaleźć podobieństwa.

Wyglądało na to, że wszyscy pragną ugościć moich rodziców. Był właśnie okres ramadanu, a zatem zapraszano nas na *futrę* (albo na *iftar*, jak nazywają to współcześni Arabowie), to znaczy pierwszy wieczorny posiłek, który przerywa post. Poszliśmy do Umm Ulajdijji, gdzie mieszkał teraz Ali ze swoją pełną radości żoną, tą ze smętnej, pozbawionej uśmiechu fotografii. Chodziliśmy do Grobowca Pałacowego, gdzie namiot Abdallaha wypełniały wieczorne podmuchy wiatru; do Az-Zanab, gdzie Mariam musiała dzielić jaskinię i męża Salama z jego nową egipską żoną, i do Dachilallaha w Klasztorze. Wypoczywaliśmy tam na *farszach* z przepięknym zabytkiem widniejącym w górze jak tło wymalowane w atelier fotografa. Klasztor był moim ulubionym miejscem w Petrze, wielki, pełen spokoju i położony na uboczu.

Tata został kompletnie zawłaszczony przez Salama i Aliego, którzy wpadali, żeby pograć z nim lub z Johnem w *szisz bisz*, oraz przez Abdallaha, który zauważył, że tata pojął zasady gry w *sidżę*. *Sidża* to gra przypominająca

warcaby, w którą można grać wszędzie, gdzie da się narysować planszę na ziemi. Potrzebne są dwadzieścia cztery pionki i ich rolę mogą pełnić rozmaite rzeczy, występujące obficie w danym miejscu — najczęściej to kamienie, kapsle od pepsi-coli lub też twarde, wyschnięte bobki wielbłąda czy kozy. Tata bardzo często wygrywał, ale jego największym zwycięstwem, jeszcze przed rozpoczęciem gry, było nieuczestniczenie w zbieraniu kozich bobków.

Mama jeszcze w Holandii była namiętną obserwatorką życia ptaków w ich naturalnym środowisku, w buszu Nowej Zelandii zaś stała się domorosłą ornitolożką i przyrodniczką. W Petrze nosiła ze sobą notatnik i zapisywała rośliny oraz ptaki, które udało jej się rozpoznać. Opisywała też te, których nie umiała zidentyfikować, na przykład wielkie, czarne ptaki przesiadujące na skałach nad teatrem, które opadały gwałtownym lotem, żeby zebrać okruchy pozostawione po drugim śniadaniu wycieczek szkolnych. Zastanawiała się, czy są to wrony, kruki czy gawrony. Po powrocie do domu, kiedy sprawdziła w swoich grubych atlasach ornitologicznych, też nie była mądrzejsza. Wyczytała, że na wzgórzach Jordanii zamieszkują zarówno wrony, jak i kruki oraz gawrony.

Kiedy schodziliśmy do źródła, niebieska agama synajska wygrzewała się na schodach obok Miejsca Ofiarnego, mnóstwo zwykłych posykujących jaszczurek przemykało ścieżkami, a przypominające węże, zielone lub pomarańczowe salamandry wślizgiwały się między krzewy oleandrów. Gdy rankiem zbieraliśmy posłania z podwórka, natrafiliśmy na kilka skorpionów, ale na szczęście nigdy nie natknęliśmy się na węża.

Ubikacja stała się bardziej ustronna i wygodna — choć ciągle jeszcze trzeba było kucać — kiedy dobudowaliśmy ściany i przykryliśmy dziurę deską sedesową. Miałam zawsze pod ręką papier toaletowy. Ubikacja była więc w

porządku, prysznic także. Przez całe lata sprzeciwiałam się ulepszeniom domowym Muhammada oraz jego nowym pomysłom na intratny interes, ale zazwyczaj nadchodził taki dzień, że przyznawałam mu rację.

Samochód również był wspaniałym pomysłem, chociaż nie mogliśmy się w nim zmieścić wszyscy naraz. Pewnego dnia Muhammad zabrał moją rodzinę do Akaby na rybę z grilla w restauracji Samaka oraz na przejażdżkę po morzu łódką ze szklanym dnem. Miał wtedy duże trudności z przekonaniem policjanta z punktu kontrolnego, że to naprawdę są jego teściowie i wcale nie prowadzi nielegalnego interesu, wożąc prywatnym samochodem turystów dla zysku. Mnie także zatrzymali, kiedy wizyta moich rodziców dobiegła końca i odwoziłam ich z powrotem na lotnisko, ale wszyscy pokazaliśmy paszporty i z szerokimi uśmiechami i ukłonami życzo nam miłego pobytu w Jordanii.

Turyści z plecakami z Nowej Zelandii

Pewnego wieczoru Muhammad wrócił do domu z pracy uśmiechnięty od ucha do ucha i kiedy streszczał wypadki dnia, wyobrażałam sobie następującą scenę:

Stracił pracę w Skarbcu. Rywalizacja między sprzedawcami i jego świeżo zdobyta — od naszego pobytu w Nowej Zelandii — świadomość, jak należy robić interesy, sprawiły, że postanowił stanąć na własnych nogach. Dlatego też przeniósł swój kram naprzeciwko teatru i rozstawił stolik na wprost otwartej jaskini z czerwonego piaskowca. Przez kolejne lata rozwinął biznes i otworzył kafejkę, ale wtedy miał tylko rozkładany stół i wyobrażałam sobie, jak leży w jego cieniu, patrząc pomiędzy nogami stołu na zakurzoną drogę.

Jeźdźcy przejeżdżający konno od czasu do czasu

pokrzykiwali „*Guwwak*”, co w miejscowym dialekcie znaczy „Bądź silny”. Wiedzieli, że tam jest, chociaż go nie widzieli.

— *Allah guwwik, tafaddalu* — odpowiadał. — Bóg doda wam siły, chodźcie.

Zobaczył czterech turystów nadchodzących drogą i podniósł się leniwie. Ustawił się za metalowym stolikiem i zachęcił ich, żeby podeszli bliżej. Włosy wypalony słońcem, wystrzępione spodnie, koszule z bawełny indyjskiej i skórzane sandały: *imgatajin*, stwierdził. Da się z nimi pogadać, ale żadnego interesu na nich nie robi. Mimo to starał się myśleć optymistycznie.

Imgatajin pochodzą, domyśliłam się, od słowa *imgataj turug*, które oznacza człowieka drogi, a zatem chodzi o autostopowicza albo kogoś, kto nie ma stałego miejsca pobytu.

Dziewczyny o opalonych na brąz nogach zatrzymały się obok stolika. Nosiły bransoletki plecione ze sznureczków, a jedna z nich miała plecak z demobilu, taki sam jak ja, kiedy pierwszy raz przyjechałam do Petry. Chłopcy skierowali się w stronę bramy i zniknęli w teatrze.

— Skąd jesteście? — Muhammad nawiązał rozmowę, zakładając z góry, że są albo „Kiwi” z Nowej Zelandii, albo „Aussie” z Australii.

Popatrzyły na siebie, znudzone tym wielokrotnie słyszonym pytaniem, ale w końcu odpowiedziały: „Z Nowej Zelandii”, jednocześnie przymierzając srebrne bransoletki.

— Ale dokładnie skąd w Nowej Zelandii?

Wyobrażałam sobie, jak czujnie nadstawia uszu i nie spuszcza oczu z dziewcząt. Pewnie myślały: „Przecież on nawet nie wie, jak wygląda globus, a co dopiero, gdzie leży Nowa Zelandia”, ale jedna z nich odpowiedziała uprzejmie, w tym samym czasie przeglądając się w lusterku w rzeźbionej ramie:

— Z Nelson.

Nie mogła paść lepsza odpowiedź, nawet gdyby Muhammad sam to wymyślił. Pewnie rozbłysły mu oczy, ale zdołał zachować niewzruszoną minę i spytał pozornie obojętnym głosem:

— To znaczy dokładnie z Nelson ...czy z Motueki?

Potem poczęstował je herbatą i wspólnie wspominali kultową kawiarnię Chez Eelco i sezon zbierania jabłek.

Scena na pustyni

Ojciec porównywał naszą półkę skalną do sceny, ponieważ z obu stron prowadziły do niej furtki, które nazywał „wejściem na scenę z lewej strony” i „wejściem z prawej”. W tle widniały jak teatralna dekoracja wysokie góry. Przez długie lata na półce pojawiali się bohaterowie wszelkiego rodzaju. Mój sznur z praniem rozciągnięty wzdłuż podwórka, przypięty do rozgałęzionej wierzbowej żerdzi, nie był kurtyną teatralną w pełnym tego słowa znaczeniu, ale zawsze coś na nim powiewało.

Na początku, kiedy prawie nikogo nie znałam, kobiety i dziewczęta wspinały się na półkę, żeby mi się przypatrzeć. Siadałyśmy na matach na cementowej podłodze w jaskini, a one rozglądały się wokoło.

— *Wajn Muhammad?* Gdzie jest Muhammad? — pytały, choć musiały wiedzieć, że jest w Skarbcu. Potem wypytywały:

— *Haza wahadki?* — i kiwając powątpiewająco głowami, patrzyły z politowaniem na nasze posłanie (jedna *farsza*, śpiwór, koc i poduszka). Wiedziałam już, że to znaczy „Czy to całe wasze posłanie?” i że uważały je za zbyt małe. Nawet najbiedniejsza beduińska panna młoda otrzymywała *mahr*. To oznaczało, że miała przynajmniej dwie wełniane *farsze*, dwie wypchane wełną i powleczone satyną kołdry,

cztery wałki pod głowę ciasno wypełnione bawełną i obleczone satyną w białych, haftowanych powłóczkach, długą, wełnianą narzutę w jaskrawych barwach oraz niską, drewnianą komodę z zamykanymi drzwiczkami, do której wkładało się pościelenia.

Takie przedstawienia skończyły się, kiedy stałam się jedną z nich, a liczba moich piernatów niepomierne wzrosła.

Nura wpadła poprosić mnie o monetę.

— Potrzebna mi na eliksir — powiedziała, ale nie wyjaśniła, jaki i po co. — Muszę poprosić o monety siedmiu Muhammadów i siedem Fatim.

Byłam zadowolona, że uznała mnie za jeszcze jedną Fatimę do kompletu.

Godnie wyglądający Beduin w pasiastej *saubie* i dopasowanej marynarce wpadł poprosić mnie o pieniądze. Syn jego krewniaka kogoś zabił i sąd plemienny nakazał całemu rodowi wypłacić rodzinie ofiary odszkodowanie w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dinarów. Ciął teraz podobnie jak większość krewnych i powinowatych, aby ocalić mordercę od kary śmierci i uchronić się przed odwetem.

Lafi przyniósł tłustego *szunnara* — góropatwę skalną — barwnie upierzonego ptaka z białymi i czarnymi pasiastymi lotkami oraz przypominającą maskę karnawałową wstęgą ciemnego puchu wokół czerwonych oczu. Złapał ją w jedne ze swoich siodeł na ptaki. Muhammad zapłacił za góropatwę i zrobił dla niej klatkę, z której ktoś wykradł ją jeszcze tego samego dnia, toteż nie cieszyliśmy się długo jej porannym klaskaniem. Mięso *szunnara* jest bardzo smaczne i powinniśmy byli się domyślić, że ktoś się na nie połakomi.

Pewien mężczyzna przyniósł nam orła, którego złapał na skałach Umm al-Bijary powyżej źródła. Przykleknął i rozpostarł skrzydła ptaka na długość swoich ramion. Miał

już kupca z Dżarasz, któremu potrzebna była orla krew jako lekarstwo na *al-chabis* — raka złośliwego. Dla muzułmanina krew to tabu. Aby wypuścić krew, podrzynają gardło zwierzętom, które mają zjeść, wolą również dobrze wysmażone mięso. Mimo to krew jest składnikiem wielu lekarstw oraz elementem czarodziejskich zaklęć.

Mężczyzna w spranej koszuli i wyświeconych spodniach przytargał wór pełen *szabriji*. Większość Beduinów miało zwykłe, solidne *szabrije*, wykonane przez cygańskich płatnerzy, ale Abu Rijad Huszan był artystą, który wytwarzał prawdziwe arcydzieła dla turystów. Ostrze były co prawda zwyczajne, powiedzmy użytkowe, ale trzonki i pochwy — to prawdziwy majstersztyk. Jedne były wygięte w najdziwaczniejszy sposób, inne krótkie i proste aż po czubek, wszystkie natomiast wysadzone kolorowymi szkiełkami i z wyrzeźbionym ornamentem z liści i kwiatów. Wykupiliśmy od niego cały zapas i zamówiliśmy więcej.

Pewnej nocy, bardzo późno, przybyło ze wschodu dwóch mężczyzn, przywiedzionych pogłoskami o złocie. Usłyszeli o górach Petry oraz o inskrypcjach i nacięciach na skałach. „W tych górraach jest tam ukryte złoto”, mówili w charakterystyczny dla Arabów sposób. Twierdzili, że mają ze sobą wszystkie elementy potrzebne do wydobycia schowanych skarbów: kadzidło, ofiarnego koguta oraz Marokańczyka z pradawną księgą. Oskardy i łopaty nie były niezbędne — skała, jak jaskinia Ali Baby, otworzy się dla prawdziwego Marokańczyka i złoto pojawi się przed ich oczyma. Byli skłonni podzielić się skarbami z Muhammadem, jeśli tylko zgodzi się ich zaprowadzić do skały z węzami wyrytymi po obu stronach wyżłobionej centralnie niszy.

Już przedtem znaleźliśmy takie bajania i widzieliśmy zawile, nieczytelne mapki wiodące do skarbu. Mogliśmy więc przewidzieć mizerny rezultat tych poszukiwań — zresztą całe złoto ukryte w ziemi i tak należało do

jordańskiej korony. Jednak pomimo faktu, że jedyne złoto, o jakim słyszeliśmy, było tureckie i odkopał je buldożer ekipy budowlanej wysoko w górach Asz-Szarah, gdzie w polu widzenia nie było żadnego Marokańczyka, mój sceptycyzm nie udzielił się Muhammadowi. Oczy mu zabłyśły i wyszedł z obcymi. Oprócz tego, że sam proceder poszukiwania złota był nielegalny, już sama pogłoska o skarbach często prowadziła do zabójstw. Byłam zatem niespokojna, póki mój mąż nie wrócił do domu cały i zdrowy — i oczywiście z pustymi rękami.

Tuflih z kolei trafiła na złoto w postaci delikatnego, żółtego kolczyka, ozdobionego niewielkim, okrągłym wisiorkiem, z którego najprawdopodobniej wypadł kamień oraz niewielkim, ciemnoczerwonym granatem. Zauważyła ten świecący przedmiot na samym dnie doliny, kiedy niosła nam bochenek *tabun*.

Dwie młode Włoszki w butach na wysokich obcasach przyszły do nas i zostały na noc. Ali F. i Muhammad mieli pojechać następnego dnia do Ammanu, wyszli zatem razem wcześniej rano, żeby złapać busik.

— Obcasy im się połamały i prawie pół drogi do As-Sik musieliśmy je nieść — nabijali się po powrocie. Trochę mnie to dziwiło: jak to obie naraz połamały obcasy. Jednak długo się tym nie przejmowałam, bo miałam obok siebie Muhammada.

Policjant w mundurze stanął przy furtce i spytał groźnym głosem: „Widzieliście przechodzącego tędy Flana?”. Funkcjonariusz był bardzo młodym Beduinem, który zamiast służby w wojsku wybrał pracę i pobory policjanta. Ja jednak go nie lubiłam i nie zaprosiłam do środka. Prawdę mówiąc, pogardałam nim z powodu jego determinacji w łapaniu chłopców uchylających się od służby w wojsku. Z miejsca, w którym staliśmy, oboje spostrzeegliśmy Flana — był już w połowie drogi przez dawny rynek i uciekał na wzgórze. Policjant wcisnął beret

na czoło i natychmiast przystąpił do wykonywania czynności służbowych, to znaczy ruszył za zbiegiem w z góry skazaną na porażkę pogoń. Flan był nie tylko szybszy, ale też znał okolicę jak własną kieszeń.

Sceny rozgrywające się na naszej półce skalnej bezustannie dostarczały nam dawki komedii, tragedii i prawdziwego dramatu. Koniec przedstawienia nastąpił dopiero w dniu, kiedy musieliśmy zdjąć furtki i sznury na bieliznę i przenieść się do osiedla w Umm Sajhun.

Oddziały Jarmuk

Od początku robót rekonstrukcyjnych w Gasr al-Bint Abdallah pracował jako stróż. Nocą spał w płóciennym namiocie otoczonym workami z cementem, rydlami, szpadlami i wiadrami, a o świcie budzono go różnym *Wahid Allah* i wtedy wydawał narzędzia robotnikom, rozpoczynającym pracę o siódmej. W dzień, kiedy robotnicy wznosili rusztowania, aby dostać się do najwyższego łuku i za pomocą cementu starali się go umocnić, aby przetrwał kolejne wieki, Abdallah zasiadał u stóp ołtarza przed świątynią i obserwował, jak toczy się życie. Pewnego słonecznego, zimowego popołudnia zawołał nas, kiedy przechodziliśmy nieopodal i przycisnął radio tranzystorowe do ucha Muhammada.

— Irak wypowiedział wojnę Iranowi — powtórzył mi Muhammad.

Był piękny, słoneczny dzień, a tamte kraje leżały tak daleko od

nas, że nie przywiązałam wagi do tej wiadomości.

— Nie rozumiem, dlaczego muzułmanie muszą ciągle walczyć ze sobą — zastanawiałam się wtedy.

— Irańczycy to szyici — wyjaśniał mi Muhammad.

A jednak po upływie półtora roku wojna wdarła się w nasze życie.

Rzadko poświęcałam czas na słuchanie pełnych trzasków i świstów dzienników BBC. Uważałam, że jeśli coś ma się zdarzyć, to i tak się zdarzy. Jordania oddała do dyspozycji Irakowi oddział ochotników i lokalni *niszama* zaciągali się do wojska. Wśród wolontariuszy znaleźli się bracia Muhammada: Salim i Ibrahim. Nie potrafiłam tego zrozumieć. Wszyscy nienawidzili przymusowej służby wojskowej, wielu spędziło długie lata w górskich kryjówkach, unikając wcielenia do armii, wielu dezercerowało, a gdy zostali schwytani, trafili do więzienia. Może w tym wypadku chodziło o potrzebę działania, a może o obiecany żołd — tak czy siak, zaciągali się Beduini z plemienia Bdul, Amarin a nawet niektórzy z Lijasna z Wadi Musa.

Żołd stracił urok, kiedy trafili na front, prosto pod grad bomb. Awaz i najmłodszy z ochotników Chalid zrezygnowali od razu i już pierwszym transportem wrócili do domu. Z Bagdadu przywieźli dla wszystkich cenne podarki: czerwone i niebieskie suknie ze sztucznego materiału dla dziewcząt, które chodziły w nich potem przez całe lata, wyścigowe samochodziki na baterie dla chłopców — te z kolei szybko się popsuły. Rodziny dostały szklane dzbanki i komplety szklanek w nowoczesne, żółte wzory, które nigdy nie zeszyły.

Muhammad stracił kontakt z braćmi. Od czasu do czasu przyjeżdżał ktoś na przepustkę, ale od Salima i Ibrahima nie było znaku życia. Kiedy radio BBC doniosło, że wojska irackie zostały wyparte z Choramszar, Muhammad wyruszył do Bagdadu, aby wśród powracających z frontu żołnierzy odnaleźć braci.

Zabrał ze sobą Ahmada, przyjaciela z Wadi Musa i wyjechali prawie na tydzień. Powrócili wychudzeni i przerażeni rzeczywistością, jaką tam zastali. W Iraku

brakowało żywności. W przydrożnych barach, w których żywili się kierowcy ciężarówek, na ponadtysiąc kilometrowym odcinku szosy prowadzącej przez pustynię do Bagdadu, podawano wyłącznie ciekawą zupę pomidorową z ryżem. Ze stolicy skierowano ich do obozowiska sił jordańskich. Nie pamiętali, czy jechali na południe czy na północ, choć najprawdopodobniej na wschód; nie mieli mapy. Pytali o adres i w odpowiedzi słyszeli tylko „*gabil, gabil*” (dalej, dalej). W końcu trafili na obóz i znaleźli brata Ahmada — nawet zrobili mu zdjęcie. Jednak ze zdjęcia nie można odczytać, że panował wtedy czterdziestopięciostopniowy upał ani tego, że Muhammad i Ahmad nie mieli *mansafu*, a nawet czajnika z herbatą. Pustynia za pozującymi do zdjęcia żołnierzami w stalowych hełmach jest bezbarwna. Ciepła woda i wieści, że bracia Muhammada i Al-Dżimadiego są w innej dywizji, na froncie, to wszystko, co udało im się zdobyć. Zrezygnowali więc i wrócili do domu. Wieść o ich przyjeździe dotarła jednak do Ibrahima, który zadzwonił, żeby przekazać, że obaj z Salimem żyją. Jeszcze zanim Irańczycy odzyskali stracone tereny, wszyscy moi beduińscy znajomi wrócili do domu.

Beduińskie bransoletki

Muhammad kupił u ulicznego rękodzielnika w Bagdadzie dwie srebrne bransoletki. Były wykonane w nowoczesnym stylu, zupełnie innym niż ciężkie, plecione lub niellowane[46] ozdoby noszone przez

Beduinki w Jordanii. Jedna z nich była prosta, druga natomiast przeładowana ozdobami — wyryto na niej wielbłądy, palmy i niewielkie łodzie z kwadratowymi żaglami. Wiedziałam, że Muhammadowi podoba się ta z filigranowymi, inkrustowanymi wzorami, wtopionym onyksem i delikatną zapinką na zawiasach, ale jak na Petrę

była ona zbyt wyszukana i mało praktyczna. Wsunęłam tę prostszą, węższą i cieńszą na nadgarstek i tak już zostało. Muhammad wręczył bardziej ozdobną bransoletkę mojej mamie i oboje byli zachwyceni.

Sąsiad Al-Dżimadi

Muhammad al-Dżimadi był naszym sąsiadem, kiedy mieszkaliśmy w jaskini. Początkowo zajmował położone tuż za Rasem dwie jaskinie, przypominające mi kryty darnią rodzinny dom Laury Ingalls Wilder[47] na brzegu Plum Creek. Były zupełnie schowane pod wzgórzem, póki nie podeszło się od frontu i nie dostrzegło drzwi i okna w skale. Al-Dżimadi był wyższy od przeciętnego Beduina i nosił się bardzo elegancko, choć rzadko chodził w *saubie*. Miał surowo ciosaną twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi i ostro zarysowanymi łukami brwi, co sprawiało, że jego głęboko osadzone oczy błyszczały dziko, póki się nie uśmiechnął. Kiedy nie przesadzał z alkoholem, jeździł ciężarówką Wydziału do spraw Zabytków i z wielkim rozmachem sprowadzał sobie kolejne żony z Egiptu.

Zanim wybrał się do Egiptu, poślubił dwie Beduinki z plemienia Bdul, a potem rozwiódł się z jedną z nich. Pierwszą Egipcjanekę poślubił, kiedy razem z Elizabeth zawitałam do Petry. Żona długo z nim nie wytrzymała, a zatem na gospodarstwie została tylko Fatima N. i dwoje małych dzieci.

Kiedy Fatima N. wpadała do nas z wizytą, piłyśmy herbatę, a dzieci rozrabiały na podwórku. „*Madżnuna*”, mówiła. Szalona. W ten sposób usprawiedliwiała zachowanie swojej córki i jej kompletny brak dyscypliny. Fatima N. sięgała mi ledwie do ramienia. Jej szeroką, szczerą twarz podkreślała, a zarazem postarzała, ciasno zawiązana *asaba*. Spodziewała się trzeciego dziecka i

przycupnęła na pryzmie wapiennych kamieni, żeby uspokoić męczącą ją zgage.

Potem Al-Dżimadi znowu pojechał do Egiptu i wrócił do domu z kolejną żoną, Hanim. Hanim była wysoką Egipcjanką i trzymała wyniośle głowę, a jednak została zaakceptowana przez miejscowe kobiety, kiedy usłyszały jej tradycyjne zawodzenie. Było ono tak donośne i długie, że wkrótce uświetniała wszystkie lokalne imprezy.

Al-Dżimadi przeniósł się z nimi wszystkimi do jaskini położonej na wzgórzu poniżej nas, na występie skalnym ponad Nimfeum. Obok wejścia wybudował pomieszczenie kuchenne, a nieco dalej zalegały stare kawałki blachy gromadzone na dach, którego zresztą nigdy nie skończył. Blachy skrzypiały i trzeszczały, kiedy kobiety próbowały zakryć nimi wory z kaszą, drewno na ogień, derki osła i od czasu do czasu zrobić daszek dla kozy czy owcy.

Przechodziłam tamtędy w długie, upalne popołudnia. Póki ich namiot był rozstawiony, siadywaliśmy w jego cieniu na skraju skały z najmłodszym raczkującym dzieckiem, przywiązany luźno do palika chustką za kostkę i z najstarszymi dziećmi, które rzucały kamieniami w kozy pobekujące na dole. Potem wchodziliśmy do jaskini. Dzieciarnia wpadała i wypadała. Kiedy pomimo zakazów wspinali się na piernaty i poduchy Fatimy N., ku ich wielkiej radości cały stos się przewracał. Zdaje się, że dzieci dobrze wiedziały, iż na to nie mogą sobie pozwolić z Hanim, która zawłaszczyła prawie połowę jaskini, a powieszona w poprzek zasłona kryła jej rzeczy. Materiał, z którego została uszyta, jasnoniebieska satyna ozdobiona maszynowym haftem w bardzo egipskim stylu, mało przypominał tkaniny zasłonowe. Podejrzewałam nawet, iż Hanim wykorzystwała swoją suknię ślubną, kiedy zrozumiała, że nigdy więcej jej tu nie założy. Jaskinia była mniejsza od naszej, a ja nie mogłam się powstrzymać od myśli: jak oni to robią? W jaki sposób żony mogły sobie zapewnić choć

odrobinę intymności, dzieląc się tym samym mężem? Kobiety jednak odpowiadały żartobliwie — a nawet nieco rubasznie, choć czasem z rumieńcem wstydu na policzkach — że mają wyznaczone dyżury. Ponieważ obie regularnie były w ciąży, domyślałam się, że pewnie wszyscy z powodzeniem odgrywali swoje role — cała rodzina grzecznie szła spać, albo przynajmniej udawała, że śpi, a parka zachowywała się cicho, albo przynajmniej starała się zachowywać dyskretnie.

Paleniskiem była brudna dziura w środku nierównej, cementowej posadzki. Siadywaliśmy dookoła na *dżannabijjach* pokrytych wzorzystym materiałem. Ślepa Fathijja (ciotka Umm Lafi, a babka Fatimy N.) lulając płaczącego niemowlaka w ramionach, siedziała sztywno na swoim miejscu w obawie, że któreś z dzieci zajmie jej puf. Mieszały się różne wonie: smród brudnych pieluch, zapachy obiadu, *hiszi* Fatimy N. (paliła, kiedy miała kawałek papieru, a gdy go brakowało, żuła tytoń) i zapach polan z paleniska. Dzieciarnia latała wkoło, a Fatima N. dziurawiła puszkę skondensowanego mleka, wbijając ostrze *szabriji* w wieko i waląc puszką o posadzkę. Potem dzieliliśmy się napojem. Jeden z chłopców nalał herbatę do środka i wyssał mleko do ostatniej kropli, a potem zrzucił puszkę z urwiska.

Pewnego popołudnia Al-Dżimadi uczernił sobie wąsy i znowu wyjechał do Kairu, tym razem, żeby przedstawić innych mężczyzn z plemiona Bdul potencjalnym teściom. Póki nie „przetarł” szlaku, w Petrze brakowało kobiet. Większość dziewcząt podkupywano i zaręczano, zanim stawały się nastolatkami. Rozwódki i wdowy zwalniano nawet z tradycyjnej trzymiesięcznej abstynencji (na wypadek, gdyby były w ciąży z poprzednim partnerem) przed zawarciem kolejnego związku. Teraz przed mężczyznami, których żony były bezpłodne bądź rodziły same córki oraz tymi najbogatszymi, którzy zamiast

cementowej posadzki w jaskini woleli mieć nową żonę, otwierały się nowe perspektywy. Całe żeńskie przedmieście Kairu aż się paliło do zamążpójścia: dorodne, dojrzałe, młode, pulchne i urodziwe dziewczyny, które na dodatek nie miały nic przeciwko temu, aby zostać *durrą*, czyli drugą żoną. Dużo naszych kolegów — kawalerów i żonatych — wyruszyło na wyprawę po żonę, choć niewiele z tych małżeństw przetrwało próbę czasu... Egipcjanki przyniosły ze sobą specyficzny akcent, którego nie potrafiłam zrozumieć, sposób tradycyjnego zawodzenia, którego nie umiałam naśladować. Wkrótce urodziło się nowe pokolenie ze świeżymi genami i to w tempie, któremu nawet nie próbowałam dorównać.

Wypadki się zdarzają (II)

Pewnego dnia Muhammad sprzedał nasz wehikul za całkiem pokaźną sumę. Wyrzałam z półki skalnej, kiedy usłyszałam, że na dole zatrzymuje się samochód. Widziałam, jak wysiada ze skrzynką na amunicję, w której trzymał narzędzia. Kupiec odjechał, zanim zorientowałam się, co się wydarzyło.

— Tak będzie dobrze, Marg, kupimy inny — zapewniał mnie Muhammad i dodał — lepszy.

Przypomniał mi, że nasz stary samochód nawalił na szosie pustynnej, a potem w Ammanie i staliśmy zrozpaczeni na drodze, aż jakiś sprytniejszy kierowca zatrzymał się i przetaił styki w silniku papierem ściernym. Nigdzie nie było dobrych warsztatów. Kiedyś, gdy silnik nie zaskoczył, gorliwy pomocnik użył powietrza pod ciśnieniem, aby oczyścić przewody paliwowe. Ku zdziwieniu niedouczonego majstra, silnik w ogóle przestał działać. Minęło wiele godzin, zanim zrozumiał, że zniszczył włączoną pompę paliwową. Musieliśmy przenocować.

Byłam szczęśliwa, że mogliśmy zwrócić Gublanowi do końca dług, ale pomimo przebitych opon i awarii przyzwyczailiśmy się do posiadania własnego samochodu i bardzo nam go brakowało. Wkrótce jednak znaleźliśmy następny w niezłym stanie, w przystępnej cenie, a na dodatek z jordańskimi tablicami rejestracyjnymi.

W każdym razie zanim kupiliśmy nowy, byliśmy zdani na cudzą łaskę. Kiedy jechałam do Ma'anu do dentysty, żeby wyleczyć złamany ząb, zostawiłam najpierw Salwę u babci, a potem poszłam do Wadi Musa. Znalazłam kierowcę chętnego, by mnie zawieźć i uzgodniłam z nim cenę. Po drodze zabraliśmy jeszcze parę starych ludzi i wracającego do koszar żołnierza, a ja musiałam gryźć się w język za każdym razem, kiedy proponowali kierowcy pieniądze za podróż, a on je ze spokojem przyjmował — z góry liczył na opłaty pobierane od innych pasażerów, jako dodatkowy dochód. Zanim kupiliśmy samochód, traciliśmy mnóstwo czasu, stercząc przy prowadzącej przez pustynię szosie i modląc się, aby zatrzymał się jakiś pojazd. Zawsze byliśmy szczęśliwi, mogąc zapłacić, kiedy ktoś zgodził się nas zabrać. Przy takich okazjach dzieci trafiały na pakę, a do kabiny wdrapywałam się ja z Muhammadem.

— *Haj ummki dži't, ja Salwa.* Idzie twoja mama, Salwo — ciotki wyprowadziły ją aż na wzgórze, wychodząc mi na spotkanie, kiedy wracałam do Wadi Mataha tego samego dnia. Umm Lafi z rodziną mieszkała w jaskini poniżej rumowisk skalnych.

— Co za dzień! — gorączkowo pragnęła opowiedzieć mi wszystko, co się wydarzyło. — Salwa z Husajnem zoczyli się do suchej nitki, kiedy robiłam pranie, a oni chcieli mi pomóc. Potem pobiegli się bawić, a kiedy obiad był już gotowy, nie mogliśmy ich znaleźć. Wołaliśmy i krzyczeliśmy, a ja już zaczęłam się martwić, kiedy usłyszałam ich głosy. Machali do mnie z samego czubka *wugby*, stamtąd na końcu *turnagi*. Pokazała mi tak daleki

punkt na szczycie, że od razu zrozumiałam, dlaczego nie mogła ich wypatrzeć, póki nie zaczęli machać.

— W końcu — opowiadała dalej — kiedy zaczęłam krzyczeć, żeby, na miłość boską, natychmiast stamtąd zeszli, zaczęli skakać w górę i w dół. Na szczęście Lafi i Nida sprowadzili ich na dół. Ja bym się tam nie wdrapała.

Wypadki w Petrze zdarzały się często. Oprócz przypadkowych ukąszeń skorpiona czy węża, w zbiornikach nabatejskich tonęli ludzie, a osypujące się skały pochłaniały niewinne ofiary.

Tak było z dziewczynką, która wiedząc, że kiedy matka siodła osła, opuszczają jaskinię, popędziła na łeb na szyję po stoku i zanim mama zdołała ją złapać za rękę, spadła ze skały. Co prawda przepaść miała tylko siedem metrów, ale sterczały tam ostre skały i drobne dziecięce kości nie miały szans — dziecko zginęło, zanim spadło na samo dno.

Byłam wtedy w ciąży z Salwą i nagle, chociaż jeszcze jej nie widziałam, stała się dla mnie niezwykle cenna. Zrozumiałam, dlaczego matka Asmahan straciła wolę życia. Pojęłam, dlaczego z jej oczu zniknął blask. I zobaczyłam, jaką była szczęściarą, bo miała kochającego męża, który wierzył, że śmierć córeczki to przeznaczenie — spadła ze skały, w przeciwnym wypadku zmarłaby z gorączką, poparzona, albo stratowana przez osła. Wspólnie przeżywana tragedia pomogła im przetrwać. Zaciągnął się do armii Bahrajnu i zabrał Asmahan ze sobą, z dala od skał oraz tragicznych wspomnień.

Los i przeznaczenie mogą być przychylne i dobre, szeptałam do siebie, wracając do domu i trzymając drobną dłoń Salwy w swojej. Jednak nie trwałam już dłużej w błogiej nieświadomości. Zostawiłam beztrosko Salwę u

babci i wcale się o nią nie martwiłam, kiedy byłam daleko, ale teraz zrozumiałam, że już nigdy więcej nie będę mogła sobie pozwolić na taki luksus.

Wugba i turnaga

Wugby i turnagi ciężko opisać w innym języku. To słowa beduińskie, nawet nie wszyscy w Wadi Musa rozumieją ich znaczenie. Dla mnie brzmią jak zarys skał, które opisują.

Turnagę tworzy wiatr, to wymieciona, szeroka ścieżka prowadząca wokół góry, skąd nawet nie mamy odwagi spojrzeć w dół. Niektóre z nich zostały upiękzone jeszcze przez Nabatejczyków, którzy na końcu jednej ze skał wykuli w gładkiej ścianie figury objuczonych wielbłądów oraz obeliski. Nawet Beduini skrobali swoje imiona, czy też rysunki wyrażające ich najskrytsze marzenia, kiedy stado kóz, pobekując i rażno postukując kopytami, dreptało w stronę kwitnących zarośli rattanu na końcu wąwozu.

Wugba to z kolei wnęka skalna. Jeśli na nią trafisz, poczujesz się tak, jak w wiklinowym, podwieszanym fotelu z bokami zamykającymi się wokół ciebie. Jeśli schowasz nogi, tak jak nasze dzieci lubiły to robić w połowie drogi do Klasztoru, możesz się ukryć, tak jak i one to robiły. Kiedy podchodziliśmy bliżej, wyskakiwały z głośnym krzykiem „Uuuu!”.

Słoń i niegrzeczne dziecko

Zimą 1982 roku znowu byłam w ciąży. Tym razem miał to być chłopiec. Szpital Włoski nie miał jeszcze aparatu ultrasonograficznego, ale ja już znałam płeć dziecka, tak samo, jak przedtem wiedziałam, że urodzę dziewczynkę. Nawet wybraliśmy imię dla synka — Raami. Tak jak kiedyś

starsza pani w Ras an-Nakb śniła o drutach do robótek ręcznych, Muhammad miał swój proroczy sen o nowym pistolecie, kolejnym rzeczowniku rodzaju męskiego.

Kiedy wybieraliśmy imię dla Raamiego, znaleźliśmy tylko jednego mężczyznę noszącego to imię. Teraz sądzę, że było to „imię roku”, bo dziś spotykam tysiące chłopców o imieniu Rami i całe mnóstwo Abu Ramich. Zdecydowałam się na zapis z podwójnym „a”, po to, żeby po angielsku wymawiano imię tak samo jak po arabsku. Nie zdawałam sobie sprawy, że imię Rami stanie się takie popularne i będziemy mieć więcej kłopotu, tłumacząc, jak się je pisze, niż wyjaśniając, jak należy je wymawiać.

Zima była lekka, jakby Bóg nad nami czuwał; od września padało zaledwie parę razy — krótkie, rzęsiste ulewy poprzedzone kilkoma pochmurnymi dniami. Większość była jednak słoneczna i jasna.

Mieliśmy teraz oświetlenie gazowe — klosz umieszczony na długiej rurce podłączonej do butli — gazu wystarczało na miesiąc lub dwa, w zależności od potrzeb — a zatem nie musieliśmy już walczyć z kapryśną lampą naftową oraz z piecykiem na olej i rzadko przeszkadzał nam dym snujący się w kuchni. Na naszych wzgórzach brakowało już kłaczy rattanu, ale przy drzwiach do jaskini, wzdłuż skalnej ściany, stały porządnie poustawiane sterty polan do paleniska, przywiezionych przez syna Abu Awwada z Al-Bajda. Wiodła tam teraz nowa droga z osiedla i nasz znajomy wykonał jej większą część, przy okazji karczując teren, a potem przyjechał pikapem wypełnionym kłodami dzikiego drzewa pistacjowego i kolczastymi gałęziami dębu skalnego, za które hojnie mu zapłaciliśmy. Wieczorami używaliśmy żaru z ogniska, aby piec chrupiące bochny chleba wyrabianego bez środków spulchniających. Potem kromki moczyliśmy w świeżo sporządzonym *labanie* lub w żółtym *saminie*.

Zaraz po kolacji rozkładałam posłanie tuż przy tylnej

ścianie jaskini i usypiałam Salwę, czytając jej cudowne książeczki przesłane przez moją mamę. Rozmawiałam z nią głównie po arabsku, ale poprzez opowieści z książek uczyła się również angielskiego.

— I wtedy słoń popędził... — czytałam.

— Tadam, tadam, tadam — recytowała z pamięci.

— Cały czas drogą aż do...

— Budki z lodami — kończyła za mnie.

W ostatniej paczce mama przysłała popularną książeczkę Elfridy Vipont *The Elephant and the Bad Boy* (Słoń i niegrzeczny chłopiec) i mała znała już połowę na pamięć. Kazała mi to ciągle czytać, ale od czasu do czasu musiałam przeczytać jej też coś innego, na przykład *The Very Hungry Caterpillar* (Bardzo głodna gąsienica) Erica Carle'a albo *Mister Magnolia* (Pan Magnolia) Quentina Blake'a[48], żeby nie zwariować.

Ali F. i Salama nadal przychodzili grać w karty prawie każdego wieczoru, zaraz po zachodzie słońca. Kiedy Salwa zasypiała, ja także zasiadałam do gry. Zazwyczaj grywaliśmy w *handrimi* (odmiana remika) albo w *banakil*. Muhammad był zwykle moim partnerem, chyba że nie szło nam za dobrze albo próbował drwić ze mnie. Wtedy grałam w parze z Salamą, który potrafił zachować krytyczne uwagi dla siebie, kiedy popełniłam jakiś błąd albo zignorowałam jego porady. Czasami wpadał Ali i wtedy musiałam czekać na swoją kolej gry. Zdarzało się również, że próbowali odwieść mnie od czytania Salwie, po to, żebyśmy od razu przystąpili do gry.

Kiedy siedziałam skulona w tej samej pozycji, sztywniały mi nogi oraz ręce i szybko zaczynały boleć plecy, dlatego odczuwałam ulgę, kiedy robiliśmy przerwę. Mogłam wtedy wyprostować nogi i zziębnięta wymknąć się do kuchni, aby zaparzyć herbatę czy przygotować słodką kawę rozpuszczalną z odrobiną mleka w proszku.

Właśnie podczas takich ukradkowych eskapad usłyszałam kogoś wzywającego pomocy. Głos dochodził z ciemności od strony furtki. Ktoś mówił z silnym akcentem australijskim. Pomyślałam, że tubylcy skierowali kogoś do naszej jaskini i krzyknęłam głośno, aby przekrzyczeć wiatr: „Czy ktoś mnie szuka?”. Zobaczyłam w świetle latarki twarz młodego człowieka, dźwigającego ogromny plecak.

— Szukałem kogoś, kto mi pomoże, ale nie spodziewałem się, że to będzie *Kiwi* (Nowozelandczyk)!

Wprawdzie nikogo nie oczekiwałam, ale zaprosiłam gościa do domu — ludzie spadali ze skał nawet za dnia, a co dopiero w nocy. Nawet nie chciałam sobie wyobrazić, co by się stało, gdybym nie wyszła na chwilę do kuchni. Niedowierzający wyraz na twarzach zebranych gości, kiedy pojawiałam się z czajniczką herbaty oraz młodym Australijczykiem, był dla mnie wystarczającą nagrodą.

W 1978 roku wstęp do ruin Petry był dość ograniczony: zwiedzanie można było załatwić tylko przez biuro turystyczne, w którym wynajmowano konia i przewodnika.

Kiedy przeprowadziliśmy się do osiedla, po raz pierwszy wprowadzono opłatę za wejście, ale już przedtem zdarzało się, że wieszano tablice zabraniające turystom spędzania nocy w Petrze. Ludzi złościły te zakazy. Beduini zapraszali turystów do siebie i wtedy wszyscy w Petrze mieli z tego korzyść. Turyści płacili gospodarzom za nocleg, niektórzy kupowali od nich maty lub *mudragi*, czasem przysyłali następnych gości, zostawiali prezenty, a po wyjeździe opowiadali innymi o gościnności Beduinów oraz o ich serdeczności wobec turystów, tym samym zachęcając do przyjazdu kolejnych podróżników. Właśnie w taki sposób, dzięki Bogu, poznałam Muhammada.

Przez całe lata, kiedy Beduini mieszkali w Petrze, nie było żadnych ofiar śmiertelnych wśród turystów (oprócz nieszczęsnych topielców). Ale po naszej wyprowadzce z Petry wielu odwiedzających straciło życie, ponieważ nie

było nikogo w okolicy, kto by im wskazał dobrą ścieżkę, usłyszał wołanie o pomoc, gdy w nagle zapadających ciemnościach gubili drogę, czy nawet zauważył, dokąd idą. Dlatego kiedy się gubili i wszczynano poszukiwania, nikt nie wiedział, gdzie ich szukać i często pomoc przychodziła za późno.

Kiedy padał deszcz, ustawialiśmy garnki, kubły i miednice, aby nałapać ściekającą z dachu wodę i wykorzystać do mycia. Godzinami grywaliśmy w karty, póki Salama nie przegrał w ciągu jednej nocy więcej razy, niż był w stanie znieść.

Raami przychodzi na świat stópkami naprzód

Pewnego wieczoru tydzień po przewidzianym terminie porodu Muhammad stwierdził, że musimy znaleźć kogoś, kto nas nazajutrz zawiezie do Akaby do ginekologa. Podczas ostatniej wizyty w Ammanie, cztery miesiące wcześniej, lekarz stwierdził:

— Wygląda na to, że jak do tej pory, wszystko jest w porządku. Są szanse, że dziecko samo się przekręci.

Przez ten cały czas miałam słowa lekarza gdzieś z tyłu głowy, ale teraz wyłoniły się na pierwszy plan.

W nocy poczułam bóle porodowe i o świcie obudziłam Muhammada. Zszedł do namiotu-wartowni ojca, żeby poprosić o pomoc. Abdallah akurat wziął wolną noc, ale Lafi i Nida dzielnie go zastępowali. Lafi pobiegł do Urgub Dźmi'an po Alego F., który jeździł teraz niewielkim datsunem sedanem, a Nida popędziła boso do domu po swoją matkę, żeby pojechała z nami. Wkrótce Muhammad był z powrotem. Ali F. podjechał pod naszą półkę skalną, a rozgorączkowana Nida nadbiegła, ciągnąc za sobą matkę:

— Dopilnuję Salwy i do twojego powrotu zrobię porządki.

Obudziłam i ubrałam Salwę. Nie planowałam jej zostawiać i nie

zamierzałam teraz zmienić decyzji. Byłam o nią spokojna tylko wtedy, gdy była blisko mnie. Ja byłam już gotowa. Parę tygodni temu spakowałam wielką torbę z rzeczami dla dziecka, ale Umm Lafi grymasiła. Nie dała za wygraną, póki nie przygotowałam żyłетки i sznurka do podwiązania pępowiny w razie konieczności. Potem zabrała koc do położenia pode mną i nakazała wszystkim wsiąść do samochodu.

Oddychałam spokojnie i próbowałam się rozluźnić, niestety skurcze były coraz silniejsze i częstsze. Wyraźnie czułam ciężar rozsadzający mi żebra. Czy to była główka?

— Może powinniśmy wrócić do Wadi Musa? — spytałam zaniepokojona, kiedy jechaliśmy drogą w stronę Asz-Szarah. Wiatr wokół nas gwizdał i huczał.

— Chyba nie — stwierdziła reszta. — Lekarza pewnie już tam nie ma... Ale wytrzymasz, póki nie dojedziemy do Ma'anu, prawda?

Wcale nie byłam taka pewna. Ali F. pędził drogą pod osłoną góry Asz-Szarah, przez wioskę Azruh wprost na płaskowyż Ma'anu. Nagle jedna z opon pękła z hukiem, który zabrzmiał jak wystrzał. Ali F. zjechał na pobocze, nerwowo chichocząc:

— Nie mam zapasowej.

— Nawet gdybyś miał, nie miałabym czasu czekać, aż zmienisz — dyszałam ciężko, wysiadając na zimną i pustą drogę. Byliśmy pod rześkim, przejrzystym sklepieniem nieba. Ziemię spowijała jasnozielona mgła. Przez parę chwil kiedy staliśmy przy samochodzie, wschodzące słońce ogrzewało nas z jednej strony.

Muhammad pomachał na dwa nadjeżdżające

samochody, które wyprzedziliśmy wcześniej i oba się zatrzymały. Pierwszym był pikap, którego kierowca od razu zatrzymał się na nasz widok. Potem stanął stary, wygodny mercedes ze skórzaną tapicerką. Jechał w nim mężczyzna z dwiema kobietami, a zatem część z nas mogła się zmieścić. Zostawiłam Muhammada i Alego F. z szoferem pikapa, żeby wymienili przedziurawioną oponę i odjechaliśmy. Pulchniutka, ubrana na czarno matrona siedząca z przodu odwróciła się, żeby z nami porozmawiać. Byli z Wadi Musa — przedstawiła nam syna, który pracował dla Obrony Cywilnej i synową. Słyszając mój przyspieszony oddech, popędzała syna.

Przerwy między skurczami były coraz krótsze, a ja miałam ochotę poprosić ich, żeby się zatrzymali. Droga była pusta, powietrze chłodne, ale przejrzyste, spokojne i suche. Miałam ze sobą koc, a Umm Lafi żyletkę, tamte kobiety z pewnością także znały się na rzeczy. Umarłabym ze wstydu, gdybym urodziła dziecko w cudzym samochodzie.

Tylko co będzie, jeśli zdarzą się jakieś komplikacje? Czułam ucisk poniżej żeber. Wahałam się, póki nie minęliśmy przedmieść Ma'anu. Kierowca włączył syrenę (niewiarygodna korzyść z pracy w Obronie Cywilnej!) i przemknęliśmy przez budzące się miasto, żeby po paru minutach zatrzymać się przed wejściem do szpitala.

Uśmiechnięte twarze próbowały mi pomóc, ale na nikogo nie zwracałam uwagi. Oddychałam, póki nie przeszedł skurcz. Potem pobiegłam korytarzem i schodami aż na oddział położniczy i dopadłam fotela, zanim zaczął się kolejny skurcz. Na dole zostawiłam moich towarzyszy podróży oraz Umm Lafi z Salwą, żeby doszli do siebie.

Położna natychmiast zabrała mnie na porodówkę i zbadała. Byłam zadowolona, że trafiłam na Naifę, ponieważ wiedziałam, że jest kompetentna i odpowiedzialna, ale od razu wyczułam z jej miny, że coś jest nie tak. I

rzeczywiście; poleciła mi:

— Nie przyj, póki nie wrócę z lekarzem.

— Czy coś jest nie tak? — spytałam przerażona.

— Wszystko będzie dobrze, ale dziecko jest źle ułożone, wychodzi nóżkami. Sama sobie nie poradzę. Nie przyj, zaraz wracam.

Wyszła i zamknęła drzwi. Zostałam sama. „Wiedziałam, że czułam jego główkę”, powiedziałam do siebie w duszy.

Wkrótce Naifa wróciła z lekarzem, który po kilku minutach porodu powiedział:

— To chłopiec!

Nawet tego nie słyszałam. Widziałam, jak doktor chwyta jego drobne, śliskie stópki i obraca dziecko wiszące głową w dół, żeby odkręcić z szyi pępowinę. Trzy razy przekręcił chłopca, a potem o dziwo wszystko było dobrze. Raami zapłakał, położna zawiązała pępowinę, a lekarz zaczął rozmawiać ze mną po angielsku, żebym się rozluźniła.

— Słyszałem, że mieszka pani w Petrze.

Po co mi takie głupie rozmowy?

— To prawda — usiłowałam być uprzejma. Nie miałam wyboru.

— Naifa mi opowiadała, że wyszła pani za mąż za Beduina.

— Tak.

— O ile pamiętam, ma pani już córeczkę... Rodziła pani wtedy w szpitalu Al-Baszir. Prawda?

Dziwna zmiana tematu, pomyślałam. Wtedy dodał:

— Ja odbierałem także tamten poród, pamięta mnie pani? Jestem doktor Basam!

Cóż więcej mogłam powiedzieć?

— Ależ świat jest mały, panie doktorze, *sallim jadajjak!* Niech będą błogosławione pana dłonie!

Mieliśmy parę godzin spokoju, zanim Muhammad i Ali F.

naprawili samochód i przyjechali zabrać nas do domu. Poranne słońce świeciło wprost na łóżko, a za oknem ciągnęła się na wschód pusta i kredowobiała pustynia. Jedyne wyjątkiem w tym krajobrazie stanowiły widoczne w oddali czerwone, postrzępione skały. Pielęgniarka zajęła się troskliwie Raamim, a ja planowałam, co powinnam zrobić w pierwszej kolejności, kiedy wrócimy do jaskini.

Przedstawiam Raamiego

Czternastego dnia po porodzie wyciągnęłam *muzfir* ze schowka (czerwonej walizki leżącej pod stelażem na pościel), włożyłam do niego Raamiego, wzięłam za rękę Salwę i wyruszyłam do teściów.

Większość kobiet oczekiwała czterdzieści dni, zanim wyprowadzały dzieci na dwór. Jednak ja w czasie tych czternastu dni spędzonych na mojej półce skalnej, kiedy urodziła się Salwa, postanowiłam, że będzie to jeden z tych zwyczajów, którymi nie zamierzam się przejmować. Poza tym znowu pracowałam w ambulatorium, a więc tym bardziej nie widziałam sensu w czekaniu.

Jak się później okazało, miejsce i gospodarz mojej pierwszej wizyty są bardzo ważne. W ciągu kolejnych miesięcy wszyscy dopytywali się, komu pierwszemu „przedstawiłam” moją córkę:

— *A min dachalti bintki?* — Była to jednak raczej kwestia osobistego wyboru, a nie tradycja plemienna. Te matki, które „przedstawiły” swoje dzieci prorokowi w świątyni na szczycie Dżabal Harun prawdopodobnie czekały aż czterdzieści dni, aby odzyskać siły — ale inne przedstawiały swoje maleństwa sąsiadom. Dziadkowie Salwy byli zachwyceni, kiedy pojawiłam się z wnuczką w ich namiocie. A zatem moja nowa tradycja „przedstawiania” dzieci dziadkom przyjęła się.

Teraz Salwa pobiegła przodem, szczęśliwa tak samo jak ja, że wreszcie wyszła na dwór. Poprzedniego dnia padał deszcz, ale teraz niebo było lazurowe. Ściekająca po skałach woda błyszczała w słońcu. Podłoże było piaszczyste, więc nie robiło się błoto. Wszędzie lśniła soczysta zieleń, a powietrze pachniało świeżością. Przed Grobowcem Pałacowym, na naszym weselnym torze wyścigowym, tyle ziaren wykiełkowało z okruszków jedzenia i kozich bobków oraz oślego i końskiego łajna, iż można było pomyśleć, że Beduini z plemienia Bdul wciąż jeszcze uprawiają tu zboże.

Abdallah i Ummi Lafi spędzali zimę w Wadi Mataha, tylko tym razem w innej pieczarze. Głęboki cień rzucany przez górę padał na to chłodne i wilgotne miejsce, nie dając nadziei na słońce aż do wieczora. Nida i Mariam wyciągnęły *dżannabijje* i rozłożyły w najbardziej nasłonecznionym miejscu.

— *Ahlan, ahlan ahlanj* — paplały na powitanie, naśladując matkę i obcałowywały Raamiego. Przeciągał się rozkosznie, kiedy położyłam go na ziemi i odwracał oczka od światła. Salwa pobiegła z ciotkami po szklanki i czajniczek z herbatą.

Przyszedł Ibrahim i przywitał nowego bratanka. Wziął go na kolana, nieogolonym zarostem zaczął drapać aksamitne policzki Raamiego i chichotał, kiedy niemowlę wyginało się. Potem wyjął zapalki i rozpałił ogień.

W rozciągającym się przede mną piaszczystym wąwozie zieleń przybierała wszelkie możliwe odcienie. Wśród oleandrów i krzewów rattanu tu i ówdzie wyrastały kłosa jęczmienia oraz świeże pędy młodej pszenicy, *chubbajza* (roślina przypominająca prawoślaz z jasnoróżowymi kwiatuśkami i jadalnymi liśćmi) i pokrzywy. Dzieci, które zbierały *chubbajzę* w chustę Nidy, parzyły się pokrzywami, a potem lizały i rozdrapywały podrażnione miejsca.

Ummi Lafi ugotowała na obiad *chubbajzę*, tak jak gotuje

się szpinak czy botwinę. Ibrahim stwierdził, że najlepiej smakuje z odrobiną wyciśniętej cytryny, ale bez cytryny danie i tak nam odpowiadało — kwaskowaty smak wspaniale pasował do podanego chleba *tabun*.

Po obiedzie wyciągnęłam się w słońcu obok Raamiego, dziewczynki zaś grzecznie bawiły się z córkami sąsiadów w ruinach wzniesionej z kamienia ściany. Podnosiły kamienie i od czasu do czasu wzywały Lafiego, żeby zabił pogrążone w zimowym śnie skorpiony, które zostały gwałtownie przebudzone. W wąwozie leżało mnóstwo zardzewiałych kapsli od butelek, pociętych żółtawych puszek po sardynkach oraz wyblakłych, czerwonych, po przecierze pomidorowym. Dziewczynki ustawiły wszystkie znaleziska na półce skalnej. Wyrwanym krzakiem *zaknany* wymiotły ze swojego „domku” kamienie i patyki. Podłużne kamienie przystroiły skrawkami materiału i udawały, że to lalki. Śpiewały im, układały do snu, budziły i przykryte chustami karmiły na niby piersią. Lalki z kamienia były wspaniałe, ponieważ nigdy nie traciły rąk ani nóg jak plastikowe i zawsze można je było zastąpić. Zmieniały się jednak w niebezpieczne narzędzie walki, gdy między dziewczynkami wybuchały kłótnie — wtedy lepiej było uciekać.

Lafiego wysłano po ojca do jego namiotu-stróżówki obok *kiny* i nie pozwolono nam pójść do domu, póki nie wrócił z pieniędzmi dla Raamiego. Dziesięć dinarów, jakie nam ofiarował, stanowiły jedną czwartą jego miesięcznych dochodów, ale nie mogliśmy odmówić. Na nic by się zdało gadanie, że już im nie przedstawię kolejnego dziecka — wiedzieli, że nigdy nie zrobię im takiego afrontu i byli zachwyceni perspektywą kolejnych dzieci. A zatem przyjęłam pieniądze i z dumą opowiadałam kobietom spotkanym w drodze powrotnej do jaskini, jacy hojni są moi teściowie.

1983

Umm Salwa

Przez kilka lat nazywano mnie Umm Salwą. To było najnowsze imię w naszej rodzinie, ale dla mnie wcale nie było ostatnim.

Muhammad czasami mówił do mnie „Marg”, ale zazwyczaj zwracano się do mnie „Fatima” i tak mnie nazywali także nasi najstarsi znajomi.

„*Mar'at Muhammad*” — żona albo kobieta Muhammada — tak mnie określano podczas rozmowy, nawet w mojej obecności. Brzmiało to trochę jak „Pani Muhammadowa Abdallahowa”, zwłaszcza gdy mówił tak o mnie z dumą w głosie ktoś z rodziny Muhammada.

Kiedy byłam pracownikiem państwowym, podlegałam innym hierarchiom. Bystry aptekarz z Wadi Musa, kiedy dowiedział się, że mam na imię Marguerite, zaczął się do mnie zwracać per „Margaret Thatcher” (była właśnie u władzy w Wielkiej Brytanii). Jednak większość Beduinów, którzy poznawali mnie w przychodni, nazywała mnie „*as-sitt Fatima*”.

Kiedy urodziła się Salwa, zostałam przyjęta do klubu mamuś. Stałam się mamą Salwy — Umm Salwa, a Muhammad — Abu Salwa.

— Jeśli ktoś urodzi dziewczynkę, może też urodzić chłopca — wszyscy mi to powtarzali. Zdążyłam się już przyzwyczaić do myśli, że wraz z narodzinami Raamiego dostanę nowe imię.

Walczyłam jednak z nowym imieniem, póki to było

możliwe.

— *Ism al-maulud?* Imię dziecka? — Sklepikarz w Ammanie spytał mnie grzecznie po to, aby zwracać się do mnie w odpowiedni sposób.

Gdy odpowiedziałam „Umm Salwa”, widząc Raamiego w moich ramionach, wyjaśnił mi cierpliwie:

— My nazywamy matkę imieniem syna.

Musiałam się z tym pogodzić. Wkrótce zostałam Umm Raami, a Umm Salwa zniknęła bezpowrotnie, tak jak przedtem Marguerite.

Huśtawka Salwy

Muhammad chciał, żeby Salwa miała własną huśtawkę, odkąd zobaczył na Wyspie Południowej w Nowej Zelandii place zabaw dla dzieci. A jeśli on czegoś chciał, to zazwyczaj udawało mu się to zdobyć wcześniej czy później.

Salwa była córeczką tatusia, *bint abuha*, okropnie ją rozpieszczał. Ojciec Muhammada także go psuł, karmiąc świeżo upolowanym mięsem — zrywał się o świcie i wyczekiwał z dubeltówką na *szunnary* czyli góropatwy, a potem wracał na posiłek do *gutar*[49] albo polował na gazy i koziorożce skalne. My mieliśmy tylko świeżo ubite kurczaki z Wadi Musa albo możliwość nabycia w drodze powrotnej z Ammanu kilkukilogramowego udźca jagnięcego odciętego z tuszy wiszącej pod folią przy szosie pustynnej. Dlatego Muhammad musiał znaleźć inne sposoby na rozpieszczanie Salwy. Pozwalał jej opijać się pepsi do woli za każdym razem, kiedy zabierał ją do sklepu albo kupował jej owoce granatu. Nigdy też nie powtarzał, żeby się nie zachlapała, bo na sukience pozostaną plamy, dawał jej bawić się soczystymi pestkami granatu, ile dusza zapagnie. Na jej trzecie urodziny sprawił jej huśtawkę.

Był gorący dzień i właśnie wracałam z Salwą z ambulatorium. Lekarz nie przyjechał, a my czekałyśmy na niego przez całe przedpołudnie. Co prawda drzewa rosnące przed ambulatorium rzucały gęsty cień i było tam mnóstwo dzieci, z którymi Salwa mogła się bawić, jednak zrobiliśmy się głodne, a droga do domu wiodła pod górę. Wspięliśmy się po Wielkich Schodach i właśnie wlekliśmy się przez starożytny rynek, kiedy Salwa nagle zaczęła piszczeć z radości. Dawniej z tego miejsca widać było tylko górę naszej jaskini i płotek przed przepaścią, natomiast teraz widoczna była także rama nowej huśtawki. Nie zakładałam, że wiedziała, co to jest, ale naprawdę domyśliła się sama z siebie.

— *Azingiha* — wysepleniała. Miałam wrażenie, jakby duszą i sercem była już przy huśtawce, a nawet jej ciało unosiło się ponad nierównymi, wysokimi stopniami. I rzeczywiście tak było. Resztę drogi do domu przebiegła jak strzała.

Letnie opowieści

Czas płynął. Gdyby nie wizyty lekarza raz w tygodniu, straciłabym w ogóle poczucie czasu. Muhammad codziennie wychodził rozstawić swój kramik z pamiątkami, a ja zajmowałam się Salwą i Raamim — głównie spierając z ich ubranek czerwony piasek, którym się bawili, a także pilnując ich: Salwy, żeby nie spadła ze skał i nie łapała skorpionów, a Raamiego, aby nie zjadał piasku, czy też niedopałków papierosów, które wybierał z ziemi zręcznymi, drobnymi paluszkami.

Często jeździłam do Ma'anu, zwykle do porodów, chociaż raz do asysty przy wydaleniu samego łożyska. Długo wyczekiwana córeczka Umm Chalid wreszcie przyszła na świat, niestety łożysko pozostało w macicy,

choć asystujące przy porodzie przyjaciółki na próżno próbowały wydobyć je wszystkimi znanymi sposobami. Związały zatem pępowinę i kiedy jedna z kobiet pozostała w domu z dzieckiem, pozostałe zaprowadziły Umm Chalid do doliny, gdzie już czekałam w samochodzie. Nie ma pośpiechu, zapewniały, ponieważ zabezpieczyły łożysko (przywiązując pępowinę do „kotwicy” z kamienia, którą położnica niosła pod *mudragą*), więc raczej nie było możliwości, żeby przemieściło się na dawne miejsce. Doktor wielokrotnie już spotykał się z takimi przypadkami. Zastrzyk i energiczny masaż pomogły szybko zakończyć cały poród wraz z wydaleniem łożyska.

Pod koniec lata, kiedy w ogrodach otaczających Wadi Musa i w dole u źródła dojrzały już figi i winogrona, miejscowi gremialnie dostali zapalenia spojówek. Najlepiej pomagało przemycie naparem z nasion anyżu, wręczyliśmy także chorym cały zapas kropli do oczu, jaki mieliśmy w ambulatorium.

W letnie wieczory siadywaliśmy na naszej półce skalnej. Parzyliśmy herbatę miętową i kroiliśmy arbuza na *sidrze* ostrzem noża. Lepiej było siedzieć w domu, zwłaszcza kiedy dzieci były małe, a gości i tak nigdy nam nie brakowało.

Nasze posłanie urządzaliśmy na *ma'ruszy* — na czterech *farszach* z gąbki ułożonych obok siebie, które obciągnęłam dwoma zszytymi ze sobą prześcieradłami. Leżały tam także koce, którymi przykrywaliśmy się w nocy, a nasza moskitiera, zwisająca z żerdzi jak tiulowa zasłona, chroniła nas przed komarami i skorpionami. Salwa i Raami zasypiali przy starych beduińskich opowieściach.

Musa opowiedział nam o swojej wyprawie do Wadi Araba. Pochodził z plemienia Amarin, prawdziwy Beduin nomada, kościsty, z wysuniętymi przednimi zębami i skłonnością do rubasznego śmiechu. Kupił starego pikapa i

sam nauczył się go prowadzić, ale podobnie jak większość kierowców na pustyni nie zatroszczył się o zdobycie prawa jazdy. Tylko szczęśliwy traf i spryt uratowały go od zapłacenia mandatu.

— Parę tygodni temu wybrałem się do Grij-gri — opowiadał — po ładunek pomidorów. Kamienistą drogą wśród gór zazwyczaj jedzie się kilka godzin, potem jakieś piętnaście minut główną drogą, którą jeżdżą ciężarówki wożące potaż, a na końcu skręca się na targ gospodarstwa ogrodniczego.

Byłem szczęśliwy, że wreszcie znalazłem się na asfaltowej jezdni i nie rozjeżdżałem już węży, gdy nagle zatrzymał mnie policjant na punkcie kontrolnym. Stałem i stwierdziłem, że to Ali, chłopak z naszego plemienia. Nie widziałem go, odkąd skończył drugą klasę i porzucił szkołę. On również mnie poznał i wyprężył się dumnie, żeby popisać się mundurem, a potem poprosił mnie o prawo jazdy.

Wyjąłem portfel i podałem mu mój dowód osobisty. Ali bacznie mu się przyjrzał. Potem odwrócił i sprawdził dokładnie również z drugiej strony. Zwracając mi dowód, skomentował: „Widzę, że nauczyłeś się prowadzić”.

Schowałem dowód jak najszybciej i kiedy wepchnąłem portfel do kieszeni kurtki, przyszedł mi do głowy złośliwy komentarz. Puściłem delikatnie sprzęgło, oczywiście tyle, na ile stan mojego datsuna pozwolił, i wypaliłem, „A ja widzę, że ty się nauczyłeś czytać!”.

Nie byliśmy pewni, czy wierzyć tej opowieści, ale tak czy siak, zaśmiewaliśmy się na cały głos.

Z kolei Al-Dżimadi często opowiadał nam o tygrysach, które zabił jego ojciec, dziadek, czy może jakiś inny przodek.

Tygrysy? W tym regionie? Jakoś nie mogłam w to

uwierzyć, póki nie zobaczyłam wypchanej, zwietrzałej zwierzyny w zapyziałym sklepie z dywanami w Akabie. Muhammad wpatrywał się w nią z zachwytem. Gdyby nie jego szczery podziw, nigdy bym się nie zorientowała, że to tygrys. Ciemnobrązowe i płowe pasy można było dostrzec tylko z bliska, natomiast rozmiarem przypominało raczej dużego kota. Nie taki obraz stawał mi przed oczami, kiedy Al-Dżimadi opowiadał o swoim przodku, który wypatrzył tygrysa na dalekiej skale. Chociaż pradziad był pewny, że nie spudłował, drapieźnik nawet nie drgnął. Strzelił ponownie. Miał sławę doborowego strzelca, ale tygrys wciąż uparcie tkwił na skale. W kolejnych opowieściach liczba strzałów wahała się od siedmiu do dziesięciu, zanim myśliwy powalił zdobycz i podszedł bliżej. Za skałą leżała cała brązowa sterta zabitych tygrysów.

Kiedy po raz enty słuchałam tej historii, walczyły we mnie mieszane uczucia, lecz zawsze wstrzymywałam się od komentarza, jak nieprawdopodobna i śmieszna jest ta opowieść. A jednak po odkryciu w Ammanie pomyślałam, że mogła być prawdziwa, a myśliwy okazał się odpowiedzialny za eksterminację całego gatunku.

Byli także inni starzy bohaterowie. Opowiadano nam o Salamie Samahinie, którego zwali Habab ar-Rih — Podmuchy Wiatru. Utonął w zbiorniku przy Grobowcu Urny, ale przedtem spędził wiele lat walcząc przeciwko Brytyjskiemu Mandatowi w Palestynie i w końcu nakręcono o nim serial telewizyjny. Muhammad uwielbiał opowiadać o tym, jak z komisariatu policyjnego w Wadi Musa przybyli funkcjonariusze, żeby zatrzymać Salama. Mógł im umknąć, ale ciągle był wierny tradycyjnej beduińskiej gościnności. Sterczał na grani nad swoim namiotem ze strzelbą w rękę i nakazał żołnierzom zarznąć kozę należącą do jego stada, a żonie polecił przygotowywać *sżrak* na *mansaf*. Potem

odesłał ich z powrotem do Wadi Musa.

Wspominano także z pewnym odcieniem podziwu młodego człowieka, który odważył się wspiąć na płaskie dachy domów w Wadi Musa, żeby kraść suszące się figi. Co za brawura! Jego plemię musiała nękać okropna nędza, skoro chłopak porwał się na takie szaleństwo.

Pewnego dnia, gdy Muhammad wrócił z ustępu z zabitym wężem — dostrzegł go w świetle księżyca na wystającej skale i zabił celnym uderzeniem kamienia — rozpoczęła się cała seria opowieści o gadach. Każdy miał jakieś doświadczenie.

Dawno temu, jeszcze w czasach, gdy nie było szpitali i antidotum na jad, ojca Awaza wąż ukąsił w duży palec u nogi. Nie tracił więc czasu na poszukiwanie pomocy. Wyciągnął dobrze zaostrzoną *szabriję*, odciął sobie palec i skrawkiem materiału oderwanym od skraju swojej *sauby* zabandażował ranę. Przeżył tylko dzięki przytomności umysłu.

Pomyślałam, że miał dużo szczęścia, że wąż ukąsił go w część ciała, którą można odciąć. Potem jednak dowiedziałam się, że człowiek ugryziony w piętę także wyszedł cało. Co prawda nie jestem pewna, czy przypadkiem nie opowiedziano mi historii Faradża po to tylko, aby wypróbować moją łatwowierność albo wychwalać hart ducha dzielnego beduińskiego ludu. Tak czy siak, usłyszałam opowieść o starym Beduinie, który nigdy w życiu nie nosił butów.

Miał stopy rozklapane jak wielbłądzie kopyto, mówili, stwardniałe, pokancerowane i pokryte odciskami. Podobno kiedy dotarł na miejsce pracy przy wykopaliskach z wężem przyczepionym zębami do martwego naskórka pięty, wszyscy wybuchnęli śmiechem. Miał szczęście, że uszedł z życiem, bo kiedy beztrosko stąpał po kamienistym

bezdrożu, nastąpił na jednego z najbardziej jadowitych węży występujących w Jordanii. Były one przy tym dość niepozorne i Faradž nawet nie odczuł jego ciężaru. Zazwyczaj ten gatunek umyka pośpiesznie na odgłos ludzkich kroków i pozostawia tylko ślady na piasku — lekkie smugi podobne do tropów jaszczurek, tylko bez śladów odnóży.

Trudno było jednak nie zauważyć *hama*, którego zabił Muhammad — to najczęściej spotykany u nas gatunek. Węże *ham* są ciemne, prawie czarne i najczęściej mierzą około metra. Ze względu na swoją wielkość i ciężar pozostawiają wyraźne ślady i zwijają się w kłębek jak rzeczne wiry, jeśli znajdą wygrzane legowisko w piasku. Mówiono, że są nieszkodliwe, powinniśmy zatem powiedzieć tylko *sib* i zostawić je w spokoju. (*Sib* mówi się dzieciom, kiedy dotykają czegoś, czego nie wolno im ruszać — „zostaw to w spokoju.”)

Pewnego razu kiedy mój teść Abdallah przebudził się, znalazł *hama* zwiniętego w jego *saubie*. „*Sitrik, ja Rab*”, przeżegnał się na ten widok. Cała rodzina brała udział w żniwach i w letnie, skwarne popołudnie wszyscy zdrzemnęli się na chwilę. Abdallah oparł się o drzewo terpentynowca, chcąc odpocząć w jego cieniu. Okazało się, że cieniste miejsce stanowiło również doskonałą kryjówkę dla węża. Abdallah uświadomił sobie znienacka, że wąż wślizgnął się pod jego *saubę* i okręcił wokół pasa. Wiedział, że to *ham* i że są one zazwyczaj niegroźne, ale jak pozbyć się gada tak, aby ze strachu nie zaatakował? Teść bardzo starannie zapinał pas, żeby nie zsuwał się podczas pracy, a teraz próbował go odpiąć, modląc się żarliwie. Serce waliło mu jak oszalałe i sam był zaskoczony, że gwałtowne bicie serca nie zaalarmowało węża. Potem podskoczył i jednym ruchem pozbył się pasa i uczeplonego na nim węża. Gad przez chwilę leżał spokojnie na ziemi, być może oszołomiony, a potem powoli odpełznął w trawę. Abdallah nie zabił go z tej

prostej przyczyny, że wąż nie zrobił mu krzywdy. Powiedział *sib* i dał mu uciec. Niestety, najstarszy kozioł z jego stada nie miał aż tyle szczęścia. Mój teść zarznął go wieczorem w ofierze, dziękując Allahowi za wysłuchanie modłów i zaprosił na ucztę dziękczynną wszystkich z okolicy.

Ucieszyłam się, że Muhammad zabił węża. Bałabym się korzystać z toalety, wiedząc, że jest gdzieś w pobliżu, a do innego ustronnego miejsca było dość daleko. Ludzie twierdzili, że czasem się zdarza, iż na terytorium opuszczonym przez jednego węża pojawia się drugi, groźniejszy, ale chociaż codziennie sprawdzałam, nigdy już żadnego nie zauważyłam.

Historia jedyne w okolicy mordercy była rzadko wspominana. Odsiedział już wyrok i wiódł spokojne życie z żoną, dziećmi i stadem kóz. Zamordowanie człowieka tylko dla zdobycia jego strzelby i ubrań było niewybaczalnym grzechem, nieakceptowanym przez Beduinów.

Skorpion pojawił się pewnego wieczoru, kiedy siedzieliśmy w świetle lampy. Natychmiast go zabiliśmy i *al-hamdu li-llah*, że nie wkradł się do czyjejs kurtki ani nie wszedł do nogawki spodni, kiedy siedzieliśmy na matach przodem do ogniska.

Bywały lata, że w ogóle nie widywaliśmy skorpionów, kiedy indziej był ich cały wysyp. Rano, kiedy podnosiłam rzeczy — kanistry, materace, derki osłów — odkrywałam je niechcący i wtedy uciekały pośpiesznie albo udawały martwe. Uszyłam kolejną moskitierę, żeby uzupełnić naszą ogromną zasłonę i bardzo się nam przydała. Dzięki niej koty trzymały się z dala od naszego pośłania. Ruda kotka Muhammada i Salwy, którą znaleźli w Akabie, okociła się

ostatnio i teraz próbowała przenieść swoje maleństwa w miękkie i przytulne miejsce. Chciałam trzymać ją z dala od mojego pośłania i pościeli, dlatego wysłałam workiem pudło pod kuchennym stołem. Kuchnię wypełniały teraz odgłosy miauczenia i mruczenia.

Skorpiony zwykle przeciskały się pod nasze legowisko i leżały tam rozplaszczone, ale pewnego dnia wypatrzyliśmy spod siatki, jak ogromny czarny skorpion wspina się po jej powierzchni. Niestety, w jaskini nie mogliśmy rozstawić moskitiery. Kiedy chłodne podmuchy wschodniego wiatru zmusiły nas do ucieczki do środka, układałam tak zwany powitalny worek przy drzwiach jaskini, żeby chowały się pod nim. Nie wiem, czy pewnego dnia zapomniałam, a może skorpion, którego znalazłam na bluzie od dresu Salwy, nie dał się zwabić. Dzięki Bogu, bluza była wywrócona na lewą stronę. W przeciwnym razie wcisnęłabym ją od razu na główkę Salwy. Tak samo jak wtedy, kiedy chciałam poprawić rękaw sukienki i nagle, wyczuwszy skorupę i kleszcze, dostałam dreszczy. Natychmiast rozgniotłam go na ścianie, zanim nawet zobaczyłam, co to naprawdę jest.

Gromadziliśmy nasze własne doświadczenia z niebezpieczeństwami zbyt szybko jak na mój gust.

Palenie

Pałam od lat. Im bardziej moja ciąża była zaawansowana, tym więcej paliłam, a kiedy miałam już dzieci, uwielbiałam palić *cigarę*, ilekroć zasiadałam do karmienia piersią. Większość mężczyzn paliła i tylko nieliczne kobiety odmawiały, kiedy częstowałam je papierosem. Ja i Muhammad paliliśmy Gold Stary, produkowane przez Jordanian Tobacco Company, ale kiedy w sklepach w naszej okolicy ich brakowało, kupowaliśmy

gorsze jakościowo Reemy czy Kamale. Czasem nawet skręcaliśmy *hiszi*, dostawaliśmy wtedy ataków kaszlu i żółkły nam zęby oraz palce, ale tak czy siak, były to papierosy. Ilekroć przeczesywałam zakamarki naszego smaganego wiatrem podwórka w poszukiwaniu porzuconych petów albo paliłam wykruszone i wysuszone resztki, widziałam, że muszę rzucić nałóg. Jednak wiedziałam również, że nie uda mi się, jeśli nie zrobi tego najpierw Muhammad.

Pewnego dnia po jego wyjściu do pracy znalazłam w jaskini całą paczkę. Pomyślałam, że pewnie zapomniał, ale po powrocie do domu oświadczył, że rzucił palenie. Przez następne dni starałam się przy nim nie palić i zastanawiałam się, jak on to znieśie. Pewnego dnia poprosił, żebym przypilnowała jego kramiku przez kilka godzin. Zaparzyłam herbatę, do śniadania zapaliłam papierosa i prawie skończyłam paczkę, czekając na niego. W ustach miałam gorzkawy, nieprzyjemny posmak — Beduini mówią o tym smak oślej derki. Postanowiłam: „Teraz albo nigdy”. Upchałam resztę paczki w głąb drewnianej komody, mając nadzieję, że nikt jej nie znajdzie. Nie życzyłam sobie, aby ktokolwiek zakładał się, jak długo wytrzymam.

Pierwszy dzień jakoś przeżyłam, mówiąc ludziom, którzy mnie częstowali „Właśnie przed chwilą wypaliłam” i pochłaniając prawie kilogram kandyzowanych migdałów, żeby zająć czymś ręce.

Sądziłam, że mi się udało rzucić, ale pewnego wieczoru Muhammad nie wrócił na noc, a ja poczułam się zupełnie roztrzęsiona. Późnym popołudniem zaproponował trzem roześmianym Australijkom w kusych podkoszulkach, że podrzuci je do namiotu w pobliżu schroniska, tak, aby mogły złapać poranny autobus. Kiedy zapadła noc, a on nie wracał, poczułam się zazdrosna. Miotła mną coraz większa zazdrość, a tymczasem księżyc chował się za

zamkiem krzyżowców.

Przegrzebałam kredens w poszukiwaniu ukrytych papierosów, przysięgając, że jeśli nie spędził tej nocy w szpitalu albo więzieniu, odejdę od niego rano!

Przeszukałam całe podwórko, ale było skrzętnie wysprzątane. Usiadłam przy furtce w świetle gwiazd, na próżno wypatrując jakiegoś palacza przechodzącego dróżką. I tak minęła moja noc pełna zwątpienia i rozterek.

Nie opuściłam Muhammada. Okazało się, że spędził całą noc w areszcie za to, że wdał się w kłótnię z nadętym gliniarzem, który sądził, że tylko on mówi po angielsku i próbował nadużyć władzy, żeby powstrzymać „ciemnego” Beduina od „napastowania” cudzoziemek.

W areszcie Muhammad nie miał kłopotów ze zdobyciem papierosów w celu złagodzenia stresu!

W ciągu lat taka sytuacja powtórzyła się zaledwie kilka razy. Musiałam sobie wtedy przypominać, że to właśnie wielkoduszność i umiłowanie wolności tak ceniłam w Muhammadzie. Niestety, zdarzało mi się obwiniać dzieci, ponieważ stanowiły dla niego wymówkę, żeby nas nie zabierać ze sobą na podobne eskapady.

Jestem członkiem plemienia

Pewnej letniej nocy byliśmy na kolejnym weselu. A może to była uroczystość obrzezania? Te ceremonie były bardzo do siebie podobne. Zamiast orszaku państwa młodych, od namiotu do namiotu przechodził otoczony wianuszkami podekscytowanych ludzi *Szalabi* z niewielką, skórzaną walizką. (Musiałam długo nakłaniać Muhammada do obrzezania naszych synów w szpitalu, choć później przekonałam się, jak szybkim i zręcznym fachowcem był lokalny *Szalabi*. Trafiło do mnie zaledwie kilku chłopców,

którzy wymagali leczenia po zabiegu i zazwyczaj tylko z takiego powodu, że matki nie zadbały, żeby nie zbliżali się do wody i opatrunki przywarły im do ran.) Po rytuale obrzezania o przebranych w miniaturowe *sauby* chłopcach zapominano na resztę uroczystości, ponieważ rodzice zajęci byli rolą gospodarzy. Większość chłopców miała wtedy rok lub dwa i byli na szczęście za mali, aby pamiętać ten obrzęd.

Zdarzało się, że ceremonia zaślubin lub obrzezania odbywała się jednocześnie w trzech rodzinach, toteż można było świętować ją razem i dzielić koszty. Rozstawiano namioty obok siebie, wzdłuż Urgub Dżimi'an, z widokiem na całą Petrę.

Ozdobna, wisząca przed namiotem *hubli mawadda* była moim dziełem. Teraz, kiedy pracowałam w domu i obmyślałam, jakie by tu uszyć sukienki pod *mudragi*, wszyscy znosili mi materiały i nigdy nie składałam *makiny*. Jeśli skrawki materiału nie wystarczały na uszycie dziecięcej sukienki albo na parę dodatkowych rękawów, dodawałam je do mojej „odświętnej girlandy”. Przypominała mi trochę moją własną historię — niektóre skrawki, tak jak niektórzy ludzie, były jaśniejsze lub odgrywały główną rolę, podczas gdy inne pojawiały się tylko sporadycznie, tu i ówdzie. Cała girlanda przypominała mnie samą, łączącą ich wszystkich razem i pozwalającą im błyszczeć.

Wypożyczałam moją *hubli mawaddę* wszystkim, którzy mnie o to prosili, na każdą uroczystość. Zwracali ją potem splątaną i przesyconą dymem jałowca, ale za to z pudełkiem miejscowych słodczy w podzięce.

Śpiewy i świętowanie, jak zawsze, trwały do późna w nocy. Przed namiotami sznur tancerzy kołysał się zmysłowo. Kilku dorastających chłopców nieśmiało dołączało do grona bawiących się gości, ale większość młodszych dzieci już spała w pogrążonych w ciemnościach

namiotach. Natchnione poezją strofy tradycyjnego *samaru* rozbrzmiewały w pogrążonej w ciszy dolinie.

Na chwilę przysiadłam obok Muhammada w kręgu mężczyzn i zajęłam się rozmową z trzema młodymi antropologami ze Stanów, którzy przybyli wraz z Abu Szahirem, aby zbadać plemię Bdul. Kiedy przyglądałam się amerykańskiemu naukowcom, widziałam siebie podczas mojego własnego ślubu — wtedy postrzegałam jeszcze Beduinów przez pryzmat stereotypów, jako zbiorowość. Teraz, dostrzegłam to z dumą, znałam każdego z nich z osobna. Serce rosło we mnie tak bardzo, że miałam wrażenie, iż zaraz mi pęknie, kiedy obserwowałam sznur tancerzy o twarzach z nagłą oświetlonych płomieniami ogniska. Awaz, Salim, Ali, Ismain, Ali F., Sliman i Muflih — tu byli wszyscy moi znajomi i przyjaciele. To samo uczucie towarzyszyło mi, kiedy skupiałam się na starszyźnie przycupniętej przy ogniu. Id i Huwajmil dzielili się *hiszi*, wygrzebaną z głębi kieszeni. Kobiety, Dżidaja i Umm Mahmud podsycaly ogień, żeby zaparzyć herbatę, buzujące płomienie jasno oświetlały ich twarze. Ci zwykli, prości ludzie, dobrzy i źli, szczęśliwi lub smutni, ciemni lub mądrzy, w oczach świata byli tylko „ludem z Petry”, a dla mnie — przyjaciółmi.

Często przesiadywałam z przyjaciółmi. Początkowo kiedy zapraszano nas na obiady bądź kolacje, siadałam razem z Muhammadem i jadłam z mężczyznami, ale kiedy poznałam Beduinki i nauczyłam się miejscowego narzecza, dołączałam do kobiet. Zdarzało się jednak, że podczas wesel czy szumniejszych uroczystości Muhammad wyciągał mnie z towarzystwa pań i nakłaniał, żebym usiadła przy nim. Wiedział, że uwielbiam kawę i lubię wyciągnąć się na poduszkach. Jeśli nie było go w pobliżu, włóczyłam się między ludźmi i z czasem wszyscy przyzwyczaili się do tego. Później moje pewne siebie zachowanie w każdej niemal sytuacji przyniosło mi miano „*tigul radzul*”, tej, co

zachowuje się jak mężczyzna.

W miarę trwania uroczystości młodszy mężczyźni wymalowani *kuhlem*, w *saubach* i przyozdobionych frędzlami *mindilach*, wpadali w coraz lepszy nastrój i tańczyli w kole tradycyjną *dabkę*. Potrząsając frędzlastą chustą, Abu Saksuka pierwszy podawał ton „*Rida ha, rida HA!*”, a reszta mężczyzn przytupywała do taktu. Kurz wzbijał się w górę, wokół roznosił się dźwięk bębnow, mężczyźni kołysali się ramieniem w ramię. Strzały z karabinów rozświetlały niebo, przyciągając uwagę. Z kabur wydobywano pistolety i odwijano je z ozdobionych pajetkami chusteczek. Posyłano siostry i żony po strzelby, sprytnie ukryte pod stosem pościeli w głębi ciemnych namiotów. Podnoszono pistolety wysoko w górę, bang, bang, ale ich dźwięk zagłuszał terkot Umm Gurin, czyli Matki Rogu, jak Beduini nazywają kałasznikowa, ze względu na jego wystający magazynek. Echo niosło się doliną, tłumiąc dźwięki pieśni i powoli cichnąc w oddali.

W namiocie kobiet dziewczyny żarliwie zabiegały o uwagę. Chatma i Chatma H. śpiewały razem. Głosy o nosowym brzmieniu, o przedziwnym pięknie i mocy, były skierowane do wybrańców ich serc, którzy, nawet ja to wiedziałam, tańczyli dla nich na zewnątrz w tradycyjnym kręgu. Był to szczególny rodzaj bliskości — nie widzieli siebie, za to dobrze się słyszeli. „*Jabu džaket ar-ramadi*” — chłopaku, w szarej kurtce — coraz więcej dziewcząt w nowych *mudragach* i *chustach na głowach dołączało do nich i wznosiły z nimi śpiewy*, „*La titmasza bi-l-wadi, al-ajn laggini, al-ajn stannini*” — nie schodź w dolinę, spotkajmy się przy źródle, czekaj na mnie przy źródle. Kiedy wyczerpywały się już stare strofy pieśni, śpiewały dalej, układając nowe „*Bukra bjinzil as-saruch, ja juma!*” — O, matko, jutro spadnie rakiet! — śpiewały o Skylabie. Martwiły się wieścią, że stacja orbitalna spaliła się w atmosferze ziemskiej, a jej szczątki spadły do Oceanu

Indyjskiego[50].

Dżidaja, Umm Awwad i dwie inne kobiety ze starszego pokolenia śpiewały bardziej tradycyjne pieśni *hidżini*, niemożebnie przeciągając każde słowo i powtarzając je w kółko, aby wypełnić wersy. Zazwyczaj śpiewano bez chwili przerwy, ale dziewczyny zamilkły na chwilę, a zatem starsze niewiasty mogły się nagrać na kasecie. Basma kupiła nowe baterie do magnetofonu i udało jej się wyprosić częściowo pustą kasetę od jednego z *niszama*. Potem musiałyśmy wysłuchiwać tego nagrania emitowanego każdego wieczoru z jej jaskini, póki nie wyczerpały się baterie.

Nie wzięliśmy ze sobą koców, a zatem powędrowaliśmy do domu. Księżyc wyraźnie oświetlał nam drogę. *Samar* i sporadyczne odgłosy salw karabinów niosły się echem wśród skał, niewielkie punkciki świetlne znaczyły domy Beduinów. Salwa szybko zasnęła w ramionach ojca, Raami spał spokojnie na moich plecach obwiązany *muzfirem*, a ja czułam, jak ogarnia mnie błogie uczucie przynależności. Wiedziałam, że należę do plemienia.

Namiot Bachity

Latem 1983 roku rodzina Gublana rozbiła namiot na wzgórzu naprzeciwko nas, w miejscu, gdzie popołudniami rzucał cień zamek krzyżowców. Teraz Bachita rozstawiała krosna za namiotem i zabierała się za tkanie pasa do namiotu z nowo usnutej przędzy z koziej sierści. Zdecydowałam się: teraz albo nigdy, jeśli mam się nauczyć prząć i tkać, to muszę zmusić się do codziennego wysiłku.

Kiedy Muhammad wyruszył do stałego miejsca pracy w teatrze, zarzuciłam Raamiego w *muzfirze* na plecach i ruszyłam w drogę. Salwa podskakiwała z przodu, a ja minęłam namioty siostry Alego F. i siostry Rachijji oraz

kolumnę Faraona (którą nazywano Zibb Farun, ale ja miałam tak nie mówić, bo znaczyło to „fiut faraona”) i dotarłam do domu Bachity.

Pod koniec zimy synowie Gublana wyciągali namiot z głębi jaskini i rozstawiali go na słońcu. Wyglądał jak czarny prostokąt na szczycie nagiej skały Az-Zanab. Inne rodziny robiły tak samo. Salama al-Muchtar nie miał już czarnego namiotu z koziej sierści, ale rozkładał nad jaskinią letni *ma'rusz* wykonany z desek, zgrzebnego workowego płótna i resztek starego brezentu. Kobiety pomagały sobie, cerując dziury i zszywając skrawki materiałów oraz sprawdzając, czy kawałki obrobionego drewna przykrywające końce palików namiotu (tak, aby te nie przebiły materiału) są na swoim miejscu. Okręcały palce strzępami tkaniny zamiast naparstka, aby przepychać igły wielkości dziesięciocentymetrowych gwoździ przez gruby materiał.

Wszystkie namioty w dolinie miały podobny rozmiar, chociaż młodsze rodziny zajmowały te nieco mniejsze, niższe i węższe, zrobione z mniejszej liczby pasów. Namiot Bachity wykonano z 8 pasów o długości 16 metrów i szerokości 60 centymetrów. Rozstawiony na dwunastu palikach miał około 60 metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej. Zazwyczaj wydzielala ona jedną trzecią przestrzeni na *szig*, ale wtedy musiała tkać pasy na zewnątrz, w cieniu skleconego zadaszenia. *Riwag* był oddzielnym kawałkiem materiału złożonym z trzech części, uszytym z białego płótna i z dodatkowym pasem na całej długości oraz z *muchulem* na wierzchu. *Muchul* to pas materiału o szerokości 20 centymetrów, który jeśli zostanie zniszczony lub podrze się w miejscach, w których wkładane są drążki łączące tył namiotu z dachem, można łatwo i tanio zastąpić nowym.

Co roku latem *niszama* wypełniali dolinę, strzygąc owce dla co wieczór innej rodziny. Był to czas świętowania, jedzenia *fatty*, picia herbaty, flirtów i zabaw. Motanie nici

to także letnie zajęcie dla kobiet będących w ruchu. Dziewczęta wyprowadzające kozy miały przewieszane na ramionach warkocze z sierści oraz pełne torby. Do wieczora zmieniały sierść w grube motki przędzy, nawinięte na proste drewniane wrzeciona. Kobiety przychodziły do ambulatorium i siadały jedna z dala od drugiej, żeby nie obsypywać się nawzajem sierścią, która pyliła się wszędzie dookoła. Kiedy przyjeżdżał lekarz, upychały wrzeciona do wykonanych ze sztucznego włókna worków po ziarnach, przystosowanych do noszenia na plecach (choć koniec końców dźwigały je na głowie) i wciskały między krzewy oleandrów.

Do utkania jednego pasa materiału potrzebna była sierść ponad pięćdziesięciu kóz. Gdy Bachita nawinęła już nić w kłębki i splotła je podwójnie na motkach, wyciągała krosna wykonane z drewna i kamieni i rozstawiała je z pomocą Nury, otoczona wianuszkiem dzieciarni. Pokrzykiwała przy tym „*hak, ja ajjil*” — proszę, mały, „*imsik, ja walad*” — trzymaj to, synku i „*szuwajja, szuwajja*” — spokojnie, spokojnie, żeby wykorzystać, a jednocześnie ostudzić zapał małych ochotników.

Bachita mierzyła włóczkę, stosując nową jednostkę miary — głowę. Raz, dwa, trzy... czterdzieści razy okręcała ją wokół głowy i jeśli któreś pasmo leżało nierówno, uklepywała je. Oczywiście, czasem trzeba było owijać ją i odwijać parokrotnie, żeby pasma przylegały równo i ściśle do siebie. Kilka razy dziennie — po utkaniu sporego kawałka rozbierałyśmy krosna i stawiałyśmy je na nowo trochę dalej.

Chociaż w ciągu dziesięciu dni nauczyłam się nawijać wełnę i tkać, utkanie pasma materiału wymagało wiele samozaparcia. Codziennie, zanim Bachita pozwoliła mi zasiąść przy sobie — tak, abym mogła wyciągnąć każdą ośnowę zagiętym rogiem gazeli *nutty*, potem przetknąć ją i przeciągnąć wątek patyczkiem — starała się traktować

mnie jak gościa. Wyjmowała *džannabiję* oraz częstowała herbatą i śniadaniem mnie i moje dzieci. Prawie co dzień przychodziły tkać również inne kobiety, a ponieważ były bardziej doświadczone i pomocne niż ja, więc czekając na moją kolej, nauczyłam się gręplowania i zwijania wełny. Najbardziej zniechęcająca okazała się Fraidża, która przyszła pomóc i zastała mnie przy nawijaniu dwóch mokrych nitek (mokra sierść jest rozciągliwa i wysychając, lepiej zbija się w ciasny motek). Stanowczo odradziła mi naukę tkania.

— Ty się tego nie ucz! — stwierdziła, pokazując mi sękate i popękane ręce — Zniszczysz sobie dłonie!

Chociaż nauczyłam się prząć i tkać, to prawdę mówiąc, nigdy mnie to nie pociągało. Nie potrzebowałam namiotu. Wygodniej było go pożyczyć od kogoś, kiedy tego potrzebowaliśmy, na przykład na ceremonię obrzezania Raamiego celebrowaną razem z weselami Ibrahima i Salima. Był to jedyny użytek z namiotu, jaki sobie wyobrażałam.

Czarna chmura, jaką stanowiła dla Beduinów budowa osiedla, powoli nadciągała nad Umm Sajhun i nabierała realnych kształtów. Nie zważała na naturalne ukształtowanie terenu, ścieżki i szlaki, którymi spływały wody zimowych opadów, ani na drogę słońca po nieboskłonie, kierunki wiatrów, czy też pejzaż. Co więcej, zaczynała też wywierać wpływ na naszą przyszłość.

Dachilallah — chory człowiek

Pewnego wieczoru pod naszą półką skalną zatrzymała się furgonetka. Mąż Rachijji, Salim, zapłacił kierowcy i kiedy pomagał swojemu bratu wspinać się ścieżką, zrozumiałam, że przyszli tu, aby zostać. Dachilallah włókł się zgięty wół i raczej nie było sposobu, żeby doszedł do

Klasztoru, czy nawet do jaskini Salima i Rachijji, która była położona bliżej, na opadającym ostro w dolinę zboczu. Wyciągnęłam *farsze* na *ma'rusz*, kiedy przechodzili przez furtkę i Dachilallah z krótkim „*salam*” zrzucił swoje *szipszipy* i opadł bezwładnie na jedną z nich. Zdjął *mindil* i zrobił z niego okrągłe zawiniątko pod głowę.

Dachilallah był tego samego wzrostu co Muhammad, ale ze względu na drobne kości wydawał się niższy. Był poważny i zawsze zachowywał się, jak należy, przy tym miał cięty język, promienny uśmiech i był skory do żartów. Mieszkał w Klasztorze razem z żoną, która także nosiła imię Rachijja, choć od urodzenia pierwszego z dziewięciu synów wszyscy zwali ją Umm Chalid. Początkowo mieszkali w Az-Zanab. Muhammad nawet mi kiedyś pokazał zacementowaną dziurę w skale — otwór w zbiorniku, do którego wpadł i utopił się ich drugi syn, zanim jeszcze nauczył się chodzić. W Klasztorze mieli bliżej do miejsc, gdzie można było zbierać drewno na opał oraz do pastwisk dla kóz. Częstoowali także herbatą turystów, zmordowanych czterdziestopięciminutową wspinaczką. Dachilallah codziennie rano schodził do pracy w Wydziale do spraw Zabytków, był tam zatrudniony jako kamieniarz i robotnik budowlany. Uważano go za świetnego fachowca, toteż często proponowano mu nadgodziny przy wykopaliskach prowadzonych przez przyjezdnych archeologów. Sklep, który otwierał po pracy, mieścił się w jaskini pod muzeum. Często letnimi popołudniami zachodziliśmy do niego zwabieni chłodem i cieniem, jaki dawała góra, w której wydrążono jaskinię. Oczywiście kusily nas także czajniczek świeżej herbaty oraz perspektywa miłej rozmowy. Sprzedawał, tak jak niemal wszyscy sklepikarze, paczuszki herbaty, puszki sardynek i plastikowe buty. Od czasu do czasu pomagał mu któryś z jego przystojnych synów. Chłopcy biegali po górach szybciej niż kozice i bili rekord biegu w tę i z powrotem do Klasztoru za każdym razem,

kiedy wysyłano ich z jakimś zleceniem.

Nalałam Salimowi herbaty. Sięgnął po szklanę trzęsącą się ręką.

— Przyjeżdżamy z *mustaszfy*, z ośrodka zdrowia w Wadi Musa — powiedział — zszedłem na dół kupić papierosy i zastałem go, jak gryzł swój *mindil*, żeby zdusić ból. Na szczęście Abu Zila rozwoził jęczmień, więc zatrzymałem go i zawiózł nas prosto do lekarza. Dostał zastrzyk, ale wcale nie poczuł się lepiej.

— *Chuzu rahatku* — zaprosiliśmy go, żeby się rozgościł razem z bratem, który zresztą już zasnął i czuł się jak u siebie w domu. Poradziliśmy mu *Twakkil ala-Allah* zanim poszedł spać.

W środku nocy usłyszałam, że ktoś rozmawia na *ma'ruszu* i poznałam głos Musy A., fachowca od rozgrzanych do czerwoności gwoździ. Skuliłam się pod kocem.

Po raz pierwszy spotkałam Musę A. kilka dni po moim ślubie i po dramatycznym początku nigdy już nie miałam trudności w rozpoznaniu jego głosu, ani tym bardziej jego osoby. Muhammada przeszył gwałtowny ból w boku, a natychmiastowa wyprawa do lekarza skończyła się zaaplikowaniem zastrzyku oraz poleceniem picia dużej ilości płynów. Doktor podejrzewał kamienie nerkowe. Zastrzyk przestał działać, zanim Muhammad wypił do końca herbatę, która miała mu pomóc i ból powrócił. Abdallah, który przybiegł natychmiast, kiedy dowiedział się, że wróciliśmy od lekarza, posłał po Musę A. Obaj napompowali prymus i rozgrzali do czerwoności główkę 10-centymetrowego gwoźdźca. Wcale nie kryli się przede mną, a ja nawet nie podejrzewałam, jak okrutny zabieg przygotowują — i ledwie mogłam uwierzyć, kiedy usłyszałam dziwny syk i poczułam swąd palonego ciała.

— *La! La!* — krzyknęłam wstrząśnięta i jestem pewna, że zrozumieli mnie, choć wcale nie posłuchali. Wtedy złapałam Musę A. za kurtkę i próbowałam go odciągnąć.

Muhammad kazał mi wyjść na dwór i pozwolić im skończyć. Wręcz nie mogłam uwierzyć, że sam daje im się przypiekać. Miał potem trzy różowe ślady na bladej skórze biodra. Wydawało się, że za bardzo cierpi, żeby się zorientować, co się dzieje dookoła, a jednak czekał, aż wyjdę. Wtedy jego ojciec i Musa A. przygięli go do ziemi.

Do rana ból przeszedł.

— *Szufi, an-nar kuwajjis* — stwierdził z przekonaniem Abdallah — wiesz, ogień jest dobry.

Ja jednak uważałam, że kamienie zostały wypłukane, ponieważ Muhammad w ciągu nocy kilka razy ganiał do ubikacji, żeby się wysiusiać i mówił, że bardzo go to bolało.

Domyślałam się, że Dachilallah posłał po Musę A. — działanie zastrzyku zaleconego przez lekarza szybko minęło, a ja nic innego mu nie podałam. Postanowiłam, że lepiej zostać w łóżku z zakrytą głową, niż słyszeć krzyki bólu oraz czuć swąd spalonego ciała.

Dachilallah już siedział, kiedy poderwałam się przygotować śniadanie. Chociaż wypił herbatę, nie zjadł nawet kęsa chleba. Powiedział, że nie pamięta nic oprócz bólu przed kuracją Musy A., ale kiedy poczuł gwóźdź, miał wrażenie jakby coś w nim pękło i poczuł nagłą ulgę, kiedy nacisk się zmniejszył.

Ze względu na moje zajęcie musiałam być wścibska, dlatego spytałam, czy mogę zobaczyć „leczone” miejsce.

Chociaż widziałam już ślady na skórze Muhammada oraz wiele innych, nie byłam przygotowana na taki widok: cały prawy bok Dachilallaha od obojczyka aż do troczków spodni przypominał podkoszulek w kropki — dostrzegłam

przynajmniej dwadzieścia oparzeń. Na plecach zauważyłam ich również mnóstwo. Może chodziło o odwrócenie uwagi chorego?

Nałożyłam maść odkażającą.

Szybko rozeszła się wieść, że Dachilallah źle się czuje. Na naszą półkę skalną zaczęli schodzić się ludzie, aby posiedzieć przy chorym na naszym *ma'ruszu* i zastanawiać się nad przyczyną dolegliwości oraz najskuteczniejszym sposobem leczenia. Chory opowiadał o wszystkim ze szczegółami, od pierwszego ukłucia bólu z boku, przez wizytę w ośrodku zdrowia aż do ozdrowieńczych metod Musy A. Każdy z naszych gości przychodził z inną diagnozą lub innym ziołowym preparatem leczniczym.

— Czy masz *szih*, *bajsiran* albo *hunidię*? — dopytywali się.

Jeśli czegoś nie miałam, natychmiast po to posyłano. Hassan przysłał obdartego dzieciaka jako posłańca z liśćmi szałwii zawiniętymi w jasny skrawek materiału, inni także wysyłali dzieci do jaskiń i namiotów, aby wyszperaty jakieś cenne gatunki ziół. Muhammad wyszedł do pracy.

Goście zajmowali się Salwą i Raamim i pomagali przyrządzać jedzenie, ja natomiast przygotowywałam mikstury. Dachilallah był w stanie przyjąć zaledwie jedną łyżeczkę i chociaż trochę gawędził, oraz zjadł kilka łyżek zupy, z godziny na godzinę był coraz słabszy.

Kolejna noc minęła bez bólu. Tuż po świcie pojawiła się Umm Chalid. Młodsze dzieci wsadziła na osła i przybyła do nas z zamiarem dłuższego pobytu. Chociaż słyszała już, że mąż lepiej się czuje, musiała przekonać się na własne oczy. Nie mogę jej za to obwiniać — miejscowi mają zwyczaj odkładać sprawy nieuniknione oraz zmartwienia na później i twierdzą, że ktoś się lepiej czuje, nawet gdy jest umierający. Nie ulżyło jej jednak na jego widok. Był blady, twierdził, że w nocy źle spał i widać było, że naprawdę cierpi.

Ja też byłam niespokojna i w końcu przekonałam Muhammada i Salima, żeby znowu go zawieźli do lekarza. Tym razem postanowili jechać do Akaby, którą dzieliła od nas o połowę krótsza odległość niż Amman. Był tam szpital wojskowy z lepszymi lekarzami i lepszym sprzętem, niż mieli w Wadi Musa, czy w Ma'anie.

Dzień włókł się w nieskończoność. Goście przychodzili, a ponieważ nie zastali Dachilallaha, czekali razem z nami. Było gorąco i w Akabie musiał panować niemiłosierny upał, zwykle było tam o pięć stopni więcej niż w Petrze. Fraidza twierdziła, że najlepszy na bóle brzucha jest *giasum*. Umm Chalid знаła tę roślinę i postanowiła jej nazbierać. Była już dość leciwa i wkrótce wróciła roztrzęsiona i z pustymi rękami. Kiedy wdrapywała się na niemal pionowe skały poniżej Miejsca Ofiarnego, pośliznęła się i o mało co nie upadła. Martwiła się bardzo, że straci Dachilallaha, a teraz trapiła się na dodatek, że traci równowagę.

— Dachilallah wyzdrowieje — pocieszaliśmy ją. — Musisz myśleć o dzieciach, masz mnóstwo przyjaciół, którzy chcą ci pomóc.

I rzeczywiście pomagali. Ktoś nazbierał chrust do rozpalania ognia. Mariam upiekła okrągły bochen chleba. Hajjaja F. przyniosła *laban* i ugotowała zupę. Na obiad była *fatta*, czajniczki pełne świeżo parzonej herbaty i miłe pogawędki. Większość kobiet nie widziała się od lat i wypytywały się o wszystko — kozy, konie i zbiory; choroby, dzieci i szczepienia; młode małżeństwa, mężów i sandały.

Odetchnęliśmy z ulgą, dopiero kiedy nasz chory wysiadł wieczorem z samochodu. Zrobili mu prześwietlenie i postawili diagnozę, że to zapalenie nerek albo kamienie nerkowe. Dostał zastrzyk i przywiózł fiolkę z pastylkami z nalepką, której nie potrafiłam odczytać. Upewniłam się tylko, że brał tylko zaleczone lekarstwa.

Następnego dnia wcale nie wyglądał lepiej, ale byłam uparta i na moje usilne prośby zjadł trochę papki, którą dla

niego przygotowałam. W końcu mi się zwierzył:

— Odkąd do was przyszedłem, ani razu się nie wypróżniłem, Fatima. Czuję, że jestem pełny aż po same gardło i nie mogę wcisnąć ani łyżeczki.

Kiedy Muhammad wrócił do domu, wpakowali Dachilallaha do samochodu i nocą wyruszyli do Ammanu. Zawieźli go prosto do Włoskiego Szpitala, gdzie od razu został operowany.

Gdy Dachilallah odzyskał przytomność, lekarz powiedział mu, że jest prawdziwym szczęściarzem. Trzymał w ręku szklane naczynie z wyciętym wyrostkiem robaczkowym. Usunięty narząd był w stanie zapalnym (i to wywołało ból), potem pękł (zmniejszyło się napięcie), ale to wywołało stan zapalny otrzewnej (prowadząc do zaparcia).

Po powrocie Dachilallaha do domu jego rodzina przeniosła się do jaskini w skale naprzeciwko ambulatorium. Jego synowie rozstawili namiot na półce skalnej, żeby przyjmować gości, którzy przychodzili składać choremu zwyczajowe *Al-hamdu li-llah ala-s-salama*. Wszyscy rozprawiali na temat rany operacyjnej i blizny — jak duża zostanie, czy jest z góry na dół, czy w poprzek i ile razy przypalano go rozgrzanym gwoździem. Jednak ich ciekawość pozostała niezaspokojona, Dachilallah nie popisywał się już blizną, tak jak poprzednio oparzeniami gwoździem. Kiedy przychodziłam zmienić opatrunek, Umm Chalid zawieszała koce dookoła jak parawan, aby nikt nie spojrział nieczystym okiem na ranę jej męża.

Dachilallah docenił zdobycze medycyny, dzięki którym stanął na nogi, ale i tak miał własny pogląd na to, jak zachować zdrowie. Od tamtej pory gdziekolwiek nocował, prosił o szklanekę ciemnozielonej oliwy, którą wypijał jednym haustem, zanim sięgnął po chleb albo zapalił papierosa — i rzeczywiście był coraz silniejszy.

1984

Wizyta królowej Elżbiety

Pewnego dnia na początku 1984 roku Nijazi pojawił się na naszym tarasie z niewielką grupką lokalnych notabli. Siedziałam właśnie na ziemi otoczona stertą brudów tuż obok *ligana* z wodą do prania. Nijazi mieszkał w Wadi Musa, był miejscowym dyrektorem od spraw turystyki. Poderwałam się raptownie i ułożyłam materace przy ścianie w promieniach zimowego słońca, zastanawiając się, o co chodzi.

Przedstawił swoich towarzyszy i wyjaśnił:

— Za kilka tygodni królowa angielska ma odwiedzić Jordanię, a to są urzędnicy odpowiedzialni za przygotowanie wizyty.

Jeden z gości w eleganckim lnianym garniturze odezwał się:

— Jej Wysokość Królowa Elżbieta będzie pierwszym w historii brytyjskim monarchą, który złoży wizytę w Jordanii, dlatego staramy się przygotować urozmaicony program. Nijazi opowiadał nam o pani i pani beduińskim mężu, mówił także, że mieszkacie w jaskini. To raczej ewenement, dlatego jesteśmy pewni, że Jej Wysokość będzie chciała was odwiedzić... Zwłaszcza że na tym terenie jest pani jej jedyną poddaną.

Weszłam do kuchni, aby zaparzyć herbatę, a zarazem powstrzymać się od pomysłu zrzucenia gościa z naszej półki skalnej. Prawdę mówiąc, targały mną mieszane uczucia.

Staralam się wszystko rozważyć spokojnie. Czy miałam kiedykolwiek nadzieję, że poślubiając Beduina w zabytkowej scenerii Petry, gdzieś na krańcu świata w sercu jordańskiej pustyni, w miejscu, gdzie nawet nie dociera asfaltowa szosa, zniknę i już nikt niczego ode mnie nie będzie oczekiwał?

Przez chwilę próbowałam spojrzeć na moje domostwo oczami gości, ukrytymi za przydymionymi szklami okularów Ray-Ban. Nasze życie codzienne toczyło się na pokrytym ziemią dziedzińcu wśród dzbanów z wodą, kanistrów, drewnianej kulbaki osła oraz naczyń z parującą wodą i wyżymanym praniem. Otoczenie, które dotąd było zwyczajne, nagle zdało mi się prymitywne, a jednak musiałam spojrzeć dalej — nowym okiem zobaczyć ozdobną fasadę naszej jaskini, błękit nieba niemal w zasięgu ręki i przykuwające uwagę skały pełne zabytków z zamierzchłej epoki. Odgłosy Petry wciskały się przez moje szeroko otwarte okno.

Raami przydreptał do mnie, wzięłam go na ręce. Czułam się dumna, a zarazem zakłopotana, zawstydzona i zdumiona.

Nalałam herbatę, wspominając, jak w 1963 roku żaglowiec królewski „Britannia” zacumował przy Boulder Bank, będącym naturalnym portem miasta Nelson. Zeszliśmy na nabrzeże, tak jak wszyscy okoliczni mieszkańcy, żeby pomachać, pozdrowić i choć przez chwilę zobaczyć młodą królową — albo przynajmniej jej królewską dłoń w rękawiczce — kiedy pojawi się na brzegu. Potem tygodniami wyobrażaliśmy sobie, że zostaliśmy zaproszeni na herbatę do Buckingham Palace, odginaliśmy nasze dziecięce paluszki i trenowaliśmy dyganie.

W końcu dostałam wielką szansę. Czy jako jedyny królewski poddany w okolicy miałam prawo odmówić spotkania z moją władczynią? Oczywiście, że spotkam się z Jej Wysokością.

Muhammadowi nawet nie drgnęła powieka. W Jordanii panował król, który był osiągalny dla zwykłych obywateli.

— Mój ojciec spotkał króla Husajna, kiedy przyleciał helikopterem i wylądował w pobliżu Grobowca Pałacowego — powiedział. — *Adi*. To normalne.

Natomiast ja byłam speszona. Nie byłam pewna, czego wymaga protokół w takich okolicznościach i nie miałam kogo spytać. Wybrałam stroje odpowiednie na tę okazję i odłożyłam je na bok, żeby uniknąć komplikacji w ostatniej chwili: plam z oliwy czy dziurki wypalanej przez przypadkową iskrę z ogniska. Byłam naprawdę szczęśliwa, że ostatnio ozdobiłam haftami błękitną jak niebo *mudragę* Salwy. Skorzystałam z wyuczonych wzorów ściegu krzyżkowego i użyłam purpurowego kordonka. Przeszukałam ammański suk z odzieżą i znalazłam pasujący do sukienki materiał na bluzkę pod spód.

Muhammad sądził, że królowa spodziewa się kwiatów — przynajmniej bukieciku od Salwy — niestety w tej części świata nie działa poczta kwiatowa, musieliśmy więc wymyśleć coś innego. Chciałam, żeby to było coś typowego dla Petry. Wtedy Muhammad postanowił zrobić butelkę napełnioną kolorowym piaskiem. Widziałam już takie w sklepach w Akabie, miniaturowe butelki whisky napełnione sztucznie barwionym piaskiem ze wzorami wielbłądów i kwiatów. Niestety wątpiałam, że Muhammad ma wystarczające zdolności, aby wykonać taką samą pamiątkę, na dodatek godną królowej. Stwierdził, że to łatwe, bo kiedy był młodszy, robił takie, krusząc naturalnie barwione skały.

I rzeczywiście zrobił. Protestowałam, kiedy użył moich doskonałych nożyc krawieckich (wiedziałam, że nie znajdę takich poza Ammanem) do pocięcia starej puszki po oleju do smażenia. Potem pospawał ją i zrobił lejek — w skrzynce z narzędziami miał nawet lutownicę. Wściekałam się, kiedy przesiewał kruszone skały przez moje sito do mąki, aby

otrzymać delikatny, miękki piasek i krzyczałam z niedowierzania, kiedy w końcu ukończył swoje arcydzieło — w butelce po sosie tabasco!

A jednak musiałam przyznać, że wyglądało wspaniale. Niezależnie od tego, że była to butelka po sosie, wyraźne, pofalowane fale rdzawego, białego, szarego i płowego piasku wyglądały znacznie piękniej, niż sobie wyobrażałam. To była najlepsza pamiątka z Petry. Później nauczyliśmy się wykonywać obrazki wielbłądów oraz kwiatów i napełnialiśmy kolorowym piaskiem tysiące butelek, a Muhammad demonstrował nawet swoje umiejętności jako przedstawiciel Jordanii w całej Europie. Jednak na razie falowane linie w butelce — podarunku Salwy — przedstawiały po prostu skały.

30 marca 1984 roku *Badia* — oddziały policji pustynnej złożone głównie z beduińskich *niszama* — zajęły pozycje na wzgórzach. Ich *sauby* w kolorze khaki, malownicze przepasane pełnymi naboju ładownicami z czerwonej skóry i zawiązane na głowach czerwono-białe chusty z frędzlami sprawiały, że nawet największe niezdary zmieniały się w smukłych i eleganckich młodzieńców. Mieliśmy powitać królową w paradnym namiocie rozstawionym obok *kiny*. Rozchodził się stamtąd dźwięk ziaren kawy tłuczonych w drewnianym *dżurnie*. Z całej okolicy sprowadzono okryte kolorowymi derkami osły. Szybko gęstniał barwny, rozgadany tłum gapiów. Pędzące samochody podskakiwały i opadały w dół na wyboistej drodze.

Gdy zbliżyliśmy się do Gasr al-Bint, rzucił się na nas tłum dziennikarzy i reporterów. Zasypali nas stereotypowymi pytaniami. Trochę się popisywałam, ale kiedy jeden z nich zapytał, podnosząc ręce w górę i wskazując świątynię i błękitne niebo:

— Proszę nam powiedzieć, co sprawiło, że zamieszkała pani tutaj w starożytnym mieście, wśród przepięknych gór?
— miałam gotową odpowiedź.

Spojrzałam na przystojnego Muhammada, idącego tuż obok mnie i odpowiedziałam bez wahania:

— On.

Namiot był ogromny. Paliki podtrzymujące płachtę były tak wysokie, że nikt nie musiał się schylać. Podobno należał do samego króla, ale wyposażyli go ludzie z plemienia Bdul. *Farsze* z gąbki ułożone po trzy, jedna na drugiej, tworzyły wygodne siedziska. Przykryte były ozdobnymi tkaninami, ponoć przyniesionymi z jaskini Salama. Tkane narzuty należały do Hassana i do Abu Szahira, całą podłogę zaś wyłożono ręcznie wyrabianymi dywanami ofiarowanymi przez inne rodziny. Były długie i wąskie, w podłużne wzory i podkreślały imponujące rozmiary namiotu.

Badia i naczelnicy plemienia Bdul działali razem; rozniecili palenisko przed namiotem i parzyli kawę oraz herbatę. W powietrzu unosił się aromat płonącego drewna z wiecznie zielonego dębu skalnego, zmieszany z zapachem kawy i kardamonu. Stojące obok żarzących się głowni dzbanki do kawy były skarbami rodzinnymi Abu Mahmuda. Stały tam też różnych rozmiarów dzbany, dzbanki i dzbanuszki z gorącą wodą oraz zaparzoną kawą z dodatkiem kardamonu. Wszystkie były pieczołowicie wykonane z wypolerowanego mosiądzu, z okrągłym dnem, u góry zwężane, z pokrywką w kształcie wież minaretów i dzióbkiem jak u ozdobnego ptaka.

Wypiliśmy herbatę i rozsiedliśmy się. Tego dnia turyści nie mieli wstępu, dlatego dla większości był to dzień wolny od pracy. Mnóstwo ludzi gromadziło się, żeby choć przez chwilę rzucić okiem na władców. Matki z dziećmi obsiadły z dwóch stron drogę. Czas włókł się niemiłosiernie i nikt nie

wiedział, kiedy zaczną się uroczystości. Raami zasnął w końcu na moich rękach — i wtedy właśnie pojawiła się kawalkada samochodów.

Dwie białe limuzyny w eskorcie land-roverów nadszedły drogą Kolumnową i dostojnie przejechały pod Łukiem Triumfalnym i przez Bramę Temenos. Samochody zatrzymały się przed namiotem, białe, odkryte i luksusowe. Cofnęliśmy się o krok, gdy z pierwszego z nich wysiedli król Husajn i królowa Elżbieta. Nasz władca poprowadził królową angielską do namiotu, ja tymczasem skupiałam uwagę na królowej Noor, zachwycającej kobiecie w różowo-białej sukni, która razem z księciem Filipem przyjechała drugą limuzyną. Witając się z każdym funkcjonariuszem Bada tworzącym komitet powitalny, ścisnęła im ręce i mówiła z uśmiechem: — *Masa al-chajr*, dobry wieczór. Potem weszła do środka.

Ochrona oraz obsługa z pozostałych pojazdów wypełniła wnętrze namiotu. Kiedy monarchowie zasiedli na ułożonych poduszkach, podano im herbatę parzoną na palenisku w wielkim, niebieskim, emaliowanym czajniku i rozlaną do delikatnych, zwięzanych szklanek ze złotymi brzeżkami.

Angielska archeolożka Crystal Bennet przeszła na przód, aby wypić herbatę z królową. Nam natomiast nikt nie wydał polecenia i raczej nie zanosilo się na to, żebyśmy byli w ogóle zaproszeni na poczęstunek. Staliśmy w tłumie poza namiotem otoczeni żołnierzami, prasą i przybyłymi Beduinami.

— Wkrótce pani kolej — ktoś wyszeptał mi do ucha. — Proszę odłożyć dziecko.

Raami smacznie spał u mnie na rękach. Próbowalam go obudzić, ale był już do tego przyzwyczajony i kiedy chciało mu się spać, potrafił zasnąć zawsze i wszędzie, niezależnie od okoliczności. Wcale nie zamierzałam odkładać mojego synka gdzieś na bok — wokół było pełno kamer telewizyjnych, a moi rodzice w Nowej Zelandii nie widzieli

jeszcze wnuka.

— Proszę wchodzić — nalegali organizatorzy.

Myślałam intensywnie. Wyobrażałam sobie, że ktoś nas przedstawi i poprowadzi, ale ewidentnie musieliśmy sami przejść przez pustą przestrzeń. Gdzie się skierować? Ruszyliśmy prosto do króla Husajna, który stał dokładnie na wprost nas. Jego gest był jednoznaczny: witajcie, ale najpierw proszę podejść do gościa honorowego. Skręciliśmy w lewo i oto przed nami stała królowa Wielkiej Brytanii. W niebieskiej sukience wyglądała tak samo delikatnie i dystyngowanie jak na fotografii. Nie próbowałam nawet dygnąć — Raami mógł mi wypaść z rąk.

Dalej nastąpiła seria nieprzewidzianych zdarzeń: Salwa próbowała wręczyć monarchini butelkę z piaskiem ze słowami: „Mój tatuś zrobił to specjalnie dla pani”, mówiła jednak za cicho, żeby przyciągnąć uwagę królowej, która rozmawiała ze mną. Nie słyszałam małej, byłam zbyt przejęta. W tym samym czasie Muhammad rozmawiał ze stoickim spokojem z księciem Edynburga. Po chwili uspokoiliam się na tyle, że mogłam wyjaśnić, o co chodzi z butelką z piaskiem. Okazało się jednak, że zniknęła. Czy stanowiła naruszenie przepisów bezpieczeństwa? Nigdy się tego nie dowiedziałam.

Królowa wypytywała mnie o moje życie, a ja miałam wrażenie, że już w skrócie poinformowano ją o najważniejszych faktach i z góry zna odpowiedź. Dlatego poczułam prawdziwą ulgę, kiedy podeszła królowa Noor i zażartowała:

— Mówi pani jak Australijka. — Wtedy królowa Elżbieta wyjaśniła jej, że pochodzę z Nowej Zelandii. (Królowa Noor, czwarta żona króla Husajna, sama była *adżnabijją*. Urodziła się w Stanach.)

Pogłaskały Raamiego po włosach i podziwiały jego umiejętność spania w każdych warunkach — wreszcie nasz czas dobiegł końca. Uścisnęliśmy dłonie zebranych,

włączając w to Jego Wysokość Króla Husajna, i opuściliśmy namiot, jeszcze raz przeżywając w duszy ten zaszczyt.

Samochody już czekały i goście zbierali się do odjazdu, dlatego zatrzymaliśmy się przy ognisku, a chłopcy z oddziałów Badia poczęstowali nas kawą. Wśród nich czułam się znacznie swobodniej.

— Co mówiła królowa? Długo z panią rozmawiała...? — wypytywali dziennikarze. Ale z nas uszło już powietrze i poszliśmy do domu.

W nowozelandzkiej „Woman’s Weekly” opublikowano artykuł o mnie. Nie miałam nic przeciwko temu. Dziennikarka nie umieściła mojego arabskiego imienia Fatima (ani Umm Salwa, ani Umm Raami) i z jakiegoś nieznanego powodu byłam z tego faktu zadowolona. Czułam się, jakby pisała o kimś innym — podobnie jak kiedy przyjaciółka przysłała mi artykuł z gazety południowoafrykańskiej zatytułowany „Kiwi i jaskiniowiec”.

Pojawiliśmy się w wiadomościach telewizyjnych na całym świecie. Przyjaciele z Australii i Anglii, którzy słyszeli o mnie tyle, że pojechałam do Jordanii, dowiedzieli się teraz, że osiadłam tam na stałe. Dla mamy i taty było to znacznie większe przeżycie. Zobaczyli swojego śpiącego wnuka, ale kiedy spiker powiedział: „Potem wszyscy się rozjechali — głowa Wspólnoty Brytyjskiej do pałacu, a jej poddana (niezwykła zresztą) do swojej jaskini”, mama się rozplakała.

Post

Po spotkaniu z królową turyści angielscy od czasu do czasu rozpoznawali Muhammada i dopytywali się o mnie. Przyznam się, że pochlebiało mi zainteresowanie obcych

ludzi naszym życiem i czasami zabierałam Salwę i Raamiego, żeby posiedzieli razem ze mną w sklepie Muhammada. Poza dodatkową pracą związaną z kruszeniem skał i myciem butelek na piaskowe pamiątki z Petry, nasze życie wyglądało tak jak przedtem — wyrabianie ciasta i pieczenie chleba, noszenie wody, pranie brudów, praca w ambulatorium i wyprawy do szpitala przeplatane tradycyjnymi wizytami i pićciem herbaty w chłodnych, czarnych namiotach.

Bloki w osiedlu Umm Sajhun były już wykończone, ale nie zapadła jeszcze decyzja o przeprowadzce. Jednego dnia słyszeliśmy, że musimy odmówić przyjęcia nowych mieszkań, póki ich nie powiększą, drugiego, że zredukowano liczbę rodzin, którym miano przydzielić dwa mieszkania z dziesięciu do siedmiu. Wtedy ojcowie wyruszali do Ma'anu, żeby zarejestrować dzieci pominięte przy poprzednich przydziałach. Niektórzy poświęcali nawet czas na wyszukiwanie żon dla synów kawalerów, ponieważ wiedzieli, że wszyscy żonaci dostaną mieszkania.

Zdarzały się nagle zebrania pod *kiną* i protesty. Rodziny składały się na przejazd Salama busikiem czy taksówką do Ammanu oraz nocleg, gdyby musiał zatrzymać się na dłużej i wysyłały go, żeby prowadził dalsze negocjacje.

Nadeszła pora ramadanu i zdałam sobie sprawę, że powinnam pościć. Zawsze doprowadzało mnie do skrajnej zazdrości, kiedy ludzie, którzy przez cały dzień nie wyciągnęli ani jednego papierosa, sięgali do saszetki tytoniu, albo do paczki z papierosami tuż po zachodzie słońca. Myślałam wtedy z zawiścią, że gdybym mogła powstrzymać się od palenia od świtu aż do zmierzchu, nie tylko dotrzymałabym postu, ale także rzuciłabym palenie. Teraz, kiedy już przestałam palić, wyobrażałam sobie, że wytrzymanie bez jedzenia i picia będzie o wiele prostsze.

Muhammad i Ali zaczęli pościć w 1979 roku od świtu, czyli czwartej trzydzieści, aż do zmierzchu, czyli siódmej pięćdziesiąt pięć. Po pracy wyruszali do Wadi Musa i kupowali żywność. Późnym popołudniem wrzucali daktyle do miseczek, napełniali dzbanek rozcieńczonym sokiem Tang i kroili arbuza na różowo-zielone kawałki, które odkładali na *sidrę*, żeby je ochłodzić. Potem robili sałatkę z ogórka, pomidorów, soku cytrynowego i *tahiny* oraz pomidory z cebulą hojnie polane oliwą. Gotowali kurczaka i smażyli jego części w głębokim tłuszczu, w trakcie pieczenia krople roślinnego klarowanego masła pryskały na dżinsy Muhammada. Otwierali puszkę hummusu z ciecierzycy i miksowali na jedwabisty krem. Ja przygotowywałam *szrak* i parzyłam herbatę w czajniku. Nie mieliśmy baterii do magnetofonu, więc wynosiliśmy jedzenie na skałki nad jaskinią i Umm Mahmud, która miała radio, dawała nam znak, kiedy nadawano *azan*.

Najpierw dziękowali:

— Allahu, dla Ciebie pościliśmy, a teraz dzięki pożywieniu, którym nas obdarzyłeś, przerywamy post — a potem jedli, pili i palili... i znowu jedli, pili i palili, aż nie mogli się ruszać. Wytrzymali dwa dni.

Nikomu nie powiedziałam, że zamierzam pościć. A jednak kiedy Muhammad wrócił do domu, od razu się zorientował. Miałam potworną migrenę i straciłam siły. Wlałam pół kanistra wody do balii, żeby zająć kąpielą Salwę i Raamiego. Nie mogłam doczekać się zachodu słońca. Muhammad przyrządził sobie gulasz z peklowanej wołowiny i poprosił Umm Mahmud o upieczenie chleba.

Kiedy kładłam dzieci spać, zastanawiałam się, czy było warto. Czy wytrzymam przez następny dzień?

Ale Umm Mahmud wyglądała na taką szczęśliwą (tak jak wszyscy, którzy do nas wpadali i dowiadywali się o moim poście od Muhammada), że nie mogłam się poddać, a dzięki ich dodającym otuchy słowom z biegiem dni coraz

łatwiej było mi znieść głodówkę. Przestrzegałam teraz postu tak samo jak inni i to wytworzyło jeszcze głębszą więź między mną a plemieniem. Teraz, gdy z dumą w głosie opowiadali o mnie gościom weselnym i turystom, dodawali wiadomość: „Ona pości podczas ramadanu” do listy moich zalet, na której znajdowały się pochwały typu: „Mówi po arabsku”, „Piecze sama chleb” i „Przeszła na islam”. Goście weselni zawsze przytakiwali z uznaniem, ale turyści zazwyczaj patrzyli tak samo zmieszanym wzrokiem, jak ja.

Przechodziłam na islam stopniowo. Stosowne świadectwo dostałam dopiero po wielu latach, kiedy stawiałam się w sądzie i przysięgłam z ręką na Koranie: „Nie ma boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego wysłannikiem”. Kiedy mój arabski stał się lepszy, dowiedziałam się, że Mahomet (niech będzie błogosławiony) był ostatnim z długiej listy proroków, mówiących o jedynym Bogu. O pozostałych prorokach uczyłam się niegdyś w szkółce niedzielnej.

Przez resztę miesiąca wstawiałam na posiłek wcześniej rano, siadałam na półce skalnej z czajniczką herbaty, kromkami chleba i serem i zastanawiałam się, jak minie kolejny dzień. Światełka w namiotach Beduinów na Urgub Dźmi'an i Az-Zanab były ledwie widoczne w świetle księżyca. Wokół mnie panowała cisza — ucichły nawet psy i osły, a koguty jeszcze nie zaczęły piąć. Cieszyłam się, że mogę jeszcze położyć się na parę godzin do łóżka i zasnąć.

Muhammad nie pościł. Następnego dnia znowu spróbował, ale o ósmej rano język przyschnął mu nagle do podniebienia, dziąsła spuchły i chwilę później zawieźliśmy go do szpitala w śpiączce cukrzycowej. Zastrzyki z insuliny postawiły go na nogi na dłuższy czas, ale cukrzyca, ten cichy morderca, zmieniła tryb naszego życia. Muhammad brał regularnie zastrzyki (mogliśmy teraz kupić jednorazowe strzykawki w aptece w Ma'anie), był na specjalnej diecie (do tej pory jadaliśmy zbyt wiele mięsa i

tłuszczów zwierzęcych), pił niesłodzoną herbatę (co znaczyło, że po ramadanie robiłam dwa oddzielne czajniczki ze słodzoną i niesłodzoną herbatą, którą pijaliśmy rano na naszej półce skalnej). Były to zwyczaje zupełnie inne od beduińskich i trudno mu było się z tym pogodzić.

Dziewczynka i dwóch chłopców

Ibrahim mieszkał z żoną Hundą w jaskini znajdującej się w dolinie Klasztoru. Gdy Hunda zaczęła rodzić, Ibrahim zawołał na pomoc ich sąsiadkę, Riję. Odebrała poród — urodził się chłopiec — przewiązała pępowinę i podstawiła pod nos Hundy pokruszony *hiszi* dla wywołania kichania i przyspieszenia wydalenia łożyska. Rija miała przy sobie synów, którzy przynosili jej wodę i służyli pomocą. Była tam jeszcze, kiedy następnego dnia wpadłam do Hundy — myślę, że w przeciwnym razie nigdy by nie doszło do tej rozmowy.

Zaintrygowała mnie, kiedy spojrzała na mnie nad paleniskiem i nagle oznajmiła:

— Śniłaś mi się.

Czułam, że pragnie odgadnąć moją reakcję. Nie była pewna, jak się zachowam, ale ja uwielbiałam słuchać proroczych snów, a potem sprawdzać, która z przepowiedni okaże się prawdziwa.

— Naprawdę? — powiedziałam tylko, dając jej szansę, aby mówiła dalej. — Czy to był dobry czy zły sen?

— Wpadłam do ciebie z wizytą, bo właśnie urodziłaś dziecko — opowiadała Rija. — Siedziałaś w kącie jaskini, karmiąc niemowlę, chłopca. Powinszowałam ci, a ty odpowiedziałaś „*Al-hamdu li-llah — bint wa-waladajn kaffi*”. Dziewczynka i dwóch chłopców wystarczy.

Czułam się tak, jakby to był mój własny sen.

Nigdy nie rozmawiałam na temat planowania mojej rodziny, chociaż często zachęcałam przyjaciółki do planowania swoich. Kobiety, które są szczęśliwe, rodząc co dwa lata chłopca i karmiąc go piersią, póki znowu nie zajdą w ciążę — te nigdy nie dostają okresu. Ale ten sposób naturalnej antykoncepcji czasami bywa zawodny. Zdarzyło się, że młoda matka urodziła kolejne dziecko w ciągu niespełna roku i była tak wyczerpana porodem, że straciła pokarm i wkrótce po raz trzeci zaszła w ciążę. Zachęcałam ją do stosowania środków antykoncepcyjnych:

— Korzystasz z dobrodziejstw pastylek z żelazem, zastrzyków z witaminami, antybiotyków i mleka w proszku, powinnaś skorzystać także z pigułek antykoncepcyjnych.

Ale ona uważała, tak jak cała reszta kobiet, że stan błogosławiony zależy od Allaha.

Sen Riji był także moim marzeniem. Następnego roku — oprócz faktu, że zamiast w jaskini, siedziałam w kącie murowanego mieszkania na osiedlu Umm Sajhun — wszystko sprawdziło się co do joty.

Znowu o moich teściach

Muszę trochę cofnąć się w czasie.

Moi teściowie przeprowadzili się na zimę do jaskini położonej poniżej nas, a ja już marzyłam o wiosnie, żeby się wyprowadzili i rozstawili swój namiot. Myślałam, że żadna z jaskiń w pobliżu nie nadawała się do zamieszkania — ale Abdallah był zawzięty i wykopał pochyłe wejście do jednej z niskich, całkiem przytulnych grot, w której ani ja, ani Umm Lafi nie mogłyśmy się wyprostować. Otoczył wejście ścianą i wydrążył kanał do odprowadzania wody deszczowej na dół wzgórza.

Nida, Mariam i Husajn przychodzili wczesnie rano pobawić się z Salwą i Raamim, w ten sposób niwecząc moje nadzieje na jakikolwiek stały porządek dnia. Salwa zbiegała z nimi ze zbocza i w zależności od mojej potrzeby kontrolowania jej, bądź potrzeby spokoju i ciszy, zabierałam ją do domu albo pozwalałam się bawić. Zabawy dziecięce to mieszanina pokoju i wojny; podczas rozejmu grzecznie sobie mówią *salam*, całują, częstują herbatą, ale w ciągu paru sekund sprawy nagle zmieniają się na gorsze i zaczyna się walka — plucie, przeklinanie, rzucanie kamieniami.

Abdallah miał trzodeę złożoną z ośmiu owiec i wysyłał Inzilę codziennie na pustkowie Hurajmijja na wypas. Wracała do domu o zmierzchu, delikatna dziewczęca postać trykana przez wełniaste stworzenia. Miała spierzchnięte dłonie i twarz ukrytą pod chustą. Zima była surowa z małą ilością opadów i trudno było znaleźć odpowiednie miejsce na wypas owiec, musieli więc kupować ziarno na dokarmianie. Ucieszyłam się, że małej będzie lżej, gdy dowiedziałam się, że jedna z owiec padła, a rodzice zrezygnowali z zarobku i sprzedali resztę stada.

Umm Lafi często piekła *tabun* bez środków spulchniających. Rozstawiała piec tuż pod naszą półką skalną i budowała murek z kamienia, aby osłonić go od zachodniego wiatru. Glinianą kopułę, zwieńczoną zakrywanym starą pokrywką od czajnika otworem o wymiarze bochna chleba, stawiała na kamieniach umieszczonych w palenisku. Ten specyficzny piec chlebowy wstawiano w płonący nawóz, który podsycala dwa razy dziennie kilkoma garściami suchej koziej podściółki. Szarawy, gryzący, śmierdzący dym wznosił się w górę i wdzierał do naszej jaskini. Poprosiła mnie o ugotowanie zupy z soczewicy z *labanem*, żebyśmy mieli *fattę* na wspólny obiad.

— Jaki jest sens rozniecać dwa ogniska, skoro wasza

jaskinia jest ciepła i wystarczająco duża, żeby pomieścić nas wszystkich? — powiedziała i brzmiało to tak rozsądnie, że nie śmiałam jej odmówić. Jeszcze przed zachodem słońca w naszym skalnym domu było pełno ludzi, a kiedy Umm Lafi i Abdallah wychodzili, pomogliśmy im nieść stromą ścieżką śpiące dzieci.

Nie mogłam zatrzęsnąć drzwi i udawać, że nie ma nas w domu. Jak nauczyłam się już wcześniej, nie mogłam też powiedzieć im, że chcę być sama albo poprosić, żeby wyszli.

To się zdarzyło tuż po naszym ślubie. Codziennie jeździłam do pracy w ośrodku zdrowia w Wadi Musa. Kilka razy po powrocie do domu znalazłam niezmyte naczynia oraz liście herbaty w czajniczku, a chociaż sama nie przepadam za zmywaniem, wiedziałam, że to nie ja zostawiłam brudne szklanki. Poza tym zauważyłam, że baterie w magnetofonie zużywają się szybciej niż zwykle.

Pewnego dnia po wcześniejszym powrocie do domu zastałam otwarte drzwi, a w środku Salima z kilkoma przyjaciółmi, czajniczek z herbatą na stole i magnetofon wyjąty na cały regulator. Nawet nie zauważyli, kiedy weszłam, póki nie przysłoniłam sobą światła.

— *Iglib wadżhak* — powiedziałam. Nauczyłam się już tego zwrotu i bardzo lubiłam go używać. Dokładnie oznaczał „Odwróć twarz”, co brzmiało względnie grzecznie, ale w rzeczywistości znaczyło to samo, co „Wynocha!”. Oczywiście, wcale nie byli tym faktem uszczęśliwieni.

Muhammad również nie był zadowolony, ani z powodu mojego zachowania, ani języka.

— Salim jest moim bratem — powiedział wtedy — czasami wpada do mnie z kolegami. W końcu, co dla nas znaczy odrobina herbaty czy cukru, Marg?

Wyproszenie kogoś z domu było nie tylko nie do

przyjęcia, ale także zupełnie niezrozumiałe. „Póki ludzie cię odwiedzają, będziesz miał szczęście”, wierzyli ślepo Beduini, a więc każdy, kto wpada z wizytą, zasługuje na gościnne przyjęcie i szacunek. Powinnam docenić, że Salim oszczędzał mi kłopotu z pompowaniem prymusa, usiąść razem z nimi i cieszyć się ich towarzystwem.

— Ta odrobina herbaty i cukru to nic — przyznałam — ale tam skąd pochodziłam, nawet moja matka pukwała do drzwi mojej sypialni i nigdy nie wchodziła, jeśli mnie nie było w pokoju. Nie wiem, czy Muhammad to zrozumiał i czy się ze mną zgodził, może tylko chciał, żebym się czuła szczęśliwa, w każdym razie pojechał do Wadi Musa kupić lepszą kłódkę, której nie można otworzyć wytrychem.

Teraz Salim odwiedzał nas także wieczorami. On, jego żona Dźmi'a i nowo narodzona córeczka mieszkali w jednej jaskini z moimi teściami. Inzila albo Tuflih przynosiły do nas dziecko i wkrótce pojawiała się Dźmi'a, prowadząc staruszka wspartego na krótkim, sękatym kijku. Nosił *saubę* podciągniętą do kolan i paskudny *mindil* wywrócony na lewą stronę, z wepchniętymi pod *mirrir* końcami sterczącymi jak uszy kozła. Miał powykręcane artretyzmem kolano i grzał zgrabiałe ręce nad ogniskiem. Wszyscy wiedzieliśmy, że to przebrany Salim, a jednak dzieci gromadziły się wkoło, żeby posłuchać, jak jąka się i sapie. Zawsze chichotały wesoło, kiedy odgrywał tę swoją idiotyczną komedię, która zresztą była ich ulubioną rozrywką.

Może było to i śmieszne, ale powtarzało się co wieczór i mogło tak trwać miesiącami. Wreszcie poddaliśmy się, zamknęliśmy drzwi i wyszliśmy pograć w karty z Salamą. Już przeprowadził się do nowego osiedla w Umm Sajhun. Oprócz tego, że był naszym przedstawicielem, zaangażowanym we wszelkie działania związane z

przesiedleniem, naprawdę sądził, że lepiej jest mieszkać w domu i czuł się tam bardzo dobrze. Patrzył z nadzieją w przyszłość i ciągle opowiadał, że wreszcie całe jego plemię zamieszka w prawdziwych domach jak cywilizowani ludzie.

Wysokociśnieniowa pompa wodna z podziemnej studni w pobliżu Ma'anu dostarczała wodę. W środku osiedla stało koryto dla bydła i pompa, napełnialiśmy wodą kanistry i wkładaliśmy do bagażnika, aby zawieźć do domu, zanim zjawialiśmy się u Salamy, żeby pograć w karty. Salon, w którym zasiadaliśmy razem z nim i jego starszymi synami, miał około 12 metrów kwadratowych, ale i tak był największym pomieszczeniem w mieszkaniu. Mariam i Sanna, jego egipska *durra*, siedziały z dziećmi w mniejszym pokoju i wchodziły tylko po to, żeby nam podać herbatę albo kawę rozpuszczalną Nescafé z gorącym mlekiem. Ciągle ktoś otwierał drzwi, wtedy wpadał podmuch zimnego powietrza, a kiedy lał deszcz, wiatr wciskał krople deszczu niemal do połowy pokoju.

— Zamknijcie drzwi — powtarzał ciągle Salama. (W Nowej Zelandii mamy powiedzonko: „Czemu nie zamykasz drzwi? Urodziłeś się w namiocie?”. A tu połowa ludności mieszkała w namiotach. Trudno się wyzbyć starych zwyczajów.)

Wszystkie domy były takie same — wzniesione z surowej czerwonej cegły i w środku bardzo prymitywnie wykończone. W oknach umieszczono *harami*, kraty jak w więzieniu — jordański odpowiednik naszego ubezpieczenia majątkowego. Podłogi z cementu, z cienkich cementowych płyt zbudowano również dachy. Podłogi były względnie gładkie, natomiast z sufitów wystawały zarysy pokrytych nierównym tynkiem desek. Zamontowano solidne, metalowe drzwi. Nie zdziwiłam się wcale, że w ciągu pierwszych kilku miesięcy od zasiedlenia zgłoszono kilkanaście przypadków uszkodzenia palców przyciśniętych 20-kilogramowymi drzwiami.

Na Elektryczne Miasto, jak nazywał to Muhammad, musieliśmy czekać jeszcze trzy lata, ale przewody były poprowadzone metalowymi rurkami po ścianach i po suficie, łącząc kontakty z nagimi żarówkami. Salama podłączył telewizor do zakłócającego ciszę generatora prądu znajdującego się na podwórku. Lubił oglądać telewizję, chociaż jego synowie spędzali mnóstwo czasu, nastawiając antenę, a kanał z najlepszym odbiorem był emitowany z Izraela, po hebrajsku.

Nie umiałam uznać mieszkań na osiedlu za prawdziwe domy; wyglądały prymitywniej niż najprostsze domki kempingowe w Nowej Zelandii, w jakich zdarzało mi się mieszkać. Z prawej strony salonu cementowy dach nisko opadał nad kuchnią, schowkiem i toaletą. Surowe czerwone cegły stanowiły cały wystrój. Kuchnia nieotynkowana, ale emaliowany cementowy zlewozmywak i kran połączone były z pompą wodną przez dach. Był jeszcze niewielki składzik, ale nie było łazienki. Stwierdziłam, że umiejętności, jakimi się wykazał Muhammad w budowaniu prysznic, mogą się jeszcze przydać. Tutejsza ubikacja ograniczała się do kranu z zimną wodą nad cementowym otworem odpływowym na tak skąpej powierzchni, na dodatek pozbawionej okna, że trzeba się było przycisnąć do szorstkiej ceglanej ściany, żeby zamknąć drzwi — nie można było tego porównywać z ustronnością i porywającymi widokami z mojego ustępu.

Kiedy padał deszcz, wzgórze za domem Salamy zmieniały się w błotnistą breję. Salwa i Raami piszczeli podnieceni, kiedy samochód obciążony pełnymi kanistrami ślizgał się i buksował, póki nie dojechaliśmy do gruntowej drogi na środku osiedla. Marzenia o lepszej przyszłości zastępowała brutalna rzeczywistość, kiedy pokonywaliśmy strumień w As-Sik — wypatrując dziur i usuwając głązy przyniesione przez płynącą z hukiem wodę. Chuderlawe lisy umykające w świetle reflektorów skierowały nasze

myśli o przyszłości na drugi plan, ponieważ przypomniał mi się „The Fox Went Out on a Chilly Night” (Lis wyszedł w zimną noc). „I modlił się do księżyca, żeby dał mu światło... bo musi jeszcze długo wędrować, zanim dojdzie do miastaaa, miastaaa, miastaaa” darliśmy się na cały głos, pokonując góry w drodze do domu. Kiedy zatrzymaliśmy się pod naszą półką skalną, woń palących się polan, unosząca się z jaskini Abdallaha, przypomniła o naszych sąsiadach. Już nie wydawali się tak bliskim sąsiedztwem. Na osiedlu będziemy ich mieli przez ścianę.

Modliłam się, żeby nadgorliwi urzędnicy utrudniali załatwienie sprawy i cała przeprowadzka się opóźniła.

Współczułam młodej Włoszce, która zwierzyła mi się, kiedy wymknęłam się z dziećmi, aby posiedzieć w sklepie. Była w Petrze ze śniadym, przystojnym, jordańskim mężem i swoimi rodzicami, którzy przyjechali do Jordanii z wizytą. Poznała męża w Mediolanie, gdzie studiował na wydziale inżynierii na politechnice. Po zrobieniu dyplomu przyjechała z nim do domu jego rodziców na wsi na północy Jordanii. Zajmowali jeden pokój w domu, w drugim mieszkał drugi syn z żoną. Całe dni spędzali razem, wspólnie jedli wszystkie posiłki, a teściowa pouczała ją, jak gotować, żeby dogodzić mężowi. Wyprawa do Petry stanowiła pierwszą okazję, żeby uciec z domu i dziewczyna nie planowała do niego wracać.

Współczułam jej, ale nie miałam dla niej żadnej rady. To raczej ja czerpałam korzyści z naszego spotkania, jak zawsze, kiedy spotykałam turystów na przestrzeni wielu lat. Takich ludzi, którym powierzałam moje troski, nazywałam wędrownymi terapeutami.

Zdałam sobie wtedy sprawę, jaką jestem szczęściarą. Poznałam Muhammada w jego naturalnym otoczeniu, w jego własnym domu, bez ludzi dookoła. Razem przyzwyczajaliśmy się do zmian, które następowały w naszym życiu. Jego rodzina przez pewien czas lato spędzała

w Al-Bajda, na górze po drugiej stronie Petry, i jak do tej pory zimę także spędzali w Wadi Mataha. Miałam konkretną korzyść z posiadania beduińskich teściów — wełniane koce, chleb *tabun* i mnóstwo młodych pomocników, którzy zabiegali o to, kto mi przyniesie wody w wiadrze — a przy tym nie angażowali się nadmiernie i nie wprowadzali ograniczeń. (Zastanawiam się, jak by było, gdyby żyła jeszcze matka Muhammada, ale koniec końców, nie ma co się nad tym rozwodzić.) Postanowiłam nie martwić się o przyszłość i cieszyć towarzystwem rodziny przez resztę zimy.

Rzeźby

Zimowymi wieczorami Muhammad rzeźbił postaci w miękkim, białym wapieniu poprzewracanych kolumn — a dokładnie w bazach i głowicach, trzony bowiem wykonane były z miejscowego piaskowca. Trudno było znaleźć porządne kawałki tych rzadkich, nietutejszych skał, ponieważ piasek, wiatr i deszcz nadawały pokrywającemu wzgórze gruzowi podobną, nijaką barwę. Muhammad przynosił odpowiednie części do domu i ciął je na podłużne kawałki nową piłą kupioną w sklepie u Hadździ Radży w Wadi Musa. Piła, chińskiej produkcji, przeznaczona była do cięcia drewna, a nie kamienia, więc szybko się stępiała. Nic więc dziwnego, że do wyrobu każdej świeżo produkowanej „starożytnej” rzeźby musiał kupować nową.

Otoczony rodziną i przyjaciółmi, siedząc na worku tuż przy pełnym rozżarzonych węgla koszu z żarem, Muhammad obrabiał kamień plastikowym śrubokrętem wbijanym w poszarpaną, płaską krawędź. Na jego solidnych, kwadratowych dłoniach pod śniadą skórą wyraźnie odznaczały się żyły. Delikatne nadgarstki oraz krótko obcięte *szabrijjā* paznokcie — zazwyczaj były

szersze niż dłuższe — podkreślały jeszcze wielkość jego dłoni. Widoczna na przedramieniu biaława szrama była wspomnieniem po pasaniu kóz razem z Hajjają w dzieciństwie. Zranił się wtedy głęboko, strugając kijki na budowę pułapki na *szunnary* i dziewczyna musiała mu pomóc tamować krew. (Hajjaja przeniosła się wraz z rodziną do Ammanu wkrótce po weselu Rachijji i jakieś trzy lata temu umarła.)

Co wieczór Muhammad wykonywał kilkanaście prostokątnych postaci. Nazywał je Nabatejczykami i wszystkie były wyrzeźbione w podobny sposób: w pozycji siedzącej ze splecionymi dłońmi. Czasami zmieniał jakiś detal, na przykład dodał kota albo fryzurę *a la* Kleopatra, czy też przepaskę na głowie w formie splecionego węża, przypominającą koronę nowojorskiej Statuy Wolności. Ze swojego stanowiska pracy na worku, otoczony odłamkami kamienia, kurzem i petami wrzucał figurki prosto do ogniska. Wychodziły przyciemnione, każda minuta w płomieniach dodawała im lat. Potem sprzedawał je turystom na swoim straganie z pamiątkami, za każdą cenę, jaką oferowali.

1985

Złoty ząb

Wczesną wiosną 1985 roku podarowano mi złoty ząb. Było piękne, słoneczne popołudnie, kozy rozpierzchny się po zboczu, podskubując oset, a moja teściowa parzyła herbatę dla pilnujących stadka dziewcząt. Zeszłam do nich na szklaneczkę. Rozmawiały o Cyganie od zębów, który przybył do Petry. Opowiadały, jak Abdallah obdarował żony Salima i Ibrahima złotymi zębami. Wyglądało na to, że dziewczyny są zazdrosne.

Wielu Beduinów i Beduinek ma złote zęby. Zastanawiałam się, jak ich na to stać, ale szybko przekonałam się, że była to tylko cienka warstwa złota nakładana po zewnętrznej stronie zęba, umocowująca sztuczny ząb we właściwym miejscu lub zastępująca ubytek.

Właśnie wtedy nadszedł Abdallah ze swoim gościem.

— To on, Cygan. — Dziewczyny rozbiegły się z chichotem, podnosząc węzełki z chrustem i poganiając kozy — *Hup inigh!*

Umm Lafi pobiegła po matę, a ja próbowałam odgadnąć, skąd wiedziały, że nasz gość jest Cyganem. Według mnie wyglądał jak Beduin w zakurzonej *saubie*, co prawda niezbyt starej, ale już z dziurami na kolanach wypalonymi przez żar z *hiszi*, biało-czerwonym *mindilu* i plastikowych sandałach, a więc w stroju typowym dla ponad połowy ludzi z plemienia Bdul. Jedynym nietypowym elementem była kartonowa teczka, dźwigana pod ręką i owinięta paskiem.

Abdallah oznajmił, że przyprowadził gościa do nas, aby i nam dopasował złote zęby. Chciałam się z tego wymigać. Nie przepadałam za złotem i jak do tej pory udało mi się zρέcznie odmawiać za każdym razem, kiedy Muhammad pragnął kupić mi coś u jubilera na bazarze. Jednak mój teść nalegał: wszystkie byłyśmy dla niego tak samo ważne, a on właśnie sprzedał owce i miał przy sobie pieniądze, jego młode synowe zdążyły już urodzić dzieci — wiodło mu się coraz lepiej i chciał to pokazać.

— Czy mogę sobie wybrać inny podarunek? — spytałam.

— Ależ tak nie można. Pomyśl tylko, co ludzie o mnie powiedzą — „Podarował złote zęby wszystkim kobietom ze swojej rodziny oprócz Fatimy” — tak nie można!

Po chwili usadził mnie i Umm Lafi obok siebie przy ścianie jaskini. Cygan przykucnął przed nami. Miał czarne, przyprószone siwizną wąsy. Podniósł mi wargę i wpatrywał się w zęby, potem to samo zrobił z Umm Lafi. Czułam się jak koń na targu. Chichotałam, żeby pozbyć się skrępowania, jakie wywołała we mnie ta niezręczna sytuacja. Rzadko siedziałam w tak niewygodnej pozycji obok zupełnie obcego mężczyzny. Natomiast zdaje się, że Umm Lafi wcale się tym nie przejmowała. Zawsze intrygował mnie fakt, jak łatwo ci ludzie przystosowują się do nowej sytuacji. Często widziałam, jak wyzbywali się wszelkich zahamowań, kiedy przychodzili na zastrzyk. Zazwyczaj obnażali odpowiedni pośladek, odsłaniając miejsce między *saubą* czy *mudragą* a spodniami, ale zdarzało się, że ktoś przychodził w ogóle bez spodni, a mimo to zachowywał się skromnie i naturalnie.

Cygan rozłożył kartonową teczkę na ziemi obok siebie, zaczął grzebać wśród mnóstwa narzędzi, szmatek, buteleczek oraz innych różności i w końcu wyciągnął słoiczek z zębami. Teraz widziałam, że były to zwykłe złote nakładki, bręczące i chroboczące o szkło za każdym razem, kiedy ścigał wieczko. Musiało ich być przynajmniej

dziesięć czy piętnaście, wyciągał je długą pęsetką — dużą i małą blaszkę, długą i krótką. Przypominały srebrne paseczki, które w dzieciństwie robiliśmy ze staniolu z paczek papierosów. Przymierzył jedną z nich po zewnętrznej stronie zęba Umm Lafi. Była trochę za długa, więc przyciął ją nożyczkami, skrzętnie wybierał skrawki i wrzucił je do słoika. Potem wybierał dla mnie. Pierwszy pasek nie pasował, dopiero następny był dobry. Abdallah przerwał na chwilę przygotowania, żeby upewnić się, że cena, jaką uzgodnili, nie zmieni się.

— Tak — odpowiedział nasz „protetyk” — mają normalne zęby, bez większych niespodzianek.

Oczyścił płaski kamień z piasku i z kurzu, po czym wyciągnął dwie tubki z klejem. Wycisnął odrobinę z każdej tubki, potem w proporcji pół na pół wymieszał je patyczkiem, którego potem użył do przypalenia papierosa.

— *Iftahi*. Otwórz szeroko.

Wycisnął kropelkę kleju na nakładkę i na chwilę przycisnął ją do zęba, po czym sprawdził, czy mogę zamknąć usta i nie zgrzytam zębami. Kazał mi trzymać palcem, póki klej nie wyschnie, a tymczasem nakładał już złotą płytkę na ząb mojej teściowej.

Abdallah zachichotał:

— *Dżamila*. Piękna. — Ocenił.

Nie miałam odwagi jej zerwać.

Kiedy spojrzałam w lustro, zauważyłam, że złoty ząb różni się kształtem od moich własnych. Przez kilka dni miałam wrażenie, że jest większy, ale chociaż w końcu przyzwyczaiłam się do niego, nie dano mi o nim zapomnieć. Wszyscy zauważyli, że mam złoty ząb, składali mi gratulacje i wychwalali hojność mojego teścia. To był kolejny niezamierzony krok na mojej drodze do przynależności do plemienia. Jednak w przeciwieństwie do naszej podłogi, kiedy wyprowadzaliśmy się z jaskini,

mogłam go zabrać ze sobą.

Przeprowadzka

Osiedle stało się naczelnym tematem rozmów i powodem do zaciętych sporów w namiotach i jaskiniach w dolinie. Nawet pod oleandrami przed ambulatorium nie mogłam uciec od sporów i małostkowych zawiści. Tęskniłam za dniami, kiedy nie rozumiałam arabskiego i ekscytowałam się pasją, z jaką ludzie wokół mnie wyrzucali z siebie słowa. Teraz pragnęłam nie rozumieć ich bezsensownej gadaniny. Pragnęłam jak najszybciej się przeprowadzić, żeby ludzie przestali o tym gadać. Jeszcze się tam nie osiedliliśmy, ale w Petrze już się nie dało mieszkać.

Przydzielono nam lokal, pomimo — przez większość uwierzytelnionej odciskiem kciuka — petycji, którą wręczono zarządcy dystryktu Wadi Musa. Stało w niej, że Abdallah Usman i jego synowie pochodzą z plemienia Al-Manadża, a nie z Bdul, więc nie mogą rościć sobie praw do mieszkania. Oczywiście, zarządca odrzucił petycję. Mieszkania w Umm Sajhun są przeznaczone dla mieszkańców Petry, zaznaczył w odpowiedzi, a ponieważ Abdallah i jego trzech żonaci synowie mieszkają w Petrze, mają prawo do lokali. Mieliśmy już nawet klucze. Pragnęłam tylko, żeby rozwiązano wreszcie sprawy urzędowe i żebyśmy mogli się wreszcie przenieść i zacząć normalne życie.

W kwietniu obchodziliśmy piąte urodziny Salwy. Chociaż sam Muhammad nie znał dokładnego dnia swoich urodzin, to uwielbiał obchody urodzinowe i wydawane z tej okazji przyjęcia naszych dzieci szybko stały się popularnymi wydarzeniami towarzyskimi. Moi teściowie i sąsiedzi przychodzili na obiad, Muhammad rozwieszał w jaskini

kupione na Suku al-Bucharijja dekoracje, od występu skalnego w głębi aż do okna w ścianie frontowej. Dzieci nazywały je „kriszami” i lubiły bardziej niż *maglubę* (beduińską potrawę — rodzaj risotta z kurczaka, warzyw i ryżu), którą przyrządzałam na obiad, bardziej niż pomarańcze, które Muhammad wręczał wszystkim, nawet małym dzieciom, bardziej nawet niż tort biszkoptowy z kremem i świeczkami, przynoszony przez Alego z restauracji, którą zarządzał — lecz na pewno nie bardziej od chóralnie odśpiewanego „Sto lat”. Akurat tym były zachwycone nie tylko dzieci, ale i dorośli. To były ostatnie urodziny, które obchodziliśmy w Petrze. Pod koniec kwietnia przeprowadziliśmy się do Umm Sajhun.

Byłam właśnie w ambulatorium, kiedy usłyszałam, że wydano już polecenie przeprowadzki. Mimo wielomiesięcznych sporów i negocjacji nie dokonano żadnych zmian w wielkości lokali mieszkalnych, czy minimalnej liczbie członków rodziny potrzebnej do otrzymania dwóch mieszkań. Przeprowadzono jednak pewne zmiany od momentu nakreślenia planów — nie było już kopuł na dachach, miejsc na osły, konie, stada kóz czy też na przechowywanie worków z paszą i naczyń kuchennych. Niewiele mieszkań miało także widok na góry, zasłonięte przez domy sąsiadów.

— Wyobraź sobie — wyzalała mi się Rachijja — powiedziano nam, że jeśli się nie przeprowadzimy w ciągu tygodnia, stracimy prawo do lokalu.

Wiść o przymusowej przeprowadzce w ciągu tygodnia była prawdopodobnie plotką, ale większość ludzi uważała podobnie jak nasz lokalny przedstawiciel Salama:

— Dom, niezależnie od wielkości, kształtu, czy materiału budowlanego z jakiego został wzniesiony, jest i tak bardziej cywilizowanym miejscem niż jaskinia czy namiot — powtarzał. Dlatego nie chcieli stracić swojej szansy i nikt nie zwlekał z przeprowadzką, żeby sprawdzić, czy plotka

była prawdziwa.

Tego dnia guzdraliśmy się w drodze powrotnej do domu. Zabrałam dzieci dłuższą drogą wokół wzgórza za Gasr al-Bint. Pragnęłam nacieszyć się widokami, które do tej pory były dla nas codziennością, a wkrótce miały stać się historią. Znowu byłam w ciąży, dlatego prowadziłam Raamiego za rękę, jednocześnie pertraktując z nim w kwestii wyboru drogi powrotnej między kolczastymi zaroślami i ruinami budowli. Dróżka skręciła w stronę domu i nagle zobaczyliśmy całą rodzinę Alego — żony, dzieci, zamężne córki z dziećmi — stłoczoną w cieniu zwietrzałej skały. Wokół nich piętrzyła się pościel, koce, wory i kartony z dobytkiem.

— *Ta'alu, ishrabu szaj* — zawołali — wpadnijcie do nas na herbatę.

Weszliśmy zatem, żeby się napić. Rozprawiali z podnieceniem.

— *Bnistana Al-Dżimadi*. Czekamy na Al-Dżimadięgo. — Mówili — *Min as-sabah wa-ihna bnirhil*. Przenosimy rzeczy od rana. *Mata widku tirhulu?* A kiedy wy się przeprowadzacie? *Ajji wahida wahidatku?* Które mieszkanie jest wasze?

Al-Dżimadi został znowu zatrudniony w Wydziale do spraw Zabytków jako kierowca ciężarówki. On oraz inni pracownicy pomagali mieszkańcom przy przeprowadzce.

A zatem nadszedł już czas.

Zastanawialiśmy się, czy nie zrezygnować z przeprowadzki i zostać w naszej wygodnej jaskini z półką skalną zapewniającą widok warty milion dolarów. Jednak nie mieliśmy wyboru. Oprócz straganów handlarzy pamiątek oraz sprzedawców pepsi trzymanej w *salladżach* rzeczy należące do naszej społeczności musiały zniknąć z Petry. Dwa lokale przeznaczono na szkołę, jeden na ambulatorium, a sklepikarze musieli upchać zawartość

kramów w swoich mieszkaniach, póki nie wybudują nowych stoisk. Rodzina Muhammada przeprowadziła się, tak jak większość naszych przyjaciół.

— *Dżanna bila nas ma btindas*. Nie warto wchodzić do raju, gdzie nie ma ludzi — cytował Muhammad i ja się z tym zgadzałam. Chociaż w naszej jaskini cieszyliśmy się z braku bliskich sąsiadów, wiedzieliśmy także, że nie możemy żyć bez naszej społeczności.

Ciężarówka krążyła między jaskiniami i namiotami w odległych dolinach, pokonując nowo wybudowane drogi, by ułatwić ludziom przeprowadzkę. Zatrzymała się pod naszym ambulatorium wśród krzewów oleandra i kęp aloesów, obsypanych przez kilka wiosennych tygodni ognistopomarańczowym kwieciem. Ekipa pracowników beduińskich pakowała i ładowała rzeczy — co prawda chaotycznie i bez planu, ale za to z ogromnym zapałem.

— *Szid min andak*. Podnieś od twojej strony. *Misz hak!* Ale nie tak! *Challini afarradżik*. Zaraz ci pokażę, jak to się robi — i tak rażno pokrzykując, wynieśli wszystko z jaskini i wrzucili na pakę bez ładu i składu. Trudno było uwierzyć, że w tak ciasnej pieczarze mogłam prowadzić ambulatorium. Zostawiłam szeroko otwarte drzwi, ale zachowałam klucz na pamiątkę.

W ciągu siedmiu dni siedemdziesiąt osiem rodzin wyprowadziło się z samej Petry. Zgodnie z moimi przewidywaniami liczba członków plemienia wzrosła i rodziny mieszkające w pobliżu Dżabal Harun i płaskowyżu Al-Bajda musiały czekać kolejny rok, do ukończenia następnych bloków.

W końcu ciężarówka zatrzymała się pod naszą półką skalną.

Gdybyśmy przenieśli się do Umm Sajhun wkrótce po moim pierwszym przyjeździe do Petry, mielibyśmy do

zabrania tylko walizkę i plecak. Teraz, kiedy *niszama* wynosili nasz dobytek z jaskini i znosili w dół stromą ścieżką, byłam zdumiona ilością zgromadzonych przez nas rzeczy. Każdy mebel miał swoją historię: dwa wysokie kredensy, z których wyjęliśmy szkło i przetransportowaliśmy na osłach od samego zamku krzyżowców, kiedy Muflih sprzedał nam je za gotówkę; komoda z pięcioma rzeźbionymi szufladami, którą wypatrzyłam w Ma'anie i natychmiast kupiłam, bojąc się, że już nigdy podobnej nie znajdę; kuchenka gazowa, którą Muhammad zobaczył w Wadi Musa tego samego dnia, gdy dotarł do nas czek w prezencie od mojej ciotki z sumą, która dokładnie wystarczyła na jej zakup; maszyna do szycia oraz stos bluzek i sukienek w trakcie szycia; lodówka na olej opałowy (pożyczyliśmy wtedy od Musy furgonetkę, żeby ją przywieźć z malutkiej wioski przy granicy z Syrią, ponieważ potrzebowaliśmy lodówki do przechowywania insuliny dla Muhammada, a do tamtej miejscowości właśnie doprowadzono elektryczność); zbiornik na wodę przywieziony z pierwszej wyprawy Muhammada do Ammanu po naszym ślubie. Miałam też cały stos koców, piankowych *farszy*, poduszek wypchanych bawełną i satynowych kołder.

Chłopcy znieśli wszystko na dół w radosnym nastroju i mieli wspaniałą zabawę, pomagając Muhammadowi wymontować drzwi, drewniane futryny okien i blaszane pokrycie dachu nad kuchnią. Szybkimi ruchami kilofa wyrwali *ma'rusz* i huśtawkę Salwy z cementu, którym zostały zalane. Chociaż byliśmy jedną z mniejszych rodzin, to mieliśmy więcej dobytku od innych — przynajmniej ja tak myślałam, póki nie zobaczyłam moich rzeczy na ciężarówce. Stwierdziłam wtedy, że może uda się jednak upchać je w naszym małym domku. Do samochodu zapakowaliśmy gliniany dzban na wodę, hibiskus w doniczce, dzieci oraz rudego kota i pylistą drogą ruszyliśmy

za ciężarówką. Nie oglądaliśmy się w tył; nasza jaskinia zostanie tam na wieki.

— *Twakkilna ala-Allah* — powiedział przed odjazdem Muhammad. Zrobiliśmy, co się dało. Reszta jest w rękach Allaha.

Kiedy przeciskaliśmy się wąwozem As-Sik, zastanawiałam się, czy uda mi się powstrzymać łzy cisnące się z żalu, ale żadna nie popłynęła.

Byłam zbyt podekscytowana. Nie miałam z kim się żegnać, ponieważ wszyscy już się wynieśli, a zresztą czekało nas tyle nowych wyzwań. Dom należał do nas — możemy z nim zrobić, co tylko zechcemy, otynkować ściany, położyć terakotę czy drewniany parkiet. Mieliśmy oszklone okna, więc będę mogła zamknąć drzwi, żeby podczas chłodnych zimowych dni nie uciekało ciepło, a w mieszkaniu ciągle będzie widno. Szkoła, do której wkrótce pójdzie Salwa, znajdowała się zaledwie o kilka minut spacerkiem, a ambulatorium mieściło się w sąsiednim budynku. Poza tym spodziewaliśmy się kolejnego dziecka. Byłam pewna, że to chłopiec, nawet bez przepowiedni i badania ultrasonografem. Postanowiłam dać mu imię Marwan na pamiątkę doliny leżącej za Klasztorem.

Przyszłość rysowała się obiecująco.

Epilog

I tak zniknął pewien styl życia. Beduini już nie rozstawiają namiotów z koziej sierści na smaganych wiatrem grzbietach Petry, nie zajmują bezpiecznych, starożytnych jaskiń, nie śpią także na półkach skalnych pod gwiazdami. Zburzono nawet wejścia do jaskiń i dobudowane kuchnie, nie pozostały więc po nich żadne pamiątki. Ja jednak wiem, że tysiące puszek po przecierze pomidorowym oraz pokryte niebieską emalią, poobijane czajniczki do herbaty czekają na odkrycie przez przyszłych archeologów.

Wspominam głównie dobre chwile, ale tak już odbieram świat i życie. Nie napisałam o dziecku, które wylało na siebie gar z wrzącą wodą i po kilku dniach zmarło, czy też o niemowlętach, które zachorowały i zmarły tak szybko, że nawet nie zdążyłam się zorientować, na jaką chorobę cierpiały. Nie ma tu także opowieści o włamaniu do sklepu i o skradzionych lornetkach, które złodziej sprzedał, zanim go złapano. Nie piszę także o dziewczynie, która wymykała się nocą ukradkiem z małżeńskiego łóżka i biegnąc na spotkanie z kochankiem, skakała z kamienia na kamień, żeby nie zostawiać śladów. Nie wspominam o oddanych przyjaciółach, którzy przekonali jej męża, aby przebaczył żonie grzechy i zamiast popełnić zbrodnię honorową, przebaczył jej i uznał dziecko za własne.

Życie na osiedlu nie było nudniejsze niż w jaskini. Zwłaszcza przy trójce małych dzieci i prowadzeniu sklepu w Petrze, który wkrótce zmienił się w rodzinny interes, a my musieliśmy do niego dojeżdżać. Urodził się Marwan, ku pewnej rozpaczycy Salwy i Raamiego, ale ku radości reszty

rodziny, która otoczyła mnie opieką i pomogła mi po porodzie. Oczywiście w podzięce wyprawiliśmy *mansaf*. Rzadkie imię, które nadałam chłopcu, wkrótce stało się drugim najpopularniejszym imieniem tamtej dekady w Jordanii. Zrezygnowałam z prowadzenia ambulatorium, częściowo dlatego, że mieliśmy teraz ośrodek zdrowia, ale także ponieważ stwierdziłam, że uwielbiam pracować z Muhammadem w naszym sklepie w Petrze. Kiedy tylko dzieci podrosły, prowadziłam razem z nim nasz rodzinny interes. Muhammad stał się sławny ze swoich napełnianych piaskiem butelek. Na pokładach samolotów Jordańskich Królewskich Linii Lotniczych wyświetlano o nim krótki spot reklamowy, brał także udział w niemal wszystkich targach turystycznych w większych miastach Europy. Podczas jego wyjazdów musiałam radzić sobie sama i prowadzić firmę. Interes to kwitł, to podupadał, szczególnie podczas intifad i wojen w Zatoce Perskiej, ale zawsze szybko stawaliśmy na nogi.

Już się nie ukrywałam, kiedy przychodzili turyści. Musiałam także przygotować się do udzielania odpowiedzi na pytania typu: „Co będzie z wykształceniem dzieci?”. Miałam głęboką nadzieję, że zapewnimy im szeroki dostęp do wiedzy, a one potem same zdecydują, co chcą robić w przyszłości. Ja wybrałam taki styl życia, ale chciałam, żeby moje dzieci wybierały na własną rękę. Muhammad miał nadzieję, że zapewni im wszystko, czego pragną, a dzieci zdecydują się studiować na uniwersytecie.

Salwa wyjechała do Nowej Zelandii, żeby uczyć się przez rok w college'u dla dziewcząt w Nelson, potem wróciła do domu i skończyła liceum w Wadi Musa oraz studia licencjackie na Uniwersytecie Jordańskim. Raami wyjechał do Nelson po ukończeniu szkoły podstawowej. Tym razem łatwo było przekonać Muhammada do tego pomysłu, ponieważ kiedy nasz syn skończył dwanaście lat, okazało się, że jest jedynym uczniem w klasie. Jego koledzy

urywali się z lekcji i prowadzili osły do Petry, a wieczorem wracali z plikiem dolarów zarobionych na turystach. Raami skończył studia na wydziale elektroniki w Sydney. Muhammad nie pozwolił wyjechać Marwanowi, był przecież jego „następcą tronu”, mawiał, a zresztą niewielu szkolnych kolegów naszego najmłodszego syna porzuciło szkołę. Marwan był także naszym kierowcą. Już jako dwunastolatek woził nas do domu gruntowymi drogami od Wadi Araba przez pustynię i granitowe wzgórza okalające Wielkie Rowy Afrykańskie. W tamtym czasie mieliśmy już nissana pathfindera i taka podróż zajmowała dwie godziny.

Były to także czasy naszych wypraw po świecie. Ile razy Muhammad chciał mi kupić jakąś biżuterię ze złota, prosiłam: „Lepiej kup mi bilet”. Odwiedziliśmy moją babcię w Rotterdamie oraz przyjaciół w Niemczech i Szwajcarii. Wędrowaliśmy z plecakami po Turcji i Tajlandii, obie te wyprawy były równie wspaniałe. Odwiedziliśmy mojego brata Johna i jego rodzinę, kiedy mieszkali w Amsterdamie, a potem w Londynie i w Sydney. Ciągłe powracaliśmy do Nowej Zelandii. Moi rodzice często nas odwiedzali i pewnego roku wybraliśmy się samochodem na Półwysep Synaj. Wspięliśmy się na Górę Mojżesza, a potem wypoczywaliśmy na plaży w Dahab, lecząc nasze nadwyreżone mięśnie.

Przez cały czas Muhammad woził ze sobą insulinę w pojemniku z lodem i sprawdzał poziom cukru — czasem niski, a czasem za wysoki. Były to zbyt duże wahania, jak na cukrzyka prowadzącego normalne życie... Zmiany postępowały powoli, lecz nieubłagane. Chodziliśmy do lekarza, który zlecał badania, przepisywał mojemu mężowi pastylki obniżające ciśnienie i powtarzał: „Proszę przestrzegać diety”, ciągle to samo co parę miesięcy. Jak można jeszcze bardziej uważać?

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych miejscowa Rada Regionalna zmusiła sprzedawców z Petry do zrzeszenia się

w spółdzielnie — fatalny pomysł, zważywszy, jak bardzo styl życia Beduinów zależy od indywidualnej przedsiębiorczości i ciężkiej pracy. Był to projekt szczególnie niefortunny dla nas, biorąc pod uwagę, jak bardzo zaangażowaliśmy się w prowadzenie sklepu. Ale w końcu kiedy zaczynaliśmy, mieliśmy tylko ogromny zapał, barierę językową do pokonania i naszą miłość. Teraz również się nie poddaliśmy. Muhammad ciągle angażował się w nowe przedsięwzięcia, a ja prowadziłam je z sukcesem.

Bracia Muhammada ożenili się, a siostry wyszły za mąż, urodziły się dzieci. Na nasze przyjęcia urodzinowe przychodził coraz większy tłum. Gdybym obchodziła w Petrze moje pięćdziesiąte urodziny, musiałabym zaprosić sześćdziesięciu czterech krewnych (*ma sha'a Allah*), nie licząc rodzin moich przyjaciół.

Teraz wszyscy mieli blisko do miejscowej szkoły podstawowej, bezpośrednie połączenie autobusowe ze szkołą średnią w Wadi Musa, a potem istniały możliwości dalszej nauki w Ma'anie. W kilku domach były już komputery i *niszama* mieli adresy mejlowe.

Większość rodzin dokonała ogromnych zmian w mieszkaniach, tak że nie przypominały przyznanych im przed laty lokali. A jednak więcej pokoi, to więcej sprzątania i czasem z rozrzewnieniem wspominałam moją jaskinię — tylko jedno pomieszczenie do zamiatania i żadnych otworów, przez które wciskał się kurz. Jednak potem nadchodziła zima i wtedy cieszyłam się widokiem czarnych chmur nadciągających nad góry na zachodzie, które oglądałam z mojego przytulnego, ciepłego, rześkie oświetlonego mieszkania i byłam wdzięczna.

Więcej pokoi wyzwalało we mnie determinację, aby nie zbierać starych gratów. Co prawda Muhammad nigdy nie był aż tak stanowczy — ochoczo gromadził najróżniejsze rzeczy: lalki, rolki z Europy, kamery wideo, butelki po

wodzie i noże wojskowe żołnierzy piechoty morskiej USA, wielkie *sidry* i palniki gazowe na specjalne okazje, kiedy zapraszaliśmy na *mansaf*. Zachował także rzeczy z Tajlandii, ponad pięćdziesiąt kilogramów bagażu, z którym musieliśmy wędrować.

Muhammad dostał odmy płucnej w maju 2001 roku. Byliśmy wtedy w Ammanie, przyjechaliśmy odebrać moich rodziców z lotniska. Na całe szczęście, gdyż wątpię, czy dotarłby na czas do szpitala, gdybyśmy byli wtedy w domu. Wszystkie drogi prowadzące z Wadi Musa były w tym samym czasie w remoncie. W Ammanie szpital znajdował się tuż za rogiem, niedaleko hotelu, a i tak mój mąż ledwie oddychał, gdy tam dotarliśmy. Przestały mu działać nerki, poinformowano nas, prawdopodobnie zbyt długo nie kontrolował poziomu cukru. Aby przeżyć, musiał mieć przeprowadzane dwie dializy w tygodniu.

Nasza beduińska społeczność pospieszyła z pomocą. Przyjaciele wozili go albo jechali jako „ekipa pomocnicza” do Akaby na dializy, czy do Ammanu na badania. Sprawdzili sobie grupy krwi i oferowali nerki, póki krew młodszego brata Muhammada Hussajna nie okazała się zgodna. Przeprowadzono wtedy transplantację w Szpitalu Królowej Aliji w Ammanie. Okazało się jednak, że było to tylko chwilowe rozwiązanie.

W dniu śmierci Muhammada w lutym 2002 roku w dolinie wiał lodowaty wiatr Szargijja, niosący piasek i kurz. Muhammad wrócił do Petry jeszcze przede mną i umarł, leżąc na *farszy* w naszym przytulnym salonie, podczas poobiedniej drzemki. Kiedy wróciłam, w mieszkaniu aż roiło się od ludzi. Przyjaciele przyszli go umyć i owinać ciało prostym, białym całunem, *kaffinem*. Ktoś podał mi jego obrączkę, lekko weszła na mój środkowy palec. Była to jedna z obrączek, które kupił dla nas w Ammanie podczas wyprawy, kiedy wątpiłam w jego zdolności określenia rozmiaru mojego palca — kupił wtedy dla nas parę i

pasowały idealnie.

Tak wielu było chętnych do pomocy, że grób Muhammada wykopano, zanim zapadł zmrok i pogrzebano go jeszcze w dniu śmierci — jest to błogosławieństwo dla każdego muzułmanina.

Przez trzy dni tradycyjnej żałoby wszyscy ludzie, których znał, przychodzili złożyć nam kondolencje. Namioty, które *niszama* rozstawili błyskawicznie (dla mężczyzn) i nasz znacznie rozbudowany dom (dla kobiet) były pełne ludzi. Siostry Muhammada przyszły i zostały, przyjaciele schodzili się codziennie, każdy uważał za swoją powinność pojawić się u nas. Cały czas byłam zajęta. Nie przestawały napływać mejle, drukowałam je i przyczepiałam na ścianie w kuchni, aż cała była nimi pokryta. Rodziny z plemienia Bdul zarznąły kozy i owce, aby przyrządzić *mansaf*, gotowano go w ogromnych garnkach, a potem roznoszono na wielkich, okrągłych *sidrach* i częstowano żałobników.

Przez kilka miesięcy starałam się jakoś trzymać. Ciągłe przychodzili goście, ja dalej działałam, ale zniknął powód, dla którego osiadłam w Petrze.

Od tamtej pory mieszkamy, w Sydney. Jest tam moja siostra i brat, a poza tym nie jest stamtąd tak daleko do Petry, jak z Nowej Zelandii. Ale tak naprawdę nie zdomowiliśmy się. Często zastanawiam się nad pytaniem, jakie Jordańczycy zadawali mi na samym początku, próbując zrozumieć, dlaczego zdecydowałam się porzucić cywilizowany świat i zamieszkać wśród nich. Nie dawali wiary potędze miłości.

— *Wayn ahsan — Al-Urdunn aw New Zelanda?* Gdzie jest lepiej? — chcieli wiedzieć.

Wiem, że wcale nie o to chodzi. Niektóre rzeczy są lepsze w Jordanii — inne zaś w Australii, a pewnie jest jeszcze jakieś miejsce na ziemi, gdzie z kolei inne sprawy

są lepsze i prostsze. Trzeba po prostu dostrzec najlepsze strony miejsca, gdzie jesteśmy i postępować tak, jak uważamy za słuszne w danych okolicznościach. Nie mogę się wypowiadać w imieniu Salwy, Raamięgo czy Marwana, są już wystarczająco dorośli i mam nadzieję, że zebrali dosyć doświadczeń, aby decydować o własnej przyszłości. Uwielbiam, kiedy mówią do mnie *Jum*, to kolokwialna i prawie już nie używana beduińska nazwa Mamy. Czuję się wtedy, jakbym powracała do Petry.

Może tam jeszcze wrócę i zobaczę, czy będę umiała żyć w Petrze bez Muhammada. Wiem, że to wspaniałe miejsce. Beduini zamieszkali w Umm Sajhun, ale w ciągu dnia zaludniają ruiny Petry. Przywracają je do życia — oferują osły turystom, żeby dostali się do Miejsca Ofiarnego i do Klasztoru, wielbłądy na wyprawę do Wadi Sabra i Dżabal Harun oraz wszelkimi sposobami nakłaniają ich do wypicia herbaty miętowej w przyjemnym cieniu. A jeśli nadarzy się okazja, zaproszą turystów z tradycyjną gościnnością do swojej wioski na beduińskie wesele.

Ja jednak nie zamieszkałam w Petrze ze względu na piękno górskiego krajobrazu, jej wspaniałą historię, czy kulturę i zabytki. Nie ma już Muhammada, a ja nie jestem już żoną Beduina. Chociaż przez lata zgromadziłam wiele rzeczy, znów stałam się koczowniczką.

Słowniczek

Większość słów autorka zapisała w takiej formie, w jakiej je słyszała, mieszkając w Petrze; często są to słowa w dialekcie beduińskim. W polskiej wersji językowej zastosowano uproszczoną transkrypcję nazw i terminów arabskich opracowaną przez Bogusława R. Zagórskiego. Zamiast litery „qaf”, zapisywanej w polskiej transkrypcji jako „k”, w większości przypadków zastosowano literę „g”, bliższą oryginalnemu brzmieniu dialektu.

Aba — wierzchnie okrycie

Adżnabijja — cudzoziemka

Ahlan wa-sahlan — witaj, witajcie

Al-hamdu li-(A)llah — Chwała Bogu, zwrot wyrażający wdzięczność;

Al-hamdu li-(A)llah ala-s-salama — witaj, witajcie; dosł. dzięki Bogu, że jesteś zdrowy/a lub, że szczęśliwie dotarłeś/aś

Al-Wahdat — mieszkania, odnosi się do osiedli

Azan — wezwanie na modlitwę

Chatib — uzdrowiciel, szaman, który zazwyczaj korzysta z amuletów, klątw i tradycyjnych ziół

Dabka — taniec w rzędzie; tradycyjnie wykonywany przez mężczyzn

Dżannabijja — cienka mata z materiału

Dżurn — moździerz z tłuczkiem, również zwany *mihbaszem*

Farsza — gruby, pokryty materiałem materac, wykonany

z gąbki, gumy lub wypchany wełną

Fatta — prosty posiłek składający się z chleba maczanego w jogurcie lub zupie

Gisma wa-nasib — szczęście i przeznaczenie

Gtar — weselny orszak

Gutar — miejsce, w które woda spływa ze skał i gromadzi się w zbiornikach

Hadżdż — pielgrzymka do Mekki;

hadżdżi (r.m.),

hadżdża (r.ż.) — pielgrzym oraz tytuł, który przysługuje osobie, która odbyła pielgrzymkę

Halawa — słodczyce ze zmielonych ziaren sezamowych, chałwa

Hiszi — beduiński tytoń pochodzący z domowej uprawy

Id — święto:

Id ramadan — obchody zakończenia ramadanu;

Id al-Adha — Święto Ofiary; także określenie stosowane w związku z urodzinami, dniem niepodległości, etc.

Kina — drzewo eukaliptusowe

Kuwajjis/a — dobry/a

Laban — jogurt z koziego lub owczego mleka; także określenie pokarmu kobiecego

Mabruk — gratulacje, życzenia

Madżanin — szaleni;

madżnun/madżnuna — szalony/a

Mahr — opłata wnoszona za pannę młodą

Mansaf — typowy beduiński posiłek złożony z mięsa, ryżu, chleba i sosu jogurtowego

Ma'rusz — pergola z winorośli lub zadaszenie z bambusowych kijków i materiału

Mindil i

mirrir — beduińska nazwa na chustę noszoną przez

mężczyzn oraz okalający ją podwójny pierścień, przypominający gruby, czarny, pleciony sznur

Misfah wa-asaba — razem tworzą kobiece nakrycie głowy

Mudraga — kobieca wierzchnia suknia

Muzfir — pas, chusta do noszenia dzieci

Niszama — beduińskie określenie młodzieży, dorastających chłopców

Riszuf — to

laban i zupa z soczewicy

Riwag — tylna ściana, pałatka w namiocie z koziej sierści

Sadz — brytfanna cynowa z pokrywką do wypieku płaskiego chleba/*szraka*

Salam — powitanie: Pokój (niech będzie z wami)

Salladza — pojemnik z wyparowującą wodą, używany do chłodzenia napojów, lodówka

Samar — tradycyjny taniec ze śpiewem; także: wieczorna impreza

Samin — sklarowane masło kozie

Saubu — wierzchnia szata męska

Serwis — kilkusobowa taksówka; koszty przejazdu dzieli się między wszystkich pasażerów

Sidr — okrągła płaska patera/półmisek z niewysokim brzegiem, o średnicy 70-80 centymetrów

Si'n — bukłak z wyprawionej skóry do przechowywania mleka,

jogurtu, sklarowanego masła

Sitt — pani; także grzecznościowa forma zwracania się do kobiet

Szabrija — beduiński nóż o podwójnym ostrzu

Szaj — herbata

Szajch — reprezentant (religijny, plemienny, parlamentarny); najczęściej to starszy mężczyzna, który dzięki swej wiedzy i doświadczeniu cieszy się szacunkiem lokalnej społeczności

Szargijja — wschodni wiatr

Szig — kwatery dla mężczyzn

Szisz bisz — tryktrak (stolik do gry o tej samej nazwie)

Szrak — typowy płaski chleb bez środków spulchniających

Szunnar — góropatwa azjatycka

Tabun — chleb ze środkami spulchniającymi wypiekany w tradycyjnym piecu na nawozie trzody

Tanaka — 20-litrowy pojemnik cynowy z okrągłą pokrywką, używany do przechowywania oliwy, oleju,

saminu i sera

Wadi — koryto rzeki lub strumienia, często wyschnięte w porze suchej; także dolina (Wadi Musa)

WahidAllah — sformułowanie, które oznacza, że Bóg jest jeden



1979 Muhammad i ja w namiocie.



As-Sik — wąwóz prowadzący do Petry.



Nasza jaskinia - wspaniała fasada i piaszczyste podwórko. Turystyczny prysznic (na tle skały) i palenisko (jeszcze nie gotowe do wstawienia do środka).



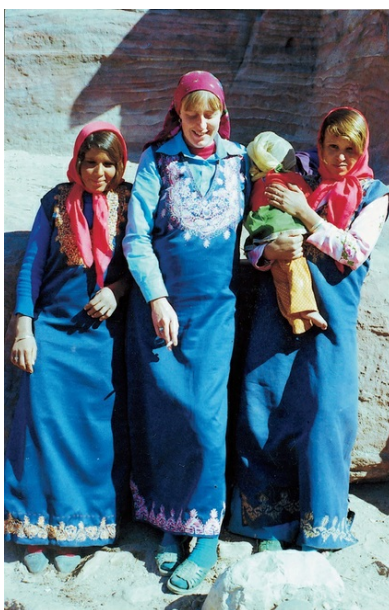
Umm Lafi stara się nie podkreślać urody Mariam, żeby nikt nie rzucił na nią uroku - a jednak pomimo to mała jest piękna.



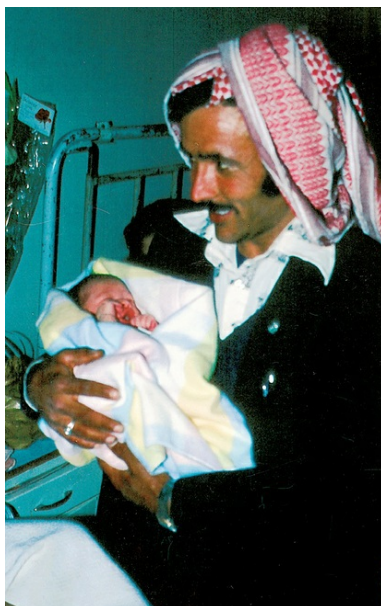
Nasza wyprawa do Wadi Sabra z Alim F. i Rawijją.



Ojciec Rachijji daje kozom dodatkową porcję jęczmienia, więc same biegną do domu pod koniec dnia. Namioty, ruiny i starożytne fasady tworzą magiczny krajobraz.



Agaila i Husajna z dzieckiem, pozują do zdjęcia razem ze mną w czasie wesela. Do sandałów włożyłam skarpety, żeby uniknąć obtarcia stóp.



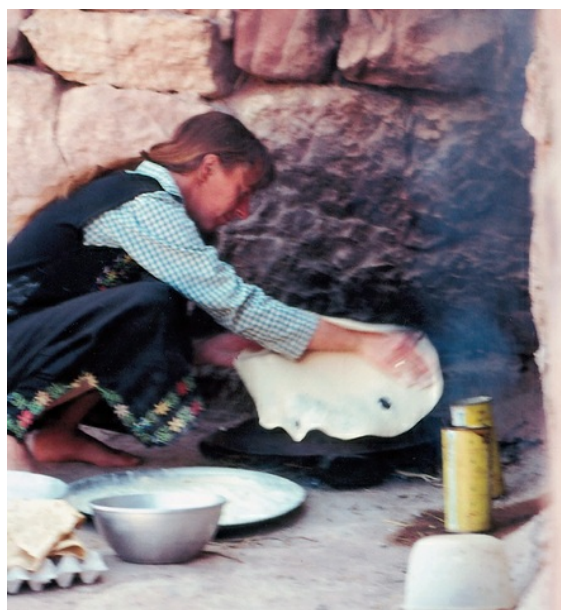
Muhammad, dumny ojciec, trzyma w ramionach – na wzór zachodni – swoją nowonarodzoną córeczkę.



Widok z naszej półki skalnej.



Ambulatorium w jaskini. Wszystkie lekarstwa zostały wyprodukowane przez jordańskie firmy farmaceutyczne.



Gniotę ciasto na chleb pod liczącym 2000 lat murem. Najlepsza miejscowa mąka pszenna sprawia, że ciasto jest niezwykle rozciągliwe.



W kuchni-salonie u moich krewnych. Dziewczynki w nowych sukienkach prosto ze sklepu, włożonych specjalnie z okazji Id.



1982. Ma'rusz z „wiszącymi ogrodami” Muhammada to miejsce, w którym spędzamy lato. Mama z Salwą na kolanach. Umm Mahmud z synami i Ali, za Muhammadem, objadają się arbuzem.



Mój teść, Abdallah, praży ziarna kawy.



Wygląda na to, że mama i tata dobrze się u nas czują. Na zdjęciu tata z Abdallahem grają w sidżę. Tata uważa się za zwycięzcę, póki nie przypadną mu fanty w postaci kozich bobków.



Salwa z naszym osłem. Siodło zostało wykonane z wierzbin z Wadi Sijagha.



Raami w krzeselku niemowlęcym, zrobionym przez Muhammada.
Doskonała przeróbka zachodniego modelu.



Widok na wschód z nad naszej jaskini. Śnieg pokrywa Petrę.



Wnętrze naszej jaskini. Przykryłam złożone na stos koce i farsze dywanem przywiezionym przez Fraidżę z Mekki. Przeciekający kanister z odciętą ścianką świetnie służy jako pudło na zabawki.



Beduińska młodzież niszama. Wyprawiają kozią skórę na uroczystości weselne.



Salwa jest znudzona, Raami zasnął, natomiast ja jestem podekscytowana spotkaniem z królową Elżbietą II oraz królową Noor.



Jaskinia, z której się wyprowadziliśmy, stała się prawdziwym domem z oszklonymi oknami. Pnącą madznuna i zacieniony ma'rusz widać było przez otwarte kuchenne drzwi.



Pokryta tatuażami i pomarszczona twarz Fathijji, ciotki mojej teściowej.



Orszak ślubny. Weselnicy przyodziani w tradycyjne sauby, mindile i mudragi.



1985 rok. Nasza jaskinia na półce skalnej: płotki i furtki dla ochrony dzieci i roślin; kotły na ciepłą wodę; pieczara na samochód, ukryta pod warstwą zwiędniętych kamieni, piasku i kurzu; auto stoi przykryte brezentową plandeką. W oddali Grobowce Królewskie i Grobowiec Pałacowy.

Przypisy

[1] Mozaikowa mapa znajduje się w greckokatolickiej bazylice pod wezwaniem świętego Jerzego w Madabie. Jest to najstarszy kartograficzny zapis Palestyny i Dolnego Egiptu, pochodzący z VI wieku naszej ery (przyp. tłum.).

[2] Izzajjak? - Jak się masz? (wszystkie nieoznaczone przypisy pochodzą od konsultantki)

[3] Kajf halak? - Jak się masz? Zwrot do mężczyzny; do kobiety: Kajf halki?

[4] Masa al-chajr - Dobry wieczór.

[5] Marhaba - Cześć.

[6] Tahina - pasta z ziaren sezamu, do której najczęściej dodaje się oliwę oraz sok z cytryny.

[7] Proszek antymonowy (po arab. kuhl) - tradycyjny kosmetyk używany przez kobiety na Bliskim Wschodzie do malowania oczu.

[8] Diana Kirkbride-Helbaek (1915-1997) - angielska archeolożka, prowadziła w latach pięćdziesiątych tzw. Projekt Jerycho - wykopaliska w rejonie Jerycho; brała udział w rekonstrukcji Teatru Rzymskiego w Dżarasz, prowadziła prace archeologiczne w Petrze oraz w rejonie Al-Bajda (przyp. tłum.).

[9] Widki ta'chuzi - Czy chcesz go wziąć (w domyśle: za męża)?

[10] W literackim języku arabskim nie zapisuje się litery „g”, natomiast funkcjonuje ona w fonetycznym brzmieniu w niektórych dialektach, w tym m. in. w dialektach beduińskich w Jordanii.

[11] Pasta z wyciągu drożdży używana w Australii i Nowej Zelandii do smarowania kanapek (przyp. tłum.).

[12] In sza'a Allah - Jeśli Bóg pozwoli.

[13] Mahometanin - niepoprawne określenie oznaczające wyznawcę islamu, czyli muzułmanina. W

oryginał użyte przez autorkę.

[14] Niszama - beduińskie słowo oznaczające młodzież; w tekście użyte w znaczeniu liczby mnogiej.

[15] Bębny wodne - tradycyjne instrumenty muzyczne, używane w Afryce oraz na Bliskim Wschodzie; są to napełnione wodą drewniane, często bambusowe, naczynia obciążone baranią lub kozią skórą. Czasem Beduini używają w tym celu metalowych beczek (przyp. tłum.).

[16] „Osioł” w języku arabskim to himar, natomiast w dialekcie beduińskim „szwagier” to hama; w wyniku zbitek spółgłoskowych często występujących w dialektach oba słowa mogą brzmieć podobnie.

[17] Id al-Adha czyli Święto Ofiary - najważniejsze święto muzułmańskie, trwa cztery dni i upamiętnia ofiarę Abrahama i jego posłuszeństwo wobec Boga.

[18] Goats Head Soup - aluzja do wydanego w 1973 roku albumu grupy The Rolling Stones o tym tytule (przyp. tłum.).

[19] Iszrabi szaj - Napij się herbaty.

[20] Bi-smi-llah (Allah) - W imię Boga.

[21] Al-dzum'a - piątek; dzień, w którym muzułmanie modlą się w meczecie. W krajach arabskich jest to jeden z dwóch dni weekendu, który w zależności od kraju przypada na czwartek i piątek, bądź na piątek i sobotę.

[22] Chodzi o trzecią wojnę izraelsko-arabską, zwaną także wojną sześciodniową.

[23] Chalas - koniec, starczy.

[24] Kolor zielony ma symboliczne znaczenie w islamie; uznaje się go za kolor proroka Mahometa (według tradycji Prorok miał nosić zielony płaszcz); w kulturze beduińskiej symbolizuje także życie.

[25] Al-hamdu li-(A)llah - Chwała Bogu, zwrot wyrażający wdzięczność. Al-hamdu li-(A)llah ala-s-salama - witaj, witajcie; dosł. dzięki Bogu, że jesteś zdrowy/a lub, że

szczęśliwie dotarłeś/aś.

[26] Król Husajn ibn Talal z dynastii Haszymidów panował w Jordanii od 1952 r. do śmierci w 1999 r.; jego żoną była królowa Noor.

[27] Muzfir - pas, chusta do noszenia dzieci.

[28] Rababa - rodzaj instrumentu strunowego, popularnego w krajach muzułmańskich od północnej Afryki aż po Indonezję. (przyp. tłum.)

[29] Umm Kulsum (1904-1975) - bardzo ceniona i popularna egipska piosenkarka, uznawana za największą diwę w historii arabskiej muzyki. Stacje radiowe w wielu krajach arabskich do dzisiaj nadają jej pieśni o miłości i tęsknocie.

[30] Ma sza'a Allah - dosłownie „Bóg tak chciał”; są to słowa wyrażające podziw, wdzięczność, zadowolenie czy szacunek, jednocześnie podkreślające wpływ Boga na otaczającą rzeczywistość.

[31] Al-Kaba - święte miejsce kultu w islamie, znajdujące się w Mekce, tam umieszczony jest Czarny Kamień, który składa się z trzech kawałków meteorytu scalonych srebrną obręczą. Kamień był czczony jeszcze w czasach przedmuzułmańskich, a jego symbolika związana jest ze zmywaniem grzechów pielgrzymów.

[32] Wajn idki, ad-dunja szatija - Dokąd idziesz, pada deszcz.

[33] Szita - tu: deszcz.

[34] Haram - grzech, coś zakazanego.

[35] Tanaka to 20-litrowy pojemnik cynowy z okrągłą pokrywką używany do przechowywania oliwy, oleju, saminu i sera.

[36] Madżanin - szaleni.

[37] Makbus - dosłownie: zaatakowany.

[38] Challini aszufha - Daj mi je zobaczyć.

[39] Kina - drzewo eukaliptusowe.

[40] Halawa - chałwa.

[41] Halal - żywność, którą mogą spożywać muzułmanie; nie zawiera m. in. mięsa wieprzowego, krwi ani alkoholu.

[42] Allahu akbar - Bóg jest największy.

[43] Tanina - naturalny garbnik roślinny, żółtawy proszek stosowany w lecznictwie jako środek ściągający i przeciwbiegunkowy, a także w farbiarstwie i garbarstwie (przyp. tłum.).

[44] Hidżab - tu w znaczeniu: amulet, talizman.

[45] Elfstedentocht, czyli Wyścig Jedenastu Miast to holenderskie zawody dla zawodowców i amatorów łyżwiarstwa szybkiego odbywające się nieregularnie we Fryzji, w Holandii (przyp. tłum.).

[46] niello - technika zdobienia metalu stosowana głównie w złotnictwie; polega na wtapianiu w wryte bruzdy mieszaniny siarczków srebra, miedzi, ołowiu (przyp. red.).

[47] Laura Ingalls Wilder - amerykańska pisarka, autorka serii książek „Domek na prerii” (przyp. tłum.).

[48] The Very Hungry Caterpillar i Mister Magnolia - to popularne ilustrowane anglojęzyczne książeczki dla dzieci (przyp. tłum.).

[49] Gutar - miejsce, w które woda spływa ze skał i gromadzi się w zbiornikach.

[50] Stacja Skylab amerykańskiego programu badawczego NASA spadła 11 lipca 1979 do Oceanu Indyjskiego oraz na niezamieszkane obszary Australii (przyp. tłum.).